

M. R. CAREY

NAJBARDZIEJ ZASKAKUJĄCY THRILLER TEGO ROKU

PANDORA



„Straszny
i jednocześnie
poruszający”

VOGUE

„Całkowicie Cię
pochłonę”

HARPER'S BAZAAR



M. R. CAREY

PANDORA

TŁUMACZENIE MARTYNA TOMCZAK


OTWARTE
KRAKÓW 2016

Dla Lin, która otworzyła puszkę

Ma na imię Melanie. Ze starogreckiego oznacza ono „czarna”, jej skóra zaś jest bardzo jasna i dlatego to imię chyba niezbyt do niej pasuje. Żałuje, że nie nazwano jej Pandora, ale w tej kwestii nie ma się wyboru. Imiona nadaje panna Justineau; wybiera pierwsze od góry z listy dla chłopców albo pierwsze od góry z listy dla dziewczynek i to, jak mawia, byłoby na tyle.

Od dawna nie pojawiło się żadne nowe dziecko. Melanie nie wie dlaczego. Kiedyś było ich mnóstwo; co tydzień albo co kilka tygodni, głosy w ciemności. Stłumione rozkazy, narzekania, od czasu do czasu przekleństwo. Łoskot zatrzaskiwanych drzwi celi. A po jakimś czasie, zazwyczaj po miesiącu lub dwóch, nowa twarz w klasie – nowe dziecko, chłopiec lub dziewczynka, nieumiejące jeszcze mówić. Wszystkie jednak prędko się uczyły.

Także Melanie była kiedyś nowa, choć trudno jej to sobie przypomnieć – minęło tyle czasu. Nie istniały wówczas słowa, jedynie rzeczy bez nazw, a rzeczy bez nazw nie trzymają się głowy. Wypadają i zaraz znikają.

Teraz Melanie ma dziesięć lat i skórę królowny z bajki, białą jak śnieg. W związku z czym wie, że gdy dorośnie, będzie piękna, a książęta będą stawiali na głowach, by wspiąć się na jej wieżę i pośpieszyć jej na ratunek.

Zakładając oczywiście, że trafi jej się własna wieża.

Tymczasem ma tylko celę, korytarz, klasę i łaźnię.

Cela jest mała i kwadratowa. W środku stoją łóżko, wózek inwalidzki oraz stół. Na pomalowanych szarą farbą ścianach wiszą dwa obrazki: duży, przedstawiający amazoński las tropikalny, i mniejszy, z kocięciem chłopcującym mleko ze spodka. Czasem Sierżant i jego ludzie przenoszą dzieci z celi do celi i stąd Melanie wie, że obrazki nie wszędzie są takie same. Kiedyś miała inne, które bardziej jej się podobały: jeden z koniem na łące i drugi z ośnieżonym górskim szczytem.

Obrazki wybiera panna Justineau. Wycina je z zalegających stertami w klasie starych czasopism i przykleja ich rożki do ściany czymś lepkiem niebieskim. Oszczędza to niebieskie coś niczym skąpiec z bajki. Zawsze gdy zdejmuje obrazek lub przykleja nowy, zdrapuje ze ściany resztki tego czegoś i dolepia je do małej okrągłej grudki, którą trzyma w szufladzie biurka.

„Kiedy się skończy, to na dobre”, mawia.

Po lewej stronie korytarza znajduje się dwadzieścioro, po prawej osiemnaścioro drzwi. Do tego są jeszcze drzwi na obu końcach. Jedne z nich, pomalowane na czerwono, wiodą do klasy – dlatego też Melanie nazywa ten koniec korytarza „szkolnym”. Drzwi po przeciwnej stronie są szare, stalowe i bardzo, bardzo grube. Trudniej określić, dokąd prowadzą. Kiedyś, gdy odwożono Melanie do celi, drzwi były zdjęte z zawiasów i majstrowali przy nich jacyś mężczyźni.

Z krawędzi sterczało mnóstwo rygli i innych wystających elementów, można się więc było domyślić, że to zaporą, którą niełatwo sforsować. Dalej Melanie dostrzegła długi rząd betonowych stopni wiodących w górę i w górę. Nie był to widok przeznaczony dla jej oczu. „Mała zdzira wtrynia nos gdzie nie trzeba”, warknął Sierżant, po czym wepchnął ją brutalnie wraz z wózkiem do celi i zatrzasnął drzwi. Ale Melanie zobaczyła i zapamiętała.

Potrafi również słuchać i z zasłyszanych rozmów ma pewne pojęcie o tym, czym jest to miejsce w odniesieniu do innych, których nigdy nie widziała. Tę część budynku nazywają blokiem. Poza blokiem znajduje się baza, czyli Hotel Echo. Baza położona jest w regionie szóstym. Londyn leży pięćdziesiąt kilometrów na południe, Beacon – kolejne siedemdziesiąt, a za Beacon nie ma już nic prócz morza. Większa część regionu szóstego jest czysta, ale to tylko dzięki patrolom ogniowym, dzięki ich granatom i kulom płomieni. Melanie jest niemal pewna, że do tego właśnie służy baza; ma wysyłać w teren patrole służące do oczyszczania regionu z głodnych.

Patrole muszą bardzo uważać, ponieważ wokół wciąż kręci się mnóstwo głodnych. Kiedy złapią twój zapach, będą za tobą podążali setki kilometrów, a gdy cię dopadną, pożrą cię. Melanie bardzo się cieszy, że mieszka wewnątrz bloku, bezpieczna za grubymi stalowymi drzwiami.

Beacon znacznie różni się od bazy. To wielkie miasto pełne ludzi i strzelistych budynków sięgających aż do nieba. Po jednej stronie znajduje się morze, zaś pozostałe trzy otoczone są przez fosy i pola minowe, żeby głodni nie mogli się do niego zbliżyć. Można tam przeżyć całe życie, nie napotkawszy ani jednego. Poza tym miasto jest tak ogromne, że mieszka w nim razem, obok siebie, pewnie ze sto miliardów ludzi.

Melanie ma nadzieję, że kiedyś tam pojedzie. Gdy misja dobiegnie końca i gdy (jak powiedziała kiedyś doktor Caldwell) będzie można poskładać manatki. Melanie próbuje wyobrazić sobie ten dzień; stalowe ściany zamykające się niczym karty książki, a potem... coś innego. Jakieś inne miejsce, do którego wszyscy się udadzą.

To na pewno będzie przerażające. Ale jakie cudowne!

Każdego ranka szare stalowe drzwi otwierają się i wchodzi Sierżant, za nim jego ludzie, aż w końcu – nauczyciel lub nauczycielka. Po kolei mijają celę Melanie, nieodmiennie roztaczając wokół silną gorzką chemiczną woń; zapach ten, choć niezbyt przyjemny, wprawia Melanie w podniecenie, gdyż zwiastuje początek kolejnego dnia nauki.

Gdy rozlega się szcęk przesuwanych rygli i dźwięk kroków, Melanie biegnie do drzwi celi, wspina się na palce i wygląda przez małe okienko z siatki, by popatrzeć na przechodzących obok ludzi. Woła do nich „dzień dobry”, ale im nie wolno odpowiadać i większość z nich tego nie robi. Sierżant i jego ludzie nie

odpowiadają nigdy, podobnie jak doktor Caldwell i pan Whitaker. Doktor Selkirk zawsze przyspiesza kroku i patrzy w inną stronę, więc Melanie nie widzi jej twarzy. Ale pannie Justineau zdarza się pomachać, zaś panna Mailer od czasu do czasu obdarza Melanie szybkim, ukradkowym uśmiechem.

Osoba przeprowadzająca danego dnia lekcje udaje się prosto do klasy, a tymczasem Sierżant i jego ludzie zaczynają otwierać drzwi cel. Ich zadaniem jest przewiezenie dzieci na lekcje, potem znikają. Zawsze postępują zgodnie z procedurą, co zabiera mnóstwo czasu. Melanie podejrzewa, że u wszystkich dzieci procedura przebiega tak samo, ale oczywiście nie wie tego na pewno, ponieważ wszystko odbywa się wewnątrz cel, a jedyną celą, do której Melanie ma wgląd, jest jej własna.

A więc najpierw Sierżant wali w drzwi i głośno rozkazuje dzieciom, by się przygotowały. Zazwyczaj woła po prostu: „tranzyt!”, choć czasem używa dodatkowych słów: „tranzyt, cholerne gówniarze!”, albo: „Tranzyt! Ale już!”. Jego wielka, przeorana blizną twarz wyłania się przy samej siatce, a oczy rzucają gniewne spojrzenia ponaglające do wstania z łóżka.

Melanie pamięta, że któregoś razu wygłosił przemowę – nie do dzieci, do swoich ludzi:

– Niektórzy z was są tu nowi. Nie macie bladego pojęcia, czego się podjęliście ani gdzie, do diabła, się znajdujecie. Boicie się tych parszywych małych abortów, mam rację? No i dobrze. Przygarnijcie ten strach do waszych śmiertelnych dusz. Im bardziej się boicie, tym mniejsza szansa, że powinie wam się noga. – Kiedy skończył, wrzasnął: – Tranzyt! – i całe szczęście, bo wcześniej Melanie nie była pewna, czy ma się przygotować do tranzytu, czy nie.

Na komendę Sierżanta Melanie wkłada długą białą koszulę zdjętą z haczyka przy drzwiach, białe spodnie z szafki w ścianie i ustawione równo pod łóżkiem białe pantofle. Potem siada na wózku, w nogach łóżka, tak jak ją nauczono. Układa dłonie na poręczach, a stopy opiera na podnóżku. Zamyka oczy i czeka. Czekając, liczy. Kiedyś udało jej się doliczyć do dwóch tysięcy pięciuset dwudziestu sześciu. Najmniejszą liczbą było tysiąc dziewięćset jeden.

Na dźwięk obracającego się w zamku klucza Melanie przestaje liczyć i otwiera oczy. Sierżant wkracza do środka, celując do niej z broni. Później wchodzi dwóch jego ludzi, którzy zaciskają i zapinają paski wokół jej nadgarstków i kostek. Jako ostatni, kiedy Melanie nie może już poruszać ani rękami, ani nogami, ludzie Sierżanta zapinają pasek wokół jej szyi, i zawsze robią to od tyłu. Zapięcie jest tak obmyślane, by nie musieli zbliżać dłoni do twarzy dziewczynki. „Nie ugryzę”, żartuje czasem Melanie, ale ludzie Sierżanta nigdy się nie śmieją. Gdy powiedziała to po raz pierwszy, sam Sierżant, owszem, roześmiał się, ale szyderczo, po czym rzucił: „nie masz z nami szans, cukiereczku”.

Gdy Melanie jest już przypięta do wózka i nie może poruszać ani rękami, ani

nogami, ani głową, ludzie sierżanta wiozą ją do klasy i umieszczają przy ławce. Nawet jeśli nauczycielka (albo nauczyciel, o ile wypada dzień pana Whitakera) rozmawia akurat z innymi dziećmi lub pisze coś na tablicy, zazwyczaj na jej widok przerywa i mówi: „dzień dobry, Melanie”. Dzięki temu dzieci w pierwszych rzędach wiedzą, że się pojawiła i mogą się z nią przywitać. Większość z nich nie widzi, że Melanie wjeżdża do klasy, a to dlatego, że również są przypięte do wózków i mają unieruchomione szyje, przez co nie mogą się odwrócić.

Cała ta procedura – wjeżdżanie do klasy, powitanie przez nauczyciela i chór pozdrowień – powtarza się potem jeszcze dziewięć razy, ponieważ po Melanie do klasy wwożone jest dziewięć innych dzieci. Jedną z dziewczynek, Anne, była kiedyś jej najlepszą przyjaciółką, może zresztą nadal jest, tyle że po ostatnich przenosinach z celi do celi (Sierżant nazywa to „przetasowaniem”) wylądowały z dala od siebie, a trudno jest utrzymywać serdeczną przyjaźń z kimś, z kim nie można porozmawiać. Kolejnym z tej dziewiątki jest Kenny. Melanie nie lubi Kenny’ego, który woła za nią: „Melon” albo „M-M-M-Melanie”, żeby jej przypomnieć, że swego czasu zdarzało jej się jękać.

Gdy wszystkie dzieci są już w klasie, zaczynają się lekcje. Codziennie jest nauka arytmetyki i ortografii i codziennie odbywają się testy pamięciowe, ale poza tym nie ma ścisłego planu zajęć. Niektóre nauczycielki czytają im na głos, a potem z tego odpytują. Inne każą im się uczyć faktów, dat, tabel i równań, w czym Melanie jest bardzo dobra. Zna wszystkich angielskich władców i wie, kiedy panowali, umie wymienić miasta Zjednoczonego Królestwa, powierzchnię i liczbę mieszkańców każdego z nich, a także nazwę przepływającej przez nie rzeki (jeśli jakaś przepływa) oraz dewizę (jeśli takowa istnieje). Pamięta nazwy europejskich stolic i ich populacje oraz wie, w jakich latach ich mieszkańcy toczyli wojny z Brytyjczykami – a większość kiedyś je toczyła.

Nauka przychodzi jej bez trudu; to jej sposób na nudę, ponieważ nuda jest gorsza niż prawie wszystko inne. Znając powierzchnię danego miasta i całkowitą liczbę jego mieszkańców, Melanie potrafi obliczyć gęstość zaludnienia, a stosując statystyczną metodę regresji, umie oszacować, ile osób będzie je zamieszkiwało za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat.

Jest jednak pewien kłopot. Melanie uczyła się o miastach Zjednoczonego Królestwa na lekcjach pana Whitakera i brak jej pewności, czy wszystkie dane, które posiada, są prawidłowe. A to dlatego, że pewnego dnia – gdy pan Whitaker zachowywał się dość dziwnie i przemawiał do nich bełkotliwym, niewyraźnym głosem – powiedział coś, co zaniepokoiło Melanie. Zapytała go właśnie, czy milion trzydzieści sześć tysięcy dziewięćset to populacja całego Birmingham wraz z przedmieściami, czy zaledwie jego centralnej części, na co pan Whitaker odparł tylko:

– A kogo to obchodzi? To już w ogóle nie ma znaczenia. Podałem wam takie

dane wyłącznie dlatego, że mamy podręczniki sprzed trzydziestu lat.

Melanie nie dawała za wygraną, gdyż wiedziała, że Birmingham to drugie największe miasto Anglii zaraz po Londynie, i chciała się upewnić, czy wszystkie liczby się zgadzają.

– Ale wyniki spisu ludności z... – zaczęła.

Pan Whitaker przerwał jej w pół zdania:

– Chryste, Melanie, to nieważne. Historia starożytna! Tam już nic nie zostało. Nic a nic. Populacja Birmingham wynosi zero.

Jest więc możliwe, a wręcz całkiem prawdopodobne, że posiadane przez Melanie informacje należałoby częściowo zaktualizować.

Dzieci mają lekcje w poniedziałki, wtorki, środy, czwartki i piątki. W soboty siedzą zamknięte w swoich pokojach przy muzyce z głośników. Nikt do nich nie przychodzi, nawet Sierżant, a muzyka jest zbyt głośna, by rozmawiać. Dawno temu Melanie wpadła na pomysł języka, który zamiast słów składałby się z gestów i dzięki któremu dzieci mogłyby się ze sobą porozumiewać przez małe okienka z siatki. Stworzyła nawet taki język, nieźle się przy tym bawiąc, gdy jednak zapytała pannę Justineau, czy wolno jej nauczyć go pozostałych uczniów, ta głośno i ostro odmówiła. Następnie wymogła na Melanie obietnicę, że nie wspomni o tym żadnemu z nauczycieli, a zwłaszcza Sierżantowi.

– Już i tak popada w paranoję – dodała. – Jeśli się dowie, że rozmawiacie za jego plecami, zwariuje do reszty.

Tak więc Melanie nie zdołała nauczyć innych dzieci swojego języka migowego.

Soboty są długie, nudne i trudno je przetrwać. Melanie przepowiada sobie na głos zasłyszane w klasie historie albo wyśpiewuje matematyczne dowody, na przykład dowód na istnienie nieskończenie wielu liczb pierwszych, w takt płynącej z głośników melodii. Może to robić, ponieważ muzyka zagłusza jej głos. W przeciwnym razie wszedłby Sierżant i kazał jej przestać.

Melanie wie, że Sierżant jest w pobliżu również w ten dzień tygodnia. Wie o tym, odkąd pewnej soboty pojawił się na korytarzu, gdy Ronnie waliła w siatkę, aż jej dłoń zmieniła się w krwawą miazgę. Przeprowadził ze sobą dwóch swoich ludzi i wszyscy trzej, ubrani w wielkie kombinezony i z zasłoniętymi twarzami, weszli do celi dziewczynki. Po dobiegających stamtąd odgłosach Melanie domyśliła się, że próbują ją przypiąć do wózka. Ronnie najwyraźniej się szarpała i utrudniała im zadanie, bo słychać było, jak krzyczy: „Zostawcie mnie w spokoju! Zostawcie mnie w spokoju!”. Potem rozległo się łomotanie, jeden z ludzi Sierżanta wrzasnął: „Jezu Chryste, nie!...”, na co pozostali również zaczęli krzyczeć, któryś z nich rzucił: „Złap ją za rękę! Trzymaj!”, aż wreszcie wszystko ucichło.

Melanie nie potrafiła stwierdzić, co wydarzyło się później. Pomocnicy Sierżanta przeszli przez korytarz i zatrzasnęli kłapki nad siatkowymi okienkami,

żeby żadne z dzieci nie mogło wyrzeć na zewnątrz. Już do końca dnia ich nie otworzyli. Następnego poniedziałku Ronnie nie pojawiła się w klasie i najwyraźniej nikt nie wiedział, co się z nią stało. Melanie lubi sobie wyobrazać, że gdzieś na terenie bazy znajduje się inna klasa, że Ronnie właśnie tam trafiła i być może pewnego dnia, po kolejnym przetasowaniu, wróci. W rzeczywistości jednak wie – i czasem nie potrafi przestać o tym myśleć – że Sierżant zabrał Ronnie, by ją ukarać za nieposłuszeństwo, i że już nigdy nie pozwoli jej zobaczyć się z pozostałymi dziećmi.

Niedziele są podobne do sobót z wyjątkiem dwóch rzeczy: pory karmienia oraz kąpieli. Rano dzieci przypina się do wózków jak w zwykły dzień szkoły, tyle że prawą dłoń i przedramię pozostawia im się swobodne. Następnie wwozi się je do łaźni, czyli ostatniego pomieszczenia z prawej strony korytarza, tuż przed stalowymi drzwiami.

W pustej i wyłożonej białymi kaflami łaźni dzieci czekają, aż wszystkie znajdą się w środku. Potem ludzie Sierżanta stawiają na kolanach każdego z nich miskę, z której sterczy łyżka.

W misce kłębią się miliony drgających larw.

Dzieci jedzą.

W opowieściach, które czytają w klasie, mali bohaterowie jadają czasem inne rzeczy – ciastka i czekoladę, kielbaski z purée ziemniaczanym, chipsy, cukierki, makaron z sosem i klopsikami. Tutaj dzieci jedzą tylko larwy i tylko raz w tygodniu, ponieważ – jak wytłumaczyła kiedyś Melanie doktor Selkirk – ich organizmy znakomicie metabolizują białko. Nie dostają więc tych innych rzeczy ani nawet wody do picia. Larwy starczą im za wszystko.

Po karmieniu Sierżant i jego ludzie zbierają miski, a opuściwszy pomieszczenie, zamykają i uszczelniają drzwi. W łaźni jest teraz całkiem ciemno, ponieważ nie ma w niej lamp. Z rur w ścianach dobiega odgłos przypominający tłumiony śmiech i z sufitu tryskają chemikalia.

To ta sama substancja, którą pokryci są Sierżant i jego ludzie, w każdym razie ma tę samą woń, tyle że znacznie ostrzejszą. Na początku lekko piecze. Po chwili zaczyna piec na całego. Oczy Melanie puchną i czerwienieją, i dziewczynka niemal traci wzrok. Za to gdy jest po wszystkim, chemikalia prędko wyparowują z ubrań i skóry, tak więc po kolejnych trzydziestu minutach w nieruchomym, ciemnym pomieszczeniu nie pozostaje z nich nic poza wonią, która powoli się ulatnia albo może po prostu staje się łatwiejsza do zniesienia. Dzieci czekają w ciszy, aż otworzą się drzwi i wejdą ludzie Sierżanta. Tak właśnie wygląda ich kąpiel i między innymi z tego powodu niedziela to prawdopodobnie najgorszy dzień tygodnia.

Najlepszy dzień tygodnia to ten, w którym lekcje prowadzi panna Justineau. Nie jest to zawsze ten sam dzień i bywa, że wcale nie nadchodzi, ale ilekroć

Melanie wjeżdża do klasy i widzi ulubioną nauczycielkę, czuje przyływ czystego szczęścia, jakby serce miało ulecieć jej z piersi i wzbić się aż do nieba.

Z panną Justineau nikt nigdy się nie nudzi. Melanie na sam jej widok czuje dreszcz radości. Lubi zgadywać, jak panna Justineau będzie ubrana i czy włosy będzie miała spięte, czy rozpuszczone. Zazwyczaj nosi je rozpuszczone, a ponieważ są długie, czarne i mocno falowane, przypominają wodospad. Czasem jednak panna Justineau upina włosy w bardzo ciasny kok z tyłu głowy i to też wygląda dobrze, bo nadaje jej twarzy jeszcze więcej wyrazu, przez co cała jej postać przypomina posąg podtrzymujący gzyms świątyni. Kariatydę. Oczywiście twarz panny Justineau i bez tego jest wyrazista, a to dzięki cudownej, przepięknej cerze. Ciemnobrązowej niczym pnie drzew na obrazku przedstawiającym las tropikalny, których nasiona kiełkują tylko z popiołów po pożarze, albo niczym kawa, którą panna Justineau nalewa sobie z termosu do kubka podczas przerwy. Tyle że jest to odcień jeszcze głębszy i ciemniejszy, mieszanka wielu różnych barw, trudno go więc z czymkolwiek porównać. Można jedynie stwierdzić, że skóra panny Justineau jest tak ciemna, jak skóra Melanie jest jasna.

Czasem panna Justineau ma pod szyją apaszkę lub narzuca chustę na ramiona. W te dni przychodzi Melanie na myśl piratkę albo jedną z mieszkańek miasteczka Hameln, do którego przybył legendarny szczurołap. Tyle że na ilustracji w książce panny Justineau kobiety z Hameln były w większości stare i zgarbione, panna Justineau zaś jest młoda i ani trochę się nie garbi, a do tego jest bardzo wysoka i bardzo piękna. W związku z czym przypomina jednak raczej piratkę, choć brak jej wysokich butów i szpady.

Te dni, gdy się pojawia, są pełne niezwykłości. Czasem czyta dzieciom na głos wiersze, czasem gra na flecie albo pokazuje im książki i opowiada o postaciach z obrazków. Z jednej z takich książek Melanie dowiedziała się o Pandorze i Epimeteuszu oraz puszcze zawierającej całe zło świata. Ilustracja, którą pokazała im panna Justineau, przedstawiała kobietę otwierającą puszkę, z której wylatuje całe mnóstwo odrażających straszyleł.

– Kto to? – zapytała Anne.

– Pandora – odparła panna Justineau. – Absolutnie niezwykła postać. Błogosławiona przez bogów, obsypana przez nich wszelkimi darami. Jej imię oznacza: „ta, która dostała wszystko”. Obdarzona bystrością umysłu, odwagą, urodą i dowcipem, doprawdy idealna, miała tylko jedną drobną wadę, a mianowicie taką, że była niebywale wręcz ciekawska.

Dzieci słuchały oczarowane, a i panna Justineau wciągnęła się w opowiadaną przez siebie historię, która rozpoczęła się od wojny bogów z tytanami, a skończyła na tym, że Pandora otworzyła swoją puszkę i wypuściła z niej te wszystkie okropności.

Melanie stwierdziła, że jej zdaniem to nie w porządku, by obarczać Pandorę

całą winą, ponieważ Zeus zastawił na śmiertelników pułapkę i stworzył Pandorę taką a nie inną właśnie po to, żeby pułapka zadziałała.

– Mądrze prawisz, siostró – rzuciła panna Justineau. – Panowie spijają śmietankę, kobiety dostają po głowie. – A potem się roześmiała.

Melanie udało się rozbawić pannę Justineau! To był naprawdę dobry dzień, nawet jeśli nie miała pewności, co takiego śmiesznego powiedziała.

Jedyny kłopot polega na tym, że w te niezwykle dni czas mija zbyt szybko. Każda sekunda jest dla Melanie tak cenna, że dziewczynka boi się choćby mrugnąć; siedzi więc z szeroko otwartymi oczami i chłonie wszystko, co mówi panna Justineau, zapamiętuje każde słowo, by później, w celi, odtwarzać je sobie w głowie. I gdy tylko nadarzy się okazja, zadaje nauczycielce pytania, ponieważ tym, co najbardziej lubi słyszeć i zapamiętywać, jest głos panny Justineau wypowiadający jej imię w sposób, który sprawia, że czuje się najważniejsza na świecie.

Pewnego dnia podczas lekcji panny Justineau do klasy wchodzi Sierżant. Staje za plecami dzieci, więc Melanie z początku nie zdaje sobie sprawy z jego obecności. Dopiero gdy panna Justineau mówi: „... tym razem Puchatek i Prosiaczek ujrzeni, że na śniegu odbiły się ślady aż trzech par łap...”, rozlega się jego głos:

– Co to ma być, do cholery?

Panna Justineau unosi wzrok znad książki.

– Czytam dzieciom bajkę.

– Widzę – odpowiada na to głos Sierżanta. – Sądziłem, że chodzi o sprawdzanie ich inteligencji, a nie o to, by urządzać im teatrzyk.

Panna Justineau tężeje. Ktoś, kto nie zna jej tak dobrze jak Melanie i nie obserwuje równie uważnie, prawdopodobnie nawet by tego nie zauważył. Napięcie znika bardzo szybko i gdy nauczycielka się odzywa, jej głos brzmi tak jak zawsze – nie ma w nim cienia gniewu.

– To właśnie robimy – mówi. – Chcę się przekonać, jak dzieci przetwarzają informacje. Ale żeby były wyniki, potrzeba wkładu.

– Wkładu? – powtarza Sierżant. – Ma pani na myśli fakty?

– Nie. Nie tylko fakty. Idee.

– Oczywiście *Kubuś Puchatek* jest wręcz napchany ideami.

Sierżant używa sarkazmu. Melanie wie, jak działa sarkazm; mówi się przeciwieństwo tego, co naprawdę ma się na myśli.

– Serio, traci pani czas. Jeśli chce im pani opowiadać bajki, polecam historię Kuby Rozpruwacza albo Charlesa Mansona.

– To tylko dzieci – zauważa panna Justineau.

– Nic podobnego.

– Z psychologicznego punktu widzenia, owszem. Są dziećmi.

– W takim razie mam w dupie psychologię – odpowiada gniewnie Sierżant. – Właśnie dlatego nie powinna im pani czytać *Kubusia Puchatka*. Jeszcze chwila i zacznie pani o nich myśleć jak o prawdziwych dzieciakach. A następnie popełni pani błąd. Na przykład odepnie któreś od wózka, bo będzie się pani zdawało, że trzeba je przytulić albo coś podobnego. Nie muszę mówić, czym to grozi.

Sierżant przechodzi na przód klasy, a potem robi coś okropnego. Podwija rękaw aż do łokcia i podtyka nagie przedramię pod nos Kenny’ego, zaledwie dwa centymetry od jego twarzy. Z początku nic się nie dzieje, ale po chwili Sierżant spluwa i pociera palcami skórę przedramienia, jakby chciał ją z czegoś oczyścić.

– Nie – mówi panna Justineau. – Proszę mu tego nie robić.

Ale Sierżant nie reaguje, nawet na nią nie patrzy.

Melanie siedzi dwie ławki za Kennym i dwa rzędy od niego, więc wszystko

widzi. Kenny sztywnieje, po czym jego usta otwierają się szeroko i chłopiec zaczyna kłapać zębami, bezskutecznie usiłując dosięgnąć ręki Sierżanta. Z kącika jego ust kapie ślina, ale nie ma jej wiele, bo przecież dzieci nigdy nikt nie poi, więc ślina jest gęsta, na wpół stwardniała i zwisa, kołysząc się, z brody Kenny'ego, który prycha i kłapie zębami w stronę ręki Sierżanta, jęcząc przy tym i kwiląc.

Jest źle, a robi się jeszcze gorzej – ponieważ dzieciaki siedzące po obu stronach Kenny'ego zaczynają go naśladować, zupełnie jakby się od niego zaraziły, a dzieci siedzące tuż za nim podrygują, jakby ktoś bardzo mocno szturchał je w brzuchy.

– Widzi pani? – mówi Sierżant.

Spogląda pannie Justineau w oczy, żeby się upewnić, że do niej dotarło, po czym mruga niezwykle zaskoczony i chyba już żałuje, że na nią popatrzył. Z jej oczu łatwo można wyczytać, jak ogromną ma ochotę dać mu w twarz. Sierżant opuszcza rękę i wzrusza ramionami, jak gdyby to wszystko i tak nie miało dla niego większego znaczenia.

– Nie każdy, kto wygląda jak człowiek, jest człowiekiem – stwierdza.

– Nie każdy – przytakuje panna Justineau. – Całkowicie się z panem zgadzam.

Głowa Kenny'ego obwisa na bok, na tyle, na ile pozwala pas wokół szyi, a z gardła chłopca dobiega ciche gulgotanie.

– Już dobrze, Kenny – pociesza go panna Justineau. – Zaraz ci przejdzie. Wróćmy do naszej historii. Chcesz? Chcesz usłyszeć, co się przydarzyło Puchatkowi i Prosiaczekowi? Sierżancie Parks, może nas pan zostawić? Proszę.

Sierżant spogląda na nią i gwałtownie kręci głową.

– Nie wolno się pani do nich przywiązywać – mówi. – Wie pani, po co tutaj są. Cholera, pani to wie lepiej niż...

Ale panna Justineau znów zaczyna czytać, jakby w ogóle go nie słyszała, jakby go tam w ogóle nie było, i w końcu Sierżant wychodzi. To znaczy możliwe, że wciąż stoi z tyłu klasy, ale Melanie wydaje się, że jednak nie, ponieważ po kilku chwilach panna Justineau wstaje i zamyka drzwi. Zdaniem Melanie to oznacza, że Sierżant znajduje się po ich drugiej stronie.

Tej nocy Melanie nie może zasnąć. Wciąż myśli o tym, że zdaniem Sierżanta dzieci nie są prawdziwymi dziećmi, a także o tym, jak panna Justineau na niego spojrzała, gdy tak paskudnie się zachował wobec Kenny'ego.

I jeszcze o tym, jak Kenny warczał i kłapał zębami, zupełnie jak pies. Melanie zastanawia się, dlaczego tak się stało, i dochodzi do wniosku, że chyba wie, bo kiedy Sierżant przetarł śliną ramię i podsunął je Kenny'emu pod nos, wydało jej się, że pod gorzką chemiczną wonią jego skóra zapachniała zupełnie inaczej. Ta woń, choć z odległości niemal niewyczuwalna, sprawiła, że Melanie zakręciło się w głowie, a mięśnie jej żuchwy same zaczęły pracować. Melanie nie

potrafi nawet określić, co takiego właściwie poczuła, ponieważ nigdy wcześniej nie doświadczyła niczego podobnego ani o niczym podobnym nie słyszała podczas lekcji, ma jednak wrażenie, jakby to była jakaś nieznaną potrzebą – tak pilną, że jej ciało próbowało przejąć kontrolę nad umysłem i zaspokoić ją bez udziału woli.

Ale obok tych przerażających myśli pojawia się jeszcze jedna: Sierżant ma nazwisko. Tak samo jak nauczyciele. Tak samo jak dzieci mają imiona. Dotąd Melanie myślała o nim raczej jak o kimś w rodzaju boga lub tytana; a teraz wie, że jest jak wszyscy inni, nawet jeśli wzbudza grozę. Nie jest tylko Sierżantem, nazywa się sierżant Parks. I to ogrom owej zmiany bardziej niż cokolwiek innego sprawia, że Melanie nie jest w stanie zmrużyć oka, aż w końcu nadchodzi ranek, otwierają się stalowe drzwi i na blok wchodzi nauczyciele.

W pewien sposób od tamtego dnia zmieniły się również uczucia Melanie do panny Justineau. A właściwie to wcale się nie zmieniły, tylko stały się przynajmniej sto razy mocniejsze. Nigdzie na świecie nie ma nikogo lepszego, miłszego ani cudowniejszego od panny Justineau; Melanie z całego serca pragnęłaby być bogiem albo tytanem, albo trojańskim wojownikiem i walczyć o pannę Justineau, by ją ocalić przed Niebezpiecznymi Zwierzętami. Wie, że Niebezpieczne Zwierzęta to słonie i łasice z *Kubusia Puchatka*, a nie potwory z greckich mitów, ale podoba jej się brzmienie tych słów, podobnie jak podoba jej się idea ocalenia panny Justineau, i to na tyle, że staje się to ulubionym tematem jej rozważań. Myśli o tym zawsze wtedy, gdy nie myśli o niczym innym. Dzięki temu nawet niedziele stają się możliwe do zniesienia.

Pewnego dnia, kiedy panna Mailer, oswobodziwszy prawe przedramię każdego z dzieci, przytwierdza do ich wózków składane pulpity i każe im opisać jakąś historię, Melanie pisze właśnie o tym. Oczywiście pannę Mailer interesuje wyłącznie zasób słownictwa, nie obchodzi jej treść. Jest to ewidentne, ponieważ rozdaje dzieciom listę słów i informuje, że każde z nich, użyte prawidłowo, zaowocuje dodatkowym punktem podczas oceny.

Melanie ignoruje listę i daje się ponieść wyobraźni.

Gdy panna Mailer pyta, kto chce przeczytać swoje wypracowanie na głos, to Melanie jako pierwsza macha ręką – o ile to możliwe w wypadku ręki, która jest unieruchomiona od łokcia w górę – i woła:

– Ja, panno Mailer! Ja się zgłaszam!

No i udaje jej się przeczytać swoją opowieść. Brzmi ona następująco:

Pewnego razu żyła sobie bardzo piękna pani – najpiękniejsza, najmiłsza, najmądrzejsza i najbardziej zachwycająca kobieta na świecie. Była wysoka i wcale się nie garbiła, skórę miała tak ciemną, że wyglądała jak własny cień, a jej długie czarne włosy tak mocno się kręciły, że każdy, kto na nią spojrzał, czuł zawroty głowy. Żyła ona w starożytnej Grecji, gdzie bogowie zwyciężyli nad tytanami.

Pewnego dnia piękna pani szła sobie przez las i zaatakował ją potwór. Ten

potwór był parszywym abortem, który chciał ją zabić i zjeść. Kobieta, tak niezwykle odważna, walczyła i walczyła, ale potwór był olbrzymi i dziki i choćby nie wiem ile ran mu zadała, on ciągle wstawał.

Kobieta bardzo się bała. Przygarnęła ten strach do swojej śmiertelnej duszy.

Potwór złamał jej miecz, potem włócznię i już się szykował, by ją pożreć.

Ale wtedy pojawiła się mała dziewczynka. Wyjątkowa dziewczynka, stworzona przez wszystkich bogów, jak Pandora. Była też jak Achilles, ponieważ gdy się urodziła, jej matka (właśnie ta piękna, zachwycająca pani) zanurzała ją w rzece Styks, dzięki czemu nie można było jej zranić, z wyjątkiem jednego małego miejsca (ale nie pięty, bo to by było zbyt oczywiste; zachowała to miejsce w tajemnicy, żeby potwór nie wiedział, gdzie ono jest).

Dziewczynka stanęła do walki i zabiła potwora, obcięła mu głowę, rękę i nogi, a potem wszystko inne. A wtedy piękna pani przygarnęła ją do swojej duszy i rzekła: „Moja wyjątkowa dziewczynko. Już zawsze będziemy razem i nigdy cię nie opuszczę”.

I żyły długo i szczęśliwie w dostatku i spokoju.

Ostatnie zdanie odgapiła z baśni braci Grimm, którą czytała im kiedyś panna Justineau, kilka innych zapożyczyła z książki z greckimi mitami zatytułowanej *Opowieści muz* albo po prostu wykorzystała różne fajowe rzeczy zasłyszane w rozmowach dorosłych. Ale historię wymyśliła przecież sama, ciesząc się więc pochwałą pozostałych dzieci. W końcu nawet Kenny przyznaje, że podobał mu się ten kawałek, kiedy bohaterka ćwiartowała potwora mieczem.

Również panna Mailer wygląda na zadowoloną. Kiedy Melanie czytała swoją opowieść, przez cały czas notowała coś w zeszycie. Poza tym nagrywała ją na małym podręcznym urządzeniu. Melanie ma nadzieję, że panna Mailer puści nagranie pannie Justineau.

– To było bardzo ciekawe, Melanie – mówi panna Mailer.

Odkłada dyktafon na składany pulpit, po czym zasypuje ją pytaniami. Jak wyglądał potwór? Co dziewczynka o nim sądziła, kiedy żył? A kiedy zginął? Co czuła do kobiety? I te pe, i te de. Fajnie, że tak wypytuje, ponieważ dzięki temu Melanie ma wrażenie, że bohaterowie jej opowieści są prawdziwi i gdzieś tam sobie żyją.

Że naprawdę ocaliła pannę Justineau przed potworem, a panna Justineau naprawdę ją przytuliła.

I to jest lepsze niż milion greckich mitów.

Pewnego dnia panna Justineau rozmawia z dziećmi o śmierci. Wzięło się to stąd, że przeczytała im wiersz, w którym zginęła większość żołnierzy Lekkiej Brygady. Dzieci chcą wiedzieć, co to znaczy umrzeć i jak to jest. Panna Justineau

tłumaczy, że to jakby zgasły wszystkie światła, jakby zapadła noc i wszystko ucichło – tyle że na zawsze. Poranek nie nadejdzie, a światło nigdy nie wróci.

– Straszne – mówi Lizzie drżącym głosem.

Melanie też tak myśli; wyobraża sobie, że siedzi w niedzielę w łaźni, w powietrzu unosi się chemiczna woń, a potem nawet ta woń znika i nie zostaje już nic, i tak przez całą wieczność.

Panna Justineau widzi, że przestraszyła dzieci, i próbuje je uspokoić.

– Ale przecież śmierć może wyglądać zupełnie inaczej – tłumaczy. – Nie wie tego żaden człowiek, bo ten, kto umiera, nie może wrócić, żeby o tym opowiedzieć. Zresztą dla was to by znaczyło coś innego niż dla pozostałych, w końcu jesteście...

Cisza. Jakby słowa, które chciała wypowiedzieć, stanęły jej w gardle.

– Kim jesteśmy? – pyta Melanie.

Panna Justineau odzywa się dopiero po kilku chwilach. Melanie ma wrażenie, że przez ten czas zastanawiała się, jak sprawić, żeby nie poczuli się jeszcze gorzej.

– Jesteście dziećmi. Nie potraficie sobie wyobrazić, jak wygląda śmierć, ponieważ dzieciom zawsze się wydaje, że wszystko trwa wiecznie.

Melanie jest niemal całkowicie pewna, że panna Justineau chciała powiedzieć coś innego. Mimo to jej słowa brzmią intrygująco. Dzieci rozważają je w milczeniu. W końcu Melanie uznaje, że nauczycielka powiedziała prawdę. Nie pamięta, co się działo, zanim trafiła do bazy, i nie potrafi sobie wyobrazić, że ludzie mogliby żyć inaczej. Jest jednak w tym wszystkim coś, co nie daje jej spokoju.

– Czyimi my jesteśmy dziećmi, panno Justineau?

W większości znanych jej opowieści dzieci mają matkę i ojca. Ifigenia miała Klitajmestrę i Agamemnona, Helena – Ledę i Zeusa. Czasem, choć nie zawsze, dzieci mają także nauczycieli, nigdy natomiast nie mieszkają w sierśniami. A więc to pytanie leży u samych podstaw świata i Melanie zadaje je nie bez obaw.

Nauczycielka po raz kolejny długo się zastanawia, aż Melanie nabiera pewności, że niczego się nie dowie. Ale wtedy panna Justineau mówi:

– Twoja mama nie żyje. Umarła, kiedy byłaś bardzo mała. Twój tata prawdopodobnie również zmarł, choć co do tego nie ma pewności. Dlatego teraz opiekuje się tobą wojsko.

– Czy to dotyczy tylko Melanie? – pyta John. – A może nas wszystkich?

Panna Justineau powoli kiwa głową.

– Owszem, to dotyczy was wszystkich.

– Mieszkamy w sierocińcu – zgaduje Anne. (Któregoś dnia panna Justineau czytała im *Olivera Twista*).

– Nie. W bazie wojskowej.

– Czy dzieci, których rodzice zmarli, zawsze trafiają do baz wojskowych? –

To Steven.

– Czasami.

Melanie wyteęza umysł, usiłując poskładać sobie w głowie te wszystkie informacje niczym elementy łamigłówki.

– Ile miałam lat, kiedy umarła moja mama? – pyta. Z pewnością była bardzo, bardzo mała, skoro nic nie pamięta.

– Trudno to wyjaśnić – mówi panna Justineau. Wyraźnie widać, że wcale nie ma ochoty na ten temat rozmawiać.

– Byłam niemowlęciem?

– Nie do końca. Ale prawie. Byłaś bardzo mała.

– Czy to moja matka oddała mnie wojsku?

Znów cisza.

– Nie – odzywa się w końcu panna Justineau. – Wojsko samo sobie ciebie wzięło.

Te słowa, wypowiedziane szybko, niskim, przyciszonym głosem, brzmią odrobinę brutalnie. Potem panna Justineau zmienia temat, co dzieci przyjmują z zadowoleniem, ponieważ w tej chwili nikt już nie ma szczególnej ochoty na rozmowy o śmierci.

Zajmują się więc układem okresowym, co jest łatwe i przyjemne. Poczynając od Milesa, który siedzi w pierwszym rzędzie z boku, każde z dzieci rzuca nazwę jednego pierwiastka. Najpierw w kolejności numerycznej. Później od końca. Jeszcze później panna Justineau wykrzykuje na przykład: „na literę N!”, albo: „tylko aktynydy!”.

Nikt nie wypada z gry, póki wyzwania nie robią się naprawdę trudne. „Nie może być następny z grupy ani okresu, a nazwa musi zawierać litery z twojego imienia!” Zoe narzeka, że to niesprawiedliwe wobec osób o krótkich imionach, co jest oczywiście prawdą, a mimo to ma do wyboru złoto, praeodym, cez, magnez i krzem, więc idzie jej całkiem nieźle.

Gdy zabawa kończy się wygraną Natty (podała tytan), wszyscy pękają ze śmiechu i chyba zdążyli już zapomnieć o ponurym temacie. To oczywiście tylko złudzenie. Melanie zna swoich kolegów i koleżanki na tyle dobrze, by mieć pewność, że tak samo jak ona wciąż na nowo powracają myślami do słów panny Justineau – potrzęsają nimi niespokojnie, żeby sprawdzić, czy ze środka wypadnie coś, co pomoże im zrozumieć. Ponieważ na lekcjach opowiadano im o wielu różnych rzeczach, ale nigdy o nich samych.

Melanie przychodzi do głowy pewien wyjątek od zasady, która głosi, że każde dziecko ma matkę i ojca – Pandora nie miała ani jednego, ani drugiego, została bowiem ulepiona przez Zeusa z kupki brejowatej gliny. Melanie sądzi, że to w pewnym sensie lepsze niż posiadanie rodziców, których nigdy się nie znało. Odtąd duch ich nieobecności unosi się nad nią nieustannie, wprawiając ją

w konsternację.

Jest jeszcze jedna rzecz, której Melanie koniecznie chce się dowiedzieć, nawet jeśli znów miałyby zasmucić pannę Justineau. Pod koniec lekcji czeka, aż nauczycielka znajdzie się blisko niej, i pyta niemal niedosłyszalnym szeptem:

– Proszę pani, co się stanie, kiedy dorośniemy? Wojsko dalej będzie nas tu trzymać czy wrócimy do domu, do Beacon? I czy nauczyciele pojedą z nami?

Nauczyciele! Akurat. Jakby Melanie dbała o to, czy jeszcze kiedyś zobaczy Pana Bełkotka Whitakera. Albo nudną doktor Selkirk, która wciąż wlepia wzrok w podłogę, jak gdyby bała się na nich spojrzeć. „Mam na myśli panią, panno Justineau, panią, panią, panią!” Melanie chciałaby powiedzieć to na głos, ale się boi, że wtedy życzenie się nie spełni.

Melanie wie z książek, że dzieci nie spędzają całego życia w szkole. Wie też, że po jej skończeniu nie mieszkają ze swoimi nauczycielami. I choć nie jest pewna, co to właściwie oznacza i jak wygląda życie poza szkołą, zdaje sobie sprawę, że ten dzień kiedyś nastąpi i że rozpocznie się wówczas jakiś nowy etap.

Jest więc przygotowana na to, że panna Justineau powie: nie. Postanowiła twardo, że w takim wypadku nie da po sobie niczego poznać. Po prostu chce usłyszeć prawdę, po to by móc się przygotować na najgorsze – rozstanie.

Ale panna Justineau w ogóle nic nie mówi. Chyba że liczyć krótki, gwałtowny ruch dłoni. Oslania nią twarz, zupełnie jakby Melanie czymś w nią rzuciła (Melanie przynigdy by tego nie zrobiła, choćby nie wiadomo co!).

Rozlega się potrójny dźwięk syreny obwieszczającej koniec lekcji. Panna Justineau opuszcza głowę, jakby próbowała jakoś się pozbierać. To trochę dziwne, ale dopiero w tej chwili Melanie zauważa, że panna Justineau zawsze ma na sobie coś czerwonego. Koszulkę, opaskę, spodnie albo apaszkę. Wszyscy pozostali nauczyciele, a także doktor Caldwell i doktor Selkirk chodzą zawsze w bieli, zaś ubrania sierżanta i jego ludzi są zielone, brązowe lub zielonobrązowe. Panna Justineau jest czerwona.

Jak krew.

Jakby nosiła w sobie jakąś ranę, która nie chce się zagoić.

„Co za bzdura”, myśli Melanie, przecież panna Justineau zawsze jest wesoła, roześmiana, a jej głos brzmi jak piosenka. Gdyby coś ją bolało, nie byłaby taka pogodna. Tylko że w tej chwili wcale się nie uśmiecha. Ze skrzywioną twarzą patrzy w ziemię, jakby była zła, smutna, chora, jakby miało z niej wyjść coś niedobrego, nieważne – łzy, słowa, wymioty czy wszystko naraz.

– Ja zostanę – rzuca pośpiesznie Melanie. Tak bardzo pragnie, żeby panna Justineau znów poczuła się dobrze. – Jeśli pani musi tu być, zostanę. Nie chcę wracać do Beacon bez pani.

Panna Justineau podnosi głowę. Spogląda na Melanie błyszczącymi oczami. Jej usta przypominają drgającą linię na ekranie urządzenia doktor Caldwell.

– Przepraszam – mówi szybko Melanie. – Panno Justineau, proszę się nie smucić. Może pani zrobić, na co będzie miała ochotę, to przecież jasne. Może pani wyjechać albo zostać, albo...

Nagle milknie. Gwałtownie, jakby język zawiązał jej się w supełek, ponieważ wydarza się coś całkowicie nieoczekiwanego i najcudowniejszego zachwyającego.

Panna Justineau wyciąga rękę i głaszcze Melanie po włosach.

Głaszcze ją po włosach tak, jakby to była najnormalniejsza i najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Melanie widzi roztańczone gwiazdy, nie może złapać oddechu, nie jest w stanie się odezwać, nie jest nawet w stanie o czymkolwiek pomyśleć, ponieważ – wyłączając ludzi sierżanta, którym się to zdarzyło może dwa czy trzy razy i tylko niechcący – nikt nigdy wcześniej jej nie dotknął. A teraz dotyka ją sama panna Justineau, i to w najmiłszy sposób, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Pozostałe dzieci, te, które widzą, co się dzieje, gapią się na nią z otwartymi ustami. W ciszy, która zapadła, słysząc, jak panna Justineau nabiera powietrza. Jej oddech jest odrobinę drżący, zupełnie jakby trzęsła się z zimna.

– O Boże – szepcze.

– Koniec lekcji – oznajmia sierżant.

Z powodu unieruchomionej szyi Melanie nie może się obrócić i na niego spojrzeć. Chyba w ogóle nikt nie zauważył, jak sierżant wszedł do sali. Wszyscy wydają się równie zaskoczeni i przestraszeni jak ona. Nawet panna Justineau wygląda na przestraszoną i to jest kolejna rzecz (pierwszą było poznanie nazwiska sierżanta), która nagle zmienia układ wszechświata.

Sierżant podchodzi blisko i staje tuż za plecami panny Justineau. Panna Justineau zdążyła już gwałtownie cofnąć rękę. Zrobiła to, gdy tylko usłyszała jego głos. Znów opuszcza głowę i Melanie nie widzi teraz wyrazu jej twarzy.

– Oni wracają do cel – mówi sierżant.

– Tak jest – przytakuje cichutko panna Justineau.

– A pani będzie się tłumaczyć.

– Tak jest.

– Możliwe, że straci pani pracę. Ponieważ złamała pani właśnie wszelkie istniejące reguły.

Panna Justineau podnosi wzrok. Jej oczy są mokre od łez.

– Pierdol się, Eddie – mówi równie cicho i spokojnie jak każdego ranka, gdy wita się z dziećmi.

Odchodzi pospiesznie i Melanie traci ją z oczu. Dziewczynka ma ochotę zawołać za nią, w jakiś sposób skłonić do tego, by została. „Kocham panią, panno Justineau. Będę dla pani bogiem i tytanem, ocalę panią”. Ale oczywiście nie może nic powiedzieć, zresztą po chwili zjawiają się ludzie sierżanta i zaczynają wywozić

dzieci z sali, jedno po drugim.

Czemu? Czemu to zrobiła?

Helen Justineau zadaje sobie to pytanie wciąż na nowo, nie potrafi jednak znaleźć odpowiedzi. Stoi nieszczęśliwa w swoim luksusowym pokoju, dłuższym i szerszym o trzydzieści centymetrów od kwater żołnierzy i wyposażonym dodatkowo w chemiczną toaletę. Opiera się o wiszące na ścianie lustro, celowo unikając własnego chorobliwie oskarżycielskiego spojrzenia.

Choć szorowała ręce, aż skóra zrobiła się czerwona, wciąż jej się wydaje, że czuje na nich dotyk zimnego ciała. Tak zimnego, jakby nigdy nie płynęła w nim krew. Jak coś, co wyłowiono z samego dna morza.

Czemu to zrobiła? Co spowodował ten prastary gest?

Przecież tylko odgrywa rolę dobrej policjantki – po to, by obserwować i mierzyć emocjonalne reakcje dzieci, które opisuje później w swoich oględnych raportach dla Caroline Caldwell.

Reakcja emocjonalna. Tego właśnie doświadcza.

Własnoręcznie wykopała pod sobą głęboki wilczy dół, po czym starannie wyrównała krawędzie i otrzepała dłonie. A potem prosto w niego weszła.

Choć kiedy się nad tym zastanowić, dół wykopał ktoś inny. Obiekt numer jeden. Melanie. To właśnie jej desperackie, nieskrywane bałwochwalcze uwielbienie sprawiło, że Justineau straciła poczucie równowagi. Te wielkie ufne oczy w bladej jak ściana twarzy. Śmierć i dziewczyna w zgrabnym pakiecie.

Nie zdążyła na czas wyłączyć współczucia. Przypomnieć sobie, tak jak każdego ranka, że gdy program dobiegnie końca, Beacon wyśle po nią taki sam helikopter jak ten, którym tu przyleciała. Wydostanie się stąd szybko i sprawnie, zniknie razem z całym dobytkiem, nie pozostawiając po sobie śladu. Egzystencja, którą tu wiecie, to nie życie, lecz zestaw czynności, powtarzanych codziennie bez udziału woli. O ile nie pozwoli, by istotnie na nią wpłynął, opuści to miejsce równie czysta jak w dniu, gdy tu przybyła.

Miała w każdym razie taką szansę. Prawdopodobnie ją zaprzepaściła.

Co jakiś czas bywa tak, że dzień nie rozpoczyna się we właściwy sposób. W taki dzień kolejność zdarzeń zostaje zaburzona, a wtedy Melanie czuje się jak bezsilny podskakujący w powietrzu balonik na sznurku. Tydzień po rozmowie z panną Justineau, podczas której wyjawiała ona dzieciom, że ich matki nie żyją, następuje właśnie taki dzień.

Jest piątek. Rano na korytarzu zjawiają się tylko sierżant i jego ludzie. Nie towarzyszą im nauczyciele, a żołnierze nie otwierają drzwi cel. Melanie wie, co się za chwilę wydarzy, a mimo to klekot obcasów doktor Caldwell na betonowej posadzce wywołuje niepewność. Po kilku chwilach słyszy pstrykanie długopisu, którym doktor Caldwell czasem się bawi, nawet jeśli wcale nie zamierza go użyć.

Melanie nie wstaje z łóżka. Po prostu siedzi i czeka. Nie przepada za doktor Caldwell. Trochę dlatego, że każde jej pojawienie się zaburza ustalony rytm dnia, ale przede wszystkim dlatego, że nie wie, jaka właściwie jest jej rola. Nauczyciele uczą, ludzie sierżanta wożą dzieci z celi do klasy i z klasy do celi, a w niedziele karmią je i wstawiają do łaźni. Doktor Caldwell natomiast pojawia się ni stąd, ni zowąd, o nieprzewidywalnych porach (Melanie próbowała kiedyś odnaleźć w tym jakąś zasadę, bezskutecznie), i nagle wszyscy przerywają to, co robili, albo nie zaczynają tego, co mieli zrobić, i trwa to tak długo, aż doktor Caldwell sobie pójdzie.

Stukot obcasów i pstrykanie długopisu robią się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż nagle ustają.

– Dzień dobry, pani doktor – z korytarza dobiega głos sierżanta. – Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

– Sierżancie – odpowiada doktor Caldwell. Jej głos jest niemal tak ciepły i delikatny jak głos panny Justineau i na krótką chwilę Melanie przychodzi do głowy, że być może nie powinna traktować jej z taką niechęcią. Niewykluczone, że przy bliższym poznaniu doktor Caldwell okazałaby się naprawdę miłą. – Rozpaczynam nową serię testów i potrzebuję po jednym z każdego rodzaju.

– Z każdego rodzaju? – powtarza sierżant. – Ma pani na myśli chłopca i dziewczynkę?

– Kogo i kogo? – Doktor Caldwell wybucha melodyjnym śmiechem. – Ależ nie, skądże znowu. Płeć nie gra roli. Tyle już wiemy. Chodzi mi o okazy z górnej i dolnej części spektrum.

– Niech pani po prostu powie, o kogo chodzi, a ja ich pani dostarczę.

Rozlega się szelest papierów.

– Z dołu niech będzie szesnastka – mówi doktor Caldwell. Znow słychać stukot obcasów, wciąż o tym samym natężeniu, a więc jego właścicielka stoi w miejscu. Pstrykanie długopisu.

– Ta tutaj może być? – pyta sierżant. Jego głos dobiega z bardzo bliska.

Melanie podnosi wzrok. Doktor Caldwell spogląda na nią przez siatkę w drzwiach. Ich oczy spotykają się na dłuższą chwilę, żadna z nich nie mruga.

– Nasz mały geniusz? – mówi doktor Caldwell. – Sierzancie, niech pan się puknie w głowę. Nie mam zamiaru marnować jedynki do zwykłych badań porównawczych. Kiedy przyjdę po Melanie, zagrają trąby i rozlegną się anielskie śpiewy.

Sierżant mamrocze pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa, na co doktor Caldwell wybucha śmiechem.

– Jestem pewna, że przynajmniej trąby dałoby się załatwić. – Odwraca się. Klekot obcasów cichnie w oddali.

– Dwie kaczuszki! – woła. – Dwadzieścia dwa.

Melanie nie zna numerów cel wszystkich dzieci, większość jednak zapadła jej w pamięć, gdyż zdarza się, że któreś z nauczycieli zamiast po imieniu zwraca się do nich właśnie za pomocą numeru. Szesnaście to Marcia, dwadzieścia dwa to Liam. Melanie zastanawia się, do czego są potrzebni doktor Caldwell i co od niej usłyszą.

Podchodzi do okienka i patrzy, jak ludzie sierżanta wchodzą do celi numer szesnaście i do celi numer dwadzieścia dwa. Wywożą z nich Marcie i Liama i popychają wózki korytarzem – nie w stronę klasy, lecz stalowych drzwi.

Melanie spogląda za nimi tak długo, jak się da, ale w końcu traci ich z oczu. Musieli chyba wyjechać przez stalowe drzwi, skoro nic innego tam nie ma? A więc Marcia i Liam zobaczą na własne oczy, co znajduje się za drzwiami!

Melanie ma nadzieję, że ten dzień okaże się dniem panny Justineau, która pozwala dzieciom rozmawiać między sobą nie tylko o lekcjach, w związku z czym kiedy Liam i Marcia wrócą, Melanie będzie mogła ich zapytać, co jest po drugiej stronie stalowych drzwi.

Oczywiście lekcje z panną Justineau marzą jej się również z wielu innych powodów.

Marzenie się spełnia. Podczas dzisiejszych zajęć dzieci układają piosenki o skomplikowanym metrum i rymach, a panna Justineau wygrywa je potem na flecie. Świetnie się przy tym bawią, ale mijają kolejne godziny, a Liam i Marcia nie wracają. Melanie nie może więc zadać im żadnych pytań i gdy tego wieczoru wraca do celi, ciekawość pali ją jeszcze mocniej.

Potem zaczyna się weekend, czyli czas pozbawiony lekcji i rozmów. Przez całą sobotę Melanie nastawia uszu, ale stalowe drzwi pozostają zamknięte.

W niedzielę Liam i Marcia nie pojawiają się w łaźni.

W poniedziałek lekcje prowadzi panna Mailer, we wtorek zaś pan Whitaker, a potem Melanie nie ma już odwagi o nic pytać, ponieważ w jej głowie, niczym pęknięcie w ścianie, pojawia się podejrzenie, że być może Liam i Marcia zniknęli

na zawsze, tak samo jak Ronnie po tamtej okropnej awanturze. Póki będą wszyscy udawać, że nic się nie wydarzyło, istnieje nadzieja, że Liam i Marcia pojawią się pewnego dnia i znów będzie tak jak kiedyś. Jeśli natomiast Melanie zapyta, co się z nimi stało, może się okazać, że naprawdę już nigdy ich nie zobaczy.

– No dobrze – zaczyna panna Justineau. – Czy ktoś wie, jaki dzisiaj jest dzień?

Wiadomo, że wtorek i co ważniejsze, dzień panny Justineau, ale wszyscy próbują odgadnąć, o co jeszcze może chodzić. „Czy to pani urodziny?” „Urodziny króla?” „Ważna rocznica?” „Palindromiczna data?” „Dzień, kiedy w klasie pojawi się ktoś nowy?”

Dzieci są podekscytowane, wiedzą bowiem, że pytanie ma coś wspólnego z wielką płócienną torbą, którą panna Justineau przyniosła z sobą. Widzą też, że nauczycielka nie może się doczekać, by im pokazać, co jest w środku. Dziś będzie dobry dzień – prawdopodobnie jeden z najlepszych.

W końcu to Siobhan udaje się znaleźć rozwiązanie zagadki:

– Pierwszy dzień wiosny! – woła zza pleców Melanie.

– Brawo, Siobhan – mówi panna Justineau. – Masz rację. Dziś dwudziesty pierwszy marca i w naszej części świata ten dzień to.. no, słucham? O co chodzi z dwudziestym pierwszym marca?

– Pierwszy dzień wiosny – powtarza Tom.

Melanie jest na siebie zła, że wcześniej nie wpadła na właściwą odpowiedź. Wie, że pannie Justineau chodzi o coś więcej.

– Równonoc wiosenna! – woła szybko, żeby nikt nie zdołał jej ubiec.

– Zgadza się – potwierdza panna Justineau. – Brawo. Równonoc wiosenna.

A teraz powiedzcie mi, co to właściwie znaczy.

Dzieci krzyczą jedno przez drugie. Zazwyczaj nikt nie zawraca sobie głowy informowaniem ich, jaka jest data, no i oczywiście nigdy nie widują nieba, ale znają teorię. Dawno temu, w grudniu, nastąpiło przesilenie zimowe i odtąd dni się wydłużały (dzieci o tym wiedzą, choć rzecz jasna nie mogą obserwować wędrówki słońca, gdyż pomieszczenia w całym bloku pozbawione są okien). Dziś dzień i noc wreszcie się zrównały. Trwają po dwanaście godzin.

– To właśnie dlatego dzisiejszy dzień jest w pewnym sensie magiczny – tłumaczy panna Justineau. – W dawnych czasach równonoc oznaczała upragniony koniec długiej, mrocznej zimy, moment gdy przyroda budzi się do życia i wszystko się odradza. Przesilenie stanowiło symboliczną obietnicę, że dni nie będą się skracać w nieskończoność, aż całkiem znikną. W równonoc zaś ta obietnica się spełniała. – Panna Justineau podnosi swoją wielką torbę i kładzie ją na biurku. – Tak sobie o tym myślałam – mówi powoli, wiedząc, że wszyscy na nią patrzą i nie mogą się doczekać rozwiązania tajemnicy torby. – I przyszło mi do głowy, że nikt wam nigdy nie pokazał, co to właściwie jest wiosna. Przeszłam więc przez ogrodzenie...

Rozlega się zbiorowy okrzyk grozy. Owszem, region szósty jest

w większości czysty, ale teren za ogrodzeniem wciąż należy do głodnych. Jeżeli się tam znajdziesz, od razu cię dostrzegą albo wywęszą – a gdy złapią twój trop, będą cię ścigać do skutku. A potem cię pożrą.

Na widok przerażenia na twarzach dzieci panna Justineau parska śmiechem.

– Żartowałam – uspokaja je. – Jest takie miejsce, żołnierzom nie chciało się go wykarczować, kiedy zakładali bazę. Rośnie tam mnóstwo kwiatów, a nawet kilka drzew. Więc... – tu panna Justineau otwiera torbę – poszłam tam i nazbierałam, ile się dało. Przez Załamaniem ktoś mógłby to nazwać wandalizmem, ale dzikie kwiaty ostatnimi czasy radzą sobie nieźle, więc stwierdziłam: co mi tam.

Sięga do wnętrza torby i coś z niej wyciąga. Coś w rodzaju patyka, długiego i poskręcanego, z którego na wszystkie strony wyrastają następne, mniejsze patyki. A z nich – jeszcze mniejsze i tak dalej, więc cała rzecz ma naprawdę zwariowany i skomplikowany kształt. Poza tym jest upstrzona zielonymi kropkami – dopiero gdy panna Justineau obraca ją w dłoni, Melanie widzi, że to nie żadne kropki. Pęcznieją i wychodzą z patyka, jakby coś wypychało je od środka. Niektóre są pęknięte pośrodku i rozchodzą się w takie jakby delikatne cieniuteńkie zielone falbanki.

– Czy ktoś wie, co to jest? – pyta panna Justineau.

Nikt się nie odzywa. Melanie wyteża umysł, starając się przywołać wspomnienie czegoś, co już widziała albo o czym usłyszała podczas którejś z lekcji. Ma to na końcu języka, ponieważ słowo zawiera w sobie opis tego procesu, kiedy patyk rozwidla się w mniejsze patyki, te w jeszcze mniejsze i tak dalej, aż robi się ich więcej i więcej. Podobnie jak dużą liczbę można rozbić na coraz mniejsze.

– To gałąź – mówi Joanne.

„Głupek, głupi głupek”, karci sama siebie Melanie. Jej obrazek z lasem tropikalnym jest pełen gałęzi. Tylko że prawdziwa, żywa gałąź wygląda jakoś inaczej. Ma bardziej skomplikowany, złożony kształt i fakturę jakby bardziej szorstką.

– A żebyś wiedziała, że gałąź – potwierdza panna Justineau. – Prawdopodobnie jest to gałązka olchy. Parę tysięcy lat temu mieszkańcy naszych stron nazywali tę porę roku miesiącem olch. Wykorzystywali ich korę w celach leczniczych, ponieważ jest bogata w substancję zwaną salicyną. To coś w rodzaju naturalnego środka przeciwbólowego.

Panna Justineau chodzi po sali i po kolei odpina pasy krępujące prawą rękę każdego z dzieci, żeby wszyscy mogli dotknąć gałązki i przyjrzeć jej się z bliska. „Jest brzydka – myśli Melanie – a zarazem absolutnie fascynująca”. Zwłaszcza kiedy panna Justineau wyjaśnia, że te małe zielone kuleczki to pąki – i że z czasem zmieniają się w liście, które pokryją całe drzewo zielenią, co sprawi, że będzie

wyglądało, jakby przywdziało letnią sukienkę.

W torbie jest jeszcze całe mnóstwo innych rzeczy i gdy panna Justineau zaczyna je wypakowywać, cała klasa gapi się na nią z zachwytem. A to dlatego, że torba jest pełna kolorów – a także najrozmaitszych kształtów, o równie skomplikowanej strukturze jak u gałęzi, tyle że o wiele bardziej symetrycznych. Kwiaty.

– Lepnica czerwona. – Panna Justineau pokazuje im łodygę pokrytą wcale nie czerwonymi, lecz fioletowymi kwiatkami o rozszczepionych płatkach, które przypominają Melanie ślady jelenich racic, oglądane kiedyś na specjalnej planszy.

– Rozmaryn. – Białe i zielone listki przypominające kształtem nerwowo splecione palce.

– Żonkile. – Żółte rurki, trochę jak trąby trzymane przez aniołów na starych obrazach w książkach panny Justineau, ale o lekko postrzępionych krawędziach, tak delikatnych, że poruszają się pod wpływem jej oddechu.

– Nieszpułka. – Gęste kiście białych kłoszy o zaokrąglonych, zagiętych białych płatkach, a wewnątrz mniejsze coś, co samo w sobie przypomina miniaturowy pęk kwiatków.

Dzieci siedzą jak zahipnotyzowane. W klasie rozkwitła wiosna. Nadeszła równonoc, a wraz z nią równowaga pomiędzy zimą a latem, życiem a śmiercią, jak wirująca na czubku palca piłka.

Gdy już wszyscy obejrzeliby kwiaty i potrzyimali je w dłoniach, panna Justineau rozstawia je, w butelkach i słoikach, gdziekolwiek uda jej się znaleźć miejsce, i nagle sala zamienia się w łąkę.

Potem czyta dzieciom wiersze o kwiatach, na początek ten autorstwa Walta Whitmana, o bzie i powrocie wiosny. Niestety już po chwili Walt Whitman zaczyna mówić o śmierci i deklaruje, że swój bukiet bzu złoży na wieku trumny, więc panna Justineau mówi: dajmy sobie z nim spokój, i czyta im w zamian Thomasa Campiona, który nawet nazywa się jak kwiat*. Zdaniem Melanie jego wiersz jest o niebo lepszy od wiersza Whitmana.

Jednak najważniejsze w tym wszystkim jest to, że Melanie już wie, który jest dzień miesiąca. Odtąd chce to wiedzieć zawsze, postanawia więc liczyć dni.

Wydziela sobie w pamięci kawałek miejsca przeznaczonego tylko na datę, a potem codziennie tam wraca i dodaje jeden. Dla pewności pyta jeszcze pannę Justineau, czy wypada rok przestępny – a dowiedziawszy się, że tak, nie ma już żadnych trudności.

Melanie sama nie do końca rozumie tę zależność, ale ma poczucie, że w pewnym sensie zyskała kontrolę nad małym skrawkiem rzeczywistości.

I dopiero teraz sobie uświadamia, że nigdy wcześniej takiej kontroli nie miała.

* *Campion* (ang.) – lepnica. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Caroline Caldwell potrafi bardzo zręcznie wydobyć mózg z czaszki. Robi to szybkimi, metodycznymi ruchami, prawie nie niszcząc tkanki. Doszła już do takiej wprawy, że wkrótce zapewne będzie potrafiła wykonać całą operację przez sen.

Nawiasem mówiąc, nie spała już trzy noce i choć raz po raz przeciera oczy, uczucie szorstkości pod powiekami nie ustępuje. Mimo to umysł ma czysty i jeśli nawet chwilami błądzi na granicy halucynacji, to jednak wie, co robi. Obserwuje ruchy własnych dłoni, zadowolona z ich wirtuozerii.

Pierwsze nacięcie wykonuje w kości potylicznej, ku jej tylnej części, opuszczając delikatne ostrze w wykonany wcześniej przez doktor Selkirk otwór, przez odgarnięte na boki warstwy obnażonej tkanki mięśniowej.

Następnie wydłuża nacięcie w obie strony, uważając, by zachować prostą poziomą linię wzdłuż obwodu czaszki. Musi mieć wystarczająco dużą powierzchnię do pracy, aby wyciągając mózg, nie uszkodzić go ani nie pozostawić resztek wewnątrz czaszki. Caldwell prowadzi ostrze piłki dalej, lekkimi, precyzyjnymi ruchami, niczym skrzypaczka smyczek, w poprzek kości ciemieniowej i skroniowej, utrzymując wciąż tę samą prostą linię, aż w końcu dociera do brzegu nadoczodołowego.

Tu kreśli ostrzem literę iks, wykonując nieco głębsze nacięcia, krzyżujące się na wysokości oczu obiektu.

Gałki oczne drgają w milionie drobnych przeskoków, wciąż niestrudzenie wykonując swoją pracę.

Obiekt jest martwy, ale patogen kontrolujący jego układ nerwowy ani odrobinę się nie zraził utratą sterującej nim świadomości. Nadal wie, czego chce, i nie ma zamiaru opuścić tonącego okrętu.

Doktor Caldwell pogłębia krzyżujące się nacięcia z przodu czaszki, gdyż tam, gdzie przebiegają zatoki, kość jest dwa razy grubsza.

W końcu odkłada piłkę i sięga po śrubokręt – część zestawu, który ponad trzydzieści lat temu wydawnictwo Reader's Digest przysłało jej ojcu jako upominek w ramach prenumeraty.

Kolejna czynność jest trudna i wymaga wzmożonej precyzji. Caldwell bada nacięcia czubkiem śrubokręta, podważając ich krawędzie tam, gdzie to możliwe – niezwykle ostrożnie, tak by nie uszkodzić znajdującej się wewnątrz tkanki mózgowej.

Obiekt wzdycha, mimo że jego organizm nie potrzebuje już tlenu.

– Jeszcze chwila – mówi doktor Caldwell, by zaledwie pół sekundy później poczuć się jak idiotka. Tego tylko brakowało, by pocieszała obiekty doświadczalne.

Zauważa podejrzliwy wzrok doktor Selkirk. Poirytowana pstryka palcami, gestem nakazując pomocnicy, by podała jej piłkę.

Teraz następuje balet najdrobniejszych ruchów – testowanie czaszki czubkiem śrubokręta, by sprawdzić, w których miejscach się porusza, pogłębianie nacięć tam, gdzie stawia opór, i stopniowe podważanie pokrywy tak, by odeszła w jednym kawałku.

Wreszcie najtrudniejszy etap doktor Caldwell ma za sobą.

Zdjawszy sklepienie czaszki, przecina nerwy i naczynia krwionośne za pomocą skalpela z ostrzem numer dziesięć, po czym unosi przednią część mózgu i przecina odsłonięty w ten sposób rdzeń kręgowy.

Nie próbuje jednak wyjąć mózgu. Teraz, kiedy jest już całkiem oswobodzony, oddaje skalpel Selkirk, po czym przyjmuje od niej okrągłe szczypce, za pomocą których bardzo ostrożnie usuwa kilka wyszczerbionych fragmentów kości, sterczących dumnie przy krawędzi rozciętej czaszki. Bardzo łatwo naruszyć tkankę, wyciągając mózg przez taką prowizoryczną dziurę, a z uszkodzonym mózgiem niewiele da się zrobić i właściwie równie dobrze można by go wyrzucić.

Teraz dopiero unosi go obiema rękami, delikatnie manipulując palcami przy krawędzi, nie pozwalając, by otarła się o brzeg czaszki.

I delikatnie odkłada na deskę.

Obiekt numer dwadzieścia dwa, czyli Liam, o ile w ogóle uznać, że coś takiego powinno mieć imię, wciąż wodzi za nią oczami, obserwując każdy jej ruch. To wcale nie znaczy, że żyje. Doktor Caldwell wychodzi z założenia, że śmierć następuje w momencie, gdy patogen przekracza barierę krew-mózg. To, co zostaje – mimo że w jego piersi wciąż bije serce (w tempie jakichś dziesięciu do dwunastu uderzeń na minutę), mimo że potrafi mówić i można nawet nadać mu imię – nie jest już nosicielem. Jest pasożytem.

A pasożyt, którego potrzeby i reakcje znacznie się różnią od ludzkich, to znakomicie zorganizowany zarządca. Nadal zawiaduje szerokim wachlarzem układów i połączeń, lecz bez udziału mózgu – co zresztą w zasadzie wychodzi mu na dobre, gdyż ten właśnie mózg zostanie za moment pocięty na cienkie plasterki, które trafią pomiędzy szklane płytki.

– Czy mam wyciągnąć resztę rdzenia kręgowego? – pyta Selkirk.

Jej pełen wahania, niemal proszący ton wzbudza w Caldwell pogardę. Jest jak uliczna żebraczka, której nie chodzi o pieniądze ani jedzenie, lecz o litość. Jakby mówiła: „błagam, nie każ mi robić niczego okrutnego ani skomplikowanego”.

Doktor Caldwell, zajęta przygotowywaniem brzytwy, nawet nie podnosi wzroku.

– Jasne – mówi. – Proszę bardzo.

Zachowuje się szorstko, wręcz opryskliwe, ponieważ to właśnie ta część procedury bardziej niż którakolwiek inna godzi w jej zawodową dumę. Jeśli cokolwiek byłoby w stanie skłonić ją do wzniesienia pięści ku ewidentnie pustym

niebiosom, to byłoby właśnie to. Czytała wiele artykułów opisujących proces krojenia mózgu w dawnych dobrych czasach przed Załamaniem. Istniało wówczas urządzenie zwane ATLUM – automatyczny ultramikrotom taśmowy. Tę maszynę o diamentowym ostrzu dało się skalibrować tak, by podzieliła mózg na idealnie równe, cieniuteńkie plastry grubości pojedynczego neuronu, stanowiące idealny pionowy przekrój, co oznaczało, że milimetrowy fragment tkanki można było podzielić na mniej więcej trzydzieści tysięcy części.

Gilotynkę doktor Caldwell, o ile lekarka nie chce rozmazać lub zmiążdżyć delikatnych struktur, którym później przygląda się przez mikroskop, stać najwyżej na dziesięć plasterków na milimetr.

Niech ktoś tylko spróbuje wspomnieć w jej obecności o Robercie Edwardsie. O Elizabeth Blackburn, Günterze Blobelu, Carol Greider albo o którymkolwiek z biologów molekularnych – laureatów Nagrody Nobla, a przekonacie się, co wam na to odpowie.

Częściej niż rzadziej odpowiedź będzie brzmiała: „Założę się, że miał (lub miała) do dyspozycji automatyczny ultramikrotom taśmowy. A do tego elektronowy mikroskop transmisyjny TEAM 0,5 i system obrazowania żywych komórek oraz armię doktorantów, stażystów i asystentów, którzy biorą na siebie wszystkie żmudne rutynowe czynności, by noblista mógł tańczyć walca w blasku księżycy ze swoim zasranym natchnieniem”.

Doktor Caldwell stara się ocalić świat, ale ma wrażenie, jakby zamiast gumowych rękawiczek ktoś nałożył jej rękawice bokserskie. Miała kiedyś szansę pracować w należytym stylu. Nie udało się i wylądowała tutaj. Samotna, ale przynajmniej to ona ustala zasady. I nadal walczy.

Selkirk wydaje jęk zawodu.

– Rdzeń kręgowy uszkodzony. Na wysokości dwunastego kręgu.

– To go wywal – burczy pod nosem doktor Caldwell. Nawet nie próbuje ukryć pogardy.

Od czasu zniknięcia Liama i Marcii minęło sto siedemnaście dni.

Melanie wciąż o tym myśli i wciąż się martwi, ale nie ma odwagi zadawać pytań – ani pannie Justineau, ani nikomu innemu. Jedynym, na co się zdobyła, było zapytanie pana Whitakera, co oznacza sformułowanie „dwie kacuszki”. Pamięta, że tamtego dnia użyła go doktor Caldwell.

Pan Whitaker znów ma przy sobie butelkę pełną lekarstwa, które sprawia, że najpierw mu się polepsza, a potem pogarsza. Melanie przypatrywała się temu dziwnemu i lekko niepokojącego procesowi już tyle razy, że potrafi przewidzieć jego przebieg. A więc rano pan Whitaker wchodzi do klasy podenerwowany i rozdrażniony, z wyraźnym postanowieniem, by wszystkiego i wszystkich się czepiać.

Potem pociąga z butelki i lekarstwo rozlewa się w jego organizmie jak atrament w wodzie (panna Justineau pokazała im kiedyś taki eksperyment). Mięśnie się rozprężają, ustają tiki i nerwowe drgania. Jego umysł także się rozluźnia i przez chwilę pan Whitaker jest miły i cierpliwy. Byłoby cudownie, gdyby na tym się skończyło, ale on pije dalej i nagle następuje odwrócenie cudu. Nie chodzi o to, że pan Whitaker znów zaczyna zrędzić. Dzieje się z nim coś gorszego, naprawdę okropnego, czego Melanie nie potrafi nazwać. Jakby zapadał się w siebie, owładnięty poczuciem beznadziei, a jednocześnie kurczył wewnątrz, wzdrygał przed jakimś świństwem, które toczy jego ciało i umysł. Zdarza się, że wybucha płaczem i zaczyna przeproszać – nie dzieci, ale kogoś nieobecnego, kogo za każdym razem nazywa innym imieniem.

Melanie dobrze zna ten cykl i wie, kiedy powinna zadać swoje pytanie. Co to za kacuszki, o których wspomniała doktor Caldwell? I czemu o nich wspomniała akurat wtedy, gdy zabierała Marcie i Liama?

– To element gry, która nazywa się bingo – tłumaczy pan Whitaker odrobinę mętłym głosem. – Polega ona na tym, że każdy z graczy otrzymuje kartę z numerami od jednego do stu. Prowadzący wyczytuje je na chybił trafił i pierwsza osoba, która skreśli wszystkie, wygrywa nagrodę.

– Czy te kacuszki to właśnie nagroda? – nie rozumie Melanie.

– Nie, to jedna z liczb. Gracze posługują się pewnego rodzaju kodem. Każdej z liczb przypisane jest konkretne słowo albo sformułowanie. Dwie kacuszki to dwadzieścia dwa, chodzi o kształt. Spójrz. – Pan Whitaker rysuje na tablicy dwie dwójki. – Widzisz? Wyglądają jak pływające kaczkę.

Melanie uważa, że bardziej jak łabędzie. Tak czy siak zasady bingo średnio ją interesują. A więc doktor Caldwell po prostu dwa razy powiedziała „dwadzieścia dwa”, za pierwszym razem używając cyfr, za drugim – tego dziwnego kodu. Podkreśliła w ten sposób, że potrzebny jest jej właśnie Liam.

Tylko do czego?

Melanie rozmyśla o liczbach. Jej tajemny język się na nich opierał – był to zestaw znaków dawanych palcami obu dłoni albo dwa razy prawej, kiedy lewa jest przypięta do wózka. Co dawało sześć razy po sześć różnych kombinacji (ponieważ zaciśnięta dłoń również jest sygnałem) – a więc wszystkie litery alfabetu plus znaki specjalne symbolizujące nauczycieli, doktor Caldwell i sierżanta oraz znak zapytania i sygnał, który oznacza: „żartuję”.

Sto siedemnaście dni. To znaczy, że nadeszło lato. Może panna Justineau jeszcze raz sprowadzi świat do klasy i pokaże im, jak wygląda lato, tak samo jak pokazała wiosnę? Kłopot w tym, że w pannie Justineau zaszła ostatnio jakaś zmiana. Zdarza jej się zgubić wątek. Urywa wtedy w pół zdania i milczy przez długi czas, a kiedy znów się odzywa, mówi już o czymś zupełnie innym.

Dużo więcej im czyta, dużo rzadziej organizuje gry albo wspólne śpiewanie.

Może jest smutna? Ta myśl wywołuje w Melanie rozpacz, a zarazem budzi gniew. Melanie chciałaby chronić pannę Justineau, chciałaby się dowiedzieć, kim jest ten okropny ktoś, przez kogo nauczycielka tak się gryzie. Sama nie wie, co by temu komuś zrobiła, ale na pewno by pożałował.

Kiedy Melanie zaczyna się zastanawiać nad potencjalnym winowajcą, przychodzi jej do głowy tylko jeden człowiek.

Ten sam, który właśnie wchodzi do klasy na czele swoich podkomendnych, a jego wykrzywioną twarz przecina rozedrgana blizna. I ten sam, który kładzie dłonie na uchwytach wózka Melanie, obraca go i wypycha z klasy. Robi to – jak wszystko – szybkimi, urywanymi ruchami. Doprowadza wózek pod drzwi celi Melanie, odwraca się, cofa, tyłkiem popycha drzwi i obraca wózek tak gwałtownie, że Melanie czuje zawroty głowy.

Za sierżantem do celi wchodzi dwóch jego ludzi, ale nie zbliżają się do wózka. Stoją na baczność i czekają na przyzwalające skinienie głową. Dopiero gdy je otrzymują, jeden z nich celuje w Melanie z pistoletu, drugi zaś odpina pasy, zaczynając od tego, który krępuje jej szyję.

Melanie spogląda sierżantowi w oczy i czuje, że coś w jej wnętrzu zaciska się niczym pięść. To przez niego panna Justineau jest smutna. Nie ma innego wytłumaczenia. W końcu zaczęło się od tego, że rozgniewał się na nią, twierdząc, że złamała zasady.

– Spójrzcie tylko – mówi sierżant do Melanie. – Twarz wykrzywiona jak tragiczna maska. Udaje, że coś czuje. Chryste!

Melanie rzuca mu gniewne spojrzenie, najgroźniejsze, na jakie ją stać.

– Gdybym miała puszkę z całym złem świata – odpowiada – uchyliłabym wieko, ale tylko odrobinę, i wepchnęłabym pana do środka. A potem zamknęłabym puszkę na zawsze.

Sierżant parska śmiechem, ale w tym śmiechu pobrzmiewa zaskoczenie –

zupełnie jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– A niech mnie – mówi. – W takim razie muszę pamiętać, żeby trzymać się z daleka od puszek

Melanie nie posiada się ze złości, ponieważ sierżant zbył śmiechem najgorszą rzecz, jaka przysła jej do głowy. Rozpaczliwie szuka mocniejszych słów.

– Ona mnie kocha! – rzuca wreszcie z wściekłością. – To dlatego mnie pogłaskała! Dlatego że mnie kocha i że chce być blisko mnie! A pan ją tylko zasmuca. Ona pana nienawidzi! Nienawidzi pana tak, jak nienawidzi głodnych!

Sierżant wlepia w nią zdziwiony wzrok i nagle coś dzieje się z jego twarzą. Maluje się na niej najpierw zaskoczenie, potem strach, a na końcu gniew. Ogromne dłonie zaciskają się w pięści.

Po chwili kładzie je na poręczach wózka i z hukiem popycha go na ścianę. Jego czerwona, wykrzywiona twarz nagle znajduje się bardzo blisko twarzy Melanie.

– Rozwalę cię, ty mały karaluchu! – cedzi zdławionym głosem.

Ludzie sierżanta przyglądają się całej scenie z niepokojem. Jakby sądzili, że powinni coś zrobić, ale nie mieli pojęcia co. Jeden z nich mówi:

– Panie sierżancie... – ale na tym się kończy i żołnierz milknie.

Sierżant prostuje się, robi krok w tył i lekko wzrusza ramionami.

– Idziemy – oznajmia.

– Przecież jej pan nie odpiął – odzywa się drugi żołnierz.

– Mówi się trudno – odpowiada sierżant.

Gwałtownym ruchem otwiera drzwi i czeka, aż się ruszą, spoglądając to na jednego, to na drugiego, aż obaj dają za wygraną, zostawiają Melanie na wózku i wychodzą.

– Słodkich snów, mała – rzuca sierżant na pożegnanie.

Zatrząskuje za sobą drzwi i Melanie słyszy dźwięk zasuwanych rygli.

Pierwszy.

Drugi.

I trzeci.

– Niepokoi mnie twój brak obiektywizmu – oznajmia doktor Caldwell, zwracając się do Helen Justineau.

Justineau nie odpowiada, na jej twarzy maluje się jednak dość wyraźnie pytanie: „co proszę?”.

– Przeprowadzamy nasze badania nie bez powodu – ciągnie Caldwell. – Poziom wsparcia, które otrzymujemy, może na to nie wskazuje, ale nasz program badawczy jest nieoceniony.

Justineau nadal milczy, co najwyraźniej wywołuje w Caldwell potrzebę, by wypełnić tę ciszę. Wpada w istny słowotok:

– Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że przyszłość naszego gatunku może zależeć od tego, czy dowiemy się, czemu w wypadku tych dzieci proces infekcji obrał inny kierunek niż w wypadku dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięćdziesięciu dziewięciu setnych procent pozostałych podmiotów. Chodzi o nasze przetrwanie, Helen. I o nadzieję na przyszłość. O wydostanie się z tego syfu.

Rozmowa toczy się w laboratorium, w którym Caldwell dokonuje swojego obrzydliwego dzieła i które Justineau odwiedza z rzadka. Jest tu teraz tylko dlatego, że otrzymała wezwanie. Wprawdzie baza i cała misja znajdują się pod jurysdykcją wojska, nie zmienia to jednak faktu, że Caldwell jest jej przełożoną i gdy ją wzywa, Justineau musi się stawić. Zamienić salę lekcyjną na salę tortur.

Mózgi w słojach. Kultury tkanek, wśród których ludzkie kończyny i organy kielkują szarymi obłokami grzybni. Dłoń i przedramię – oczywiście dziecięcych rozmiarów – rozplątane i otwarte, mięso rozsunięte, żółte plastikowe płytki rozdzielają mięśnie, odsłaniając wewnętrzne struktury, gotowe do zbadania. Pomieszczenie jest zagracone i klaustrofobiczne, stopy jak zawsze opuszczone, by trzymać świat zewnętrzny na klinicznie optymalny dystans. Światło – białe, czyste, nieubłagane jaskrawe – bije z umocowanych płasko na suficie jarzeniowych rurek.

Caldwell przygotowuje szkiełka mikroskopu, tnąc żyłką na cienkie plasterki coś, co wygląda jak język.

Justineau nawet się nie krzywi. Nie odwraca wzroku, ponieważ sama jest częścią tego procesu. Uważa, że udawanie nieświadomej wszystkiego, co się tu dzieje, doprowadziłoby ją do jakiegoś punktu, z którego nie ma już powrotu, za horyzont hipokryzji i w czarną dziurę solipsyzmu.

Chryste, mogłaby się zmienić w Caroline Caldwell.

Która w przeszłości, na początku tego, co później nazwano Załamaniem, o mały włos nie stała się częścią wielkiego think tanku pod hasłem „Ratunek dla ludzkości”. Dziesiątki naukowców, sekretna misja, tajne rządowe szkolenia – największe wydarzenie w gwałtownie kurczącym się świecie. Wezwano wielu,

wybrano nielicznych. Caldwell stała w pierwszym szeregu tych, którym zamknięto drzwi przed nosem. Czyżby nadal ją to bolało, po tylu latach? Czy właśnie z tego powodu zaczęła się pogrążyć w szaleństwie?

To było tak dawno, że większość szczegółów uleciała Justineau z pamięci. Trzy lata po pierwszej fali infekcji upadające społeczeństwa bogatej części świata dotknęły tego, co błędnie uznano za dno. W Zjednoczonym Królestwie przez moment zapanowało wrażenie, że odsetek zarażonych się ustabilizował, i zaczęto omawiać setki różnych inicjatyw. Wszyscy sądzili, że Beacon wkrótce odkryje lekarstwo, odzyska kolejne miasta i przywróci powszechnie upragnione *status quo*.

W tym przedziwnym okresie, niesłusznie okrzykniętym nowym świtem cywilizacji, władze zamówiły dwa ruchome laboratoria. Nie zbudowano ich od podstaw – nie było na to czasu. Zamiast tego szybko i stylowo sklecono je w dwóch pojazdach będących wcześniej własnością londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej.

Początkowo mające mieścić obwoźne wystawy, Charles Darwin i Rosalind Franklin – Charlie i Rosie – zostały więc wielkimi mobilnymi stacjami badawczymi. Każda miała długość ciężarówki z naczepą i była prawie dwa razy szersza. Wyposażono je w najnowocześniejszy sprzęt laboratoryjny z dziedziny biologii i chemii organicznej plus koje dla sześciorga naukowców, czworga strażników i dwójki kierowców. Do tego dodano kilka elementów z certyfikatem Departamentu Obrony – w tym gaśnice, gruby na cal zewnętrzny pancerz, a także zamontowane zarówno z przodu, jak i z tyłu działa artyleryjskie oraz miotacze ognia.

Wielkie zielone nadzieje, jak je nazywano, zostały oddane do użytku z takim hukiem, na jaki było wówczas kogokolwiek stać. Politycy, pragnący stać się bohaterami nadciągającego odrodzenia ludzkości, wygłaszali nad nimi mowy i rozbijali butelki z szampanem. Charlie i Rosie wyjechały w drogę w towarzystwie łez, modlitw, peanów i laudacji.

Prosto w zapomnienie.

Wkrótce potem wszystko się rozpadło – krótka chwila wytchnienia okazała się zaledwie chaotycznym wytworem potężnych sił, znoszących się nawzajem w błyskawicznym tempie. Szalejąca wciąż infekcja i globalny kapitalizm, który nadal popadał w samozniszczenie, były niczym dwa olbrzymy na obrazie Dalego *Jesienny kanibalizm*. Żadna ilość choćby najzręczniejszego poprowadzonego PR-u nie była w stanie stawić czoła demonowi zagłady, który leniwym krokiem przestępował barykady, napawając się własnym dziełem.

Nikt nigdy więcej nie ujrzał tamtych starannie wyselekcjonowanych geniuszy. Na miejscu pozostali zawodnicy drugiej ligi, siedzący dotychczas na ławce rezerwowych. Losy świata spoczęły w dłoniach Caroline Caldwell! To się musiało kurewsko źle skończyć.

– Nie sprowadziłaś mnie tu po to, żebym była obiektywna – przypomina Justineau swojej przełożonej i z zaskoczeniem stwierdza, że w jej głosie prawie nie słyhać emocji. – Sprowadziłaś mnie tu, ponieważ do uzupełnienia swoich czysto anatomicznych badań potrzebowałaś opinii psychologa. Gdybym była obiektywna, stałabym się dla ciebie bezużyteczna. Sądziłam, że mój udział w procesach myślowych tych dzieci jest dla ciebie kluczowy.

Caldwell macha lekceważąco ręką i wydyma usta. Codziennie maluje je szminką, choć to teraz produkt luksusowy, i robi to nie bez powodu; to rodzaj zbroy, w której stawia czoła światu. W epoce rdzy ona jest jak zrobiona z nierdzewnej stali.

– Udział? – pyta. – Udział jest w porządku, Helen. Mnie chodzi o coś więcej. – Kiwa głową w stronę sterty papierów, spiętrzonej pomiędzy szalkami Petriego i paczkami szkiełek do mikroskopu. – Ta kartka na wierzchu, o tam. To standardowa kopia prośby, którą skierowałaś do bazy w Beacon. Chciałaś, żeby wprowadzili moratorium na moje testy.

Justineau potrafi na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

– Prosiłam, żebyś mnie odesłała do domu. I to kilka razy. Odmówiłaś.

– Sprowadzono cię tu, żebyś robiła, co do ciebie należy. Nie wykonałaś jeszcze całego zadania. Chcę, żebyś wywiązała się z umowy.

– W takim razie musisz mnie przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza – odpowiada Justineau. – Gdybym była w Beacon, może potrafiłabym przymknąć na to wszystko oko. Skoro jednak mnie tu trzymasz, musisz się pogodzić z drobnymi niedogodnościami. Na przykład z tym, że ja mam sumienie.

Usta Caldwell zaciskają się w wąską linijkę. Wyciąga rękę i dotyka uchwytu piłki do cięcia kości. Przesuwa ją na sam brzeg stołu.

– Nie – mówi. – Naprawdę nie muszę. Ja definiuję program, a ty jesteś jego częścią. Wciąż jesteś nam niezbędna i właśnie dlatego poświęcam czas na rozmowę z tobą. Martwię się, Helen. Najwyraźniej dokonałaś oceny, która z założenia jest błędna, i jeśli się z niej nie wycofasz, zaburzy ona wyniki twoich obserwacji. A wtedy staniesz się gorzej niż bezużyteczna.

„Błędna ocena sytuacji”. Justineau ma ochotę wygłosić cierpką uwagę na temat tego, jak bardzo myli się sama Caldwell, wie jednak, że wymiana przytyków niczego nie rozwiąże.

– Czy na tym etapie nie wydaje ci się jasne – mówi więc – że reakcje tych dzieci mieszczą się w granicach normy? A w wypadku większości wręcz w górnych?

– Chodzi ci o reakcje poznawcze?

– Nie tylko, Caroline. O wszystkie. Poznawcze. Emocjonalne. Skojarzeniowe. Chodzi mi o całość.

Caldwell wzrusza ramionami.

– Ależ moja droga, „całokształt” musiałby również obejmować ich wrodzone refleksy. Nikt, kto, czując zapach ludzkiego ciała, odczuwa instynktowną potrzebę zabijania po to, by zaspokoić głód, nie wpisuje się całkowicie w normalne parametry, nie uważasz?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Owszem. Wiem również, że się mylisz. – Caldwell nie podnosi głosu, nie daje po sobie poznać gniewu, niecierpliwości ani frustracji. Mogłaby być nauczycielką, która wykazuje logiczne potknięcie swojej młodej uczennicy po to, by je skorygować i nauczyć ją prawidłowego myślenia. – Nasze obiekty nie są ludźmi; to głodni. Funkcjonujący niby normalnie, ale głodni. To, że potrafią mówić, sprawia, że łatwo im współczuć, ale czyni ich to również o wiele bardziej niebezpiecznymi od przedstawicieli zwierzęcej odmiany, z którą mieliśmy dotąd do czynienia. Samo to, że przebywają wewnątrz bazy, stanowi ogromne ryzyko, dlatego też umiejscowiono nas tak daleko od Beacon. Ale informacje, które mamy nadzieję zdobyć, usprawiedliwiają to ryzyko. Usprawiedliwiają wszystko.

Justineau czuje w gardle bolesny spazm szyderczego śmiechu. Musi to powiedzieć. Nie ma innego wyjścia.

– Pokroiłaś dwójkę dzieci, Caroline. I zrobiłaś to bez znieczulenia.

– One nie reagują na środki znieczulające. Frakcja lipidowa w ich komórkach mózgowych jest zbyt mała. Samo to powinno dać ci do myślenia, jeśli chodzi o ich status ontologiczny.

– Pokroiłaś dzieci! – powtarza Justineau. – Mój Boże, ty jesteś jak ta zła czarownica z bajki! Wiem, że nie zrobiłaś tego po raz pierwszy. Wcześniej pokroiłaś siedmioro innych, zgadza się? Zanim się tu zjawiłam. Zanim po mnie posłałaś. Porzuciłaś te eksperymenty, ponieważ nic już nie było w stanie cię zaskoczyć. Nie byłaś w stanie odkryć niczego nowego. Ale teraz z jakiegoś powodu postanowiłaś zignorować ten fakt i zacząć od początku. A więc przyznaję, zwróciłam się do Beacon za twoimi plecami, bo miałam nadzieję, że trafię tam na kogoś przy zdrowych zmysłach.

Justineau zdaje sobie sprawę z brzmienia własnego głosu, wie, że jest zbyt donośny i zbyt piskliwy. Opuszczają ją siły. Milknie i czeka na zwolnienie z pracy. Przyjęłaby to z ulgą. Wreszcie by się to wszystko skończyło. Walczyła, póki mogła, ale przegrała, więc odeślą ją z powrotem. Niech teraz inni się pomęczą. Oczywiście, że chciałaby ocalić te dzieci, i zrobiłaby to, gdyby tylko mogła, ale nie da się ocalić ludzi przed światem. Zresztą dokąd miałyby je zabrać?

– Chcę ci coś pokazać – odzywa się tymczasem Caldwell.

Justineau nie ma już nic do powiedzenia. Czuje się, jakby tonęła w pustce, i pozostaje jej tylko patrzeć, jak Caldwell przynosi z odległego kąta laboratorium szklane akwarium. Tkwiąca wewnątrz kultura tkankowa to jeden ze starszych okazów, hodowany przez kilka lat. Akwarium ma jakieś czterdzieści pięć

centymetrów długości, trzydzieści szerokości i wysokie jest na dwadzieścia pięć centymetrów, a jego wnętrze całkowicie wypełnia gęsta masa cienkich ciemnoszarych nitek. „Jak wata cukrowa o smaku dzumy”, myśli Justineau. Nie sposób określić, gdzie w tym wszystkim znajduje się pierwotny substrat, zginął bowiem w toksycznej pianie, która z niego wykiełkowała.

– To wszystko jeden organizm – wyjaśnia Caldwell. W jej głosie pobrzmiewa duma i coś w rodzaju perwersyjnej czułości. – W dodatku wiemy jaki. Wreszcie udało nam się tego dociec.

– Sądziłam, że to raczej oczywiste – mówi Justineau.

Nawet jeśli Caldwell wyczuwa w jej głosie sarkazm, to widocznie nie czuje się dotknięta.

– Jasne. Wiedzieliśmy, że to grzyb – odpowiada. – Na początku zakładaliśmy, że patogen głodu jest wirusem lub bakterią. Wskazywały na to błyskawiczne tempo ataku oraz wielowektorowość infekcji. Było jednak sporo dowodów na słuszność hipotezy głoszącej, że jest to grzyb. Gdyby Załamanie nie nastąpiło tak prędko, udałoby nam się go wyizolować w ciągu kilku dni. Ale ponieważ stało się to, co się stało... musieliśmy czekać. W chaosie tamtych początkowych tygodni ponieśliśmy wiele strat. Testy na pierwszych ofiarach zostały przerwane w momencie, gdy ofiary te zaatakowały i pożarły lekarzy, którzy je badali. Gwałtowne tempo rozprzestrzeniania się infekcji sprawiło, że takie same sytuacje wciąż się powtarzały. W dodatku osoby, które miały na ten temat najwięcej do powiedzenia, były również, w związku z charakterem swojej pracy, najbardziej podatne na zarażenie.

Choć Caldwell przemawia suchym, płaskim tonem wykładowcy, jej rysy twardnieją na widok tego, co jest zarazem jej najważniejszym wrogiem i centralnym punktem, na którym skupia się całe jej życie.

– Jeśli pozwolimy patogenowi rozwijać się w suchych, sterylnych warunkach – ciągnie – prędzej czy później odsłoni przed nami swoją prawdziwą naturę. Jednak cykl jego wzrostu jest powolny. Zdziwiająco powolny. Po tym jak grzyb atakuje organizm, musi minąć wiele lat, zanim na powierzchni skóry zaczną być widoczne nitki grzybni, które wyglądają jak gęsta płatanina cienkich ciemnoszarych żyłek. W agarze ten proces trwa jeszcze dłużej. Okaz, który tu widzimy, ma dwanaście lat i jeszcze nie osiągnął dojrzałości. Organ, w którym wytwarzają się zarodniki, czyli hymenium lub sporangium, nadal się nie ukształtował. To właśnie dlatego zarazić można się wyłącznie przez ugryzienie lub bezpośredni kontakt z płynami ustrojowymi. Po dwóch dekadach patogen wciąż nie wytworzył zarodników. Może się rozmnażać jedynie przez pączkowanie i potrzebuje do tego pożywki. Najlepiej ludzkiej krwi.

– Po co mi to pokazujesz? – pyta gniewnie Justineau. – Znam fachową literaturę.

– Owszem, Helen. Ale to ja ją napisałam. I piszę nadal. Dzięki kulturom tkankowym takim jak ta tutaj, które pobrałam od głodnych w zaawansowanym stopniu rozkładu, zdołałam ustalić, że patogen głodu to w rzeczywistości nasz stary znajomy. *Ophiocordyceps unilateralis*. Znaliśmy go dotychczas jako pasożyta mrówek. I jako taki zdołał zyskać ponurą sławę. Filmy przyrodnicze nie stroniły od barwnych szczegółów.

Teraz to Caldwell od nich nie stroni, choć mogłaby sobie darować. Kiedy rozpoznała w patogenie głodu zmutowany *cordyceps*, była tak szczęśliwa, że musiała się tym z kimś podzielić. Przekonała Beacon, by zgodzili się na program edukacyjny dla wszystkich pracowników bazy. Gdy wmaszerowali oni do stołówki w dwudziestoosobowych grupach, Caldwell rozpoczęła przedstawienie, wyświetlając im krótki fragment filmu przyrodniczego Davida Attenborough, nakręconego mniej więcej dwadzieścia lat przed Załamaniem.

Swoim idealnie ustawionym głosem, złocistym niczym miód z wiejskiego ogrodu i pełnym nieprzystającej łagodności, Attenborough opowiadał o tym, jak zarodniki *ophiocordycepsa* tkwią uspione w wilgotnym poszyciu amazońskiego lasu. Są lepkie, więc przyczepiają się do spodniej strony tułowi lub odwłoków przechodzących mrówek. Następnie wypuszczają nitki grzybni, które przenikają do organizmu mrówki i atakują jej układ nerwowy.

Po czym doprowadzają do zwarcia.

Mrówka zwija się w konwulsjach, bezskutecznie usiłując zdrapać z pancerza lepkie zarodniki szybkimi, spazmodynamicznymi ruchami odnóży. Za późno. Zarodniki zaczęły już wgryzać się w jej wnętrze i zalewają układ nerwowy obcymi substancjami chemicznymi, które zręcznie podszywają się pod jej własne neuroprzełączniki.

Grzyb siada za kierownicą i dodaje gazu. Sprawia, że nieszczęsny owad wspina się na rosnący wysoko liść, po czym wbija żuwaczki w jego główny nerw.

Tymczasem grzyb rozrasta się w ciele mrówki, aż dociera do głowy, i zarodnia przebija potylicę – falliczny słup pieprzy umierającego owada od wewnątrz. Następnie rozsiewa tysiące zarodników, które opadając z tak dużej wysokości, rozprzestrzeniają się na wiele kilometrów. I w tym rzecz jasna tkwi cały dowcip.

Każdy z tysięcy gatunków *cordycepsa* specjalizował się w jednym, konkretnym gatunku mrówki.

Po jakimś czasie jeden z nich okazał się o wiele mniej wybredny. Przeskoczył granicę gatunku, potem rodzaju, rodziny, rzędu i gromady. Wdrapał się na sam czubek drzewa ewolucji, o ile założymy przez chwilę, iż ewolucja to drzewo, które posiada czubek.

Oczywiście nie jest wykluczone, że ktoś grzybowi pomógł. Można sobie wyobrazić wiele powodów, dla których ktoś zechciał rozpocząć hodowlę

laboratoryjną, wspomagając się rozszczepianiem genów i wszczepianiem RNA. Bo te skoki były jednak bardzo duże.

– To – mówi Caldwell, poklepując uszczelnione wieko akwarium – znajduje się wewnątrz głów naszych obiektów. Wewnątrz ich mózgów. Kiedy wchodzisz do klasy, wydaje ci się, że rozmawiasz z dziećmi. Mylisz się, Helen. Rozmawiasz z tym, co je zabiło.

Justineau kręci głową.

– Nie wierzę ci.

– Obawiam się, że wiara nie ma tu nic do rzeczy.

– One wykazują reakcje behawioralne, które dla grzyba nie mają znaczenia.

Caldwell lekceważąco wzrusza ramionami.

– Jasne, że tak. Na razie. Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie. *Ophiocordyceps* nie pożera całego układu nerwowego za jednym posiedzeniem. Ale kiedy jedno z tych stworzeń, które uważasz za swoich uczniów, wyczuje ludzkie feromony, to właśnie z grzybem będziesz miała do czynienia. Pierwsze, co zrobi pasożyt, to wzmocni kontrolę nad korą motoryczną i instynktem zabijania. Tak właśnie się rozprzestrzenia; głównie poprzez ślinę. Ugryzienie żywiciela gospodarza, a zarazem przenosi infekcję. Stąd skrajna ostrożność, którą stosujemy w obcowaniu z obiektami badawczymi. Stąd również – dodaje z westchnieniem – potrzeba, by udzielić ci tego wykładu.

Justineau czuje nagle przemożną potrzebę upewnienia się w powziętym przekonaniu. Chwyta wieko akwarium i przekręca wajchę.

Caldwell odskakuje z krótkim, nieartykułowanym wrzaskiem i przyciska dłoń do ust.

Po chwili odzyskuje panowanie nad sobą i opuszcza rękę. Rzuca Justineau gniewne spojrzenie. Po chłodnym dystansie nie został najmniejszy ślad.

– To było bardzo głupie – rzuca.

– Ale bezpieczne – odpowiada Justineau. – Sama mówiłaś, Caroline, że to coś nie ma jeszcze organów płciowych. Nie ma zarodników. Nie może się przenosić przez powietrze. Potrzebne mu są krew, pot, ślina albo łzy. Rozumiesz, o co mi chodzi? Tak samo jak każdy inny człowiek, jesteś zdolna do błędnych ocen i do tego, by dostrzegać ryzyko tam, gdzie go nie ma.

– Kiepska analogia – mówi Caldwell głosem ostrym jak brzytwa. – Problemem nie jest przecenianie ryzyka. To ignorowanie go stanowi największe niebezpieczeństwo.

– Caroline – Justineau podejmuje ostatnią próbę. – Nie próbuję cię przekonać do wstrzymania całego programu. Po prostu uważam, że powinniśmy zmienić metody.

Caldwell uśmiecha się chłodno.

– Jestem otwarta na inne metody – odpowiada. – Przecież właśnie w związku

z tym poprosiłam o włączenie do zespołu psychologa rozwojowego. – Tu uśmiech nieubłagane zniknął. – Ale to wciąż mój zespół. Twoje metody są przedłużeniem moich i zgłaszam się po nie tylko wtedy, kiedy są mi potrzebne. Nie masz prawa dyktować mi warunków ani rozmawiać z Beacon za moimi plecami. Helen, czy przyszło ci do głowy, że jesteśmy pod jurysdykcją wojskową, nie cywilną? Myślisz o tym czasami?

– Nie bardzo – przyznaje Justineau.

– Cóż, powinnaś. To robi dużą różnicę. Jeśli uznam, że zagrażasz programowi, i poinformuję o tym sierżanta Parksa, nie zostaniesz odesłana do domu. – Nie wiadomo skąd w jej spojrzeniu pojawia się troska. – Zostaniesz rozstrzelana.

Zapada cisza.

– Interesuje mnie, co się dzieje w ich głowach – mówi wreszcie Caldwell. – W większości wypadków mogę to stwierdzić za pomocą mikroskopu. Kiedy to niemożliwe, czytam twoje raporty. I spodziewam się w nich znaleźć czystą, racjonalną ocenę, od czasu do czasu skutkującą dobrze uzasadnionym wnioskiem. Rozumiesz?

Chwila ciszy.

– Tak – mówi Justineau.

– Świetnie. W takim razie na początek proszę, abyś sporządziła listę obiektów z adnotacjami dotyczącymi stopnia, w jakim każdy z nich jest istotny dla twoich badań. Napisz, kogo chcesz nadal obserwować i jak bardzo są ci potrzebni. Postaram się wziąć to pod uwagę, wybierając kolejne obiekty do sekcji. Musimy zrobić całe mnóstwo badań porównawczych. Doszliśmy do ściany i jedynym, co może popchnąć nas naprzód, jest jak największa ilość danych. W ciągu najbliższych trzech tygodni muszę przebadać połowę kohorty.

Justineau nie potrafi przyjąć tego ciosu bez mrugnięcia okiem.

– Połowę klasy? – powtarza słabym szeptem. – Ale to... Caroline! Jezus Maria...

– Połowę kohorty – poprawia ją Caldwell. – Połowę tego, co zostało z naszego zbioru obiektów badawczych. „Klasa” to abstrakcyjny koncept, labirynt, który wybudowałaś, by ich w nim umieścić. Nie podnoś go do rangi czegoś, co posiada wartość samą w sobie. Muszę mieć tę listę do niedzieli, ale im szybciej, tym lepiej. W poniedziałek rano przystępujemy do działania. Dziękuję ci za poświęcony czas, Helen. Jeżeli ja albo doktor Selkirk będziemy ci mogły jakoś pomóc, po prostu daj nam znać. Ale oczywiście ostateczna decyzja należy do ciebie. Nie będziemy się wtrącać.

Nagle Justineau znajduje się na otwartym powietrzu i rusza w obranym na chybił trafił kierunku. Gwałtownie uchyla się przed uderzeniem światła słonecznego. Jej twarz jest wystarczająco rozpalona.

„Połowa tego, co zostało z...”

Te słowa zderzają się z barierą umysłu i ulatują daleko w przestrzeń.

W innych okolicznościach podziwiałaby brutalną szczerość, z jaką Caldwell mówiła o własnych niepowodzeniach. „Doszliśmy do ściany”. Tak mocno identyfikuje się z projektem, że nie ma w niej miejsca na próżność.

Z drugiej strony: „ostateczna decyzja należy do ciebie”. To czysty sadyzm. Słyszysz przy moim ołtarzu, Helen. Możesz nawet wybrać, kogo złożymy w ofierze – ekstra, nie?

„Połowa...”

Wkrótce wszystko się rozpadnie. Wspólnota, którą stworzyła z dziećmi, nadszarpnięta strachem i niepewnością, niechybnie puści w szwach. Jej uczniowie wreszcie zaczną zadawać pytania, na które ona nie będzie w stanie odpowiedzieć. Będzie musiała wybrać pomiędzy szczerością a tchórzostwem, przy czym jedno i drugie musi się zakończyć katastrofą.

Co tam, zasłużyła na to. Jest dzieciobójczynią. Współwinną zbiorowego mordu, która z uśmiechem Judasza zaznacza w swym notesie kolejne rubryczki. Wizja Parksa przyciskającego pistolet do jej skroni wydaje się w tej chwili dziwnie kusząca.

Pomyślawszy to, nagle na niego wpada, i to z taką siłą, że niemal zbijają się nawzajem z nóg. Sierżant pierwszy odzyskuje równowagę i delikatnie przytrzymuje ją za ramiona.

– Hej – mówi. – Panno Justineau, wszystko w porządku?

Z jego szerokiej, płaskiej twarzy, przeciętej szpecącą, zaburzającą wszelką symetrię blizną, bije samotność połączona z życzliwością.

Z kolei twarz Justineau wykrzywia grymas wściekłości. Parks mruga szybko, porażony gwałtowną szczerością tego odruchu, a ona tymczasem wyrывa się z jego objęć.

– Nic mi nie jest – warczy. – Proszę zejść mi z drogi.

Sierżant, nie odwracając się, macha ręką w kierunku ogrodzenia, znajdującego się za jego plecami.

– Zwiadowcy zauważyli w lesie jakiś ruch – wyjaśnia. – Nie wiemy, czy to głodni, czy inne paskudztwo, ale póki co nikomu nie wolno zbliżać się do płotu. Przepraszam. To dlatego panią zatrzymałem.

Jakieś poruszenie nieopodal płotu, od strony, którą wskazał, rozprasza ją na moment i Justineau musi zrobić pewien wysiłek, by z powrotem skupić uwagę.

Spogląda mu w twarz. Próbuje oddychać powoli i równo, zebrać w sobie wszystkie rozedrgane emocje, nie chce bowiem, by dostrzegł je w jej spojrzeniu. Jeszcze by sobie ubzdurał, że potrafi ją zrozumieć.

Nagła myśl o tym, co już zdołał dostrzec, co o niej wie – lub sądzi, że wie – sprawia, że Justineau widzi całą sytuację w nowym świetle. Gdy złamała zasadę

fizycznego kontaktu, zagroził, że na nią doniesie. Nie zrobił tego. Aż do teraz.

To Parks poleciał z jężorem do Caroline Caldwell. Justineau jest tego pewna. Czteromiesięczna przerwa między incydem z Melanie i dzisiejszą reprimendą w żaden sposób nie osłabia w niej tego przekonania. W biurokratycznych systemach sprawy dojrzewają nieśpiesznie, acz skutecznie.

Musi walczyć z pokusą przyłożenia Parksowi w tę jego pokancerowaną gębę. Wystarczyłoby znaleźć słaby punkt i wymierzyć cios, za którego sprawą rozsypałby się na kawałki i raz na zawsze zniknął z jej życia.

– Wciąż tu jestem, sierżancie – oznajmia buntowniczo. – Chciał mnie pan pograżyć, ale ona dała mi tylko po łapach i zadała dodatkowe lekcje.

Parks marszczy czoło, co w jego wypadku jest trudne, ponieważ wokół blizny zostało bardzo niewiele gładkiej powierzchni.

– Pani wybaczy?

– Nie wybaczę. – Próbuje go wyminąć. Po chwili uświadamia sobie, że dalej jest już tylko płot, zawraca więc i mija Parksa bokiem.

– Nikogo nie próbowałem pograżyć – tłumaczy pośpiesznie sierżant. – Nie odpowiadam przed doktor Caldwell i nie składam jej raportów, jeśli o to pani chodzi.

Jego słowa brzmią szczerze. Chyba naprawdę mu zależy, żeby uwierzyła.

– W takim razie powinien pan zacząć – odparowuje Justineau. – To znakomity sposób, żeby mnie wkurzyć. Proszę nie psuć swoich wspaniałych wyników, sierżancie.

Parks wygląda na wzburzonego.

– Staram się pani pomóc. Naprawdę.

– Pomóc?

– Tak jest. Pracuję w terenie od wielu lat. Przetrwalem więcej ekspedycji niż ktokolwiek tutaj. Również w miastach. Były kurewsko ciężkie.

– I?

Parks wymownie wzrusza ramionami. Przez chwilę milczy, jakby skończył mu się zasób słów – co niespecjalnie ją dziwi.

– I wiem, o czym mówię – odpowiada w końcu. – Znam głodnych. Nie sposób przeżyć tak długo poza bazą, nie rozpracowawszy ich zwyczajów. Trzeba wiedzieć, które ruchy są bezpieczne, a które grożą śmiercią.

Justineau pozwala, by na jej twarzy odbiła się absolutna obojętność. Przeczuwa, że trafi to do niego mocniej niż jakakolwiek oznaka gniewu. Jego wzburzenie wskazuje jej drogę na wyżyny chłodnej pogardy.

– Ja nie wychodzę poza bazę.

– Ale ma pani z nimi do czynienia. Na co dzień – odpowiada sierżant. – I jest pani nieostrożna. Cholera, dotknęła pani tego czegoś. Gołą ręką – dodaje drżącym głosem.

– Owszem – przytakuje Justineau. – Dotknęłam. Takie to szokujące?
– Raczej głupie. – Parks potrząsa głową, jakby chciał odgonić muchę. –
Panno Justineau... Helen... Te zasady nie powstały dlatego, że komuś się tak
podało. To poważna sprawa i jeśli podejdziesz do nich poważnie, przeżyjesz.
Ocalą cię, chociażby przed twoimi własnymi instynktami.

Justineau nie odpowiada. Twardo się w niego wpatruje.

– Okej – mówi Parks. – W takim razie muszę wziąć sprawy w swoje ręce.

– Co proszę?

– To mój obowiązek.

– W swoje ręce?

– Bezpieczeństwo bazy spoczywa...

– Grozi mi pan, sierżancie?

– Obiecuję, że nie spadnie pani włos z głowy – odpowiada znużony Parks. –

Potrafię utrzymać porządek we własnym cholernym obejściu.

I nagle Justineau widzi to w jego twarzy. Widzi, że właśnie zaświtała mu
jakaś myśl.

– Co pan najlepszego zrobił?

– Nic.

– Co pan zrobił, pytam.

– To nie pani zmartwienie.

Coś tam jeszcze mówi, ale Justineau nie słucha. Odchodzi. Nietrudno jest jej
zignorować jego słowa. To tylko słowa.

Zbliżywszy się do bloku, puszcza się biegiem.

Kiedy nic się nie dzieje i nie można się nawet poruszyć, czas płynie o wiele wolniej.

Obie nogi oraz lewe ramię Melanie, wciąż przypięte do wózka, ścisła bolesny skurcz, ale trwa to już tak długo, że zdążyła o nim zapomnieć, zupełnie jakby ciało przestało wysyłać sygnały do mózgu. Melanie myśli o gniewie sierżanta i o tym, co z niego wyniknie. Następstw może być wiele, ale punkt wyjścia pozostaje ten sam. Sierżant rozgniewał się dopiero wtedy, gdy zaczęła mówić o pannie Justineau – kiedy powiedziała, że panna Justineau ją kocha.

Melanie wie, co to zazdrość. Odrobina zazdrości ogarnia ją za każdym razem, gdy panna Justineau zwraca się do innego dziecka z jej klasy. Pragnie bowiem mieć ją tylko dla siebie i za każdym razem, gdy sobie uświadamia, że jest inaczej, serce podskakuje jej w piersi i opada z głuchym tąpnięciem.

Z drugiej strony myśl o tym, że sierżant również bywa zazdrosny, przyprawia ją o zawroty głowy. Skoro jest do tego zdolny, to znaczy, że jego władza jest ograniczona, i to właśnie ona, Melanie, stoi na tej granicy i spogląda na niego przez ramię.

Ta świadomość przez jakiś czas trzyma ją przy życiu. Ale godziny ciągną się w nieskończoność i choć Melanie potrafi czekać, choć niestraszna jej nuda, to ten wypełniony pustką czas coraz bardziej jej ciąży. Historie, które próbuje układać, rozpadają jej się w głowie. Matematyczne równania okazują się zbyt łatwe, gdy człowiek sam je wymyśla; nim zacznie się nad nimi poważnie zastanawiać, jest już w połowie drogi do rozwiązania. Do tego zmęczenie staje się coraz bardziej dokuczliwe, a nieruchoma pozycja na wózku nie pozwala rozluźnić mięśni.

Wreszcie, po długim czasie, słyszy chrobot klucza w zamku i łoskot odsuwanych rygli. Szczęk stalowych drzwi. Echo kroków na betonowej posadzce. Czyżby sierżant? Wrócił, żeby ją rozwalić?

Ktoś odmyka drzwi celi i popycha je, aż stają otworem.

Panna Justineau.

– Już dobrze – mówi. – Jestem tu, Melanie. Jestem przy tobie.

Potem robi krok naprzód. Dopada wózka i mocuje się z nim niczym Herakles, kiedy brał się za bary z lwem albo wężem. Pas przytrzymujący ramię Melanie jest w połowie odpięty i opada bez trudu. Panna Justineau klęka, żeby oswobodzić nogi Melanie, mamrocząc przy tym przekleństwa.

– Czy ten człowiek zwariował? Jak tak można? Jak można coś takiego zrobić?

Melanie czuje, jak ucisk się zmniejsza i krew napływa z powrotem mrowiącą falą.

Zrywa się na nogi. Serce, pełne szczęścia i ulgi, niemal eksploduje jej

w piersi. Panna Justineau ją ocaliła! Melanie unosi ramiona. Ten odruch jest tak silny, że nie sposób mu się oprzeć. Chce, żeby panna Justineau wzięła ją na ręce. Chce ją przytulić i być tuloną, pragnie czuć jej dotyk nie tylko na włosach, ale i na ramionach, nogach, na całym ciele.

Nagle nieruchomieje niczym posąg. Mięśnie jej zuchwy sztywnieją, a z ust dobiega cichy jęk.

– Melanie? – Panna Justineau z niepokojem wyciąga rękę.

– Nie! – krzyczy Melanie. – Niech mnie pani nie dotyka!

Panna Justineau zamiera, ale się nie cofa. Jest tak blisko! Melanie zaczyna kwilić. Myśli eksplodują jej w głowie. Rzuca się do tyłu, zdrętwiałe nogi uginają się pod nią i jak długa pada na posadzkę. Ten zapach, ten cudowny, straszliwy zapach jest wszędzie, przejmuje kontrolę nad jej umysłem i sprawia, że jedyne, czego pragnie, to...

– Idź stąd – jęczy Melanie. – Uciekaj, uciekaj, uciekaj!

Panna Justineau się nie porusza.

– Uciekaj albo cię rozwałę! – wyje Melanie. Jest zrozpaczona. Do ust napływa jej gęsta jak błoto ślina. Szczęki poruszają się bez udziału woli, głowę wypełnia lekkość. Pograżona w bezruchu cela to znika, to pojawia się na nowo.

Dziewczynka kołysze się na końcu cieniuteńkiej linki. Jeśli runie, to tylko w jedną stronę.

– O Boże. – Panna Justineau wybucha szlochem. Wreszcie do niej dotarło. Cofa się o krok. – Przepraszam, Melanie. Zapomniałam!

Zapomniała o łaźni. Wśród odgłosów, które dotarły do uszu Melanie, gdy panna Justineau wchodziła na blok, zabrakło jednego: szumu tryskających z sufitu chemikaliów.

Melanie czuje w tej chwili to samo, co czuł Kenny, gdy sierżant podsunął mu pod nos obnażone ramię. Wtedy Melanie poczuła zaledwie cień tamtego zapachu, nie zrozumiała więc w pełni, co się wydarzyło.

Melanie ma wrażenie, że w jej wnętrzu coraz szerzej i szerzej otwiera się jakaś paszcza, z której po chwili dobywa się krzyk. Nie jest to krzyk strachu, wynika raczej z przemożnej potrzeby, i chociaż Melanie czuje tę potrzebę po raz pierwszy – chyba wie, jak ją nazwać. To głód. W codziennym życiu Melanie i jej kolegów głód i jedzenie nie wiążą się ze sobą. Ktoś podaje dzieciom miski, w miskach są larwy i dzieci łyżkami pakują je do ust. W książkach wszystko wygląda inaczej. Ich bohaterowie jedzą, bo chcą albo muszą, i gdy to robią, powoli ogarnia ich sytość. Daje im to taki rodzaj zaspokojenia, jakiego nie daje nic innego. Melanie przypomina sobie piosenkę, której nauczyła się kiedyś w klasie: „Gdy męczy mnie głód, jesteś moją strawą”. Głód sprawia, że kręgosłup Melanie pręży się niczym łuk w rękach Achillesa. A jej strawą będzie panna Justineau.

– Niech pani stąd idzie – prosi. Tak jej się w każdym razie wydaje. Nie jest

jednak całkiem pewna, ponieważ łomot serca zderza się z szumem oddechu i huczeniem krwi. Macha ręką. – Niech pani ucieka! – Ale panna Justineau stoi jak skamieniała, rozdarta między chęcią ucieczki a pragnieniem niesienia pomocy.

Melanie dźwiga się z podłogi, po czym rzuca się przed siebie z wyciągniętymi ramionami. Prawie tak jak chwilę wcześniej, gdy pragnęła, żeby panna Justineau wzięła ją na ręce. Tyle że teraz, dopadłszy nauczycielki, przyciska dłonie do jej brzucha...

„... miękka, ciepła skóra...”

... i odpycha ją z całej siły. Jest silniejsza, niż sama przypuszczała. Panna Justineau traci równowagę i przez chwilę zdaje się, że upadnie. Jeśli upadnie, będzie po niej. Będzie strawą.

Melanie czuje, jak wszystkie jej mięśnie sztywnieją i napinają się w olbrzymim wysiłku.

Resztką woli obraca to napięcie w ogłuszający ryk.

Panna Justineau zrywa się z podłogi i chwiejnym krokiem wypada z celi.

Melanie jednocześnie prze naprzód i wyrywa się do tyłu, jak człowiek z wielkim psem na smyczy, jest zarazem człowiekiem i psem, wyprężona na postronku własnej woli.

Pierwszy rygiel wskakuje na miejsce dokładnie w chwili, gdy Melanie dopada drzwi. Ten zapach, to pragnienie wciąż wypełniają ją od stóp do głów, ale panna Justineau jest już bezpieczna po drugiej stronie. Melanie orze paznokciami powierzchnię drzwi, w zdumieniu przypatrując się własnym ogłupiałym palcom. Wie, że zaporą nie ustąpi, ale zwierzę, które się w niej obudziło, wciąż ma nadzieję, że to możliwe.

Mija wiele czasu, nim zwierzę daje za wygraną, a wtedy wyczerpana mała dziewczynka osuwa się na kolana i opiera czoło o zimny, nieustępliwy beton.

Z góry dobiega do niej głos panny Justineau:

– Przepraszam, Melanie. Tak mi przykro.

Melanie, wycieńczona, unosi wzrok i dostrzega za siatką twarz nauczycielki.

– Proszę się nie bać – mówi słabo. – Nie ugryzę.

To miał być żart. Po drugiej stronie drzwi panna Justineau wybucha płaczem.

Z wielu różnych powodów wydarzenia tamtego dnia zlepią się w przyszłości w umyśle Helen Justineau w jednolitą, grząską masę. Tylko trzy rzeczy pozostaną jasne i wyraźne aż do dnia jej śmierci.

Po pierwsze to, że sierżant Parks od początku miał rację. Zarówno co do niej, jak i co do ryzyka, na które się narażała. Dopiero gdy na jej oczach dziecko zmieniło się w potwora, zrozumiała, że i dziecko, i potwór istnieją naprawdę. Marzyła kiedyś o tym, że wypuści Melanie na wolność, pomoże jej wyrwać się z tego więzienia, usunie dzielące je drzwi celi. Teraz wie, że ten moment nigdy nie nadejdzie.

Druga rzecz polega na sprawczej sile słów. „Jestem przy tobie”. Złożyła temu dziecku obietnicę i natychmiast układ jej myśli, jej tożsamość uformowały się wokół niej na nowo. Wypowiedziawszy ją, zaangażowała się na dobre, a może po prostu utwierdziła się w swoim zaangażowaniu. Nie jest to spowodowane wyrzutami sumienia (choć dobrze wie, na co zasłużyła) ani nadzieją na odkupienie dawnych win. Po prostu osiągnęła swój szczyt. Wzniosła się tak wysoko, jak to było możliwe, po czym runęła w dół, utraciwszy nad sobą wszelką kontrolę (o ile kiedykolwiek ją miała).

Ostateczny termin, który jej wyznaczono, zbliża się z niepohamowaną prędkością. Justineau musi zdecydować, które dzieci z jej klasy zostaną rozczłonkowane na stole chirurgicznym Caroline Caldwell. I nie ma pojęcia, co robić. Każde możliwe wyjście wydaje jej się w ten czy inny sposób niedopuszczalne.

Trzecia sprawa w porównaniu z tamtymi dwiema jest dość banalna. Wspomnienie, które już na zawsze utkwi jej w pamięci, dotyczy ruchu po niewłaściwej stronie płotu. To właśnie rozproszyło ją podczas rozmowy z Parksem, po tym jak starli się i każde rykoszetem wylądowało na swojej wcześniejszej pozycji.

Jakaś ludzka sylwetka obserwowała ogrodzenie ze skraju lasu, niemal niewidoczna w gęstwinie drzew i sięgających pasa chaszcz.

I nie był to głodny. Głodny nie odgarnąłby gałęzi, żeby lepiej widzieć.

A więc złomiarz. Członek dzikiego plemienia, które postanowiło trzymać się z dala od ludzkich ośrodków.

Justineau uznała, że nie stanowi on zagrożenia.

Ponieważ w tej chwili jedyne zagrożenie, które zaprzęta jej głowę, pochodzi z wewnątrz.

Eddie Parks wie jedno: ma tego wszystkiego po dziurki w nosie.

Kiedyś pracował w terenie i podobała mu się taka służba. Żołnierze nazywali to wyprawami na pachtę. Owszem, robota była brudna i niebezpieczna, ale co z tego? Wszyscy byli świadomi ryzyka i ewentualnych zysków. Ważyło się jedno i drugie i wszystko miało jakiś sens. Człowiek wiedział, na czym stoi.

Dlatego właśnie Parks tydzień po tygodniu zapuszczał się w rejony, gdzie głodni czaili się za każdym rogiem. W serca miast, tam gdzie żyło kiedyś najwięcej ludzi i gdzie infekcja rozprzestrzeniła się szybciej niż strach.

Z każdą decyzją rozstrzygały się ludzkie losy, a każdy kolejny krok mógł być zarazem ostatnim. Głodni w mieście, Jezu Chryste... Zazwyczaj przypominają posągi, ponieważ póki wokół panuje bezruch, oni również pozostają nieruchomi. Porządna dawka e-blokeru pozwoli przejść tuż obok, a jeśli zrobi się to w miarę płynnie i powoli, nawet cię nie zauważą.

Można się zapuścić naprawdę głęboko.

Wystarczy jednak, że któryś niezdarny sukinsyn potknie się o obluzowaną klepkę chodnikową, kichnie lub najzwyczajniej w świecie podrapie się po dupie, a już jeden z głodnych gwałtownie obraca łeb, zaalarmowany odgłosem, ruchem, cholera wie czym. A kiedy obróci się jeden, reszta jak stado małp pójdzie w jego ślady. Ani się obejrzysz, a kukły bez życia zmieniają się w rozjuszony bestie i runie na ciebie rozpędzona horda. W takim wypadku możesz zrobić trzy rzeczy, z czego dwie prawie na pewno skończą się twoją śmiercią.

Jeśli znieruchomiejesz, głodni rzucą się na ciebie i zwałą cię z nóg jak gangrenowate tsunami. Nie oszukasz ich, choćbyś się wcześniej wykapał w e-blokerze.

Jeśli zaczniesz uciekać, dogonią cię. Nawet jeżeli zyskasz początkową przewagę, to pamiętaj, że głodny potrafi utrzymać to samo niezmiennie tempo właściwie w nieskończoność. Nie potrzebuje odpoczynku, nigdy nie zwolni ani się nie zatrzyma i prędzej czy później cię dopadnie.

A więc walczysz.

Wymierzasz szerokie, łukowate ciosy poniżej pasa, jeden po drugim, jak automat. Chodzi o to, by podciąć im nogi i zmusić do czołgania się na rękach. To minimalnie zwiększy twoje szanse. Najlepiej, gdybyś do tego znalazł jakąś wąską szczelinę albo załom, gdzie wciśnie się za tobą nie więcej niż dwójka naraz. Mimo to nie uwierzyłbyś, ile te parszywce są w stanie wytrzymać.

Zdarzają się również dni, kiedy na twojej drodze pojawia się niebezpieczeństwo całkiem innego rodzaju. Złomiarze. Egoistyczni dranie, którzy nie posłuchali apelów o powrót do Beacon. Zamiast tego woleli spróbować życia na zewnątrz. Zazwyczaj mają na tyle oleju w głowie, by trzymać się z dala od

miast, co nie zmienia faktu, że każdy teren zabudowany leżący w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od ich obozu traktują jak własne udzielne księstwo.

Kiedy więc żołnierze z Beacon spotkają się z grupą złomiarzy-szabrowników, wiadomo na pewno, że poleje się krew. To właśnie jednemu z nich sierżant Parks zawdzięcza swoją bliznę. Nie romantyczną i dyskretną, jak blizna po pojedynku, lecz straszliwą i poszarpaną, przypominająca ukośny pas na średniowiecznym herbie, będący oznaką haniebnego urodzenia. Parks testuje często wytrzymałość nowych rekrutów, sprawdzając, jak długo są w stanie patrzeć mu w twarz, zanim ta potworność sprawi, że ogarnie ich rozpaczliwe i długotrwałe zainteresowanie wyglądem własnych butów.

A jednak to, co czeka na nich w opustoszałych domach i biurach, czyni ich wyprawy wartymi każdego ryzyka. Stare urządzenia, komputery, obrabiarki i sprzęt komunikacyjny, nietknięte od czasów Załamania – to przedmioty bezcenne w czasach, gdy przemysł wytwórczy po prostu nie istnieje. W Beacon nie brak wprawdzie speców, którzy dobrze znają tajniki ich działania, czymże jest jednak wiedza bez infrastruktury? Wygląda na to, że każdy cholerny obwód, każdy kawałek plastiku, powstawał niegdyś w oddzielnej, wyspecjalizowanej fabryce, a ludzie, którzy w niej pracowali, to ci sami, którzy teraz zrobią wszystko, by przegryźć się przez twój kombinezon z kevlaru i zatopić zęby w miękkim mięsie pod spodem.

Tak więc nawet jeśli to starocie, ich wartość jest olbrzymia. Okej, Parks to rozumie. Wie, że władze Beacon gorączkowo usiłują na nowo odbudować świat, który dwadzieścia lat temu został rozbity w pył, i że skarby przynoszone przez patrole są jak most linowy nad bezdennym kanionem. To jedyny sposób, by z obleżonej twierdzy przedostać się w miejsce, gdzie znów wszystko będzie w porządku.

A jednak ma wrażenie, że gdzieś po drodze wszyscy się pogubili. To się zaczęło w dniu, kiedy natknęli się na pierwsze z tych dziwacznych dzieciaków i jakiś cholerny służbista, któremu chyba nikt nigdy nie powiedział, czym wybrukowane jest piekło, koniecznie musiał zameldować o tym w raporcie.

Brawo, żołnierzu. Twoja miłość do raportów sprawiła, że koledzy pachciarze zasypani zostali całkiem nowymi rozkazami, z których najważniejszy brzmiał: przyprowadźcie nam takiego dzieciaka, żebyśmy mogli się mu (albo jej, a może temu czemuś) długo i uważnie przyjrzeć.

Przyglądali się więc spece od techniki, przyglądali się naukowcy, a ich ciekawość rosła i rosła. Głodni, którzy zachowują się jak ludzie? Reagują jak ludzie? O poziomie inteligencji, który nie ustępuje ludzkiemu? Głodni, którzy potrafią coś więcej, niż polować? Na dodatek biegają sobie wolno, nadzy i zdziczali, nienagabywani przez swoich zezwierzęcałych pobratymców? O co tu chodzi?

Wydano kolejne rozkazy: zarekwirować jakąś położoną na uboczu bazę. Postawić płot i czekać. Parks i jego ludzie plądrowali wówczas opustoszałe przedmieścia Stevenage i Luton, więc baza Królewskich Sił Lotniczych w Henlow wydała się w sam raz. W miarę nienaruszona, zapewniała sporo przestrzeni zarówno ponad ziemią, jak i w opancerzonych bunkrach pod jej powierzchnią, a do tego posiadała zdalny do użycia pas startowy.

Zajęli ją więc, zdezynfekowali i przystosowali do własnych potrzeb. Potem pozostało im już tylko czekać.

Później w bazie pojawiła się doktor Caldwell ze swoim białym fartuchem, jaskrawoczerwoną szminką oraz mikroskopem, a także listem z Beacon opatrzonym całym mnóstwem podpisów.

– Od dziś to moje podwórko, sierżancie – oznajmiła. – Zajmę tamten budynek i szopy po obu stronach. Proszę mi tu sprowadzić więcej tych dzieciaków. Tyle, ile pan zdoła znaleźć.

Tak po prostu. Zupełnie jakby zamawiała jedzenie z dowozem do domu, w czasach gdy robiło się jeszcze takie rzeczy.

To właśnie wtedy życie Parksa pograżyło się w chaosie. Przestał być pachciarzem. Został kłusownikiem.

Fakt, umiejętności mu nie brakowało. Co tam, był w tym piekielnie dobry. Od razu pojął, że te dziwadła, dzieciaki różniące się od reszty, najlepiej rozpoznać po sposobie, w jaki się przemieszczają. Zwyczajnie głodnych są pod tym względem dość prymitywne. Większość czasu spędzają nieruchomo, niby wrośnięci w podłoże, i można odnieść wrażenie, że już nigdy się nie poruszają. Ale gdy zwęszą, usłyszą lub dostrzegą potencjalną ofiarę, natychmiast puszczają się przed siebie przerażającym martwym galopem. Bez rozgrzewki i bez ostrzeżenia. Prędkość warp, współczynnik dziewięć.

Co innego ci mali odmieńcy. Oni poruszają się również wtedy, gdy nie polują, łatwo więc ich rozpoznać. Poza tym reagują na rozmaite bodźce niekoniecznie będące obietnicą posiłku, można więc przyciągnąć ich uwagę na przykład za pomocą lusterka, latarki bądź kawałka kolorowego plastiku.

Potem należy odciąć je od stada. Fakt, że to niezbyt trafne określenie, ponieważ każdy głodny traktuje innych głodnych jak element krajobrazu. Ale można takiego dzieciaka wywabić samego na otwartą przestrzeń. A potem zarzucić sieć.

Sierżantowi i jego grupie udało się dostarczyć do bazy trzydzieści okazów. Gdy już złapali odpowiedni rytm, zadanie okazało się całkiem proste. Po siedmiu miesiącach doktor Caldwell oznajmiła, że ma wystarczającą ilość materiału badawczego, i kazała im czekać na dalsze rozkazy.

Wtedy dopiero zaczął się prawdziwy cyrk: Parks został cholerną przedszkolanką. Nagle okazało się, że stoi na czele bazy, której jedynym zadaniem

jest niańczenie tych małych potworów. Każde dostało własny pokój z łóżkiem zbitym z palet, takim samym jak łóżka żołnierzy, do tego zapewniono im cotygodniowy posiłek (którego lepiej nie oglądać, jeśli człowiek jeszcze kiedykolwiek chce coś zjeść z apetytem), a nawet salę lekcyjną.

Po co im ta sala?

Otóż Caldwell jest ciekawa, czy ta upiorna gromadka potrafi się uczyć. Chce im zajrzeć do mózgow. Nie chodzi jej tylko o to, jak są zbudowane – do tego wystarczy stół operacyjny – ona chce się dowiedzieć wszystkiego. Na przykład: o czym myślą?

A oto, o czym myśli sierżant Parks: normalni głodni to pryszcz w porównaniu z tymi bestiami w dziecięcej skórze. Normalnych głodnych można przynajmniej uważać za zwierzęta, bo kiedy człowiek podcina im kolana, nie gapią się na niego i nie mówią: „dzień dobry, sierżancie”.

Szczerze mówiąc, Parks czuje, że wiele więcej nie zdoła już przełknąć. Najgorsza jest ta z jasnymi włosami, Melanie. Z jakiegoś powodu zyskała miano obiektu doświadczalnego numer jeden, mimo że schwytał ją jako jedenastą albo dwunastą z kolei. Przeraża go jak cholera, choć sam nie umie stwierdzić dlaczego. Zresztą może by i umiał, tylko nie chce o tym myśleć. Zapewne ma z tym coś wspólnego ta jej niezdolna maniera małej lizuski. Ktoś, kto mimo ludzkich kształtów w środku jest zwierzęciem, powinien wydawać z siebie nieartykułowane dźwięki albo milczeć. Kiedy zaczyna do ciebie mówić, tylko zaciemnia obraz.

Ale Parks jest żołnierzem. Potrafi się zamknąć i robić, co mu każą. Więcej: to jego specjalność. Rozumie też, o co chodzi Caldwell. Ci smarkacze – prawdopodobnie dzieci złomiarzy, które przeżyły spotkanie z głodnym, ale przy okazji zostały zarażone – wydają się wykazywać częściową odporność na patogen głodu. Oczywiście to nadal ludojady. Tak samo jak pozostali reagują na zapach żywego mięsa, po czym można te cholery bezbłędnie rozpoznać. Ale z jakiegoś powodu światło w ich głowach nie zgasło – nie całkiem. Gdy żołnierze je znaleźli, żyły jak zwierzęta, ale szybko nabrały ogłady i teraz potrafią chodzić, mówić, gwizdać, liczyć do miliona i tak dalej.

Tymczasem ich mamusie i tatusiowie zniknęli bez śladu. O ile głodni dopadli całą rodzinę, jej dorosłych członków spotkał zapewne los każdego pogryzionego. Zmienili się w bezwolne monstra.

Dzieciaki natomiast zatrzymały się w połowie drogi. Więc może faktycznie są jedyną nadzieją na odkrycie antidotum.

I co? Okazuje się, że Parks nie jest idiotą. Dobrze wie, co się tu odbywa, i robi swoje, po cichu i bez narzekań. Już od jakichś czterech lat.

Wymiana personelu miała nastąpić po osiemnastu miesiącach.

Większość żołnierzy w bazie jedzie na tym samym wózku i można stwierdzić uczciwie, że Parks martwi się o nich bardziej niż o siebie. Nie chodzi

o to, że stał się sentymentalny; po prostu zna granice własnej wytrzymałości, natomiast ich reakcje trudno mu przewidzieć. Pod jego dowództwem znajduje się dwadzieścioro ósmioro mężczyzn i kobiet (nie licząc ludzi doktor Caldwell, którzy w większości nie mają bladego pojęcia, co oznacza słowo „rozkaz”), a skoro jest ich tak niewielu, sytuacja wymaga, by wszyscy byli nieustannie w najwyższej formie bojowej, gotowi na każdy rozwój sytuacji.

Parks ma obecnie wątpliwości co do połowy swojej grupy.

Co do siebie zresztą także, jest bowiem podoficerem w gruncie rzeczy pełniącym obowiązki dowódcy polowego jednostki będącej w ścisłej współpracy z organami władzy cywilnej. Zgodnie z przepisami, najniższy stopień przyporządkowany do takiej misji to porucznik.

Parks ma własne zasady, rzadko pokrywające się z przepisami. Bywa jednak, że jego środek ciężkości zostaje zachwiany. Ostatnio przez większość czasu właśnie tak się czuje.

Tak też czuje się dzisiaj, przyjmując raport Gallaghera.

Gallagher K., szeregowy nr 1097, dn. 24 lipca, godz. 17.36

W dniu dzisiejszym podczas rutynowego patrolu obszarów zalesionych na północny zachód od bazy brałem udział w incydencie, który rozegrał się jak poniżej:

Przyjąłem na siebie rolę przynęty, Devani osłaniał mnie uzbrojony w automat, a Barlow i Tap zajęli pozycje na tyłach.

Przy Hitchin Road, blisko ronda Pilota, stwierdziliśmy obecność dużej grupy głodnych. W większości były to osobniki mocno wychudzone, nie wyglądały jednak na szczególnie niebezpieczne.

Oslaniający zajęli pozycję w lesie, zgodnie z parametrami operacyjnymi, ja zaś zostałem przy rondzie. Zgodnie z rozkazem starszego szeregowego Tapa nie miałem na sobie e-blokera

Podszedłem głodnych od zawietrznej i czekałem na ich reakcję.

Zauważywszy mnie, podążyli za mną przez kilkaset metrów, aż do granicy terenu zalesionego, gdzie zgodnie z zaleceniami przeszedłem do czynności...

– Chryste Panie – wzdycha Parks, odkładając raport na biurko. – W dniu dzisiejszym, zgodnie z zaleceniami przeszedłem do czynności... Lepiej powiedz mi po prostu, co się stało. Zachowaj te bzdury do swojej autobiografii.

Gallagher oblewa się rumieńcem aż po cebulki rudych włosów. Nawet piegi znikają w tej fali czerwieni. W wypadku każdego innego żołnierza oznaczałoby to przyznanie się do porażki. Istnieje jednak długa lista rzeczy, które sprawiają, że szeregowy Gallagher płoni się niczym pensjonarka: wystarczy świński dowcip, wysiłek większy niż marsz podczas defilady albo jeden nawet łyk nielegalnie pędzonego dżinu. Nie żeby często zdarzało mu się pić – na widok alkoholu wpada w taką panikę, jakby nie był zwykłym żołnierzem, lecz bojownikiem Armii

Zbawienia. Krótko mówiąc, jeśli chodzi o tego chłopca, cierpliwość Parksa jest wyjątkowo rozciągliwa.

– Tak jest, panie sierżancie – mówi Gallagher. – Głodni siedzieli mi na ogonie, znaczy się byli tak blisko, że czułem ich smród. Zna pan ten kwaśny odór, który zaczynają wydzielać, kiedy te szare żyłki wyłażą im na wierzch? Był tak silny, że oczy zaszczyły mi łzami.

– Ci żyłkowaci zazwyczaj nie oddalają się tak bardzo od miast – zauważa Parks, zaniepokojony tą nowiną.

– Nie, panie sierżancie. Ale mówię panu, tamta zgraja była już mocno sparszywiała. Kilku miało takie jakby wpadnięte twarze. Ubrania na nich gniły. Jeden nie miał ręki. Nie wiem, czy odgryzł mu ją ten, co go zaraził, czy odpadła później, ale to na pewno nie były świeżynki. Tak czy inaczej biegłem w stronę Tapa i Barlowa, którzy schowali się za sporą kępą buków. W tamtym miejscu rośnie całkiem solidny żywopłot. Należy znaleźć właściwy punkt, na tyle przeredzony, żeby nie trzeba było za mocno zwalniać. No i oczywiście człowiek nigdy nie wie, na co wpadnie.

Gallagher milknie na moment, krzywiąc się lekko. Wygląda na to, że jego opowieść napotkała barierę o wiele solidniejszą niż tamten żywopłot.

– A ty na co wpadłeś? – pyta Parks.

– Na trzech facetów. Złomiarzy. Kręcili się po przeciwnej stronie żywopłotu, więc z drogi byli niewidoczni. Tam rosną jeżyny, może je zbierali albo coś. Tyle że jeden z nich, sądząc po łachach, chyba herszt, miał lornetkę. Poza tym wszyscy trzej byli uzbrojeni. Herszt miał spluwę, a pozostali dwaj maczety. Przeleciałem przez żywopłot jakieś czterdzieści metrów dalej i biegłem prosto na nich. Wrzasnąłem, żeby uciekali, ale nie słuchali. Ten ze spluwą wycelował we mnie i o mało nie odstrzelił mi łba. Głodni przedarli się przez krzaki tuż za mną i tamten stracił koncentrację. Ale wszyscy trzej wciąż stali mi na drodze, a ten oszołom nadal we mnie celował. Więc go staranowałem. Nie miałem wyjścia. Wystrzelił, ale spudłował. Nie wiem jakim cudem, z takiej małej odległości. Odepchnąłem go z całej siły i pędziłem dalej.

Gallagher znów popada w milczenie. Parks czeka, pozwala mu zebrać słowa. Widać wyraźnie, że chłopak jest zdrowo wystraszony, a czasem rola sierżanta polega na tym, by pozwolić podwładnemu się wygadać. Gallagher to jeden z największych żółtodziobów w grupie. Nawet jeśli urodził się przed Załamaniem, to, gdy nadeszło, z pewnością nie zdążył oderwać się jeszcze od cycka. Trzeba wziąć na to poprawkę.

– Dziesięć sekund później wbiegłem między drzewa – odzywa się wreszcie Gallagher. – Obejrzałem się przez ramię i nic nie dostrzegłem. Ale usłyszałem krzyk. To musiał być któryś ze złomiarzy. Wrzeszczał tak i wrzeszczał cholernie długo. Zatrzymałem się. Myślałem, czy nie zawrócić, ale głodni byli tuż za mną,

więc musiałem biec dalej. – Gallagher wzrusza ramionami. – Tak czy inaczej wykonaliśmy zadanie. Tap i Barlow zdążyli zastawić pułapki. Głodni zaplątali się w drut kolczasty i tyle, wystarczyło, żeby zrobić z nimi porządek.

– Benzyna czy wapno? – pyta Parks. Musi zapytać, ponieważ zabronił Nielsonowi wydawania benzyny na rutynowe obchody, wie jednak dobrze, że kwatermistrz wciąż wystawia kwity na dziesięciogalonowe beczki.

– Wapno, panie sierżancie – w głosie Gallaghera dźwięczy wyrzut. – Tam przy drodze jest taki rów, który wykopaliśmy jeszcze w kwietniu. Niezapełniony nawet do połowy. Wrzuciliśmy ich tam i przysypaliśmy trzema workami, więc o ile nie spadnie deszcz, wszystko powinno pójść gładko.

Techniczne detale sprawiają, że Gallagher na moment odzyskuje nieco animuszu. Nie trwa to długo. Poważnieje i mówi dalej:

– Kiedy skończyliśmy, wróciliśmy do żywopłotu. Herszt złomiarzy i jeden z pozostałych dwóch leżeli na ziemi, dokładnie tam, gdzie ich wcześniej spotkałem. Byli mocno zmasakrowani, ale wciąż się ruszali. Nagle herszt otworzył oczy. Stwierdziłem, iż przyczyną było... – Gallagher łapie się na tym, że znów przemawia językiem ze swoich raportów. Zaczyna od nowa: – Płakał krwią, tak jak to robią niektórzy, kiedy ta pleśń dostanie im się do organizmu. Nie ma wątpliwości, że obaj zostali zarażeni.

Parks jest opanowany. Przewidział taką puentę.

– Dobilście ich? – pyta. Nie zamierza owijać w bawełnę. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Niech Gallagher wie, że robota to robota, i tyle. Teraz mu to nie pomoże, ale możliwe, że później będzie mu dzięki temu odrobinę lżej.

– Barley, znaczy szeregowy Barlow, odciął im obu głowy maczetą tego drugiego.

– Miał maskę i rękawice?

– Tak jest, panie sierżancie.

– Zabraliście im broń?

– Zabraliśmy. Spluwa jest w dobrym stanie, a w jednym z plecaków znaleźliśmy czterdzieści naboji. Ta lornetka to trochę złom, ale herszt miał też krótkofalówkę. Nielson mówi, że się przyda.

Parks kiwa głową z zadowoleniem.

– To była trudna sytuacja i poradziłeś sobie naprawdę dobrze – zapewnia Gallaghera, i mówi to całkiem szczerze. – Gdybyś wtedy, przy żywopłocie, nie pobiegł dalej, cywile i tak by zginęli, a ty pewnie razem z nimi. Dobrze, że stało się tak, jak się stało.

Gallagher nie odpowiada.

– Zastanów się – przekonuje go Parks. – Ci złomiarze przebywali niecałe dwa kilometry od naszej bazy, uzbrojeni i zaopatrzeni w sprzęt zwiadowczy. Nie wiem, co tam robili, ale z pewnością nie chodziło im o spacerek na świeżym

powietrzu. Wiem, że czujesz się parszywie, ale to, co im się przytrafiło, nie stało się z twojej winy. Nawet gdyby byli niewinni jak jagniątko, zdecydowali się na życie poza ogrodzeniem, więc muszą się liczyć z konsekwencjami. A teraz idź się upić czy na co tam masz ochotę. Wdaj się w jakąś bójkę albo kogoś przeleć. Odreaguj. Tylko nie waż mi się tracić choćby sekundy mojego albo swojego czasu na wyrzuty sumienia z powodu tego gówna, w którym wszyscy siedzimy po uszy. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, żołnierzu!

Gallagher staje na baczność, przeczuwając rychłą odprawę.

– A teraz odmaszerować.

– Tak jest.

Salutuje elegancko. W dzisiejszych czasach prawie nikt nie zawraca sobie głowy takimi przepisowymi gestami, sierżant wie jednak, że szeregowy chciał mu w ten sposób podziękować.

Prawda jest taka, że Gallagher, choć zielony jak szczypiorek, wyróżnia się na tle kolegów, w najlepszym razie tkniętych znieczulicą, w najgorszym – do cna zepsutych. Parks nie może sobie pozwolić na to, by taki chłopak zasilił szeregi snujących się po bazie ludzkich wraków. Gdyby załatwił tych złomiarzy własnymi rękami, wypatroszył i poskręcał ich nadmuchane jelita tak, by powstały z nich zwierzątka, Parks i tak zrobiłby wszystko, żeby pokazać mu całą sytuację w pozytywnym świetle. Jego ludzie są dla niego priorytetem.

Przez te wszystkie myśli przebija jednak powracające uparcie pytanie: złomiarze? Tuż pod jego nosem?

Jakby nie miał już wystarczająco dużo zmartwień.

Tydzień ciągnie się tak, jakby nigdy nie miał się skończyć. Trzy dni z rzędu lekcji z panem Whitakerem wprawiają całą klasę w niespotykany letarg.

Melanie nie wie, czy to się dzieje przypadkiem, czy celowo, ale sierżant trzyma się od niej z daleka. Dziewczynka każdego ranka słyszy jego głos nawołujący do tranzytu, ale nie widzi go, gdy zabierają ją z celi ani wtedy gdy zamykają ją z powrotem. Za każdym razem ogarnia ją nerwowe oczekiwanie. Jest gotowa na kolejne starcie, gotowa wykrzyknąć mu w twarz swoją nienawiść i rzucić wyzwanie, by jeszcze raz spróbował ją skrzywdzić.

Ale on się nie pokazuje i Melanie musi wchłonać emocje jak szczurzyca albo króliczka, która wchłania z powrotem miot, gdy warunki nie pozwalają na bezpieczny poród.

Piątek to dzień panny Justineau. Normalnie stanowiłoby to dla Melanie powód do gwałtownej i nieskomplikowanej radości. Tym razem ogarnia ją jednocześnie podniecenie i strach. W końcu omal nie zjadła panny Justineau. Co będzie, jeśli się okaże, że ukochana nauczycielka się na nią gniewa albo całkiem przestała ją lubić?

Początek lekcji nie przynosi pocieszenia. Panna Justineau wchodzi do klasy smutna, zamyślona i zamknięta w sobie, tak że nie sposób zorientować się, co czuje. Wita się z całą grupą naraz zamiast jak zwykle z każdym z osobna. Nawet na nich nie patrzy.

Rozdaje dzieciom arkusze z prostymi testami wyboru. Wypełnianie ich zajmuje większą część dnia. Potem siada przy biurku i podlicza odpowiedzi, zapisując wyniki w dużym zeszycie, podczas gdy klasa rozwiązuje zadania matematyczne.

Melanie nie zaprzęta sobie zbytnio głowy działaniami, z którymi uporała się w kilka minut. Większość z nich opiera się na prostym rachunku różniczkowym z jedną zmienną. Dziewczynka skupia całą uwagę na pannie Justineau. Z przerażeniem zauważa, że pochylona nad papierami nauczycielka cicho sobie popłakuje.

Zrozpaczona Melanie gorączkowo szuka w głowie odpowiednich słów. Takich, które pocieszyłyby pannę Justineau albo przynajmniej sprawiły, że choć na chwilę zapomni o troskach. Skoro sprawdzanie testów tak ją zasmuca, to przecież mogliby się zająć czymś innym, lżejszym i przyjemniejszym.

– Poczyta nam pani, panno Justineau? – pyta.

Nauczycielka chyba jej nie usłyszała. Dalej podlicza punkty.

Kilkoro dzieci wzdycha i zaczyna się kręcić na wózkach. Widzą, że panna Justineau jest smutna, i najwyraźniej uważają, że Melanie nie powinna zawracać jej głowy swoimi zachciankami. Melanie jednak trzyma się raz powziętego

przekonania. Wierzy, że jeśli tylko uda jej się wciągnąć nauczycielkę do rozmowy, ona i pozostałe dzieci z pewnością zdołają ją rozweselić. Przecież najcudowniejsze wspomnienia Melanie wiążą się właśnie z tym miejscem, z tą salą. Chyba z panną Justineau jest podobnie?

Podjmuje więc kolejną próbę.

– Czy możemy posłuchać greckich mitów, proszę pani? – pyta głośniej.

Tym razem nauczycielka unosi wzrok i kręci głową.

– Nie dzisiaj, Melanie – mówi głosem tak samo smutnym jak jej mina. Przez kilka chwil wpatruje się w dzieci nieruchomym spojrzeniem, jakby była zdziwiona, że je widzi. – Muszę to dokończyć – dodaje.

Mimo to nie zagląda więcej do zeszytu. Wciąż patrzy na dzieci, marszcząc lekko brwi. Zupełnie jakby to przed nią ktoś położył trudne matematyczne działania i właśnie natrafiła na takie, którego nie potrafi rozwiązać.

– Kogo ja, do cholery, chcę oszukać? – pyta bardzo cicho.

Zaczyna drzeć testy, co jest zaskakujące, ale dzieciom w ogóle nie przeszkadza, no bo kogo obchodzą wyniki testów? Chyba tylko Kenny'ego i Andrew, rywalizujących o pierwsze miejsce w klasie, co samo w sobie jest żalosne i głupie, ponieważ to Melanie jest najlepsza ze wszystkich, a zaraz za nią Zoe, więc chłopcy i tak walczą dopiero o trzecią pozycję.

Panna Justineau zaczyna wrywać ze swojego zeszytu po kilka kartek naraz i rozdziera je na maleńkie kawałki. Upuszcza poszarpane papierki do śmieci, ale one są zbyt lekkie, by spaść prosto, i kręcą się w powietrzu, powoli zaścielając podłogę wokół kosza. Robi się z tego niezły bałagan, ale pannie Justineau najwyraźniej to nie przeszkadza. Zaczyna rzucać skrawki papieru w górę, tak że rozsypują się jeszcze szerzej.

Wprawdzie nie poweselała, ale przynajmniej przestała płakać. To dobry znak.

– Chcecie, żebym wam poczytała? – pyta.

Wszyscy chcą.

Panna Justineau zdejmując książkę z półki i wychodzi na środek klasy. Na początek wybiera historię Akteona, dość straszną, po czym przechodzi do jeszcze straszniejszych dziejów Tezeusza i Minotaura. Na prośbę Melanie dodaje jeszcze mit o Pandorze, który – choć wszystkim dobrze znany – stanowi znakomite zwieńczenie dnia.

Kiedy do sali wchodzi ludzie sierżanta, panna Justineau odwraca wzrok. Siada na brzegu biurka i obraca w dłoniach książkę z mitami.

– Do widzenia, panno Justineau – mówi Melanie. – Do zobaczenia, mam nadzieję.

Panna Justineau podnosi wzrok. Chyba ma ochotę coś powiedzieć, ale w tej chwili Melanie czuje gwałtowne szarpnięcie, gdy ktoś – jeden z ludzi sierżanta –

chwyta jej wózek od tyłu i zwalnia hamulce. Wózek zaczyna się obracać.

– Zostawcie mi ją jeszcze na chwilę – mówi panna Justineau.

Melanie jej nie widzi, bo skierowano ją w przeciwną stronę, ale głos panny Justineau dociera do niej głośno i wyraźnie, co oznacza, że nauczycielka jest bardzo blisko.

– W porządku – odpowiada żołnierz znudzonym głosem, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że mu wszystko jedno, i podchodzi do Gary’ego.

– Dobranoc, Melanie – mówi panna Justineau. Ale nie odchodzi. Nachyla się i jej cień pada na poręcze wózka i na dłonie Melanie.

Melanie czuje, że nauczycielka wciska pomiędzy jej plecy a oparcie coś twardego i kanciastego.

– To dla ciebie – mówi panna Justineau niewyraźnym szeptem. – Tylko nikomu ani słowa.

Melanie wciska się w oparcie, tak mocno jak tylko potrafi, napierając barkami na metalową płytę. Czuje to coś pod krzyżem, ukryte przed wścibskimi spojrzeniami. Nie ma pojęcia, co to może być, ważne, że to prezent, który panna Justineau podarowała jej i tylko jej.

Utrzymuje tę samą pozycję przez całą drogę do celi i nadal siedzi mocno wparta w wózek, kiedy żołnierze odpinają krępujące ją pasy. Boi się poruszyć choćby jednym mięśniem, boi się spojrzeć im w oczy, żeby przypadkiem się z czymś nie zdradzić.

Dopiero gdy ludzie sierżanta wychodzą i rozlega się szcęk zasuwanych rygli, Melanie sięga ręką do tyłu i wysuwa zza pleców tajemniczy przedmiot. Czuje jego ciężar, dostrzega prostokątny kształt i wreszcie skupia wzrok na literach okładki.

Roger Lancelyn Green, *Opowieści muz. Mity greckie*.

Melanie wydaje z siebie zduszony okrzyk. Nie udaje jej się go powstrzymać, choć wie, że może w ten sposób sprowadzić do celi ludzi sierżanta. A więc to książka! Jej własna książka! I to akurat ta! Przesuwa palcami po okładce, przerzuca kartki, obraca książkę w dłoniach i ogląda ją ze wszystkich stron. Wreszcie wacha.

To okazuje się błędem, ponieważ książka pachnie panną Justineau. Spod wierzchniej woni pozostawionej przez jej palce, tak samo gorzkiej i okropniej jak zawsze, przeziara lżejszy, a między stronami bardziej intensywny, naturalny ludzki zapach panny Justineau.

To znane już uczucie – powalający, krzyczący głód – trzyma Melanie w swoich szponach bardzo, bardzo długo. Nie jest jednak tak silne jak ostatnim razem, gdy zapach panny Justineau dobiegał do niej z bliska, pozbawiony chemicznej powłoczki. Mimo to przeraża ją ten bunt, który jej ciało wypowiada głowie. Podobnie musiała czuć się Pandora, kiedy otwierała puszkę, bo choć wiele razy ją przed tym ostrzegano, to przecież to, jak została stworzona, nie pozostawiło

jej wyboru. Na szczęście Melanie przywyka w końcu do tej woni tak samo, jak w każdą niedzielę przywyka do oparów w łaźni. Zapach wprawdzie nie znika, ale już nie dręczy jej tak straszliwie; jego niezmiennność sprawia, że w pewien sposób staje się niewyczuwalny. Głód powoli ustępuje, aż w końcu odchodzi, a Melanie zostaje.

Razem z nią zostaje książka. Melanie czyta aż do świtu, zatopiona w innym świecie, z którego nie wrywają jej nawet napotykanie od czasu do czasu niezrozumiałe słowa.

Przypomni sobie o tym później – zaledwie jeden dzień później – gdy wszystko, co dotąd знаła, zostanie daleko za nią.

Jest wtorek, a doktor Caldwell nadal nie otrzymała zamówionej przez siebie listy. Justineau ani się nie zjawiała, ani nie przesłała jej żadnej wiadomości. Nie wytłumaczyła się ze spóźnienia, nie poprosiła również o dodatkowy czas do namysłu.

„A więc – myśli Caldwell – moja początkowa ocena się sprawdziła. Emocjonalna więź, którą Helen Justineau nawiązała z obiektami badawczymi, najwyraźniej ma szkodliwy wpływ na to, jak wykonuje swoje obowiązki. A ponieważ obowiązki te są częścią moich planów klinicznych, ich zaniedbanie należy potraktować poważnie”.

Póki co przywołuje w pamięci wszystko, czego zdołała się dotąd dowiedzieć. Od czego by tu zacząć? Caldwell poszukuje powodu, dla którego w tej znikomej liczbie przypadków *ophiocordyceps* okazał tak niespotykane miłosierdzie. Większość zarażonych patogenem niemal natychmiast odczuwa pełny efekt jego działania. W ciągu kilku minut, w ostateczności godzin, nieodwracalnie i na zawsze zanikają władze umysłowe oraz samoświadomość. Dzieje się to, zanim jeszcze nitki grzybni wnukną w tkankę mózgową; ich podszywająca się pod przekaźniki nerwowe wydzielina wykonuje większość czarnej roboty. Mikroskopijne tarany raz po raz uderzają w konstrukcję ludzkiego jestestwa, aż ta pęka, kruszeje i obraca się pył. To, co pozostaje, to zaledwie nakręcana zabawka, która porusza się jedynie wtedy, gdy *cordyceps* przekręca kluczyk.

Zebrane w bazie obiekty doświadczalne zostały zarażone wiele lat temu, a mimo to wciąż myślą i mówią. A nawet się uczą. Ich mózgi nadal są w stosunkowo dobrej formie; strzępki grzybni, choć rozpleniły się w tkance nerwowej, jakimś cudem nie są w stanie na niej żerować. W organizmach tych dzieci jest coś, co opóźnia rozrastanie się grzyba oraz zmniejsza stopień jego złośliwości.

Częściowa odporność.

Gdyby tylko zdołała znaleźć przyczynę, Caldwell znalazłaby się w połowie – przynajmniej w połowie – drogi do wynalezienia lekarstwa.

Gdy myśli o tym w ten sposób, decyzja podejmuje się sama. Musi zacząć swoje badania od dziecka, które wykazuje najmniejszy stopień upośledzenia. Od tego, które pomimo równie wysokiego, a czasem nawet wyższego niż u pozostałych stężenia grzybnej materii we krwi oraz tkance jakimś cudem nieodmiennie wykazuje iloraz inteligencji na poziomie geniuszu.

Musi zacząć od Melanie.

Praca sierżanta Parksa polega na tym, że otrzymuje on rozkazy, które następnie przekazuje swoim podkomendnym. Ale naprawdę nie ma powodu, by nie mógł wykonywać ich sam. Po wysłuchaniu hiobowych wieści Gallaghery podwoił patrole wokół bazy na wypadek, gdyby złodzieje planowali atak, w związku z czym jego ludzie są podminowani i zmęczeni. A to fatalna kombinacja.

Codzienny cyrk ma się rozpocząć za pół godziny. Sierżant wciela się w rolę oficera dyżurnego i pobiera z pancernejszej szafki klucze do celu. Kolejny podpis składa jako dowódca bazy. Zdejmuje z haczyka grube metalowe kółko i rusza w stronę bloku.

Gdy tylko tam dociera, uderza go bombastyczna fala uvertury *1812*. Natychmiast wyłącza ten syf. To doktor Caldwell w niejasnym odruchu wielkoduszności wpadła na pomysł, by puszczać aborcjom muzykę – że niby łagodzi ona obyczaje, takie tam brednie. Kłopot w tym, że nie mieli wielkiego wyboru w kwestii repertuaru, a to, co udało im się znaleźć, raczej nie podpada pod kategorię łagodnych dźwięków.

W nagłej ciszy, która na zasadzie kontrastu huczy głośniejszą niż muzyka, Parks zbliża się do celi Melanie. Smarkula wygląda przez siatkę, nakazuje jej więc machnięciem ręki, żeby odsunęła się od drzwi.

– Tranzyt – mówi. – Na wózek. Ale już.

Mała wypełnia polecenie, a on odsuwa rygle. Obowiązujące przepisy głoszą, że w przypinaniu dzieciaków do wózków, podobnie jak w odpinaniu, powinny uczestniczyć co najmniej dwie osoby. Parks jest jednak pewien, że poradzi sobie sam. Kładzie dłoń na kolbie pistoletu, choć nie wyciąga go z kabury. Wychodzi z założenia, że mała zachowa się zgodnie z wyrabianym przez lata nawykiem.

Na razie wpatruje się w niego tymi swoimi wielkimi oczami, które chwilami wydają się pozbawione powiek – szare plamki na tle błękitnych jak niebo tęczywek przypominają mu, kim smarkula jest naprawdę, na wypadek gdyby kiedykolwiek wyleciało mu to z głowy.

– Dzień dobry, sierżancie – mówi Melanie.

– Trzymaj ręce na oparciach – rozkazuje jej Parks.

Niepotrzebnie. Mała się nie porusza. Z wyjątkiem oczu, które śledzą go uważnie, gdy przypina do podłokietników jej prawe, a potem lewe przedramię.

– Jest wcześniej – stwierdza Melanie. – A pan przyszedł sam.

– Pojedziesz do laboratorium. Doktor Caldwell chce się z tobą zobaczyć.

Melanie milczy, podczas gdy sierżant zaciska pasy wokół jej kostek.

– Tak jak kiedyś z Liamem i Marcją – stwierdza w końcu.

– Właśnie. Tak samo.

– Oni nie wrócili. – W jej głosie słychać drżenie.

Parks nie odpowiada. Wyprostowawszy się, napotyka natarczywe spojrzenie wielkich niebieskich ślepi.

– A ja? Ja wróć?

Parks wzrusza ramionami.

– To nie ode mnie zależy. Zapytaj doktor Caldwell.

Staje za oparciem wózka i sięga po ostatni pas, by skrępować jej szyję. To ten moment, kiedy trzeba zacząć się pilnować. Wystarczy chwila nieuwagi i ręka znajdzie się w zasięgu zębów. Ale Parks zawsze jest uważny.

– Chcę się zobaczyć z panną Justineau – mówi Melanie.

– Powiedz o tym doktor Caldwell.

– Sierżancie, proszę. – Wykręca głowę w najgorszym momencie.

Parks gwałtownie cofa rękę i wypuszcza pasek, dopiero w połowie przepleciony przez sprzączkę.

– Patrz do przodu! – warczy. – Nie ruszaj głową. Wiesz, że ci nie wolno!

Dzieciak spełnia polecenie.

– Przepraszam – mówi nieśmiało.

– Żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

– Sierżancie, proszę – mamrocze mała. – Chcę z nią porozmawiać, zanim mnie pan zabierze. Żeby wiedziała, gdzie jestem. Możemy na nią poczekać?

– Nie – odpowiada Parks i zacieśnia pas wokół jej szyi. – Nie możemy. – Dzieciak jest unieruchomiony, a on może się rozluźnić. Odwraca wózek przodem do drzwi.

– Proszę cię, Eddie – mówi szybko Melanie.

Zaskoczony sierżant zatrzymuje się. Jakby ktoś zatrzaskał mu w piersi jakieś drzwi.

– Co takiego? Coś ty powiedziała?

– Proszę cię, Eddie. Sierżancie Parks. Chcę tylko z nią porozmawiać.

Ta mała bestia jakimś cudem odkryła jego imię. Zdołała go podejść i wymachuje teraz jego imieniem niby białą flagą. Jakby chciała powiedzieć: „nie mam złych zamiarów”. Parks wyobraża sobie namalowane na ścianie drzwi, wyglądające jak prawdziwe, które uchylają się nagle i wyłania się z nich senna maskara. Wyobraża sobie, że podnosi kamień, pod którym wije się wstrętne robactwo, a gdy to robi, jeden z robali kiwa do niego przyjaźnie i woła: „cześć, Eddie!”.

Nie może się powstrzymać. Wyciąga rękę i chwyta ją za gardło. To przewinienie wcale nie mniejsze od tego, które popełniła Justineau, głaszcząc ją po głowie jak pierdolone domowe zwierzątko.

– Nie rób tego więcej – cedzi przez odsłonięte zęby. – Nigdy więcej nie używaj mojego imienia.

Dzieciak nie odpowiada. Parks uświadamia sobie, że bardzo mocno ściska

jej tchawicę. Pewnie nie odpowiada, bo nie może. Cofa rękę – mocno roztrzęsioną – i kładzie ją tam, gdzie jej miejsce, na uchwycie wózka.

– Jedziemy do doktor Caldwell – oznajmia. – Jeżeli masz pytania, zachowaj je dla niej. Nie chcę słyszeć więcej ani słowa.

I nie słyszy.

Ale to po części dlatego, że następną rzeczą, którą robi, jest wywiezienie jej przez stalowe drzwi i – cały czas tyłem, łup, łup, łup – w górę po znajdujących się za nimi schodach.

Melanie ma wrażenie, że dopłynęła statkiem na skraj świata.

Stalowe drzwi od niepamiętnych czasów wyznaczały ostateczny horyzont jej doświadczeń. Rozumie, że kiedyś, dawno temu, musiała je przekroczyć, by znaleźć się na bloku, ale jest to jak historia z bardzo starej książki, napisana niezrozumiałym dziś językiem.

Kojarzy jej się to z fragmentem Biblii, który czytała im kiedyś doktor Selkirk i który opowiadał o stworzeniu świata. Nie przez Zeusa, przez tego innego boga.

Schody. Pionowa przestrzeń (trochę jak korytarz, ale postawiony na głowie, tak że prowadzi do góry). Zapach tej przestrzeni, tym silniejszy, im wyżej się wspinają, w miarę jak słabnie woń chemicznego środka do dezynfekcji. Odgłosy, które dochodzą z zewnątrz, przez niedomknięte drzwi.

Powietrze. I jasność. Sierżant popycha tyłkiem drzwi i wyciąga ją na światło dzienne.

Tego jest już za wiele.

Bo powietrze jest ciepłe, powietrze oddycha; muska skórę Melanie jak żywe stworzenie. A światło jest tak mocne, jakby ktoś zanurzył świat w beczce nafty i podpalił.

Dotąd żyła w jaskini Platona, wpatrując się w cienie na ścianie. Teraz ktoś ją obrócił w stronę ogniska.

Coś wypycha z niej dźwięk. Bolesny stęk z samego środka klatki piersiowej – z ciemnego, wilgotnego miejsca, które smakuje gorzkimi chemikaliami i cierpkim zapachem markerów do tablicy.

Melanie wiotczeje. Świat wlewa się w nią przez oczy i uszy, przez nos, język i skórę. Jest go za dużo, wciąż więcej i więcej. Melanie jest jak odpływ w rogu łaźni. Zamyka oczy, ale światło wciąż napiera na jej powieki, sprawia, że w jej umyśle tańczą świetliste kolorowe smugi. Otwiera oczy.

Wytrzymuje. A po chwili zaczyna myśleć i rozumieć.

Sierżant i Melanie mijają budynki z drewna i lśniącego metalu, na betonowych fundamentach. Wszystkie mają ten sam kwadratowy i kanciasty kształt oraz w większości ten sam ciemnozielony kolor. Nikt nie postarał się, by wyglądały ładnie. Liczyła się wyłącznie funkcjonalność.

To samo dotyczy widocznej z oddali czterometrowej stalowej siatki, otaczającej wszystko w zasięgu wzroku. Jest zwieńczona drutem kolczastym osadzonym na betonowych pylonach, wychylonych na zewnątrz pod kątem około trzydziestu stopni.

Mijają przyglądających im się ludzi sierżanta, którzy od czasu do czasu unoszą dłonie, salutując swojemu dowódcy. Nie odzywają się jednak. Stoją w miejscu, uzbrojeni i wyprężeni w pozycji gotowości. Pilnują ogrodzenia oraz bram.

Melanie pozwala, by te fakty połączyły się w jej umyśle. W punktach przecięcia formują się wnioski.

Melanie i sierżant docierają do kolejnego budynku, strzeżonego przez dwóch żołnierzy. Jeden z nich otwiera przed nimi drzwi. Drugi – rudowłosy – energicznie saltuje.

– Potrzebuje pan obstawy, sierżancie? – pyta.

– Jeśli będę czegoś potrzebował, Gallagher, to powiem – warczy Parks.

– Tak jest!

Wchodzą do środka i odgłos kroków sierżanta natychmiast się zmienia, staje się donośniejszy i odbija się głuchym echem. A więc posadzka wyłożona jest kaflami. Sierżant przystaje. Melanie wie, na co czeka. Znaleźli się w łazni, takiej samej jak na bloku. Z sufitu tryska na nich chemiczna chmura.

Trwa to dłużej niż normalna kąpiel. Głowice prysznicowe zsuwają się ze ścian na metalowych szynach i zmieniają nachylenie, by spryskać każdy centymetr ich ciał.

Sierżant znosi to z opuszczoną głową i mocno zaciśniętymi powiekami. Melanie, która jest przyzwyczajona do bólu i wie, że oczy, zamknięte czy otwarte, będą piekły tak samo, cały czas obserwuje. Dostrzega stalowe story na drugim końcu pomieszczenia. Prosty mechanizm zębatych kół pozwala opuszczać je i podnosić jednym pociągnięciem wajchy. A więc budynek można zaplombować od wewnątrz, można go przekształcić w schron. To, co się tu odbywa, jest bardzo, bardzo ważne.

Przez cały czas Melanie usilnie odpycha od siebie myśli o Liamie i Marcii. Boi się tego, co się z nią tutaj stanie. Boi się, że nie będzie jej dane wrócić do koleżanek i kolegów, do sali lekcyjnej i panny Justineau. Może to właśnie ten strach na równi z wszystkimi nowymi doznaniem sprawia, że przez cały czas pozostaje w pełni świadoma. Dociera do niej każdy najmniejszy szczegół otoczenia. Robi, co może, by zapamiętać wszystko, a zwłaszcza trasę, którą przebyli. Żeby umieć znaleźć drogę powrotną, jeśli przydarzy jej się taka sposobność.

Siła natrysku maleje, przechodzi w kapanie, po czym ustaje. Sierżant popycha wózek dalej, przez podwójne wahadłowe drzwi, a potem korytarz, do kolejnych drzwi, nad którymi świeci goła czerwona żarówka. Obok przyczepiona jest tabliczka: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Sierżant się zatrzymuje, naciska brzęczyk i czeka.

Po kilku sekundach drzwi otwierają się do środka i staje w nich doktor

Selkirk. Jak zwykle jest ubrana w biały fartuch, ale tym razem ma na sobie również zielone gumowe rękawiczki i coś, co przypomina bawełniany naszyjnik. Unosi go kciukiem i palcem wskazującym. Naszyjnik okazuje się maską z białej gazy, którą doktor Selkirk zakrywa dolną część twarzy.

– Dzień dobry, pani doktor – mówi Melanie.

Doktor Selkirk spogląda na nią, jakby się zastanawiała, czy odpowiedzieć, czy nie. W końcu po prostu kiwa głową. Potem parska głuchym, nerwowym śmiechem. W taki sposób śmieje się ktoś, kto popełnił błąd w zadaniu matematycznym, a próbując wytrzeć go gumką, niechcący rozdarł kartkę.

– Przesyłka – rzuca lakonicznie sierżant Parks. – Gdzie zostawić?

– A, tak – odpowiada doktor Selkirk głosem stłumionym przez maskę. – Tak. Proszę tutaj. Wszystko przygotowane. – Ustępuje im z drogi i szeroko rozchyła drzwi, żeby sierżant mógł wwieźć Melanie do środka.

Jest to najdziwniejsze pomieszczenie, jakie Melanie kiedykolwiek widziała. Oczywiście zaczyna już zdawać sobie sprawę z tego, że w istocie widziała niewiele. Jednak ten pokój przechodzi jej najśmielsze oczekiwania. Butle, akwaria, słoje i pudła; białe ceramiczne płaszczyzny i nierdzewna stal, w których odbija się ostre światło jarzeniówek na suficie.

Zawartość niektórych butli przypomina części ludzkiego ciała. W innych tkwią zwierzęta. W pierwszej Melanie widzi szczura (widziała kiedyś szczura na obrazku w książce), zawieszono go głową w dół w przezroczystym płynie. Wydobywają się z niego kłęby szarych pasm przypominających sznurowadła, które wypełniają niemal całe wnętrze naczynia; owinięte wokół drobnego ciała sprawiają wrażenie, jakby szczur ten za życia zapragnął zostać ośmiornicą, a potem już nie potrafił przestać. W kolejnej butli tkwi gałka oczna, za którą, niby jarmarczne serpentyny, ciągną się strzępki włókien nerwowych.

Melanie, z głową pełną domysłów, chłonie to wszystko w milczeniu.

– Proszę ją umieścić na stole. – To nie doktor Selkirk wypowiada te słowa. Doktor Caldwell stoi przy blacie po drugiej stronie sali, układając przed sobą w skupieniu rząd drobnych stalowych przedmiotów. Niektóre przekłada po kilka razy, jak gdyby odległość między nimi miała dla niej olbrzymie znaczenie.

– Dzień dobry, pani doktor – mówi Melanie.

– Dzień dobry, Melanie – odpowiada doktor Caldwell. – Witaj w moim laboratorium. To najważniejsze miejsce w całej bazie.

Sierżant z pomocą doktor Selkirk transportuje Melanie z wózka na wysoki stół pośrodku sali. Jest to skomplikowany manewr. Najpierw wyswobadzają jej ręce z pasów, by następnie skuć je z przodu kajdankami. Przypinają jej nogi do poziomego pręta. W końcu uwalniają jej szyję i sadzają Melanie na stole. Robią to bez wysiłku, gdyż dziewczynka jest lekka jak piórko.

Następnie wsuwają jej stopy w uprząż po obu stronach blatu, które doktor

Selkirk reguluje uważnie, tak by ciasno obejmowały kostki. Usuwają niepotrzebny już stalowy pręt.

– Połóż się, Melanie – poleca jej doktor Caldwell. – I wyciągnij ręce.

Kobiety chwytają ją za dłonie, a kiedy sierżant zdejmuje kajdanki, przypinają jej nadgarstki do stołu.

Melanie jest teraz całkowicie unieruchomiona, cała z wyjątkiem głowy. Cieszy się, że nie skrępowali jej szyi.

– Będę jeszcze potrzebny? – pyta sierżant.

– W żadnym wypadku – odpowiada doktor Caldwell.

Sierżant popycha wózek w stronę drzwi. Melanie wie, co to oznacza. Wózek już do niczego jej się nie przyda. Nie wróci do celi. Prawdopodobnie nigdy więcej nie weźmie do ręki ukrytych pod materacem *Opowieści muz*. Ta myśl jest jak uderzenie głową o twardą powierzchnię wody. Karty książki, pachnące panną Justineau, nagle wydają jej się odległe i niedostępne i być może pozostaną takie już na zawsze.

Ma ochotę krzyknąć na sierżanta, żeby na nią poczekał, albo poprosić o przekazanie wiadomości pannie Justineau. Ale nie jest w stanie się odezwać. Osaczają ją wątpliwości. Oto znalazła się na nieznanym lądzie i przeraża ją ta pusta, nieodgadniona przyszłość, w którą ją wypchnięto bez żadnego przygotowania. Melanie pragnie, by przyszłość wyglądała tak samo jak przeszłość, wie jednak, że to niemożliwe. Ta świadomość ciąży jej niczym kamień w brzuchu.

Za sierżantem zamykają się drzwi. Kobiety zaczynają rozbierać Melanie.

Używają do tego nożyczek, którymi rozcinają na niej bawełnianą koszulę.

Helen Justineau po raz pierwszy zauważa, że coś jest nie tak, gdy opuściwszy łaźnię, zmierzając korytarzem w stronę sali lekcyjnej, nie dostrzega w siatkowym okienku twarzy Melanie.

Otwiera klasę i staje przy biurku, a tymczasem żołnierze zaczynają wwozić dzieci, jedno po drugim. Nauczycielka pozdrawia każde po kolei. Dwudziesta powinna być Melanie (była dwudziesta pierwsza do czasu zabrania Marcii), ale zamiast niej pojawia się Anne. Jeden z tych niewzruszenie poważnych młodych żołnierzy ustawia jej wózek na miejscu, po czym natychmiast się obraca i rusza ku drzwiom.

– Chwileczkę – mówi Justineau.

Szeregowy przystaje, spogląda na nią i z minimalną dawką uprzejmości pyta:

– Tak, proszę pani?

– Gdzie jest Melanie?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Jedna z cel była pusta – wyjaśnia. – Więc ją pominąłem. Czy coś się stało?

Justineau nie odpowiada. Wychodzi na korytarz. Zbliża się do celi Melanie. Nikogo. Drzwi stoją otworem. Łóżko oraz wózek są puste.

Wszystko jest nie tak. Szeregowiec depta jej po piętach, po raz kolejny dopytując, o co chodzi. Justineau nie zwraca na niego uwagi. Wypada na schody.

Sierżant Parks stoi na samej górze i półgłosem rozmawia z trzema żołnierzami, którzy wyglądają na zdrowo przerażonych – daleko im do zwykłego opanowania. W innych okolicznościach pewnie by ją to zastanowiło. W innych okolicznościach poczekałaby przynajmniej, aż skończą, ale nie tym razem.

– Sierżancie – zaczyna. – Czy Melanie została przeniesiona?

Parks widział, jak wchodziła po schodach, ale teraz gapi się na nią, jakby dopiero sobie uświadomił, kto przed nim stoi.

– Przepraszam, panno Justineau – odpowiada. – Mamy tu coś w rodzaju kryzysu. Potencjalnie. Zaobserwowaliśmy duże grupy głodnych w pobliżu bazy.

– Czy Melanie gdzieś przeniesiono? – powtarza Justineau.

Sierżant Parks próbuje jeszcze raz:

– Niech pani wróci do klasy, porozmawiamy, kiedy tylko...

– Proszę odpowiedzieć. Gdzie ona jest?

Parks odwraca wzrok, za ledwie na sekundę, a potem spogląda jej prosto w oczy.

– Doktor Caldwell poprosiła, żeby dostarczyć ją do laboratorium.

Żołądek Justineau skręca się boleśnie.

– I pan... I pan ją tam zabrał? – pyta idiotycznie.

Sierżant kiwa głową.

– Jakieś pół godziny temu. Oczywiście powiedziałbym pani o tym, tyle że lekcje jeszcze się nie zaczęły i nie wiedziałem, gdzie pani szukać.

Powinna była się domyślić, gdy tylko zobaczyła pustą celę. Fakt ten, wypowiedziany, staje się tak oślepiająco oczywisty, że Justineau przeklina w duchu własną głupotę, przez którą straciła cenne minuty. Pędem rusza w stronę zabudowań laboratoryjnych. Parks coś do niej krzyczy – chyba każe jej wracać na blok – ale to nieważne, pomyśli o tym później.

Jeśli nie zdąży, będzie na to miała całe swoje pierdolone, bezsensowne życie.

Doktor Caldwell i doktor Selkirk bardzo dokładnie myją całe ciało Melanie dezynfekującym mydłem, które pachnie tak samo jak chemikalia tryskające z pryszniców. Melanie poddaje się temu w ciszy, a tymczasem myśli galopują jej w głowie.

– Lubisz nauki ściśle, Melanie? – pyta ją doktor Caldwell.

Doktor Selkirk rzuca przełożonej spłoszone spojrzenie.

– Tak – odpowiada Melanie ostrożnie.

Umywszy ją, doktor Caldwell sięga po jakieś narzędzie rozmiarów gąbki do ścierania tablicy. Naciska je i urządzenie zaczyna cicho szumieć. Przykłada je do skroni Melanie i zaczyna jeździć jej nim po głowie, kreśląc krótkie, proste linie. Wibracje wnikają w skórę dziewczynki i docierają aż do czaszki.

Melanie chce zapytać, co to za urządzenie, ale wtedy dostrzega, jak doktor Selkirk unosi w dłoni garść jasnych włosów i upuszcza je do plastikowego pojemnika na śmieci.

Doktor Caldwell jest dokładna i po chwili powtarza całą operację jeszcze raz. Za drugim razem przyciska urządzenie mocniej, aż do bólu. Doktor Selkirk zbiera kolejne pasma włosów. Potem starannie wyciera dłonie wilgotnym papierowym ręcznikiem z dozownika na ścianie.

Doktor Caldwell nakłada na skórę głowy Melanie niebieską farbę z plastikowego słoika z napisem: ŻEL ANTYBAKTERYJNY E2J. Melanie próbuje sobie wyobrazić, jak wygląda z tysią, niebieską głową. Prawdopodobnie przypomina trochę piktyjskiego wojownika z obrazka, który pokazał im kiedyś pan Whitaker. Pamięta, jak nauczyciel długo zanosił się chichotem, opowiadając im, że Piktowie mieli zwyczaj malować się (malować się!) przed bitwą. Kiedy któryś z nich stawał do walki nago, Piktowie mawiali, że jest ubrany w niebo. Melanie do tej pory bardzo rzadko bywała naga. Uznaje, że to wyjątkowo nieprzyjemny stan, towarzyszą mu bowiem wstyd i poczucie bezradności.

– Nie lubię – mówi.

– Słucham? – Doktor Caldwell odkłada pędzel i wyciera palce w swój biały fartuch, pozostawiając na nim błękitne jak niebo plamy.

– Nie lubię nauk ścisłych. Chcę wrócić do klasy. Proszę.

Doktor Caldwell po raz pierwszy spogląda jej w twarz.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiada. – Zamknij oczy, Melanie.

– Nie – mówi Melanie. Jest pewna, że jeśli spełni polecenie, doktor Caldwell zrobi jej coś paskudnego. Coś, co będzie bolało.

I nagle jest tak, jakby pokonała złudzenie optyczne; już wie, co ją czeka. Pokroją ją na kawałki i wsadzą do słoików, tak samo jak tych wszystkich ludzi dookoła.

Zaczyna się szarpać, walczy rozpaczliwie, ale zabezpieczenia nie ustępują.

– Spróbujemy izofluranu? – pyta doktor Selkirk. Głos jej się trzęsie, jakby miała się rozpląkać.

– One nie reagują na izofluran – odpowiada doktor Caldwell. – Przecież wiesz. Nie mam zamiaru marnować resztek środka znieczulającego po to, żeby obiekt doświadczalny poczuł lekką senność. Proszę pamiętać, pani doktor, że choć przypomina dziecko, w rzeczywistości są to tylko zwłoki, którymi steruje grzyb. Tu nie ma miejsca na sentymenty.

– Nie ma – zgadza się doktor Selkirk. – Wiem.

Sięga po nóż, jakiego Melanie nigdy wcześniej nie widziała. Ma on bardzo długi trzonek i bardzo cienkie ostrze – tak cienkie, że z przodu prawie niewidoczne. Podaje go doktor Caldwell.

– Chcę wrócić do klasy – powtarza Melanie.

Nóż wysuwa się doktor Selkirk pomiędzy palców. Upada z brzękiem i kilka razy odbija się od posadzki.

– Przepraszam, przepraszam! – woła doktor Selkirk.

Pochyla się, by podnieść nóż, po czym nieruchomieje, a następnie prostuje się i zdejmuje z tacy inny instrument. Podaje go doktor Caldwell, kuląc się pod jej spojrzeniem.

– Jeśli te odgłosy ci przeszkadzają – mówi doktor Caldwell – mogę w pierwszej kolejności usunąć gardziel. – Przykłada zimną krawędź ostrza do szyi Melanie.

– Tylko, kurwa, spróbuj – odpowiada na to panna Justineau.

Obie kobiety przerywają pracę i spoglądają w stronę drzwi. Melanie nie może sprawdzić, co się dzieje, ponieważ jeśli uniesie głowę, ostrze noża przetnie jej gardło. Dopiero kiedy doktor Caldwell odsuwa rękę, Melanie zgina szyję i zerka w kierunku, z którego dobiegł głos.

Panna Justineau stoi w progu laboratorium. Trzyma coś w rękach – czerwony cylindryczny przedmiot z przymocowaną z boku czarną rurką. Wygląda na dość ciężki.

– Dzień dobry, panno Justineau – mówi Melanie. Mimo oszałamiającej ulgi te nedorzeczne, kompletnie niepasujące do sytuacji słowa są jak wtopione w jej umysł. Choćby próbowała, nie potrafi ich powstrzymać.

– Helen – odzywa się grzecznie doktor Caldwell. – Wejdź, proszę. I zamknij drzwi. Nie jest to wprawdzie idealnie sterylne pomieszczenie, ale robimy co w naszej mocy.

– Odłóż skalpel – odpowiada panna Justineau. – Natychmiast.

Doktor Caldwell marszczy brwi.

– Nie wygaduj głupot. Jestem w trakcie sekcji.

Panna Justineau wchodzi do pokoju. Zatrzymuje się dopiero przy krawędzi

stołu, do której przypięte są gołe stopy Melanie.

– Nie – mówi. – Dopiero zaczęłaś. Gdybyś była w trakcie, nie rozmawiałybyśmy. Odłóż skalpel, Caroline, a nikomu nie stanie się krzywda.

– Ojej – wzdycha doktor Caldwell. – Coś mi mówi, że to się źle skończy.

– To zależy tylko od ciebie.

Doktor Caldwell zerka na doktor Selkirk, która od wejścia panny Justineau nie odezwała się ani słowem i nie wykonała żadnego ruchu. Stoi jak wryta, z półotwartymi ustami, i przyciska ręce do piersi. Wygląda jak ktoś, kto znalazł się oko w oko z hipnotyzerem i lada moment zapadnie w trans.

– Jean – zwraca się do niej doktor Caldwell. – Zadzwoń, proszę, po ochronę i każ im usunąć Helen z sali operacyjnej.

Doktor Selkirk spogląda na stojący na blacie telefon i robi pół kroku w jego stronę. Panna Justineau obraca się o wiele szybciej i uderza gaśnicą w aparat. Słuchawka pęka z suchym zgrzytem. Doktor Selkirk odskakuje.

– Tak, przypatrz się, Jean – mówi panna Justineau. – Jeszcze jeden ruch, a to samo stanie się z twoją twarzą.

– Przypuszczam, że zagroziś mi tym samym, jeśli spróbuję podejść do drzwi albo do okna – wtrąca doktor Caldwell. – Helen, coś mi się zdaje, że tego nie przemyślałaś. To, czy przerwę zabieg, czy nie, doprawdy nie ma znaczenia. Możesz zabrać Melanie z laboratorium, ale nie zabierzesz jej z bazy. Wszystkie bramy są strzeżone, a za nimi krążą patrole. Nie jesteś w stanie nas powstrzymać.

Panna Justineau nie odpowiada, ale Melanie wie, że doktor Caldwell się myli. Panna Justineau robi, co tylko zechce. Jest jak Prometeusz, a doktor Caldwell jak Zeus. Zeusowi się zdawało, że jest wielki i potężny, ponieważ był bogiem, ale tytani wcale się go nie bali. Oczywiście w książce tytani w końcu ponieśli porażkę – Melanie nie ma jednak wątpliwości, kto w tej bitwie okaże się zwycięzcą.

– Na razie zrobię tyle, ile się da – warczy panna Justineau. – Rozepnij ją, Jean.

– Nie – rzuca pośpiesznie doktor Caldwell. – Ani mi się waż. – Mówiąc to, obdarza doktor Selkirk szybkim, groźnym spojrzeniem, po czym znów skupia całą uwagę na pannie Justineau. I natychmiast łagodnieje. – Źle się czujesz, Helen. Żyjemy tu wszyscy w olbrzymim napięciu. A te fantazje o ocaleniu obiektu badawczego... wiem, że tak reagujesz na stres. Wszystkie jesteśmy przyjaciółkami i przy okazji koleżankami z pracy. Nikt na nikogo nie doniesie. Nikt nie zostanie ukarany. Jakoś z tego wybrniemy, ponieważ naprawdę nie mamy innego wyjścia.

Pod wpływem jej łagodnego tonu panna Justineau nagle jakby się waha.

– Odłożę teraz skalpel – mówi doktor Caldwell. – I proszę, żebyś zrobiła to samo ze swoją, hm, bronią.

I natychmiast spełnia obietnicę. Pokazuje pannie Justineau skalpel, przez

chwilę trzyma go w górze, po czym odkłada na krawędź stołu, blisko lewego boku Melanie. Robi to powoli, z przesadną starannością. W związku z czym panna Justineau nie odrywa wzroku od jej ręki. Oczywiście, że tak.

Tymczasem drugą ręką doktor Caldwell wyciąga z kieszeni fartucha coś małego i błyszczącego.

– Panno Justineau! – krzyczy Melanie. Za późno. O wiele za późno.

Doktor Caldwell rzuca tym czymś błyszczącym prosto w twarz panny Justineau. Rozlega się dźwięk przypominający syk natrysku i w powietrzu unosi się woń, tak cierpka i paląca, że zapiera dech. Po chwili dźwięk ustaje, a panna Justineau zaczyna charczeć. Upuszcza gaśnicę i gwałtownie pociera twarz. Osuwa się na kolana i upada bokiem na podłogę, drga i wiję się, wydając z siebie zdławione stęki, jakby się dusiła.

Doktor Caldwell przypatruje jej się beznamiętnie.

– Idź po ochronę – poleca swojej podwładnej. – Niech ją aresztują. Pod zarzutem próby sabotażu.

Melanie opada z powrotem na stół z jękiem przerażenia – o własny los i los panny Justineau. Wypełnia ją rozpacz, ciężka niczym ołów.

Doktor Selkirk rusza do drzwi, ale to oznacza, że musi wyminąć pannę Justineau, która wciąż pół klęczy, pół leży na podłodze, charcząc i jęcząc, usiłując zaczerpnąć oddechu przez opary tego czegoś, czym rzuciła w nią doktor Caldwell. Opary ciężko unoszą się w powietrzu i doktor Selkirk również zanosi się kaszlem.

Straciwszy resztki cierpliwości, doktor Caldwell znów sięga po skalpel.

Ale dokładnie w tym momencie dzieje się coś, co ją powstrzymuje. A właściwie dwie rzeczy. Pierwsza to wybuch, od którego trzęsą się szyby w oknach. Druga to przeszywające wycie, jakby krzyczała naraz setka ludzi.

Na twarzy doktor Selkirk odbija się pustka, a chwilę potem przerażenie.

– Ewakuacja – rzuca drżącym głosem. – Prawda? Czy to nie była syrena ewakuacyjna?

Doktor Caldwell nie traci czasu na odpowiedź. Biegnie do okna i podnosi rolety. Melanie znów podciąga się do góry, tak wysoko, jak tylko może, ale blat stołu położony jest zbyt nisko. Spojrzawszy w szybę, widzi głównie niebo.

Obie lekarki wpatrują się w okno. Panna Justineau wciąż leży na podłodze, przyciskając ręce do twarzy. Jej plecami i ramionami wstrząsają ostre drgawki. Nie dociera do niej nic prócz bólu.

– Co się dzieje? – beczy doktor Selkirk. – Tam biegają jacyś ludzie. Czy to...

– Nie wiem – burczy doktor Caldwell. – Zaraz spuszczę rolety awaryjne. Poczekamy, aż odwołają alarm.

Wyciąga ramię. Kładzie dłoń na przełączniku.

Wtedy pęka szyba.

Na parapecie roi się od głodnych.

Ogrodzenie pada na długo przedtem, zanim sierżantowi udaje się obmyślić strategię kontrataku.

Wydarzenia następują po sobie błyskawicznie i niepowstrzymanie. Głodni, których Gallagher zauważył między drzewami przy wschodnim skraju bazy, wypadają z lasu jednostajnym pędem. Nikogo nie ścigają, po prostu biegną, co jest tak nietypowe, że Parks waha się przez chwilę, usiłując dojść z tym wszystkim do ładu.

Potem wiatr się zmienia i dociera do niego ta woń. Ostry fetor rozkładu jest jak cios pięścią w twarz. Żołnierze po obu jego stronach aż zachłystują się z wrażenia. Ktoś wypluwa przekleństwo. Ten smród podpowiada Parksowi, że głodnych jest więcej. O wiele więcej. To smród całego stada żywych trupów, całego cholernego tsunami, które jest zbyt silne, by je powstrzymać.

A więc jedynym rozwiązaniem jest spowolnienie ataku. Osłabienie tej niepowstrzymanej szarży, zanim uderzy w ogrodzenie.

– Celujcie w nogi! – woła, a potem: – Ognia!

Żołnierze wypełniają rozkaz. Powietrze przecinają wściekle serie z karabinów. Głodni zaczynają upadać i tratować się nawzajem. Ale jest ich zbyt wielu i są zbyt blisko. Nie uda się ich zatrzymać.

Wtedy Parks dostrzega coś jeszcze poza napierającą ścianą nieumarłych. Złomiarze. Uzbrojeni po zęby i odziani w tyle ochronnych warstw, że przypominają ludziki z reklamy opon Michelin. Niektórzy trzymają w dłoniach włócznie, inni – coś w rodzaju elektrycznych pastuchów, którymi poszturchują karki lub plecy głodnych, gdy ci zwalniają kroku. Przynajmniej dwóch uzbrojonych jest w miotacze ognia. Buchające z obu stron języki płomieni trzymają głodnych w ryzach, nie pozwalając, by rozbiegli się na boki.

Ich celem jest ogrodzenie i znajdująca się za nim baza.

Poza tym po obu stronach stada toczą się buldożery ze skośnie zamocowanymi lemieszami. Gdy marudzący po brzegach głodni zbyt blisko do nich zbliżają, zostają zapędzeni z powrotem w środek tłumu albo worani w ziemię.

A więc to nie szarża dzikich zwierząt. To spęd bydła.

– O, Boże – szepcze zdławionym głosem szeregowy Alsop. – O, Chryste!

Parks traci kolejne chwile, podziwiając czysty geniusz autorów tego planu. Głodni jako broń, jako machina oblężnicza. Zastanawia się, w jaki sposób złomiarze zebrali ich tak wielu i gdzie ich trzymali, ale co tam logistyka. Sam pomyśl to coś absolutnie wspaniałego.

– Celujcie w żywych! – wrzeszczy. – W złomiarzy! Strzelać do złomiarzy! – Ale już po kilku urywanych seriach krzyczy, żeby wycofali się spod ogrodzenia.

Ponieważ ogrodzenie za chwilę padnie i wszyscy ugrzęzną po szyję w morzu

gnijących kanibali.

Żołnierze cofają się sprawnie, nie przestając strzelać.

Wtedy następuje uderzenie. Głodni z impetem wpadają na drucianą siatkę i podpierające ją betonowe słupy. Siatka ugina się, trzeszczy i skrzypi, ale nie ustępuje. Znajdujący się w pierwszych szeregach głodni przebierają nogami w miejscu.

Od tyłu napiera na nich coraz więcej i więcej ciał, przenoszących całą swoją masę i siłę rozpędu na lichą zaporę ze splecionego drutu.

Słupy zaczynają się chwiać. Betonowe umocnienie wychyla się z podłoża, sypiąc wokół półkolistym gradem bryłek darni, i fragment płotu zwala się na ziemię.

Dziesiątki trupów, które nie wiedzą, że są trupami, padają razem z siatką, tratowane, wciskane w ziemię i przerabiane na mielonkę przez swoich pobratymców. Ich miejsce natychmiast zajmują zastępy kolejnych. Pędzą naprzód, silnymi jak tłoki nogami depcząc resztki tych, którzy upadli.

I już po wszystkim. Baza została zdobyta.

Justineau próbuje wstać. Nie jest to łatwe. Wnętrznosci kotłują jej się w brzuchu, płuca są pełne oparów kwasu, a podłoga ucieka spod stóp jak rozkołysany pokład statku. Do tego ma wrażenie, jakby jej twarz ścisnęła rozgrzana do białości żelazna maska.

Wokół niej wydarzenia następują szybko, przy akompaniamencie zdyszanych oddechów i stłumionych okrzyków. Kiedy Caldwell prysnęła jej w twarz gazem pieprzowym, Justineau straciła wzrok i choć pierwsza fala łez wypłukała większość gazu, jej oczy nadal są spuchnięte i na wpół zamknięte. Widzi tylko jakieś zamazane kształty, zderzające się ze sobą niczym szczątki dryfujące na falach powodzi.

Justineau mruga gwałtownie, usiłując wydobyć choć odrobinę wilgoci z wyschniętych, spieczonych kanalików łzowych. Dwa kształty nabierają ostrości. Pierwszy to Selkirk, leżąca na boku i przebierająca nogami we wściekłym staccato. Drugi zaś to głodny, który klęczy nad nią w rozkroku, czerpiąc z podłogi pełne garście jej wnętrznosci, których różowe sploty przelewają mu się w dłoniach, i zachłannie pakując je do ust.

Kolejni głodni nadciągają ze wszystkich stron i rzucają się na Selkirk, która jest dla nich tym, czym byłby dzbanek z miodem dla stada tkniętych rozkładem pszczoł. Jako ostatnia za nawałnicą ciał znika jej zastygła w bezsilnym smutku twarz.

„Melanie! – myśli Justineau. – Gdzie Melanie?”

Pomieszczenie zmieniło się w morze pełzających, zachłannych ciał. Justineau, przeczołgawszy się do tyłu, omal nie wpada w sam środek kolejnej krwawej jatki. Pod samym oknem z niemą zawziętością Caroline Caldwell walczy o życie. Dwóch głodnych, którzy na czworakach przepelzeli przez parapet, pozostawiając kawałki własnych ciał na ostrych krawędziach wytłuczonej szyby, chwyciło ją za nogi i usiłuje podciągnąć się do jej gardła. Ich szczęki kłapią jednostajnie jak szczipione łyżki koparek. Caldwell trzyma dłonie na czubkach ich głów, wygląda, jakby udzielała im błogosławieństwa, w rzeczywistości jednak odpycha ich z całych sił. Przegrywa tę bitwę, centymetr po centymetrze.

Justineau znajduje gaśnicę tam, gdzie ją upuściła. Jaskrawa czerwień krzyczy do niej wśród mdłych bieli i szarości laboratorium. Podnosi ją, zaczyna kręcić się w kółko jak młocistka, aż w końcu puszcza. Rozlega się głuchy brzęk i głowa jednego z głodnych obwisa w bok na złamanym karku. Głodny nie rozluźnia chwytu, ale ponieważ mięśnie szyi nie podtrzymują już jego głowy, Caldwell nie musi go dłużej odpychać, dzięki czemu zyskuje wolną prawą rękę.

Wiedziona przerażeniem, które rozjaśnia jej umysł, wyrывa z ramy okiennej wąski trójkąt szkła. Zaczyna nim chlastać bez litości, nie zważając na zbierającą się

między palcami krew, aż od czaszki głodnego odpadają szerokie strzępy twarzy.

Justineau zostawia ją samą. Przyjąwszy okno jako punkt orientacyjny, obraca się w stronę stołu. Jakimś cudem nic nie zasłania jej widoku. Większość głodnych walczy między sobą o kawałki Jean Selkirk, nisko przy podłodze, z ryjami w korycie.

Stół operacyjny jest pusty. Po bokach zwisają rozcięte pasy, które krępowały kończyny Melanie. Na krawędzi stołu leży porzucony skalpel.

Justineau rozgląda się gorączkowo. Z jej ust dobywa się coś w rodzaju jęku, który ginie wśród mlasków i pochrząkiwań uczujących potworów. Panujący wokół chaos odzyskał kontury i jawi jej się w całej swej prostocie. Selkirk leży na podłodze jako danie główne. Tymczasem Caldwell wciąż zajęta jest ćwiartowaniem skóry na twarzy i torsie głodnego, pełzającego na oślep w górę jej tułowia.

Nigdzie ani śladu Melanie.

Caldwell zdołała się uwolnić i zgarnia zakrwawionymi dłońmi tyle notatek i eksponatów, ile jest w stanie unieść. Sterta rośnie i rośnie, aż wysuwa się z jej ramion i brzęczącą kaskadą rozsypuje się po podłodze. Donośny dźwięk przyciąga uwagę uczujących nad ciałem doktor Selkirk potworów. Ich głowy podrywają się i obracają wszystkie naraz, w przerażającej harmonii.

Caldwell klęczy na podłodze, usiłując zebrać rozrzucone skarby. Justineau chwyta ją za kołnierz i szarpie w górę.

– Ruf fę! – woła, w czym skutecznie przeszkadza jej spuchnięty od gazu język. Sepleni jak Charles Laughton w *Dzwonniku z Notre Dame*. Nieważne.

Ciągnie Caldwell w stronę drzwi jak matka uparte dziecko, a tymczasem głodni zrywają się z podłogi i depcząc resztki ciała Selkirk, rzucają się ku nowemu źródłu pożywienia.

Justineau zatraskuje im drzwi przed nosem. Nie ma klucza, ale to nieistotny szczegół. To, czy są zamknięte na zamek, czy nie, robi głodnym mniej więcej taką samą różnicę jak dzikim psom. Choć drzwi drżą pod wpływem dudniących uderzeń, pozostają zamknięte.

Caldwell i Justineau wypadają na krótki korytarz zakończony kilkoma rzędami natrysków. Justineau rusza w stronę znajdujących się za nimi drzwi, które wchodząc, zostawiła otwarte, ale jeszcze przed progiem nagle zwalnia, po czym staje jak wryta. Pomiędzy blokiem badawczym a garażami trwa ostrzał. Tyle że strzelający, skryci za węglem sąsiedniego budynku, to nie ludzie sierżanta Parksa w znienawidzonych przez nią mundurach moro; to horda dzikusów o poczernionych, usztywnionych smołą włosach i z maczetami za pasem.

Złomiarze.

Justineau chłonie ten widok w zdumieniu. Nagle dwóch złomiarzy wyskakuje w powietrze i zaczyna koziołkować w tył z nieprawdopodobną

prędkością. Pół sekundy później następuje błysk i rozlega się huk granatu, a tuż potem ziemię i budynki przeszywa przejmujący wstrząs.

Caldwell pokazuje jej jakieś drzwi – chyba coś przy tym mówi, ale dzięki dzwonieniu w uszach Justineau wchłania wszelkie inne dźwięki. Drzwi są zamknięte. Caldwell przetrząsa kieszenie, znacząc białą tkaninę fartucha ciemnoczerwonymi smugami, które kojarzą się Justineau z krzywymi Béziera. Jej dłonie są w paskudnym stanie; miejsca, gdzie wbiła się w nie ostra kraweźdź szklanego odłamka, przecinają głębokie bruzdy okolone zwisającymi płatami skóry.

W końcu lekarka rozrywa fartuch i wyciąga klucz z kieszeni spodni. Kobiety wbiegają do pomieszczenia, które okazuje się magazynem pełnym identycznych szarych stalowych półek. Kryjówka.

Albo pułapka. Gdy tylko Caldwell zamyka drzwi, Justineau uświadamia sobie, że nie mogą tu zostać. Gdzieś tam, na zewnątrz, Melanie błąka się niczym Czerwony Kapturek zagubiony w głębokim, ciemnym lesie, otoczona przez chmurę strzelających z automatów mężczyzn.

Justineau musi ją odnaleźć. A to oznacza, że musi stąd wyjść.

Caldwell opiera się o półkę, chyba próbuje wziąć się w garść, a może wycofała się do swojego wewnętrznego świata, w którym jest przyjemniej niż tu. Justineau, nie zwracając na nią uwagi, rozgląda się po wąskim pomieszczeniu. Nie ma w nim innych drzwi, jest za to okno, umieszczone niemal pod samym sufitem i po tej stronie budynku, która jest najbliżej płotu i najdalej miejsca bitwy. Stamtąd być może uda jej się dobiec do bloku szkolnego. Melanie z pewnością tam właśnie się schroniła, o ile odnalazła drogę powrotną.

Justineau zaczyna opróżniać najbliższy regał, zrzucając na podłogę pudła i butle, paczki gazy chirurgicznej i rolki papierowych ręczników. Następnie przyciąga regał pod okno. Caldwell obserwuje ją w milczeniu.

– Zabiją cię – mówi w końcu.

– Nikt fi nie wabrana fu woftać – odburkuje Justineau przez ramię.

Zaczyna się wspinać, a wtedy Caldwell chwyta regał pociętymi dłońmi i gramoli się za nią, cicho postępując z bólu.

Justineau odmyka zasuwkę i lekko uchyla okiennicę. Na zewnątrz rozciąga się dziewicze pasmo trawnika. Z oddali dobiegają stłumione krzyki i odgłosy wystrzałów.

Otwiera okno na całą szerokość, przesadza parapet i ląduje po kostki w chłodnej, wciąż mokrej od porannej rosy trawie. Zwyczajność tego doznania jest jak telegram z drugiego końca świata.

Caldwell ma więcej trudności z wydostaniem się na zewnątrz, ponieważ stara się nie przenosić ciężaru na pokaleczone dłonie. Nie jest w stanie utrzymać równowagi i ciężko zwala się na ziemię. Justineau niezbyt delikatnie pomaga jej

wstać.

Zza rogu budynku rozciąga się znakomity widok na plac defiladowy, blok szkolny i wreszcie właściwe koszary. Wszędzie roi się od głodnych, przemieszczających się w zwartych grupkach i w niezmordowanym tempie. Justineau przez chwilę ma wrażenie, że biegną w przypadkowym kierunku, ale już po chwili dostrzega złomiarzy w ich dziwacznych zbrojach, którzy popędzają swoje stado za pomocą włóczni, paralizatorów i starych, sprawdzonych miotaczy ognia.

Chłodnym okiem zauważa, że warstwa smoły pokrywa nie tylko włosy złomiarzy, ale również ich ramiona, dłonie i kevlarowe kamizelki. Najwyraźniej spełnia podobną funkcję co e-bloker, maskując ich własny zapach, tak by głodni nie popłynęli niesieni jego falą wprost do gardeł swoich prześladowców.

Przede wszystkim jednak głowę zaprzęta jej jedna myśl: „głodni jak broń biologiczna!”. Tak czy inaczej baza jest stracona.

– Wracam do bloku szkolnego – mówi do Caldwell. – Myślę, że powinnaś poczekać kilka sekund i spróbować przedostać się do płotu. Przynajmniej część z nich będzie wtedy patrzyła w innym kierunku.

– Blok szkolny jest w podziemiach – odpowiada gniewnie Caldwell. – Jeśli tam wejdiesz, wpadniesz w pułapkę.

Nie ma co, fantastyczna z nich para mózgów. Wciąż potrafią przeprowadzić logiczny wywód, bazując na znanych faktach. Ich analityczne umysły funkcjonują nawet w obliczu tego pierdolonego koszmaru.

Justineau nie zaszczycą Caldwell odpowiedzią. Po prostu rusza przed siebie. Szerokim łukiem omija znajdujące się najbliżej stado głodnych i pędzi w stronę koszar. Złomiarze, którzy zajmują się utrzymywaniem głodnych w ryzach, są zbyt pochłonięci wypełnianiem swoich planów, by zwrócić na nią uwagę.

Ich towarzysze, którzy nadciągają z tyłu, dostają się pod ogień z obu stron; ludzie Parksa postanowili wykorzystać ukształtowanie terenu i otwarta przestrzeń pomiędzy drewnianymi szopami przeistacza się w pola śmierci.

Justineau musi wyminąć trójkę żołnierzy, którzy biegną w jej stronę z bronią w ręku, po czym wpada bokiem prosto w kolejną rozpędzoną grupę głodnych. Skręca, zaczyna kluczyć i nagle uświadamia sobie, że się zgubiła, kiedy za kolejnym rogiem ukazuje jej się tuzin mężczyzn o sterczących, ostrzyżonych na jeża włosach i czarnej, lśniącej od smoły skórze, strzelających zza barykady z przewróconych śmietników.

Tym razem złomiarze ją dostrzegają. Większość obrzuca ją tylko krótkim spojrzeniem, ale dwóch podnosi się i rusza w jej kierunku. Jeden z nich wyciąga nóż i waży go w dłoni. Drugi kieruje w jej stronę lufę karabinu.

Justineau zamiera. Ucieczka nie ma sensu, dostałaby kulkę w plecy, a gdy zastanawia się nad inną reakcją, mózg funduje jej tylko zimną pustkę.

Nożownik jednym kopnięciem podcina jej nogi i Justineau pada jak długa. Bandzior chwytą ją za rękaw, podrywa na klęczki i wykonuje gest, jakby chciał podarować ją drugiemu w prezencie.

– Strzelaj – mówi.

Justineau unosi głowę. Wprawdzie stara zasada głosi, że dzikim zwierzętom nie spogląda się w oczy, skoro jednak tak czy inaczej ma zginąć, woli powiedzieć mu wcześniej, żeby się pierdolił – a jeśli wystarczy czasu, dodać jak i w co.

Napotyka wzrok tego ze spluwą. Z niemal surrealistycznym ukłuciem zaskoczenia uświadamia sobie, że jest bardzo młody. Prawdopodobnie nie przekroczył dwudziestki. Złomiarz opuszcza nieco lufę karabinu i teraz celuje jej w pierś. Zapewne nie ma ochoty wracać do domu, myśląc o tym, że odtąd co noc będzie mu się śniła jej rozszarpana kulą twarz.

W sposobie, w jaki starszy ją przytrzymuje i czeka, aż ten drugi zrobi swoje, jest jakiś ceremoniał. Najwyraźniej odbywa się tu coś w rodzaju rytuału przejścia, być może doświadczenie łączące ojca z synem.

Młody wyraźnie zbiera siły.

A potem jego twarz znika jej z oczu. Coś zważyło go z nóg. Coś ciemnego i prędkiego jak pocisk przemknęło tuż obok i pociągnęło go ze sobą. Złomiarz wije się po asfalcie, walcząc z napastnikiem, który mimo drobnych rozmiarów pluje, stęka i drapie jak cały worek wściekłych kociąt.

Melanie najwyraźniej nie ma w zwyczaju brać jeńców.

Mężczyzna – chłopak właściwie – wydaje z siebie wrzask, który przechodzi w słaby charkot, gdy drobne zęby zaciskają się na jego gardle.

Melanie po raz pierwszy w życiu czuje w ustach smak krwi i ciepłego mięsa. Intensywność tego doznania sprawia, że omal nie mdleje. Jeszcze nigdy nie było jej tak dobrze, nawet wtedy, gdy panna Justineau głaskała ją po głowie. Fala przyjemności jest olbrzymia, większa niż ona sama, i resztkami świadomości dziewczynka czepia się, czego może, aby ta fala nie pociągnęła jej za sobą.

Usilnie stara się pamiętać, o co toczy się gra. Zaatakowała tego mężczyznę dlatego, że chciał skrzywdzić pannę Justineau; dopiero dopadłszy go, poczuła nieodparty zapach świeżego mięsa, który sprawił, że bez namysłu zatopiła w nim zęby. Jej ciało nie potrzebowało pozwolenia mózgu i nie chciało czekać. Teraz Melanie gryzie, przeżuwa i łyka, a nowe doznania przepelniają ją z powalającą siłą, jakby była filiżanką podstawioną pod strumień wodospadu.

Nagle czyjś mocny cios sprawia, że traci równowagę i upada na bok. Jakiś inny mężczyzna stoi nad nią z uniesionym nożem. Panna Justineau rzuca się na niego od tyłu i zaczyna okładać pięściami po głowie. Mężczyzna odwraca się, próbuje się bronić i ta chwila wystarczy, by Melanie mocno złapała go za nogę. Owija się wokół jego kostki, bez wysiłku pnie w górę i niczym pijawka przywiera do jego uda.

Mężczyzna bluzga stekiem niezrozumiałych przekleństw i młóci pięściami na oślep. Uderzenia bołą, ale nie mają znaczenia. Melanie odnajduje punkt, w którym noga łączy się z tułowiem, i zatapia w nim zęby, a gdy przegryza się przez nogawkę spodni, nabiegła krew tryska prosto w jej usta. Wiedziała, że tak się stanie. Wyczuła tętnicę, śpiewającą do niej przez fałdy mięśni i materiału.

Krzyk mężczyzny jest straszny, przenikliwy i rozedrgany. Wstrętny. Za to ten smak... ten smak to coś wspaniałego! Krew tryska z rozerwanego uda jak z fontanny, smak surowego mięsa jest jak magiczny ogród, jak tajemniczy pejzaż, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia.

W końcu ma dość. Jej żołądek i umysł nie są na tyle duże, by to wszystko pomieścić. Melanie ma wrażenie, że cały świat nie jest wystarczająco pojemny. Oczadziła szczęściem i sytością, od której wiotczeją jej mięśnie i myśli, tym razem nie opiera się dłoniom, które odczepiają ją od ofiary i unoszą w górę.

Spod warstwy chemikaliów dociera do niej zapach panny Justineau – znajomy, upragniony, cudowny. Wciśnięta w pierś nauczycielki, Melanie wydaje z siebie błogi pomruk. Ma ochotę zwinąć się w kłębek i zasnąć, jak skryte w ciepłej norce zwierzątko.

Nic z tego, ponieważ panna Justineau zaczyna biec. Każdy krok wstrząsa całym ciałem Melanie. Poza tym uczucie sytości mija. Uspiony głód znów narasta i zaczyna dobijać się do krawędzi świadomości, podsuwając wyobraźni sugestywne

obrazy. Nagle zapach panny Justineau wywołuje całkiem inne skojarzenia i sprawia, że Melanie ogarnia pragnienie zaspokojenia głodu. Obraca się w słabym uścisku nauczycielki, wpycha głowę pod jej ramię i otwiera usta.

Nie wolno! Nie wolno jej tego zrobić! To przecież panna Justineau, która ją kocha. Która ocaliła ją przed stołem operacyjnym i przed cienkim, strasznym nożem. Melanie nie potrafi zapanować nad ruchami własnej szczęki, ale w ostatniej chwili odrzuca głowę do tyłu i zęby zamiast ciała przebijają powietrze.

W głębi jej trzewi narasta chrapliwy warkot, wywołany tym samym instynktem, który zaledwie przed chwilą spowodował, że miauczała jak kociak.

Musi.

Nie wolno jej.

Musi.

Melanie walczy z dzikim zwierzęciem, ale to zwierzę to przecież ona sama.

Dlatego z góry skazana jest na porażkę.

Justineau biegnie. Tym razem jednak nie ma pojęcia dokąd. Dym, wybuchy, huk karabinów i tupot niezliczonych stóp sprawiły, że znajomy układ bazy przeistoczył się w tajemniczy labirynt.

Szamocząca się w jej objęciach Melanie ani trochę nie ułatwia jej zadania. Na wspomnienie tego, jak oderwała małą od ciała młodego złomiarza, tak jak odrywa się od psiego brzucha opitego krwią kleszcza, Justineau nagle czuje przemożną ochotę, by ją upuścić.

Niby czemu miałyby tego nie zrobić? Nie dlatego, że Melanie uratowała jej życie. Chociaż z drugiej strony może i tak, w pewnym sensie. Ponieważ dokonała się w niej pewna zmiana, a Melanie jest tego dowodem – jak antyteza Izaaka, którego wyrwała z płomieni po to, by pokazać Bogu, że nie on dyktuje wszystkie warunki.

„Pierdol się, Caroline”.

Melanie wydaje z siebie jakieś nieludzkie odgłosy, a jej głowa porusza się w przód i w tył, raz po raz poszturchując ramię Justineau. W tej małej dziewczynce drzemie zadziwiająca siła. Za chwilę jej się wyrwie. Za chwilę pogrąży je obie.

Nagle Justineau zauważa tuż obok stalowe drzwi bloku szkolnego i natychmiast skręca w ich stronę.

Po czym uświadamia sobie, że nic z tego. Drzwi są zamknięte, a zamki zablokowane. W żaden sposób nie uda jej się dostać się do środka.

Z prawej strony, od laboratorium, nadciąga grupa kilkunastu głodnych. Może to ci sami, przed którymi uciekła, może nadal ją ścigają. Tak czy inaczej wyczuli jej zapach. Biegają prosto na nią, a ich stopy unoszą się i opadają w niestrudzonym, mechanicznym rytmie.

Jedyne, co jej pozostaje, to wziąć nogi za pas i modlić się o jakąś kryjówkę.

Rozpędzona dopada ogrodzenia, które wyrasta przed nią nagle, blokując drogę niczym drucziany Everest. Już po niej.

Odwraca się, bezradna. Głodni nadbiegają wciąż w tym samym bezlitosnym, metronomicznym tempie. Z prawej i lewej strony majaczy pustka. Nie ma się gdzie ukryć, nie ma dokąd uciekać. Justineau puszcza Melanie, która spada na ziemię jak kot, rozprostowując się w powietrzu, i ląduje w pozycji rozgwiazdy, na rozpostartych dłoniach i stopach.

Justineau zaciska pięści i napręża mięśnie. Po czym nagle ogarnia ją niewyobrażalne zmęczenie. Fala adrenaliny odpływa, oczy przesłania ciemność. Gdy pierwszy z głodnych rozdziawia usta i wysuwa rękę, by pociągnąć ją na ziemię, Justineau nie ma siły zadać mu choćby jednego ciosu.

Nagle coś zwała go z nóg i z mokrym chrzęstem wgniata w ziemię.

Przed oczami Justineau przetacza się jakaś ściana. Metaliczna, w mdłym

odcieniu zieleni, z oknem w środku. Przez szybę spogląda na nią potworna twarz. Twarz sierżanta Parksa.

– Wsiadaj! – wrzeszczy twarz.

To coś przed nią nagle nabiera konturów, które układają się w znajomy kształt ogromnego samochodu terenowego typu humvee. Justineau chwyta za klamkę, kręci nią na wszystkie strony, aż wreszcie, naciśnięta w odpowiednim miejscu, wajcha ustępuje.

Szarpięciem otwiera drzwi, a tymczasem głodni, którzy wychynęli zza tylnej części pojazdu, rzucają się w jej stronę. Jeden z żołnierzy Parksa, jakiś dzieciak z płomiennorudą czupryną, dwa razy młodszy od niej, siedzi na dachu i jak oszalały kręci zamontowanym na obrotowej wieżyczce karabinem, przecinając powietrze gradem kásających wystrzałów. Trudno stwierdzić, w co właściwie celuje, ale w końcu jedna z serii dosięga znajdujących się najbliżej głodnych i skutecznie zwała ich z nóg.

Justineau przytrzymuje drzwi, ale nie wsiada – czeka na Melanie, która kucając na ziemi, wpatruje się w ciemne wnętrze pojazdu ze zwierzęcą podejrzliwością.

– Wszystko w porządku! – krzyczy Justineau. – Chodź, Melanie. Wskakuj. Szybko!

Dziewczynka podejmuje decyzję i daje susa do środka. Justineau gramoli się za nią i zatrząskuje drzwiami.

Wewnątrz napotyka wzrokiem bladą, spoconą twarz Caroline Caldwell, która leży na podłodze jak kloc, z dłońmi wciśniętymi pod pachy. Melanie, skulona z przerażenia, wciska się w Justineau, a ta odruchowo ją obejmuje.

Ruszają. Za oknem jak w kalejdoskopie migają dym, zgliszcza i rozpędzone postacie.

Samochód przejeżdża przez płot, nawet nie zwalniając, po czym grzęźnie tylnymi kołami w wykopanym tuż za nim rowie. Przez kilka sekund trzęsie się jak wirująca pralka, aż wreszcie znajduje punkt podparcia i wytacza się przez krawędź zagłębienia.

Przez następne kilka kilometrów wlecze za sobą kawał siatki wraz z betonowym słupem, które podskakują za nim niczym blaszane puszki za ślubną limuzyną.

Parks wolałby jechać przez pola – humvee bez trudu radzi sobie z nierówną nawierzchnią – tyle że dobiegające z tylnej części pojazdu trzaski i zgrzyty podpowiadają mu, że coś jest mocno nie tak z tylną osią. Redukuje bieg, by wycisnąć z silnika nieco więcej mocy, po czym przyciska pedał gazu i z szaleńczą prędkością mknie pustymi szosami, skręcając to w lewo, to w prawo, bez konkretnego planu. Uznaje, że najlepszym sposobem, by zgubić pogoń, jest zgubić się samemu.

Na razie nie widać pościgu. Wie, że to coś, za co należy być głęboko wdzięcznym.

W końcu hamuje jakieś piętnaście kilometrów za bazą i zjeżdża z drogi na zarośnięte pobocze. Wyłącza zapłon i łapie oddech, opierając się o kierownicę. Hałasy dochodzące ze stygnącego silnika nie wróżą niczego dobrego. Parks wyprowadził pojazd z warsztatu, jedyne miejsce, do którego był w stanie się dostać, nie wkraczając na pełen głodnych plac defiladowy. Dopiero teraz – kiedy i tak jest za późno – zastanawia się, dlaczego auto się tam znalazło.

Gallagher schodzi z podwyższenia, ściągając ze sobą karabin, i zamyka włącznik. Trzęsie się jak w gorączce, więc te proste czynności zabierają mu sporo czasu. Gdy w końcu zajmuje miejsce na fotelu strzelca, rzuca sierżantowi przerażone spojrzenie, jakby w oczekiwaniu na rozkazy albo wyjaśnienia, albo cokolwiek innego, co pomogłoby mu nie rozkleić się do końca.

– Dobra robota – chwali go Parks. – Sprawdź, co z resztą, a ja się rozejrzę.

Otwiera drzwi i w tym momencie zatrzymuje go krótki, bolesny skowyt Gallaghera.

– Panie sierżancie! Panie sierżancie!

– Co się dzieje, synu? – pyta znużony Parks. Odwraca się z fatalnym przeczuciem, spodziewając się ujrzeć którąś z kobiet z raną w brzuchu albo czymś podobnym, co sprawi, że będą musieli patrzeć, jak umiera.

Ale nie o to chodzi. Krew, którą przesiąknięty jest fartuch doktor Caldwell, sączy się głównie z jej dłoni. Helen Justineau z kolei wygląda całkiem nieźle, nie licząc czerwonej, napuchniętej twarzy.

Przerażenie chłopaka wywołała pasażerka numer trzy. Jedna z bandy dzieciaków – potworków ze strzeżonego bloku. Rozpoznawszy ją, Parks doznaje wstrząsu – to ta sama, którą jeszcze niedawno wiozł do rzeźni, do laboratorium doktor Caldwell. Zmieniła się. Kuca na podłodze goła jak święty turecki, ogolona na łyso i wymalowana jak dzikuska i popatruje nerwowo jasnoniebieskimi ślepiami to na jedną, to na drugą kobietę. Napięty łuk jej pleców zwiastuje gotowość do skoku.

Parks niezgrabnie chwytając broń i umieszcza ją między oparciami, celując

prosto w czoło dziewczynki. Z takiej odległości strzał w głowę to najlepsze, co może zrobić, by ją unieszkodliwić.

Ich oczy się spotykają. Mała zamiera. Zupełnie jakby go prosiła, żeby pociągnął za spust.

Powstrzymuje go Helen Justineau, wciskając się na linię strzału. W wąskiej przestrzeni wnętrza pojazdu jej ciało stanowi zaporę nie do pokonania.

– Proszę się odsunąć – rozkazuje jej Parks.

– To niech pan odłoży broń. Nie zabije jej pan.

– Ona już nie żyje – drżącym głosem wtrąca z podłogi doktor Caldwell. – Technicznie rzecz biorąc.

Justineau zerka na nią z ukosa, ale nie zaszczycą odpowiedzią. Błyskawicznie przenosi spojrzenie z powrotem na Parksa.

– Ona nie jest niebezpieczna – mówi. – Nie w tej chwili. Przecież pan widzi. Proszę ją stąd wypuścić. Wtedy zastanowimy się, co dalej. Zgoda?

Parks, owszem, widzi – widzi, jak ten senny koszmar pod postacią małej dziewczynki wybałusza oczy i trzęsie się, z trudem utrzymując nad sobą kontrolę. Wszyscy pasażerowie są pokryci e-blokerem od skarpet po linię włosów, ale wokół jest wystarczająco dużo krwi – na rękach i ubraniu Caldwell, zresztą sama mała jest umazana krwią od stóp do głów – żeby pobudzić jej instynkty. Sierżant po raz pierwszy widzi głodnego, który nie reaguje, wyczuwszy zapach człowieka. Mimo to nie zamierza ryzykować życiem, by się przekonać, czy ten trend się utrzyma.

Albo od razu naciśnie spust, albo posłucha Justineau. Jeśli strzeli, istnieje ryzyko, że zginie jedna z cywilnych kobiet, a może i obie.

– Dobra – mówi. – Tylko szybko.

Justineau otwiera drzwi.

– Melanie... – zaczyna, ale dzieciak nie potrzebuje instrukcji. Wyskakuje z samochodu jak z procy i pędem puszcza się w pole, tak szybko, że jej patykowate nogi zlewają się w jednolitą smugę.

Trudno nie zauważyć, że skierowała się w stronę, z której wieje wiatr. Ucieka przed ich zapachem. Przed zapachem krwi. W końcu kuca w wysokiej trawie, przez co staje się niemal niewidoczna, i obejmuje rękami kolana. Odwraca głowę.

– Wystarczy? – rzuca ponuro Justineau.

– Nie! – wtrąca się natychmiast Caldwell. – Musimy ją unieszkodliwić i zabrać ze sobą. Nie mamy pojęcia, co się stało z pozostałymi obiektami. Jeżeli rzeczywiście straciliśmy bazę, a wraz z nią wszystkie moje zapiski, to tylko ona została nam po czteroletnim programie badawczym.

– W takim razie ładny mi program – odpowiada Justineau.

Caldwell spogląda na nią z wściekłością. Powietrze między nimi można by kroić nożem.

Parks kiwa głową na Gallaghera i wysiada z samochodu, pozostawiając kobiety samym sobie. Martwi się o tylną oś wozu i chce ją natychmiast obejrzeć. Pogoń może nadejść w każdej chwili.

Melanie trzeźwieje.

Na początku ma pustkę w głowie. Po chwili powracające myśli sprawiają, że kuli się w sobie jak pan Whitaker nad butelką, w której zostało już tylko kilka kropel. Wspomnienia nawiedzające język i podniebienie krzyczą o to, by znów stać się rzeczywistością. Świadomość tego, co zrobiła, przyprawia ją o zawroty głowy.

Jej ciałem wstrząsa milion drgawek i drobnych skurczów, jakby każda komórka z osobną odmawiała współpracy, póki nie dostanie tego, czego dostać przecież nie może.

Melanie zawsze była grzeczną dziewczynką. A dziś pokąsała dwóch mężczyzn, pożarła fragmenty ich ciał i najprawdopodobniej obydwu zabiła. Własnymi zębami.

Była głodna, a oni stali się jej strawą.

Czym więc jest teraz?

Te zagadki napływają do jej głowy falami w momentach, gdy pozostałości głodu pozwalają jej się na nich skupić. Czasem stają przed nią wielkie i wyraźne, czasem zaledwie prześwitują przez jakąś mętną zasłonę, przypominającą kłęby waty lub dymu.

Jest jeszcze coś, jeszcze jedno wspomnienie, które odchodzi i powraca, wciąż na nowo. Kiedy Melanie leżała na stole i rozcinała plastikowy pasek krępujący jej lewy nadgarstek – niezgrabnie ściskając skalpel czubkami palców wygiętej lewej dłoni – nagle pochylił się nad nią jeden z głodnych. Natychmiast znieruchomiała. Wpatrywała się bez tchu w tę dziką, pustą twarz. Nie była w stanie się poruszyć, wydać z siebie głosu ani nawet zamknąć oczu. Opuściła ją wszelka wola, a jej miejsce zajął strach.

Trwało to zaledwie pełną niebywałego napięcia sekundę, a potem nagle wszystko prysło. Żuchwa głodnego bezwładnie powędrowała w dół. Zwieszona głowa i zgarbione ramiona upodabniały go do sępa. Prześliznął się wzrokiem po twarzy Melanie, zwrócił się w lewo, potem w prawo. Skosztował językiem powietrza i runął do przodu, wzdłuż krawędzi stołu, ku skłębionej masie na podłodze laboratorium, niemal poza zasięgiem jej wzroku.

Ich spojrzenia spotkały się na tę sekundę wyłącznie za sprawą ślepego przypadku.

Potem głodny jakby zapomniał, że ją zobaczył.

Towarzyszące tej zagadce rozterki, a także skutki ustępującego paroksyzmu głodu sprawiają, że Melanie dopiero po dłuższej chwili zauważa otaczający ją świat.

Wszędzie dookoła rosną kwiaty. Melanie rozpoznaje żonkile i lepnice, które panna Justineau pokazała dzieciom w dzień równonocy. Pozostałe widzi po raz

pierwszy. Dziewczynka bardzo powoli kręci głową, przyglądając się każdemu z osobna.

Zauważa też fruujące pomiędzy kwiatami maleńkie bzyczące stworzenia. Domyśla się, że to pszczoły. Przysiadają to na jednym, to na drugim kwiatku i kołysząc odwłokami, wciskają się do środka, by po chwili się wycofać i pofrunąć do następnego.

Potem nad polem przelatuje coś znacznie większego. Jakiś czarny ptak, może gawron albo kawka, który wydobywa z siebie ochrypły, przejmujący zew. Towarzyszy mu cała masa innych, łagodniejszych odgłosów, ale ptaków, które je wydają – o ile to ptaki – nie widać.

Wszędzie unoszą się zapachy. Melanie wie, że niektóre z nich pochodzą od kwiatów, ale tu nawet powietrze ma zapach – głęboką, ziemną, skomplikowaną woń tego, co żyje, tego, co umiera, i tego, co umarło dawno temu. Zapach świata, w którym wszystko jest w ruchu i wszystko się zmienia.

Nagle Melanie staje się mrówką wgniecioną w poszycie. Nieruchomym atomem w morzu zmian. Ogrom świata otula ją i wypełnia, sącząc się do jej wnętrza i z każdym łykiem coraz mocniej uderzając do głowy.

I nawet w tym dziwnym, pełnym napięcia oszołomieniu, atakowana wspomnieniem smaku krwi na języku i powracającymi scenami potwornej przemocy, czuje, jak bardzo, ale to bardzo jej ten świat smakuje.

Zwłaszcza zapachy. Działają na nią całkiem inaczej niż zapach ludzkiego ciała, a jednak ekscytują – budzą w niej coś, co dotychczas pozostawało uśpione.

Pomagają odepchnąć od siebie głód i te straszliwe wspomnienia, choć trochę otrząsnąć się z bólu i wstydu.

Melanie stopniowo przychodzi do siebie. Nagle zauważa, że panna Justineau stoi nieopodal i obserwuje ją w milczeniu. Na jej twarzy maluje się nieufność i całe mnóstwo pytań.

Dziewczynka postanawia odpowiedzieć na to najważniejsze.

– Nie ugryzę pani – mówi. – Ale proszę się już więcej nie zbliżać – dodaje szybko, rzucając się do tyłu, gdy panna Justineau robi krok w jej stronę. – Tak pani pachnie... I jeszcze ta krew. To się może źle skończyć.

– Dobrze. – Panna Justineau kiwa głową. – Postanowiliśmy poszukać jakiegoś miejsca, gdzie będzie można się umyć i nasmarować e-blokerem. Wszystko w porządku, Melanie? Wyobrażam sobie, jakie to było dla ciebie okropne. – Jej twarz wyraża troskę i coś jeszcze. Może strach.

Bardzo dobrze. Powinna się bać. Znaleźli się w samym środku regionu szóstego, wiele kilometrów poza terenem bazy, całkowicie odsłonięci, na otwartym terenie zamieszkanym przez potwory. Przez głodnych.

– Wszystko w porządku? – powtarza panna Justineau.

Melanie kiwa głową, ale to kłamstwo. Wcale nie jest w porządku. I nie wie,

czy jeszcze kiedykolwiek będzie. Moment, gdy leżała przypięta do stołu doktor Caldwell, spoglądając z bliska na ostrze noża, był najstraszniejszy w jej dotychczasowym życiu. Ale już chwilę później panna Justineau omal nie zginęła na jej oczach, i to było jeszcze straszniejsze. Teraz najstraszniejsze jest wspomnienie tego, jak gryzła i połykała kawały mięsa wyszarpane z ciał tamtych dwóch mężczyzn.

Jakkolwiek by na to popatrzeć, to nie był dobry dzień. Melanie pragnie zadać pytanie, które przewierca ją na wylot. Pragnie je zadać panie Justineau, ponieważ jest pewna, że panna Justineau będzie знаła odpowiedź. Panna Justineau wie wszystko. A jednak nie jest w stanie tego zrobić, nie potrafi wypowiedzieć tych słów. Nie chce bowiem przyznać, że musi, że w jej głowie w ogóle zrodziła się taka wątpliwość.

„Czym ja jestem?”

A więc milczy. Czeką, aż panna Justineau odezwie się pierwsza. Mija sporo czasu, zanim wreszcie słyszy jej głos:

– Zachowałeś się bardzo odważnie. Gdybyś się wtedy nie pojawiła, zabiliby mnie.

– Doktor Caldwell chciał mnie zabić, pokroić na kawałki i powsadzać do słoików – przypomina jej Melanie. – To pani pierwsza mnie uratowała.

– Helen – mówi panna Justineau. – Mam na imię Helen.

Melanie zastanawia się przez chwilę.

– Nie dla mnie – odpowiada.

Parks wpełza pod wóz i miele w zębach przekleństwo.

Gorzkie.

Choć mechanik z niego przeciętny, widzi, że właściwie jest już po tylnej osi. Nieźle zmasakrowana przy samym środku, pewnie wygięła się, kiedy forsowali rów – pęknięcie jest małe, ale wyraźne. Mieli szczęście, że zdołali zajechać tak daleko, ale o wiele dalej już nie dotrą. W każdym razie nie bez pomocy. A Parks nadał wystarczająco dużo sygnałów alarmowych, żeby wiedzieć, że pomoc z bazy nie nadejdzie.

Przez dłuższą chwilę rozważa, czy jest sens zaglądać do silnika. Tam również coś zgrzyta, a zdecydowanie łatwiej byłoby naprawić silnik niż oś. Tyle że oś trzaśnie zapewne na długo przed tym, nim problem z silnikiem stanie się poważny.

Zapewne. Ale nie na pewno.

Sierżant wzdycha, wygrzebuje się spod samochodu i podchodzi do maski. Szeregowy Gallagher drepcze za nim jak zagubione szczenię.

– W porządku, panie sierżancie? – pyta z przestachem.

– Otwórz maskę, synu – odpowiada mu Parks. – Trzeba mu zajrzeć w bebechy.

O dziwo, z bebechami chyba wszystko jest w porządku. Natychmiast staje się jasne, że hałasy wywołała obluzowana poduszka silnika, która sprawiła, że przekrzywiony blok podczas jazdy obijał się o nadkole. Jasne, że w końcu rozleciałby się na kawałki, ale szczęśliwie nie zdążył jeszcze narobić zbyt dużych szkód. Parks wyciąga z przybornika klucz nasadowy i wkręca w poduszkę nową śrubkę.

Nie śpieszy się, ponieważ wie, że gdy skończy, będzie musiał zacząć podejmować decyzje.

Odprawa odbywa się wewnątrz pojazdu, by uniknąć przykrych niespodzianek. Sierżant nakazuje głodnej smarkuli usiąść na masce i czekać.

Odprawa. Tak właśnie o tym myśli. Jest tu jedynym wojskowym, nie licząc Gallaghera – zbyt młodego, by posiadał własne zdanie, nie mówiąc już o umiejętności obmyślenia taktyki. W związku z czym to właśnie na Parksa spada ciężar decyzji.

Obie kobiety najwyraźniej mają na ten temat własne poglądy, co w pojęciu Parksa zawsze zwiastuje katastrofę, a co gorsza, nie boją się ich wyrazić.

Pierwsza awantura wybucha, gdy Parks informuje zebranych, że zamierza kierować się na południe. Jest to najsensowniejsze wyjście – i prawdopodobnie ich jedyna szansa na ocalenie – ale gdy tylko im to oznajmia, obie panie rzucają mu się do gardła.

– Wszystkie moje zapiski i próbki zostały w bazie! – protestuje Caldwell. – Musimy je odzyskać.

– Została tam również trzydziestka dzieciaków – dodaje Justineau. – Oraz prawie wszyscy pana ludzie. Chce ich pan tak po prostu zostawić?

– Owszem – odpowiada jej na to Parks. – Zamknijcie się wreszcie obie, to wam wyjaśnię dlaczego. Odkąd się zatrzymaliśmy, co dziesięć, piętnaście minut wysyłałem komunikaty przez radio. Nie otrzymałem odpowiedzi z bazy ani żadnej innej. Co oznacza, że nikt się stamtąd nie wydostał. A jeśli nawet, to bez samochodu i bez nadajników, w związku z czym z naszego punktu widzenia mogłby się równie dobrze znajdować na innej planecie. W tej chwili nie ma sposobu, żeby się z tym kimś skontaktować, nie zdradzając naszej pozycji złomiarzom. Jeżeli spotkamy kogoś po drodze, to świetnie. Jeżeli nie, to jesteśmy sami i jedynym logicznym wyjściem jest kierowanie się tam, gdzie płonie domowe ognisko. Do Beacon.

Caldwell nie odpowiada. Pierwszy raz wyciągnęła dłonie spod pach i ukradkiem, bojaźliwie zerka na nie wzrokiem pokerzystki, która unosi rożki kart, żeby sprawdzić, co też zesłała jej fortuna.

Za to Justineau nie daje za wygraną, co zresztą Parks już nie dziwi.

– A gdybyśmy tak poczekali kilka dni, a potem wrócili, ale powoli i ostrożnie? Jeśli baza wciąż będzie w rękach złomiarzy, wycofamy się. Jeśli nie, ktoś z nas będzie mógł wejść do środka. Na przykład ja i doktor Caldwell. Wy dwaj zostaniecie z tyłu, żeby nas osłaniać. Jeżeli dzieci wciąż tam są i żyją, to ja nie mogę ich tak zostawić.

Parks wzdycha. Ten krótki monolog tak się roi od szalonych pomysłów, że sierżant nie wie nawet, od czego zacząć.

– Okej – mówi. – Po pierwsze one nie żyją, i to od dawna. Po drugie...

– To dzieci, sierżancie – w głosie Justineau dźwięczy groźba. – Głodne czy nie, nie o to chodzi.

– Najmocniej panią przepraszam, ale chodzi właśnie o to. Głodni potrafią przeżyć bez jedzenia bardzo długo. Może nawet całą wieczność. Jeżeli te dzieciaki wciąż siedzą zamknięte w bunkrze, to są bezpieczne. I będą bezpieczne, póki ktoś im nie otworzy. Jeśli nie, złomiarze pewnie zapędzili je do swojego stada, czyli to już nie nasz problem. Powiem pani, co jest naszym problemem. Chce się pani podkraść pod bazę. Sprawdzić, co się dzieje w środku. Zatem słucham: jak niby mielibyśmy to zrobić?

– Możemy podjechać od... – zaczyna Justineau, ale milknie, ponieważ zaczyna rozumieć, o co mu chodzi.

– Po cichu podjechać się nie da. – Słowa Parks to teraz echo jej własnych myśli. – Usłyszą nas już z paru kilometrów. A jeśli pójdziemy pieszo, znajdziemy się bezbronni pośród tysięcy głodnych. W takim wypadku nie wrózę nam

większych szans.

Justineau milczy. Wie, że Parks ma rację.

Ale wtedy po raz kolejny do rozmowy wtrąca się doktor Caldwell:

– Sierżancie, uważam, że to kwestia priorytetów. Jedynym powodem istnienia bazy były moje badania. Choćby odzyskanie notatek i próbek z laboratorium stanowiło wielkie ryzyko, jestem zdania, że musimy to zrobić.

– A ja nie – odpowiada jej Parks. – I tu zasada jest ta sama. O ile złomiarze opuścili bazę, pani rzeczy są bezpieczne. Papiery mogłyby ich zainteresować tylko w wypadku, gdyby zapragnęli podetrzeć sobie nimi dupę. Zazwyczaj szukają jedzenia, broni, paliwa i tak dalej. – Chyba że to była zemsta za tych facetów, których zabił Gallagher, ale o tym Parks nie zamierza teraz mówić.

– Im dłużej będą tam leżały... – zaczyna protestować Caldwell.

– W związku z tym podjąłem decyzję – przerywa jej Parks. – Jedziemy na południe i cały czas nadajemy. Gdy znajdziemy się wystarczająco blisko, żeby złapać sygnał z Beacon, prześlemy im, co się stało. Oni tam mają helikoptery i porządną broń. Wydostaną, co trzeba, z pani laboratorium, a w drodze powrotnej może i wezmą nas ze sobą. W najgorszym razie, jeśli nie uda nam się nawiązać kontaktu wcześniej, złożymy im raport, kiedy dotrzemy na miejsce. Dalej scenariusz jest taki sam, tyle że wszystko opóźni się o dzień lub dwa. Tak czy inaczej wszyscy będą zadowoleni.

– Ja nie jestem zadowolona – cedzi zimno Caldwell. – Ani trochę. Nawet dzień opóźnienia w odzyskaniu moich materiałów jest nie do przyjęcia.

– Mogłabym wrócić tam sama – Justineau nie daje za wygraną. – Poczekalibyście tu na mnie, a gdybym nie wróciła...

– Wykluczone – nie wytrzymuje Parks. Nie chce robić jej przykrości, ale ma już dosyć tych bzdur. – W tej chwili ci skurwiele nie wiedzą, jak daleko udało nam się uciec ani którą pojechaliśmy drogą. Nie wiedzą nawet, czy żyjemy. I tak ma zostać. Jeśli pani wróci, złapią panią, a potem dotrą i do nas jak po nitce do kłębka.

– Nic im nie powiem – obiecuje Justineau, ale na to sierżant nie musi nawet odpowiadać. W końcu wszyscy są dorośli.

Czeka na dalsze sprzeciwy, jest niemal pewien, że nadejdą. Ale Justineau przeniosła wzrok na okno i przypatruje się teraz głodnej smarkuli, która rysuje palcem po zakurzonej masce samochodu. Mała ma taki wyraz twarzy, jakby usiłowała odczytać trudne słowo na zamazanej kartce książki. Sierżant dopiero po chwili zauważa tę samą minę u Justineau. To wytrąca go lekko z równowagi. Tymczasem Caldwell raz po raz zgina i prostuje palce, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż działają.

– Dobra – mówi sierżant. – Oto, co zrobimy. Kilka kilometrów na zachód jest strumień, z tego co wiem, nadal czysty. Tam udamy się w pierwszej kolejności. Potem poszukamy jednego z naszych tajnych składów i zrobimy zapasy. Potrzeba

nam głównie jedzenia i e-blokera, ale parę innych rzeczy też by się przydało. A potem ruszamy przed siebie. Na wschód do drogi A1 i na południe do samego Beacon. Możemy ominąć Londyn albo przez niego przejechać, to będzie zależało. Ocenimy sytuację na miejscu. Jakies pytania?

Pytań jest milion i Parks dobrze o tym wie. Ma również przecucie co do tego, które z nich padnie jako pierwsze, i przecucie to go nie zawodzi.

– Co z Melanie? – pyta twardo Justineau.

– Co z nią? – kontruje Parks. – Nic jej tu nie grozi. Wyżywi się tym, co upoluje, jak każdy głodny. Oni wprawdzie gustują w ludzkim mięsie, ale nie pogardzą żadną zdobyczą. Sama się pani przekonała, jak szybko potrafią biegać.

Justineau gapi się na niego, jakby do niej przemawiał w obcym języku.

– Pamięta pan może, jak przed chwileczką użyłam słowa „dzieci”? – pyta zgryźliwie. – Czy to do pana w ogóle dotarło? Ja się nie martwię, że zabraknie jej protein, sierżancie. Martwi mnie natomiast cholerne draństwo, jakim byłoby porzucenie małej dziewczynki samej w środku niczego. Zresztą, mówiąc, że jest bezpieczna, miał pan zapewne na myśli to, że nie musi bać się głodnych.

– Oni się nie rzucają na swoich ziomków – odzywa się po raz pierwszy szeregowy Gallagher. – Jakby ich w ogóle nie zauważali. Chyba im pachną inaczej niż my.

– Ale są jeszcze złomiarze. – Justineau nie zwraca na niego uwagi. – Oraz każda inna zbuntowana grupka, która postanowiła osiedlić się w tych stronach. Schwytają ją i przysypią wapnem bez chwili refleksji nad tym, z kim mają do czynienia.

– To akurat raczej będzie dla nich jasne – zauważa Parks.

– Nie zostawię jej tu.

– Nie może z nami jechać.

– Nie zostawię jej.

Jedno spojrzenie na jej napięte barki podpowiada Parksowi, że Justineau nie żartuje i że ich spór osiągnął właśnie punkt krytyczny.

– A gdyby tak posadzić ją na dachu? – odzywa się Caldwell, przełamując w ten sposób impas. – Wyobrażam sobie, że z tą zepsutą osią będziemy jechali dość wolno, poza tym może złapać się szyn. Albo posadźcie ją na obrotnicy. – Kwituje ich spojrzenia wzruszeniem ramion. – Sądziłam, że to jasne. Melanie to część mojego projektu, w dodatku całkiem możliwe, że jedyna, która mi pozostała. W związku z czym jest warta każdego zachodu.

– Nie pozwolę ci jej dotknąć – jeży się Justineau.

– Umówmy się, że porozmawiamy o tym w Beacon.

– Zgoda – mówi szybko Parks. – Obrotnica nie wchodzi w grę, bo otwiera się do wewnątrz pojazdu. Ale na dachu może jechać. Nie mam z tym problemu, pod warunkiem że się nie zbliży, kiedy ktoś otworzy drzwi.

Wreszcie wszyscy się zgadzają, wbrew obawom Parksa, który miał wrażenie, że będą tak się kłócić do usranej śmierci.

Justineau wychodzi na zewnątrz, żeby opowiedzieć potworkowi co i jak.

Parks instruuje Gallaghera, żeby nie spuszczał smarkuli z oka i ani na moment nie rozstawał się z bronią. Sam oczywiście też ją będzie obserwował, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Co chcesz zrobić? – pyta panna Justineau.

Melanie nie rozumie pytania. Czeką, aż panna Justineau wyrazi się jaśniej, co ta w końcu robi, dość niepewnie:

– Jedziemy na południe, w stronę Beacon. Ale ty możesz się wybrać, dokąd zechcesz. Żołnierze schwytali cię w Luton albo Bedford, nie wiem dokładnie, w każdym razie w tamtych okolicach. Wcześniej właśnie tam mieszkałaś. Gdybyś chciała, mogłabyś tam teraz wrócić, do... hm, do...

Milknie.

– Tak? – zachęca ją Melanie. – Do kogo?

Panna Justineau potrząsa głową.

– Chodziło mi o to, że jeśli zechcesz, wypuścimy cię na wolność. Mogłabyś robić, co ci się podoba. W Beacon nie będziesz wolna. Znowu wsadzą cię do celi.

– Ale ja lubiałam swoją celę. I klasę. I lekcje.

– Nie będzie więcej lekcji, Melanie. Trafisz do doktor Caldwell.

Melanie kiwa głową. Przecież już to wszystko wie. I owszem, boi się. Tyle że strach nic nie zmienia.

– Nie szkodzi – odpowiada. – Chcę być tam, gdzie pani. Zresztą i tak nie wiedziałabym, jak trafić w to miejsce, w którym kiedyś mieszkałam. Nawet go nie pamiętam. Pamiętam tylko blok i panią. Pani jest... – Tym razem to Melanie milknie. Nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. – Jest pani moją strawą – mówi wreszcie. – Kiedy jestem głodna. Nie, nie chodzi mi o to, że chcę panią zjeść! Wcale nie chcę, wołałabym umrzeć! Po prostu... Pani mnie wypełnia, tak jak strawa tego człowieka w piosence. Kiedy pani jest przy mnie, to czuję, że niczego innego mi nie potrzeba.

Panna Justineau chyba nie wie, jak na to odpowiedzieć. Spogląda w bok, potem na Melanie i znowu w bok. Czuje napływające do oczu łzy i przez chwilę nie jest w stanie mówić. Kiedy w końcu zagląda Melanie w oczy, jest już chyba pogodzona z faktem, że one dwie zostaną razem – jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na jakiś czas.

– Będziesz musiała pojechać na dachu – mówi. – W porządku?

– Tak – odpowiada natychmiast Melanie. – Jasne, że w porządku, panno Justineau.

Jest lepiej niż w porządku. Melanie czuje wielką ulgę. Przeraziła ją myśl o powrocie do auta, więc to naprawdę wspaniale, że tamci wpadli na inny pomysł. Dzięki temu nie musi jechać z doktor Caldwell, której boi się tak okropnie, jakby ktoś jej wbijał nożyczki w pierś. I co najważniejsze, nie musi się bać, że głód zaatakuje w chwili, gdy obok będzie siedziała panna Justineau.

Tymczasem panna Justineau spogląda na to, co Melanie wyrysowała palcem

na zakurzonej masce samochodu. Jakieś kleksy i prostokąty, a między nimi pojedyncza kręta linia.

– Co to? – pyta zaciekawiona.

Melanie wzrusza ramionami. Wstydzi się odpowiedzieć. Odtworzyła z pamięci drogę z laboratorium doktor Caldwell aż do schodów, które wiodą na blok. Do celi. Do domu. Narysowała ją, choć wie, że tam nie wróci, nie zobaczy klasy ani pozostałych dzieci. Wie, że dom to teraz tylko wspomnienie, że już nigdy nie postawi stopy w bazie, myśląc: „jestem u siebie”.

Gdyby miała się teraz sama przed sobą określić, powiedziałaaby, że jedyne, co jej pozostało, to historie, które jej opowiadano: o Mojżesz – o tym, jak nie zdołał zobaczyć tej krainy, w której płynęło tyle mleka; i o Eneasz uciekającym z pokonanej Troi. I wiersz o słowiku i Ruth stojącej wśród obcego zboża.

Wszystko to zbiera się w niej, składa w całość, ale ona nie potrafi ubrać tego w słowa.

– To tylko taki wzorek – mówi, choć paskudnie się z tym czuje. Okłamała bowiem pannę Justineau, którą kocha najbardziej na świecie. Kolejną sprawą, o której jeszcze trudniej byłoby jej mówić, jest to, że ona i panna Justineau są teraz domem dla siebie nawzajem; nie ma innego wyjścia.

Gdyby tylko nie wracało do niej wciąż wspomnienie tego straszliwego głodu, tej przerażającej przyjemności wywołanej smakiem krwi i mięsa. Czemu panna Justineau o to nie pyta? Czemu się nie zdziwiła, że Melanie jest do tego zdolna?

– Ci ludzie... – odzywa się z wahaniem.

– W bazie?

– Tak. Oni. To, co im zrobiłam...

– Melanie, to byli złomiarze – mówi panna Justineau. – Mordercy. Gdybyś ich nie powstrzymała, skrzywdziliby cię. I mnie przy okazji. Nie zdręczaj się tym więcej. Nie mogłaś nic na to poradzić. Niczemu nie jesteś winna.

Melanie się boi, ale musi zapytać:

– Dlaczego? Dlaczego mówi pani, że nie jestem winna?

Panna Justineau się waha.

– To kwestia twojej natury – mówi. Ale kiedy Melanie otwiera usta, żeby zadać kolejne pytanie, nauczycielka kręci głową. – Nie teraz. Nie mamy czasu, a to skomplikowane sprawy. Wiem, że się boisz. Wiem, że nie rozumiesz, co się dzieje. Obiecuję, że ci to wyjaśnię, kiedy przyjdzie czas. Kiedy będziemy bezpieczni. Na razie... Spróbuj po prostu się nie martwić. Nie zostawimy cię, obiecuję. Będziemy się wszyscy trzymać razem. Okej?

Melanie zastanawia się przez chwilę. Czy to jest okej? Temat ją przeraża, więc w pewnym sensie czuje ulgę, że może go na razie porzucić. Równocześnie jednak powracające uparcie pytanie ciąży jej niemiłosiernie i nie będzie

zadowolona, póki nie usłyszy odpowiedzi. W końcu z wahaniem kiwa głową. Ponieważ nagle świta jej pewna myśl, wyzierająca spod smutków i trosk jak nadzieja ukryta na samym dnie puszeki Pandory, pod tymi wszystkimi strasznościami. Melanie już wie, jak sprawić, żeby wszystko wydało się odrobinę mniej okropne.

Po prostu od dziś każdy dzień będzie dniem panny Justineau.

Omijają łukiem granicę Shefford i otwartymi polami zbliżają się do wskazanego przez sierżanta strumienia, który okazuje się płytkim odnóżem rzeki Flit. Napęlniają wodą kilkanaście dziesięciogalonowych plastikowych kanistrów i ładują je do specjalnych skrytek.

Korzystając z okazji, Justineau zdejmuje sweter i zanurza go w wartkim nurcie, wyjmując, wyciska o kamień, potem pierze jeszcze raz. Krew stopniowo oddziela się od włókien, rdzawobrazowe obłoki wirują i rozpraszają się w skotłowanej wodzie. Justineau przywiązuje sweter do anteny samochodu, by wysechł. Jest tak ciężki, że antena wygina się prawie pod kątem prostym.

Melanie wykorzystuje wodę z rzeki do zmycia z ciała niebieskiego żelu. Wyznaje Justineau, że jego zapach kojarzył jej się z laboratorium, a kolor sprawiał, że wyglądała strasznie głupio.

Następne odnajdują miejsce, którego współrzędne Parks odczytał z pliku w swoim przenośnym telefonie. Znajduje się tam tajny skład, założony przez żołnierzy w czasach, gdy przejęli bazę, na wypadek nagłego odwrotu do Beacon. W składzie powinny być zapasy jedzenia, broń, amunicja, leki, tubki z e-blokerem, tabletki do uzdatniania wody, mapy, sprzęt łącznościowy, lekkie koce – wszystko, co mogłoby okazać się potrzebne. Są to jednak czysto teoretyczne dywagacje, ponieważ tam, gdzie powinien znajdować się skład, zięje tylko pusta dziura w ziemi. Widocznie wcześniej znaleźli go złomiarze. Albo ktoś inny. Istnieje prawdopodobieństwo, że sierżant i jego załoga nie byli jedynymi, którzy zdołali uciec z bazy, i że jakaś inna grupa odnalazła to miejsce przed nimi. Jednak Parks w to wątpi, ponieważ ten ktoś nie zdążyłby dokopać się do składu i go opróżnić przed ich przyjazdem. Prawdopodobnie dokonano tego dużo wcześniej.

Tak więc muszą się ograniczyć do tego, co mają w samochodzie. Sporządzają spis inwentarza, otwierając na oścież wszystkie skrytki, żeby sprawdzić, które są pełne, a które puste. Wedle przepisów – tłumaczy im Parks – wszystkie powinny być pełne. Nie wspomina o tym, co wie każdy, kto ma za sobą wiele lat służby: w gruncie rzeczy przepisy niewiele znaczą.

Poszukiwania te przynoszą dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że humvee może się poszczycić nieźle zaopatrzoną apteczką i nienaruszonym składem broni. Niestety, trzy czwarte schowków z żywnością jest puste. W wypadku pięcioosobowej grupy oznacza to, że zapasów jedzenia starczy im w najlepszym razie na parę dni. Poza tym mają dwa plecaki, pięć manierek z wodą oraz pistolet sygnałowy zaopatrzone w siedem flar.

Chyba najbardziej niepokojące jest to, że zostały im tylko trzy tubki e-blokera, w tym jedna napoczęta.

Justineau przez kilka chwil walczy z odruchem miłosierdzia. W końcu nie

wytrzymuje. Sięga po apteczkę i skinieniem głowy wskazuje dłonie doktor Caldwell.

– Przydałoby się je zabandażować – mówi. – Chyba że masz coś lepszego do roboty.

Rany są poważne. Głębokie aż do kości. Rozharatane mięśnie zwisają poszarpanymi płatami, jak niezdarnie napoczęta świąteczna pieczeń. Skóra wokół jest napuchnięta i czerwona, a całość pokryta skorupą szerniałej krwi.

Justineau najlepiej, jak umie, przemywa to wszystko wodą z manierki. Caldwell nie krzyczy. Błada i roztrzęsiona obserwuje, jak Justineau ostrożnie usuwa wacikiem zaschniętą krew. To powoduje nowe krwawienie, ale Justineau podejrzewa, że to dobry znak. Istnieje poważne ryzyko infekcji, więc krew spełnia swoją funkcję, spłukując zarazki z powierzchni rany.

Następnie przechodzi do dezynfekcji. Kiedy piekący płyn wgryza się w nowo otwartą ranę, Caldwell po raz pierwszy wydaje z siebie jęk. Przygryza dolną wargę, żeby nie krzyczeć głośniej. Pot występuje jej na czoło.

Justineau zakłada jej opatrunek polowy, w miarę możliwości pozostawiając palcom swobodę ruchów, ale tak, by starannie przykryć uszkodzone miejsca. Kilka lat temu brała udział w kursie pierwszej pomocy, więc wie, co robi. Efekt wygląda dobrze i profesjonalnie.

– Dziękuję – mówi Caldwell, kiedy jest po wszystkim.

Justineau wzrusza ramionami. Ostatnie, na czym jej zależy, to uprzejmości ze strony tej kobiety. Caldwell zresztą chyba zdaje sobie z tego sprawę, bo więcej się nie odzywa.

– Wsiadajcie – zarządza Parks, kiedy Gallagher zatrzaskuje bagażnik. – Czas ruszać w drogę.

– Jeszcze chwilę – prosi Justineau. Zdejmuje sweter z anteny i dokładnie go ogląda. Tu i ówdzie zostało kilka plam, ale sweter jest prawie suchy. Pomaga Melanie go włożyć.

– Nie drapie? – pyta.

Melanie kręci głową i uśmiecha się – słabo, ale szczerze.

– Nie, jest naprawdę miękki – zapewnia. – I ciepły. Dziękuję, panno Justineau.

– Bardzo proszę. A... zapach ci nie przeszkadza?

– Nie pachnie krwią. Ani panią. Właściwie niczym nie pachnie.

– W takim razie będzie musiał wystarczyć. Póki nie znajdziemy czegoś lepszego.

Parks czeka, aż skończą, nawet nie próbując ukryć zniecierpliwienia. Justineau gramoli się do auta, po raz ostatni machając Melanie na pożegnanie. Gdy tylko drzwi się zamykają, Melanie wspina się zwinnie na dach i usadawia wygodnie, wsparta o pokrywę obrotnicy. Przytrzymuje się mocno i ruszają.

Cofają się teraz po własnych śladach, na wschód, ku starej jak świat, przecinającej kraj z północy na południe ukośnej wstędze autostrady A1. Jadą powoli, by nie obciążać tylnej osi kolejnymi wstrząsami. Bardzo też uważają, by omijać miasteczka. To tam, jak twierdzi Parks, gnieźdzą się największe stada głodnych. Hałas silnika natychmiast by ich przyciągnął. Tak czy inaczej auto posuwa się we wcale niezłym tempie.

Przez jakieś osiem kilometrów.

Nagle pojazd zbacza z kursu, rozchybotany jak ponton na wzburzonym morzu, a pasażerowie lądują na podłodze. Caldwell, wsparłszy się odruchowo na rękach, wydaje z siebie pełen rozpaczy jęk i kuli się, przyciskając dłonie do piersi.

Rozlega się pojedynczy, przeraźliwy trzask, po którym następuje seria gwałtownych wstrząsów. Powietrze przeszywa zgrzyt przypominający syrenę alarmową. Nadłamana oś pękła na dobre i tylna część nadwozia wlecze się po asfalcie.

Parks z całej siły wciska hamulec. Samochód obraca się wokół własnej osi i nieruchomieje z odgłosem przypominającym westchnienie zmęczonego zwierzęcia.

Parks również wzdycha. Jest gotów na najgorsze.

Dotąd jedynymi uczuciami, jakie Justineau do niego żywiła, były żal i podejrzliwość, które później, gdy oddał Melanie w ręce Caldwell, wykiełkowały w prawdziwą nienawiść. W tej chwili jednak go podziwia. Utrata humvee to powalający cios, a on nie marnuje czasu nawet na to, by dać upust złości.

Natychmiast zabiera się do działania. Wyrzywa ich z odurzenia i wyciąga z martwego pojazdu. Justineau w pierwszej kolejności sprawdza, co z Melanie, której mimo licznych wstrząsów udało się nie spaść z dachu. Szybko ścisną rękę dziewczynki.

– Zmiana planów – mówi.

Melanie kiwa głową. Rozumie. Nie czekając, aż ją poproszą, zbiega na dół i oddala się, tak samo jak podczas postoju przy składzie.

Sierżant Parks otwiera bagażnik i wyciąga dwa plecaki. Jeden z nich rzuca Gallagherowi. Będą potrzebowali wody, nie ma jednak mowy, by dźwigali ze sobą ciężkie kanistry. Wszyscy napełniają więc manierki. Piątą manierkę przywłaszcza sobie (nikt nie proponuje, by dał ją Melanie). Potem wszyscy czworo piją z na wpół pustego kanistra, aż ich żołądki wypełniają się do granic możliwości. Parks proponuje Melanie pozostać na dnie resztkę, ale mała nigdy w życiu nie piła wody. Jej organizm nie potrzebuje dużej ilości płynów, a tę niezbędną odrobinę z powodzeniem czerpie z żywego mięsa. Dziewczynka aż się wzdryga na myśl o wypiciu choćby łyeczka.

Następnie wszyscy biorą sobie po nożu i pistolecie, przypinając kabury i pochwy prosto do pasków. Żołnierze sięgają również po karabiny, a Parks

dodatkowo po dwie garście granatów, przypominających tajemnicze czarne owoce. Ich ścianki są gładkie, choć ścianki granatów, które Justineau pamięta ze starych filmów wojennych, zawsze były rzeźbione w romby. Po chwili namysłu Parks wsuwa jeszcze do plecaka pistolet sygnałowy i wyjmując spod deski rozdzielczej dwie krótkofalówki. Pierwszą podaje Gallagherowi, drugą przytwierdza sobie do paska.

Do plecaków trafiają również liche zapasy żywności podzielone na równe części. Justineau dorzuca apteczkę, która mimo że pękata i nieporęczna, z pewnością się przyda.

Wszyscy czworo działają w gorączkowym pośpiechu, choć panującą na polnej drodze ciszę zakłóca tylko śpiew ptaków. Biorą przykład z sierżanta, który, ponury i prędki, ponagla ich monosylabami.

– Możemy ruszać – oznajmia w końcu. – Wszyscy gotowi?

Jedno po drugim kiwają głowami. Dociera do nich świadomość, że podróż, którą po dobrych drogach odbyliby w pół dnia, właśnie przerodziła się w pięciodobny lub sześciodniowy marsz po kompletnie nieznanym terenie. Justineau podejrzewa, że pogodzenie się z tą perspektywą jest dla pozostałych równie trudne jak dla niej. Przetransportowano ją do bazy helikopterem wprost z Beacon – gdzie mieszkała wcześniej tak długo, że prawie nie pamiętała innego stanu rzeczy. Wszelkie myśli o dawnych czasach – czasach Załamania, kiedy świat wypełnił się potworami o twarzach ludzi, których się znało i kochało, i kiedy wszyscy pozostali przy życiu rozbiegli się niczym myszy umykające przed rozbudzonym nagle kotem – dusiła w sobie tak mocno i od tak dawna, że stały się zaledwie cieniami wspomnień.

Teraz muszą w piątkę przejść przez ten świat. Od domu dzieli ich ponad sto kilometrów. Sto kilometrów sielskich angielskich krajobrazów, które teraz należą do głodnych, co czyni podróż mniej więcej tak bezpieczną jak odtańczenie mazurka na polu minowym. Jest to co najmniej zadziwiająca perspektywa.

W dodatku mina sierżanta Parksa podpowiada jej, że szykuje on coś jeszcze.

– Wciąż się pani upiera, żeby nie puścić smarkuli samopas? – pyta.

– Owszem.

– W takim razie mam kilka warunków.

Podchodzi do bocznej skrytki w samochodzie, której nikt dotąd nie otworzył. Pełno w niej specjalistycznego sprzętu, którego Parks i jego ludzie używali za dawnych czasów, przetrząsając miasteczka w hrabstwach Hertfordshire, Bedfordshire i Buckinghamshire w poszukiwaniu tych wyjątkowych okazji głodnych, których tak niecierpliwie wyczekiwała Caroline Caldwell. Uprężę, paralizatory, obroże na długich drążkach; cały warsztat umożliwiający obcowanie z groźnymi zwierzętami przy minimalnym zagrożeniu.

– Nie – chrypi Justineau przez wyschnięte gardło.

Ale Melanie na widok tego paskudnego arsenału równie szybko i równie

stanowczo mówi: tak. Spogląda Parksowi w oczy badawczo, może nawet z odrobiną aprobaty.

– Dobry pomysł – stwierdza. – Żebym nikogo nie skrzywdziła.

– Wcale nie dobry – odpowiada Parks. – Miałbym kilka znacznie lepszych. A to się nazywa robienie dobrej miny do złej gry.

Justineau nie ma złudzeń. Wie, że sierżant najchętniej wpakowałby Melanie kulkę w łeb i zostawił ciało gdzieś na poboczu. Ale ponieważ cywilna część załogi sprzymierzyła się w tej sprawie przeciwko niemu, ponieważ zarówno Caldwell, jak i Justineau, choć każda z innego powodu, chcą, by Melanie z nimi została, na tym właśnie polega jego niechętny kompromis.

Parks wraz z Gallagherem skuwają Melanie ręce za plecami. Do łańcucha kajdanek przytwierdzają regulowaną smycz i wyciągają ją na mniej więcej dwa metry. Na dolną część twarzy dziewczynki zakładają coś, co przypomina skrzyżowanie kagańca ze średniowiecznym narzędziem hańby zwanym wędzidłem sekutnicy. Choć wykonana z myślą o dorosłym, maska jest w pełni regulowana i żołnierze zapinają ją bardzo ciasno.

Gdy zaczynają zakładać pęta na jej kostki, żeby nie mogła biegać, Justineau nie wytrzymuje.

– Nie ma mowy – rzuca twardo. – Ile razy mam wam przypominać, że mamy na głowie nie tylko głodnych, ale i złomiarzy? Kaganiec to jedno. Jeśli uniemożliwicie Melanie ucieczkę, to tak, jakbyście ją zabili, nie marnując naboju.

Całkiem wyraźnie widać, że jest to dla sierżanta niezwykle kusząca perspektywa. Jednak po chwili namysłu niecierpliwie kiwa głową.

– Helen, wciąż mówisz o „zabijaniu” w kontekście obiektów badań – wtrąca się Caldwell swoim belferskim tonem. – Powtarzałam ci to nieraz. W większości wypadków praca mózgu ustaje kilka godzin po zarażeniu, co w zasadzie stanowi kliniczną definicję śmierci, w każdym razie według...

Justineau obraca się na pięcie i wymierza jej cios prosto w twarz.

Uderzenie jest mocne i ręka boli ją o wiele bardziej, niż się spodziewała. Ból wędruje w górę przedramienia aż do łokcia.

Caldwell chwieje się i omal nie upada. Wymachując rękami, by złapać równowagę, robi dwa kroki do tyłu. Wpatruje się w Justineau ze szczerym niedowierzaniem. Justineau odwzajemnia spojrzenie, przyciskając do piersi obolałe przedramię. W przeciwieństwie do Caldwell jedną rękę wciąż ma sprawną.

– Mów dalej – zachęca – a wybiję ci wszystkie zęby. Jeden po drugim.

Obaj żołnierze obserwują całą scenę z zainteresowaniem, ale żaden nie interweniuje. Najwyraźniej obaj uważają, że lepiej nie wtrącać się w babskie porachunki.

Melanie również się im przypatruje, zaokrąglonymi oczami i z szeroko otwartą buzią. Justineau czuje, jak opuszcza ją gniew, a jego miejsce zajmuje wstyd

spowodowany świadomością, że straciła nad sobą kontrolę. Oblewa się ciemnym rumieńcem.

Caldwell zlizuje z ust kropelkę krwi.

– Biorę was za świadków – mówi grubym głosem do Parksa i Gallaghery. – To była nieuzasadniona napaść.

– Widzieliśmy – potwierdza Parks sucho. – Bardzo bym chciał, żebyśmy jak najszybciej znaleźli się w miejscu, gdzie będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie. Czy to już wszystko? Ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia? Nie? W takim razie w drogę.

Ruszają na wschód, pozostawiając za sobą martwy, wybebeszony pojazd. Caldwell na kilka chwil zostaje z tyłu, po czym dołącza do ponurego orszaku. Wyraźnie nie może uwierzyć, że ta bezczelna napaść wywołała tak niewielkie wrażenie. W końcu natura realistki nakazuje jej po prostu przyjąć to do wiadomości.

Justineau zastanawia się, czy nie powinni byli przepchnąć samochodu na jedno z sąsiednich pól, aby choć częściowo zatrzeć po sobie ślady. Uznaje jednak, że auto ze złamaną osią, ryjące tyłem o ziemię, okazałoby się o wiele za ciężkie. Spalenie go byłoby oczywiście jeszcze gorszym pomysłem – równie dobrze mogliby odpalić jedną z flar, by podać wrogom swoją dokładną pozycję.

I bez tego czyhają na każdym kroku.

Melanie, idąc, opowiada sobie świat.

Ze wszystkich stron otaczają ich pola. W większości prostokątne, a w każdym razie kanciaste. Porośnięte wysokimi, sięgającymi dorosłym do ramion chwastami, które połknęły wszystko, co tu zasiano wiele lat temu. Granicę pola na skraju drogi wyznaczają strzępiaste żywopłoty i spękane murki, a powierzchnia, po której stąpają, jest jak wyblakła czarna wykładzina pełna dziur, na tyle dużych, że wchłonęłyby Melanie w całości.

Krajobraz rozkładu – a zarazem cudownie, obezwładniająco piękny. Niebo to jasnoblękitna misa, niemal nieskończenie wielka, której głębię nadają olbrzymie zwały czystych białych chmur, piętrzących się w górę i w górę, niczym wieże. Wszędzie fruwać ptaki i owady, częściowo znane jej już z porannego postoju. Słońce ogrzewa jej skórę, wylewa się z tej przewróconej misy na świat, sprawia, że – to Melanie już wie – na łąkach rosną kwiaty, w morzu algi, a wszędzie rozpoczyna się łańcuch pokarmowy.

Skomplikowane powietrze jest ciężkie od miliona zapachów.

W oddali widać kilka domów, ale nawet z tej odległości Melanie dostrzega, że to ruiny. Okna roztrzaskane lub zabite deskami. Drzwi zwisające z zawiasów. Zapadnięta kalenica jednego z budynków tworzy idealną skierowaną w dół parabolę.

Melanie przypomina sobie pewną lekcję z panem Whitakerem, która nagle wydaje jej się niebywale odległa. Populacja Birmingham wynosi zero... Ten świat został stworzony przez ludzi, by spełniał ich potrzeby, ale już ich nie spełnia. Wszystko się zmieniło. Zmieniło się dlatego, że ludzie stąd uciekli. Zostawili swój świat głodnym.

Teraz Melanie zdaje sobie sprawę, że przecież mówiono jej o tym nieraz. Po prostu ignorowała te informacje, oczywistą logikę otaczającego ją świata, wybierając spośród wielu sprzecznych historii te, w które chciała wierzyć.

Tymczasem sierżant Parks zmaga się z problemem natury praktycznej.

Na początku instynkt podpowiadał mu, by omijać miasta – oraz wszelkie tereny zabudowane – i przemieszczać się wyłącznie po bezdrożach. Powód był oczywisty. Głodni zazwyczaj trzymają się blisko miejsca, w którym zostali przemienieni, zarażeni czy jak to jeszcze nazwać. Nie chodzi o przywiązanie do terytorium, lecz po prostu o to, że gdy nie polują, większość czasu spędzają w bezruchu, jak dzieci bawiące się w „Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”. Tak więc miasta i miasteczka są ich pełne, w przeciwieństwie do terenów wiejskich, w których zagęszczenie mieszkańców odpowiada sytuacji sprzed Załamania.

Parks ma na to jednak trzy mocne kontrargumenty. Pierwszy opiera się na czymś, co zauważył podczas licznych patrolów i odtąd przekazuje tę wiedzę

wszystkim swoim podkomendnym, choć Caldwell powtarza, że jego dowody są wciąż „dalekie od rozstrzygających”. Powszechnie wiadomo, że głodni reagują na zapach potu, gwałtowny ruch oraz dźwięki. Istnieje jednak czwarty czynnik, zyskujący na znaczeniu zwłaszcza po zachodzie słońca, gdy obniża się temperatura powietrza. Otóż głodni potrafią cię wytropić, kierując się ciepłotą twojego ciała. Po zmroku jesteś dla nich niczym chodzący neonowy szyld wykwintnej restauracji.

Tu pojawia się punkt numer dwa: będzie im potrzebny dach nad głową. Jeśli zdecydują się spać pod gołym niebem, głodni natychmiast obleżą ich ze wszystkich stron. Oczywiście to wcale nie oznacza, że jedynym wyjściem jest nocowanie w mieście, jednak znalezienie schronienia gdzie indziej pochłonie mnóstwo czasu.

No właśnie. Argument numer trzy. Czas. Kluczenie i omijanie zabudowań rozciągnie ich trasę o dobre trzydzieści parę kilometrów. Co gorsza, przedzieranie się przez trudne, dziczące tereny prawdopodobnie wydłuży czas wyprawy o połowę. Nie wspominając o tym, jakich trudności może nastreczyć ucieczka przez pola pełne rozłożystych, ciemnych chaszczki albo przez pastwisko wchłonięte przez sięgające kolan łany rdestu. Głodni nie przejmują się bólem. Jeśli złapią twój trop, będą cię ścigali, choćby ciernie rozdarły im ciało do kości. Ludzie natomiast poruszają się w takich warunkach znacznie wolniej i o wiele łatwiej ich schwytać.

Idą więc polną ścieżką pomiędzy dwoma zachwaszczonymi polami, powoli zbliżając się do pierwszej wioski. Mogą przejść obok albo nadłożyć prawie pięć kilometrów drogi, omijając ją szerokim łukiem.

Tak czy inaczej Parks ma niewiele czasu na podjęcie decyzji.

Caroline Caldwell przechodzi okres żałoby w sposób klasyczny, etap po etapie.

Pierwsze jest zaprzeczenie, które jednak nie trwa długo, ponieważ jej przenikliwa, analityczna natura z miejsca odrzuca takie zdradliwe, uwłaczające godności naukowca pomysły. Nie ma sensu buntować się przeciw temu, co absolutnie oczywiste. Nie ma sensu zaprzeczać prawdzie, nawet jeśli droga do niej wiedzie przez ciemne gąszcze i pola minowe. Prawda pozostaje prawdą: jedynym, co jest warte wysiłku. Próbując z nią walczyć, dowodzimy tylko, że nie jesteśmy jej godni.

Tak więc Caldwell przyjmuje do wiadomości fakt, że efekty jej pracy – która w całości wypełniła ostatnie dziesięć lat jej życia – są stracone.

Ustaliwszy to, pozwala, by trujący gniew i obraza podeszły jej do gardła niczym zgaga. Gdyby nie interwencja Justineau, dokonałaby swojej ostatniej sekcji. Czy teraz miałoby to jakiegokolwiek znaczenie? Jasne, że nie. Tyle że za sprawą Justineau jej ostatnie chwile w bazie zostały zmarnowane. I to wystarczy. Justineau zniszczyła jej pracę. W związku z czym gdy dotrą do Beacon, zapłaci za to najpierw karierą, a stanąwszy przed sądem wojennym, prawdopodobnie również

życiem.

Kolejny etap, targowanie się z opatrnością, także nie trwa zbyt długo. Caldwell nie wierzy w Boga, bogów ani przeznaczenie, ani w żadną inną siłę wyższą czy niższą, która kierowałaby jej życiem. Tak więc targować się nie ma z kim. A jednak – choć jej światem, opartym na zasadach determinizmu, kierują obojętne na ludzki los siły przyrody – postanawia, że jeżeli laboratorium zachowa się w nienaruszonym stanie, a ekipa ratunkowa sprowadzi do Beacon wszystkie jej zapiski i próbki, to zapali świeczkę na znak uznania, że wszechświat (choćby i za sprawą zwykłego przypadku) okazał się dla niej łaskawy.

Po chwili zastanowienia dostrzega, jak żałosny, jak tchórzliwie pokrętny jest ten wywód – i pogrąża się w odmętach czarnej depresji.

Wydobywa ją z nich ta oto myśl: w laboratorium nie było w zasadzie nic, co warto by ratować. No, może próbki, ale przecież ma pod ręką żywą próbkę. Jej notatki były w większości opisowe – znajdowała się w nich niezwykle szczegółowa charakterystyka cyklu życiowego patogenu głodu (niepełna; żadna z jej hodowli nie osiągnęła bowiem etapu rozrodczego) oraz przebiegu infekcji, zarówno w postaci standardowej, jak i tej anormalnej reprezentowanej przez dzieci. Wszystko to umie na pamięć, zatem utrata zapisków nie ma szczególnego znaczenia.

Wciąż jeszcze może jej się udać.

Szeregowy Kieran Gallagher wie o potworach wszystko, ponieważ nie brakowało ich w jego rodzinie. A może po prostu jej członkowie mieli szczególne predyspozycje do tego, by swoje wewnętrzne demony wypuszczać na światło dzienne?

Klucz był zawsze ten sam – bimber pędzony w prowizorycznej destylarni, którą jego ojciec i starszy brat sklecieli w szopie na tyłach opuszczonego budynku niecałe sto metrów od ich domu. Tymczasowy rząd Beacon oficjalnie sprzeciwiał się produkcji alkoholu bez licencji, nieoficjalnie jednak miał to w nosie, dopóki raczący się nim do utraty zmysłów obywatele robili to w domowym zaciszu i urządzali bijatyki wyłącznie we własnym gronie.

Gallagher dorastał więc w dziwnym mikrokosmosie świata istniejącego niezależnie od Beacon. Jego ojciec, brat Steve i kuzynka Jackie wyglądali całkiem normalnie i czasem nawet tak się zachowywali, jednak przez większość czasu lawirowali między dwiema skrajnościami: napadami niekontrolowanej agresji, gdy pili, i śpiączkopodobnym stuporem, który ogarniał ich na kacu.

Na zasadzie kontrastu Gallagher usiłował wieść życie bazujące na rozsądku i umiarze, gorliwie unikając wszystkiego, co sprawia, że ludzie tracą nad sobą kontrolę. Jako jedyny w bazie odmawiał pocieszenia zawartego w dwudziestodwuprocentowym piwie warzonym domowymi sposobami w wiadrze lub w wannie. Jako jedyny podczas patrolu nie rozglądał się za halucynogennymi

grzybkami. Jako jedyny nie pękał ze śmiechu, obserwując wybryki tego nauczyciela, Whitakera, który zapijał się na śmierć.

I zawsze wychodził z założenia, że trzymając się środka rzeki, zdoła bezpiecznie dopłynąć do celu.

Teraz wie, że w przejrzystej wodzie też można utonąć, i myśli: „Błagam, ja nie chcę umierać. Jeszcze nie zdążyłem pożyć, to niesprawiedliwe”.

Jest tak przerażony, że martwi się, co będzie, kiedy ze strachu narobi w gacie. Nigdy dotąd nie rozumiał, jak człowiekowi może się przytrafić coś takiego; ale teraz, rzucony w sam środek świata głodnych, mając za sobą tylko sierżanta Parksa, a przed sobą wielokilometrowy marsz, czuje, jak z każdym krokiem ściskają mu się jądra i rozluźnia pęcherz.

Pytanie brzmi: czego bardziej się boi – umrzeć tu czy wrócić do domu? Obie myśli sprawiają, że przed oczyma stają mu zatrważające obrazy.

Od urodzenia miał parszywego pecha. Dostawał wycisk w domu i w szkole. W przeciwieństwie do starszego brata, jemu nigdy nie udało się namówić żadnej dziewczyny, by za paczkę fajek dała się wymacać za budynkiem sali gimnastycznej (kiedy raz spróbował, ojciec, przyłapawszy go na kradzieży papierosów, wybił mu to z głowy sprzączką paska). Do armii zaciągnął się jakby z automatu, po to tylko, by uciec z tego wariatkowa. Dał sobie zrobić kretyński tatuaż z błędem ortograficznym („*qui audet piscitur*”, „kto ma odwagę, łowi ryby” – pijany tatuażysta zapomniał o trzech literach). Złapał trypra od pierwszej dziewczyny, która pozwoliła mu się przelecieć. Drugiej zmajstrował dzieciaka i zwiął (niczego w nadmiarze, nawet miłości), po czym zbyt późno zorientował się, że uczucia, które do niej żywi, wykraczają daleko poza sferę seksu. Obiecał sobie, że jeśli uda mu się wrócić do Beacon i ją odnaleźć, spróbuje jej to wyjaśnić. „Jestem tchórzem i bezwartościowym gnojem, ale daj mi tylko drugą szansę, a już nigdy więcej cię nie zostawię”.

Dosyć lipnie to brzmi, no nie?

Bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz: że gdzieś pomiędzy miejscem, w którym się obecnie znajdują, a Beacon ugryzie go głodny. Ponieważ w ten sposób upływa całe jego życie.

Idąc, dodaje sobie animuszu myślami o czymś, co tkwi w kieszeni jego spodni. To granat – ten, który potoczył się w bok, gdy sierżant przytwierdzał sobie pozostałe do pasa. Gallagher go podniósł i chciał oddać sierżantowi, ale wtedy jakiś impuls nakazał mu zachować granat dla siebie. Na czarną godzinę.

Tak wiele rzeczy w tym świecie cholernie go przeraża. Głodni mogą go pożreć. Złomiarze – torturować albo zabić. Mogą również skończyć się zapasy, a wtedy jego i resztę czeka powolna śmierć.

Jeżeli do tego dojdzie, Gallagher odciągnie zawleczkę i odbierze sobie życie. A wtedy chrzanić środek rzeki.

Helen Justineau myśli o martwych dzieciach.

Nie potrafi nawet tego zawęzić, zresztą może i wcale nie chce. Myśli o wszystkich dzieciach świata, które umarły, zanim dorosły. Na pewno były ich miliardy. Dziecięce hekatomby, apokalipsy, masowe dzieciobójstwa. Dzieci rzucone o ścianę podczas każdej wojny, każdego wielkiego głodu. Zbyt małe, by się bronić, zbyt niewinne, by usunąć się z drogi. Mordowane przez szaleńców, zboczeńców, sędziów, żołnierzy, przypadkowych przechodniów, znajomych i sąsiadów, a także przez własnych rodziców. Za sprawą głupiego przypadku bądź okrutnego wyroku.

Każdy dorosły wyrósł z dziecka, które miało szczęście. Ale w różnych czasach i w różnych miejscach zdarzało się, że tego szczęścia było jak na lekarstwo.

Martwe dzieci ciążą żywym. Każdy z nas ciągnie za sobą ciężar winy niczym Księżyc ocean – zbyt olbrzymi, by go unieść, ale i zbyt mocno w nas zakorzeniony, żeby go porzucić.

Gdyby tylko tamtego dnia nie wdała się z dziećmi w rozmowę o śmierci. Gdyby nie przeczytała im *Szarży Lekkiej Brygady*, one nie zaczęłyby zadawać pytań, nie pogłaskałaby Melanie po głowie i nie wydarzyłoby się to wszystko, co sprawiło, że złożyła obietnicę, której nie jest w stanie dotrzymać i od której nie potrafi uciec.

Mogłaby dalej być egoistką, jak zawsze. Mogłaby udzielić sobie rozgrzeszenia, tak jak to robią wszyscy inni, i budzić się każdego ranka niewinna jak noworodek.

Sierżant Parks podjął decyzję. Prowadzi swoją grupę do Stotfold, małej, zapomnianej dziury po drodze do autostrady A1. Sierżant nie ma wobec niej wielkich nadziei. Wie, że dotarłszy tam, nie zdołają uzupełnić zapasów ani znaleźć innego środka transportu. Wszystko, co było cokolwiek warte, z pewnością zniknęło stamtąd dawno temu. Jednak opuszczona mieścinka posiada jedną sporą zaletę: leży na ich trasie, a ponieważ popołudnie powoli przeistacza się w wieczór, należy na nią spojrzeć jak na darowanego konia. Parks pragnie się znaleźć pod dachem, nim zapadnie noc.

Od Stotfold dzielą ich jeszcze trzy kilometry z okładem – nie widać nawet wyrastającego spomiędzy drzew komina młyna wodnego – kiedy nagle na ich drodze wyrasta kościół.

Zdaniem Parksa postawiono go w idiotycznym miejscu, ponieważ w zasadzie wszędzie jest stąd daleko. Nawet przed Załamaniem świątynia nie była zapewne zbyt często odwiedzana. Również jako schronienie jest bezużyteczna. Zbyt wiele okien, w większości powybijanych. A do tego ogromny, zwieńczony łukiem otwór drzwiowy, ziejący pustką niczym bezzębne usta (nie sposób stwierdzić, co się stało z drzwiami).

Na szczęście tuż obok głównego budynku znajduje się garaż z pustaków, który bardzo się Parksowi podoba. Gdy podchodzi, by zbadać go z bliska, zaczyna mu się podobać jeszcze bardziej. Szerokie, odsuwane w górę drzwi zrobione są z solidnego metalu. Głodni ich nie wypchną ani nie rozszarpią paznokciami, a to w zasadzie jedyne znane im sposoby pokonywania zamkniętych drzwi. Na dodatek są tak zardzewiałe, że pewnie wrosły w futrynę. Drugie, boczne wejście to drewniane drzwi z zamkiem typu yale. O wiele mniej wytrzymałe, dobra wiadomość jednak polega na tym, że Parks może wyrwać zamek, a potem – przy odrobinie szczęścia – naprawić go albo zabarykadować drzwi od środka.

Daje znak Gallagherowi. Zbliżają się do kościoła, pozostawiwszy kobiety na drodze. Na pierwszy rzut oka budynek wydaje się pusty, co jest dobrym znakiem. Na podłodze nieopodal lektorium leży trochę rozrzuconych kości, które jednak wyglądają na zwierzęce. To prawdopodobnie robota lisa albo łasicy, chyba że przypadkiem przechodził tędy jakiś satanista.

Nad ołtarzem widnieją wysprejowane zieloną farbą słowa: ON WAS NIE SŁUCHA, IDIOCI. Parks traktuje to jako oczywistość. Nigdy w życiu się nie modlił.

Ktoś inny jednak to robił. Między ławkami Parks znajduje zapomnianą damską torebkę, a w środku kilka monet, szminkę, mały śpiewnik, kluczyki do samochodu z wbudowanym lokalizatorem i samotną prezerwatywę. Te niewinne codzienne przedmioty na moment wprawiają go w zachwyt, przywołują bowiem

widmo czasów, gdy czymś największym zmartwieniem mógł być seks bez zabezpieczeń albo zapomnienie, gdzie się zaparkowało auto.

Gallagher zagląda do bocznego pomieszczenia, chyba zakrystii. Omiata je latarką, po czym zamyka drzwi.

– Droga wolna! – woła.

Przyczyną mogło być trzaśnięcie drzwi, choć bardziej prawdopodobne, że był nią dźwięk jego głosu. Coś wypada z ciemności na tyłach kościoła. Zbija Gallaghera z nóg i z hukiem powala na drewnianą podłogę.

Kiedy Parks się odwraca, widzi dwa skłębione, szamoczące się ciała. Nie traci chwili na zastanowienie. Wyciąga broń, celuje w ciemną plamę głowy głodnego, która nachyla się do gardła Gallaghera, i naciska spust. Rozlega się odgłos, który mniej przypomina huk, a bardziej suchy trzask wbijanej w pień siekiery.

Jest znakomitym strzelcem. Nabój wbija się w tył czaszki głodnego. Zwykła kula przeszłaby na wylot. Trafiałoby również Gallaghera, a przynajmniej sprawiła, że jego głowa, szyja i tors zostałyby zbryzgane zainfekowaną tkanką, co po godzinie, następnego dnia albo po tygodniu doprowadziłoby do przewidywalnych i ponurych konsekwencji. Ale broń Parksa jest naładowana zaokrąglonymi aluminiowymi pociskami zaprojektowanymi w celu minimalnej penetracji. Przebiwszy czaszkę, nabój zwalnia i zmienia mózg głodnego w różową leguminę.

Gallagher spycha z siebie zwiotczale zwłoki i podnosi się z trudem.

– O kurwa – dyszy. – Nie widziałem... nie widziałem go, póki na mnie nie naskoczył. Dzięki, sierżancie.

Parks zbliża się do ofiary. Głodny leży bez ruchu, szara maź sączy się z jego oczu, nosa, uszu, właściwie zewsząd. Za życia był ciemnowłosym mężczyzną, sporo od sierżanta młodszym. Ma na sobie zapleśniałe resztki komży, a więc prawdopodobnie właśnie tutaj został zarażony. I może tkwił tu od tamtej chwili, czekając w ciemnościach, aż pojawi się obietnica posiłku. Jednak równie dobrze mógł tu wracać po każdym polowaniu. Brzmi to dziwnie, ale się zdarza. Niektórzy głodni, kiedy nie zabijają, zamiast po prostu nieruchomieć, wiedzeni instynktem wracają zawsze w to samo miejsce. Parks zastanawia się, czy doktor Caldwell o tym wie, a jeśli tak, w jaki sposób godzi to z teorią, że mózg nosiciela obumiera w momencie pojawienia się pasożyta.

Gallagher szuka u siebie zadrapań, śladów zębów lub kropel wydzielin. Parks również go ogląda – skrupulatnie. Pomimo bliskiego spotkania z napastnikiem szeregowy jest czysty. Nie przestaje dziękować dowódcy drżącym głosem. Parks, w czasach gdy wychodził na pachty, tyle razy omal nie zginął, że przygoda ta nie robi na nim większego wrażenia. Poucza tylko Gallaghera, by w sytuacjach zagrożenia się nie odzywał. Gesty są równie dobre jak słowa, za to o wiele bezpieczniejsze.

Wracają na zewnątrz, gdzie – jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na początku zwirowanego podjazdu – czekają całkowicie nieświadome tego, co się stało, cywilne kobiety. Najwyraźniej uznały, że dochodzące z kościoła hałasy to efekt gorliwych poszukiwań.

– Wszystko w porządku? – pyta Justineau.

– Wszystko gra – odpowiada Parks. – Prawie skończyliśmy. Uważajcie na drogę i w razie czego krzyczcie.

Teraz przenosi uwagę na garaż, który po bliższych oględzinach wygląda jeszcze bardziej obiecująco. Był gotów rozwalić zamek lufą karabinu, ale nie musi. Drzwi ustępują pod naciskiem klamki.

Wchodzą do środka powoli i ostrożnie, osłaniając się nawzajem. Parks klęka na jedno kolano, gotowy podciąć nogi potencjalnego napastnika lufą karabinu. Gallagher włącza latarkę.

Pomieszczenie jest puste. Czysto. Nic, za czym można by się skryć, żadnych paskudnych niespodzianek.

– Okej – mamrocze Parks. – Nada się. Leć po nie.

Gallagher zapędza kobiety do środka, a Parks zamyka drzwi. Zamek zaskakuje z głuchym szczękiem. Obie kobiety, znalazłszy się w zamkniętej, zatęchłej przestrzeni garażu, wykazują znacznie mniej entuzjazmu niż sierżant, najwyraźniej jednak nie zamierzają wyrażać sprzeciwu. Prawdę mówiąc, nie są przyzwyczajone do szybkiego marszu, a żadne z nich, z Parksem włącznie, nie nawykło spędzać nocy poza bazą. Przerażeni i wyczerpani, podskakują nerwowo na każdy najmniejszy ruch. Parks również, tyle że on robi to głównie w duchu, więc reszta tego nie zauważa.

Jedyną kością niezgody okazuje się smarkula, co nie jest specjalnie zaskakujące. Parks sugeruje, by przespała się w kościele, na co Justineau sugeruje, by Parks poszedł się pierdolić.

– Już panu tłumaczyłam, o co chodzi – odpowiada mu, wkurzona na nowo, co w jej wypadku staje się normą. I gdyby sierżant miał być szczery, całkiem mu się to podoba. Jeśli już dopuszczać do siebie jakiegokolwiek emocje, to gniew jest całkiem niezłym pomysłem.

– Nawet gdyby głodni byli jedynym zagrożeniem – ciągnie Justineau – to cała ta sytuacja jest dla Melanie tak samo nowa jak dla nas. I równie przerażająca. Nie możemy jej zostawić, skutej kajdankami, na całą noc w pustym budynku.

– To proszę z nią zostać – proponuje Parks.

Co wywołuje pożądany skutek, mianowicie Justineau na kilka sekund się zamyka. Sierżant korzysta z chwili ciszy i ogłasza swój manifest:

– Mamy przed sobą długą podróż, w związku z czym proponuję już teraz ustalić kilka zasad. Robicie, co wam każę i kiedy wam każę, a być może uda nam się dotrzeć do Beacon w jednym kawałku. Jeśli dalej będzie się pani zachowywać,

jakby miała prawo do własnego zdania, jutro o tej porze będziemy już martwi.

Justineau gapi się na niego oszołomiona. Parks czeka na przeprosiny i jakiś gest posłuszeństwa.

Justineau wyciąga rękę.

– Klucz.

– Jaki klucz? – pyta zbaraniały Parks. – Nie mamy żadnych kluczy. Drzwi były...

– Klucz do kajdanków Melanie – wyjaśnia Justineau. – Dalej idziemy same.

– Nie – odpowiada Parks. – Nie idziecie.

– Czyżby się panu zdawało, że teraz wszyscy jesteśmy żołnierzami? Naprawdę? – Ni stąd, ni zowąd nie słyhać już w jej głosie złości, a jedynie cierpkie rozbawienie. – Otóż nie. Żadne z nas oprócz tego tam ryżego smarkacza nie służy pod pańską komendą. Więc tego rodzaju teksty proszę zachować dla siebie. Wolę zaryzykować życie w dziczy, niż je oddać w ręce dwóch nakręcanych żołnierzyków i stukniętej psychopatki. Klucz. Proszę. Miejmy to za sobą. Sam pan stwierdził, że tylko wam przeszkadzamy, więc proszę nas wypuścić.

– Nie mam mowy! – wybucha Caldwell. – Już panu mówiłam, sierżancie. Ta mała to część moich badań. Należy do mnie.

Justineau potrząsa głową, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Naprawdę, Caroline, chcesz znowu dostać po głębie? Lepiej milcz.

Parks jest zdumiony. Oburzony. Nawet odrobinę zniesmaczony. Przyzwyczyił się do obcowania z ludźmi, którzy wykazują minimum instynktu samozachowawczego, a wie, że Justineau nie jest głupia. Jeszcze w bazie myślał o niej jako o najmniej irytującej członkini koterii doktor Caldwell, właściwie nawet ją lubił i szanował. Nadal ją lubi i szanuje.

Ale to ich donikąd nie doprowadzi.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli nie wyraziłem się jasno – mówi teraz. – Nie pozwolę pani odejść, tak samo jak jej nie pozwolę zostać tu z nami. Choć nie otrzymałem w tej sprawie żadnych konkretnych rozkazów, zmuszony jestem zająć zdecydowane stanowisko. Mam zamiar doprowadzić wszystkie zebrane tu osoby do Beacon, a potem ktoś inny może przejąć dowodzenie.

– Myśli pan, że zatrzyma mnie tu wbrew mojej woli? – pyta Justineau, biorąc się pod boki.

– Owszem. – Jest tego pewny.

– I że nie spowolni to naszej podróży?

To całkiem inne pytanie, a odpowiedź na nie jest znacznie paskudniejsza. Nie chce jej grozić. Czuje, że jeśli będzie naciskał, jeśli zastosuje przymus zamiast perswazji, nieodwołalnie przekroczy jakąś granicę.

Próbuje więc innej taktyki:

– Jestem otwarty na propozycje – oznajmia. – Byle nie były głupie.

Przebywanie tu z tą głodną, nawet jeśli jest w kajdankach i kagańcu, nie wchodzi w rachubę. Oni nie reagują na obrażenia w taki sam sposób jak my, a z kajdankami i kagańcem można zrobić rozmaite rzeczy, jeśli komuś nie przeszkadzają ból i rany. Mała nocuje na zewnątrz.

Justineau unosi brew.

– A jeśli będę chciała zostać tam z nią, pan mnie powstrzyma.

Sierżant kiwa głową. Gest wydaje mu się mniej brutalny niż słowa, nawet jeżeli znaczy to samo.

– Okej. Niech pan spróbuje mnie powstrzymać.

Rusza w stronę drzwi. Gallagher staje jej na drodze, a ona w mgnieniu oka przystawia mu do twarzy pistolet – ten sam, który dostała od Parksa. Nieźle pomyślane. Wykorzystała panujące w garażu ciemności i poczekala z wyciągnięciem broni do chwili, gdy będzie przechodzić obok Parksa i ułożenie jej ciała zamaskuje ruch ręki. Gallagher nieruchomieje z głową odchyloną do tyłu.

– Z drogi, żołnierzu – mówi cicho Justineau. – Albo wszyscy obejrzymy sobie twój mózg od wewnątrz.

Parks wzdycha. Sięga po własny pistolet i lekko opiera lufę na jej ramieniu. Choć nie znają się zbyt długo, wie, że Helen Justineau nie zastrzeli Gallaghera. W każdym razie na pewno nie po jednym ostrzeżeniu. Ale jednocześnie nie wątpi w szczerosc jej emocji.

– Dopieła pani swego – mówi ponuro. – Wymyślimy inny sposób.

Nie chce jej zabijać, póki naprawdę go do tego nie zmusi. Zrobi to, jeśli nie będzie miał innego wyjścia, ale ich grupka i tak jest niewielka, a jego zdaniem z całej trójki to Justineau może się okazać najbardziej pomocna.

Oto co robią. Przywiązują dziewczynkę do ściany za pomocą liny przymocowanej do jej kajdanków. Parks przytwierdza do liny wszystkie pięć manierek, a także wyładowane kamieniami blaszane wiadro, które znalazł na zewnątrz. Nie ma sposobu, by mała się poruszyła, nie czyniąc przy tym mnóstwa hałasu i nie budząc ich wszystkich.

Justineau z bólem wyjaśnia to głodnej smarkuli, która przez cały czas zachowuje spokój i opanowanie. W przeciwieństwie do Justineau rozumie, że – niezależnie od tego, czy mają na sobie warstwę e-blokera, czy nie – muszą ją traktować jak niewybuch. Nie skarży się ani razu.

Zapasy jedzenia odzyskane z samochodu to twarde i pozbawiony smaku miks węglowodanów i białka podpisany – zapewne w ramach dowcipu – „Pieczeń z ziemniakami”. Popity wodą o posmaku błota, nie przystaje do niczyjego wyobrażenia o wykwintnej kolacji. Justineau bierze dodatkową łyżkę i idzie nakarmić dzieciaka, któremu w związku z tym trzeba na kilka minut zdjąć kaganiec. Przez cały ten czas Parks bacznie obserwuje małą. Pistolet trzyma w kaburze, ale naładowany i odbezpieczony. Wie jednak, że gdyby Melanie

strzeliło do głowy ugryźć Justineau, nie byłby w stanie temu zapobiec. Musiałby zastrzelić je obie.

Smarkuła jest jednak grzeczna jak jagniątko. Połyka kawałki mięsa bez gryzienia i z demonstracyjnym obrzydzeniem wypluwa ziemniaki. Pochłania swoją porcję w niecałą minutę.

Justineau ociera jej usta różkiem szmatki oddartej od Bóg wie czego i Bóg wie gdzie, po czym Parks zapina małej kaganiec.

– Jest luźniejszy niż wcześniej – mówi Melanie. – Powinien pan go zacieśnić.

Parks wsuwa palec pod zapięcie na karku dziewczynki. Oczywiście miała rację. Bez słowa zaciska pasek.

Podłoga jest twarda i zimna, koce cienkie. Plecaki kiepsko sprawdzają się w roli poduszek. Poza tym przez cały czas tkwi obok ten mały potwór, więc Parks pozostaje w nieustannym napięciu, czekając na brzęk menażek zwiastujący, że w smarkuli zwyciężył zew natury.

Wpatruje się w ciemną pustkę i myśli o kroczu Justineau, które mignęło mu, kiedy sikała na żwir przed garażem.

Ale przyszłość jest tak niepewna, że nie ma sił nawet zwalić konia.

Melanie nie śni. Przynajmniej nigdy dotąd nie śniła. Snęła różne fantazje, jak ta o ocaleniu panny Justineau przed potworami, ale noc była zawsze bezczasem spędzonym w bezprzestrzeni. Zamykała oczy, potem znów je otwierała i dzień zaczynał się na nowo.

Tej nocy, w garażu, jest inaczej. Może dlatego, że znalazła się poza ogrodzeniem, z dala od własnej celi. A może dlatego, że wszystko, co jej się dziś przytrafiło, było zbyt intensywne i zbyt dziwne, by jej umysł potrafił się od tego uwolnić.

Tak czy inaczej tej nocy sen nadchodzi przeraźliwy i krwawy. Głodni, żołnierze i mężczyźni z nożami. Melanie gryzie i oni ją gryzą, zabija i oni ją zabijają. Do chwili gdy panna Justineau otacza ją ramionami i przytula.

Kiedy jej zęby wbijają się w gardło panny Justineau, Melanie budzi się gwałtownie, z całych sił usiłując wypchnąć z pamięci tę niewyobrażalną wizję. To jednak niemożliwe. Duszące macki koszmaru zaciskają się wokół jej myśli i Melanie wie, że gdzieś, pod warstwą nierzeczywistych majaków, kryją się jakieś niebezpieczne pokłady, z którymi prędzej czy później przyjdzie jej się zmierzyć.

Czuje w ustach cierpki, metaliczny smak krwi i mięsa, pozostawiony przez mściwego ducha. Papkowate, mdłe jedzenie, którym nakarmiła ją panna Justineau, z każdym ruchem przewraca jej się w żołądku.

Garaż jest ciemny poza odrobiną bladego światła (to muszą być promienie księżycy), które prześlizguje się pod krawędzią drzwi. Ciszę zakłócają jedynie równe oddechy czworga śpiących dorosłych.

Rudowłosy żołnierz, jeden z ludzi sierżanta, mamrocze przez sen – bezkształtne słowa brzmią jak protest lub prośba.

Po jakimś czasie jej oczy przyzwyczajają się do ciemności. Melanie rozpoznaje linie ciała panny Justineau, która leży wprawdzie w pewnej odległości od niej, ale bliżej niż pozostali. Dziewczynka ma ochotę podczołgać się do niej i przyłgnąć do jej boku, wcisnąć barki w idealnie dopasowany łuk jej pleców.

Ale po tym, co jej się śniło, nie może. Nie ma odwagi. Poza tym gdyby się poruszyła, brzęk manierek wszystkich by obudził.

Melanie myśli o Beacon i o tym, co powiedziała do panny Justineau tamtego dnia, kiedy ta przeczytała im *Szarzę Lekkiej Brygady*. Łatwo jest jej przypomnieć sobie dokładne słowa, które padły, ponieważ to pod koniec tej rozmowy panna Justineau pogłaskała ją po włosach.

„Czy wrócimy do domu, do Beacon? – zapytała. – Kiedy dorośniemy?” Ujrzała wtedy na twarzy nauczycielki tyle smutku, tyle bólu, że natychmiast wybuchnęła potokiem przeprosin i zapewnień, usiłując zatrzeć wrażenie pozostałe po tej okropnej rzeczy, którą niechcący wypowiedziała, cokolwiek to było.

Teraz rozumiała. Wszystko stało się oczywiste. To, co powiedziała o powrocie do domu, do Beacon, było tak samo nierealne jak gorący śnieg albo ciemne słońce. Beacon nigdy nie było jej domem i nigdy nie będzie.

Właśnie to zasmuciło pannę Justineau. Dla niej, Melanie, nie istnieje coś takiego jak powrót do domu, oznaczający życie wśród ludzi, dzieci i dorosłych, i robienie tych wszystkich rzeczy, które znała z książek. Tym bardziej nie ma mowy o powrocie z panną Justineau. Melanie od początku miała skończyć w słojach w laboratorium doktor Caldwell.

Tego, co teraz się dzieje, nikt nie przewidział ani nie zaplanował. Nikt. To dlatego wciąż się kłóca o to, co robić dalej.

Żadne z nich tego nie wie. Żadne z nich nie ma pojęcia, dokąd naprawdę zmierzają.

Sierżant Parks zamierzał pozwolić im spać, póki słońce całkiem nie wszędzie, wiedział bowiem, że czeka ich trudny dzień. Staje się jednak inaczej i wszyscy budzą się wcześniej. Ze snu wyrywa ich warkot silników. Na początku dobiega z oddali, ale coraz bardziej się zbliża.

Sierżant rzuca kilka zduszonych rozkazów i cała grupa błyskawicznie zwija manatki. Parks spuszcza małą z liny i bierze ją na smycz, robiąc przy tym wszystko, by powstrzymać brzęk blaszanek. Nie sposób przewidzieć, jak daleko poniesie się taki hałas w przedświtowej ciszy.

Wybiegają w świetlisty półmrok, mijają kościół i dopiero po jakichś stu metrach pędu przez pole Parks nakazuje im gestem, żeby uklękli w wysokich chaszczach. Mogliby – może powinni – biec dalej, ale sierżant chce zobaczyć, kto się zbliża. Może stąd obserwować drogę, samemu nie będąc widocznym, a sprężyste trawy podnoszą się w niecałą minutę, maskując szlak ich ucieczki.

Siedzą tak skuleni dość długo, a tymczasem słońce odkleja się od horyzontu i niskie światło wsiąka w pole jak woda w szmatkę. Nikt się nie odzywa ani nie porusza. W pewnej chwili, może po dziesięciu minutach, Justineau otwiera usta, ale Parks gestem nakazuje jej milczeć. Kobieta spełnia nieme polecenie. Widzi napięcie na jego twarzy.

Kiedy zmienia się wiatr, dochodzą do nich ludzkie głosy i buczenie silników. Na horyzoncie pojawia się dziwna kawalkada. Otwiera ją jeden z buldożerów, które Parks widział poprzedniego dnia. Gdy wyjeżdża z za zakola drogi i zwraca się w ich stronę, sierżant zyskuje dobry widok na jego szeroki lemiesz, na którym błyska kolorowa trupia główka. Za jego plecami ktoś – prawdopodobnie Gallagher – zaczyna kwilić z przerażenia. Dźwięk jest na tyle cichy, że się nie niesie, a więc nic nie stoi na przeszkodzie, by szeregowy dał upust uczuciom, które gnębią ich wszystkich.

Za buldożerem podąża humvee, bliźniaczo podobne do tego, które zarekwirowali z bazy, a za nim jeep. Wszystkie trzy pojazdy napakowane są złomiarzami płci męskiej, w szampańskich nastrojach, nawołującymi się nawzajem i wymachującymi narzędziami walki. Skandują coś głośno, ale Parks nie potrafi rozpoznać słów.

Konwój zatrzymuje się obok kościoła. Kilku złomiarzy zeskakuje na żwir i wchodzi do środka. Rozbrzmiewa okrzyk i ci sami ludzie wychodzą na zewnątrz, odrobinę bardziej ożywieni. Parks domyśla się, że odkryli ciało głodnego. Nie są jednak w stanie określić, od jak dawna tam leży. Krew w żyłach głodnych nie płynie zbyt żwawo i od początku ma barwę szlamu, zatem kiedy wyschnie, nie zmienia koloru. Musieliby dokonać drobiazgowych oględzin, by stwierdzić, co przytrafiło się trupowi, ponieważ rana wlotowa jest niewielka i dyskretna,

wylotowej zaś całkiem brak.

Złomiarze sprawdzają również garaż. Parks tężeje, ponieważ wie, że właśnie teraz wszystko może wziąć w łeb. Jeśli zostawili tam po sobie jakiś ślad... Nikt jednak nie wzniesie alarmu. Po kilku minutach złomiarze wskakują do buldożera i ruszają dalej. Wkrótce konwój znika za zakrętem, choć słyhać go jeszcze długo później.

W końcu zapada cisza. Przerywa ją Justineau.

– Szukają nas – mówi.

– Tego nie wiemy – protestuje doktor Caldwell. – Może szukają jedzenia.

– W bazie było mnóstwo zapasów – Parks wypowiada na głos to, co i tak jest dla wszystkich oczywiste. – Zabrali je zaledwie wczoraj. Podejrzywałem, że zechcą naprawić płot i wygodnie urządzić się w bazie. Skoro jednak ich spotkaliśmy, to znaczy, że szukają niedobitków.

A więc potraktowali sprawę poważnie. Parks nie mówi o tym głośno, ale zaczyna teraz myśleć, że ci trzej, na których Gallagher niechcący sprowadził śmierć, mogli być z jakiegoś powodu ważni albo powszechnie lubiani. Atak na bazę mógł być dla nich przyjemnym bonusem, ale tym złomiarzom chodzi przede wszystkim o wyrównanie rachunków.

Mimo to milczy, ponieważ nie chce obciążać sumienia Gallaghera. Chłopiec jest wystarczająco wrażliwy, by załamać się pod tym ciężarem. Niech to, sam Parks z pewnością by się pod czymś takim ugiął.

Wszyscy wyglądają na porządnie roztrzęsionych. Najbardziej Gallagher, ale Parks nie ma czasu trzymać go za rączkę. Dobra wiadomość jest taka, że złomiarze pojechali na północ, co znaczy, że droga na południe stoi przed nimi otworem i lepiej, żeby z tego skorzystali.

– Dziesięć minut – oznajmia Parks. – Potem śniadanie i w drogę.

Po kolei zagłębiają się w wysokie trawy, żeby się odlać, umyć i co tam jeszcze potrzebują zrobić, po czym bez przyjemności zjadają śniadanie składające się z miksru białka i węglowodanów typu trzeciego. Mała nie rusza się z miejsca, przypatrując im się w milczeniu. Parks przywiązuje ją do drzewa, po czym sam znika w gąszczu.

Kiedy wraca, okazuje się, że Justineau odwiązała końcówkę smyczy od pnia i teraz trzyma ją w dłoni. Parks nie ma nic przeciwko temu. Woli mieć obie ręce wolne. Nie mówiąc wiele – właściwie ograniczając interakcje do minimum – ruszają w drogę. Parks obserwuje ich twarze – są ściągnięte strachem. Uciekli przed koszmarem, a teraz ten sam koszmar depta im po piętach. Sierżant zdaje sobie sprawę, że będzie tylko gorzej.

Najpierw ruszają na wschód, w kierunku Stotfold, ale ponieważ nie mają już potrzeby się tam zatrzymywać, wkrótce zbaczają na południe i dochodzą do drogi, która w zamierzonych czasach była autostradą A507.

Teraz to dzika kraina. W pierwszych dniach i tygodniach Załamania rząd brytyjski, jak wiele innych rządów, sądził, że zdoła zapobiec rozprzestrzenieniu się infekcji, zamykając cywilom drogę ucieczki. Nie powstrzymało to ludzi przed rozbiegnięciem się na wszystkie strony jak szczury, gdy tylko dostrzegli, co się święci. Tysiące, a może i miliony, próbowały wydostać się z Londynu biegnącymi z północy na południe arteriami A1 i M1. Reakcja władz była bezlitosna – najpierw wojskowe blokady na drogach, a następnie ataki z powietrza.

Wciąż uchowały się długie pasma nienaruszonych szos. Jednak przez wiele kilometrów szlak głównych arterii znaczą wyrwy po bombach i przerdzewiałe szczątki pojazdów, czyniąc je podobnymi do cmentarzyska mechanicznych słoń. Da się po nich chodzić, omijając rozbite auta, ale zdecydowałyby się na to tylko szaleni. Przy widoczności równej niemal zeru głodny wyskoczyć może na takiego śmiałka z każdej strony i bez najmniejszego ostrzeżenia.

Parks chce wejść na A1 przy węźle numer 10, na północ od Baldock. Wie, że znajduje się tam całkiem wygodne otwarte przejście na południe, ciągnące się przez dobre piętnaście, dwadzieścia kilometrów. O ile pogoda się utrzyma, z łatwością dotrą tam w jeden dzień, pozostawiając złomiarzy daleko z tyłu. Dojdą do Stevenage przed zmrokiem i jeśli dobrze pójdzie, znajdą dach nad głową, nie zapuszczając się zbyt głęboko w miejską głąsę.

Przez pierwsze kilka lat po Załamaniu, nawet po odwróceniu z Londynu, władze Beacon nadal obstawiały obie główne drogi żołnierzami. Chodziło o to, by umożliwić pachciarzom bezpieczne przejście w obu kierunkach, co było szczególnie istotne, gdy wracali do domu obładowani zdobyczami dawnych, dobrych czasów. Przykre doświadczenie pokazało jednak, że przemieszczanie się po otwartych drogach nie zawsze jest bezpieczne. Głodni mają bowiem znakomity wzrok i potrafią dostrzec ruch z wielu kilometrów. Po kilku wypadkach okupionych sporą liczbą ofiar punkty strażnicze zostały zdemontowane, a pachciarze – pozostawieni sami sobie. Przez kilka ostatnich lat coraz rzadsze wyprawy odbywano wyłącznie helikopterami. Drogi zaś spisano na straty.

To właśnie dlatego Parks jest bardzo czujny, gdy cała grupka maszeruje gęsiego pod górkę łagodnie meandrująca szosą ku szerokiemu pasmu asfaltu. Znaki na skrzyżowaniu kuszą garścią pustych obietnic: symbolizują posiłek, punkt sprzedaży paliwa, strefę piknikową, a nawet kąć do spania. W dole zaś rozciąga się widok na pozbawioną dachów ruinę, która nim strawiły ją płomienie, była stacją benzynową. Parks przypomina sobie, że znalazł się tu już kiedyś, jako dziecko, po drodze z wakacji w Peak District. Przed oczami staje mu kilka zapamiętanych szczegółów: ciepława czekolada do picia z gęstym glutem, który tworzył się na dnie kubka, jeśli nie wymieszało się dobrze proszku z wodą; i dziwak w męskiej toalecie o wielkich wyłupiastych oczach Marty'ego Feldmana, śpiewający *The River* Bruce'a Springsteena upiornym płaskim głosem.

Jeśli chodzi o Parksa, zniszczenie stacji benzynowej w Baldock to żadna strata.

Z kolei autostrada A1 nie zmieniła się nic a nic. Może odrobinę zarosła chwastami, może jest nieco podziurawiona, za to nadal prosta jak strzała i skierowana na południe, tam gdzie czeka na nich ciepło domowych pieleszy. Od których dzieli ich rzecz jasna olbrzymia martwa metropolia. Sierżant jednak postanawia skupić się na pozytywach i udaje mu się naliczyć aż dwa. Znajdują się na wysokości, z której rozpościera się całkiem niezły widok.

Do tego zza chmur wychodzi właśnie słońce, jak pocałunek w policzek od Boga.

– Posłuchajcie – mówi sierżant, spoglądając na wszystkich po kolei. Nawet Gallagher powinien go wysłuchać, choć większość zasad, które zamierza im przekazać, jest mu dobrze znana. – Czas na kilka przepisów drogowych. Ustalmy je, zanim wyruszymy. Po pierwsze nikt się nie odzywa. Głos się niesie i przyciąga głodnych. Nie tak mocno jak zapach, ale zdziwilibyście się, jaki mają dobry słuch. Po drugie, jeśli zauważycie jakikolwiek ruch, dajecie sygnał. Uniesioną ręką, o tak, z rozstawionymi palcami. Potem wskazujecie miejsce. Nie ważcie się wyciągać broni i od razu strzelać, ponieważ nie wiadomo, do czego strzelacie, i nikt was nie osłoni. Jeżeli cel jest blisko i widzicie, że to głodny, i jeśli zmierza w naszą stronę, możecie złamać zasadę numer jeden. Krzyczcie „głodny” albo „głodni”, możecie mi również podać odległość i kierunek. Na przykład sto metrów na trzeciej albo coś w tym stylu. Po trzecie i ostatnie, kiedy głodny was goni, nie uciekacie. Nie przegonicie go, to pewne, a zetknąwszy się z nim twarzą w twarz, macie większe szanse na przeżycie. Używajcie tego, co pod ręką. Broń, cegły, gołe pięści, ostre słowa. Przy odrobinie szczęścia powalicie go na ziemię. Strzały w nogi i dolną część tułowia są jak najbardziej wskazane, chyba że cel jest zbyt blisko. Wtedy walicie w głowę.

Parks łapie spojrzenie głodnej smarkuli, która przygląda mu się równie bacznie jak cała reszta, z brudą skupienia na bladym, martwym czole. W innych okolicznościach wybuchnąłby śmiechem. To tak jakby krowa słuchała przepisu na potrawkę z wołowiny.

– Domyślam się, że inne reguły dotyczą złomiarzy – mówi Helen Justineau.

Parks kiwa głową.

– Nawet jeśli jeszcze raz wpadniemy na tych drani, to usłyszymy ich o wiele wcześniej, niż zobaczymy. Wtedy spierdalamy w chaszcze i przeczekujemy, tak jak poprzednio. Póki poruszają się w konwoju, póty jesteśmy względnie bezpieczni.

Nikt nie ma nic więcej do powiedzenia. Wchodzą na autostradę i ruszają na południe. Przez dobre kilka godzin maszerują w milczeniu.

Jest piękny letni dzień. Słońce wspina się po niebie i już wkrótce upał staje się uciążliwy. Pojedyncze powiewy wiatru nie przynoszą ochłody. Zaniepokojony

tym, co może na nich sprowadzić zapach spływającego po ich ciałach potu, Parks nakazuje całej grupie się zatrzymać i pokryć najbardziej newralgiczne miejsca świeżą warstwą e-blokera. Większość tych miejsc znajduje się pod ich ubraniami. Wszyscy odwracają się, jakby zgodnie z niepisaną umową, na cztery strony świata, a w centrum tego kwadratu tkwi głodna smarkula, która wpatruje się jednak nie w nich, lecz w pałący reflektor słońca.

E-bloker nakłada się zawsze tak samo: jest to czynność prosta, acz niezbędna. Najgrubszą warstwę należy rozsmarować w kroczu i pod pachami, na łokciach oraz w zgięciach kolan. Cieńszą – na całej powierzchni skóry. Jeszcze tylko galaretowata pastylka na język i gotowe. Nie chodzi o sam pot – problemem są głównie feromony. Głodni nie są może na tyle inteligentni, by w ludziach dostrzegać ludzi, ale za gradientem chemicznym pójda wszędzie.

Wreszcie ruszają w dalszą drogę. Parks jako pierwszy, za nim Justineau i głodna smarkula, przedzielone zwisającą martwo smyczą. Potem Caldwell, raz po raz krzyżująca ręce na piersi. Pochód zamyka Gallagher.

Okolo południa Parks dostrzega, że coś majaczy w oddali. Na początku wygląda jak ciemna plama – a ponieważ się nie porusza, Parks nie daje pozostałym sygnału ostrzegawczego. Pokazuje im jednak, by bardziej się od siebie oddalili. Dobrze wie, jak znakomicie widoczni są na pustej drodze; ich sylwetki to jedyny ruchomy element martwego jak fotografia krajobrazu.

Gdy podchodzą bliżej, okazuje się, że to samochód. Tkwi na samym środku szosy, lekko przekrzywiony w stronę tego, co było niegdyś pasmem wolnego ruchu. Maski i bagażnik są uniesione, a wszystkie drzwi – otwarte. Nie ma na nich śladów rdzy ani spalenizny. Prawdopodobnie auto stoi tu od niedawna.

Parks rozkazuje reszcie zostać z tyłu. Okrąża wrak. Na pierwszy rzut oka pojazd wydaje się pusty, ale gdy sierżant zbliża się do miejsca kierowcy, jego wzrok pada na jakiś niewyraźnie ludzki kształt na tylnym siedzeniu. Wyciąga pistolet i podchodzi bliżej, gotowy do strzału.

Ale wewnątrz auta nic się nie porusza. Ciemny, zgarbiony kształt należał kiedyś do przedstawiciela gatunku *Homo sapiens*, jednak teraz niewiele z niego zostało. Marynarka oraz rysy twarzy wskazują, że był to mężczyzna. Wyjedzone resztki tułowia łączy z głową tylko wąski fragment gardła, w które ktoś wgryzł się jak w jabłko. W głębi starej, wyschniętej rany w piersi majaczą szczątki chrząstek i kości.

Poza tym samochód jest pusty. W bagażniku tkwi jedynie para znoszonych butów i zwinięty sznur. Dookoła wala się mnóstwo przedmiotów – torby i pudła, plecak, a także coś, co wygląda jak konsola do gier lub część sprzętu grającego.

Samochód opowiada im swoją historię niczym makieta w muzeum. Grupa ludzi, których połączył wspólny cel, podróżowała... dokądś. Na północ. W pewnej chwili auto zaczęło się krztusić, może coś zagrzechotało w silniku albo

najzwyczajniej w świecie jego mechanizm odmówił posłuszeństwa. Któryś z pasażerów wysiadł, zajrzał pod maskę, po czym ogłosił koniec podróży. Wszyscy zaczęli wyciągać rzeczy z bagażnika. Problem w tym, że te bałwany nie potrafiły odróżnić śmieci od skarbów.

Tak czy inaczej coś im przeszkodziło. Zostawili bagaż i rzucili się do ucieczki. Jeden wskoczył z powrotem do auta i być może w ten sposób ocalił resztę, ponieważ wygląda na to, że uraczył się nim więcej niż jeden głodny.

– Próbował pan przekręcić kluczyk? – pyta Justineau.

Parks z wściekłością stwierdza, że podeszła do samochodu, nie czekając na jego sygnał. Ale nie jest głupia. Parks zdaje sobie sprawę, że jego język ciała zmienił się, gdy obszedł pojazd dookoła – śmiertelne napięcie ustąpiło miejsca zwykłej ostrożności. Justineau zareagowała na to po prostu nieco szybciej niż pozostali.

– Niech pani sama spróbuje – odpowiada.

Justineau nachyla się do wnętrza samochodu. Na widok lokatora na tylnym siedzeniu nieruchomieje. Trwa to jednak zaledwie ułamek sekundy. Już po chwili sięga ku kierownicy i Parks słyszy stłumiony chrzęst przekręcanego kluczyka. Z silnika nie dobywa się żaden dźwięk. To było do przewidzenia.

Sierżant omiata wzrokiem obie strony drogi. Z prawej porastają ją gęste chaszczce, z lewej tkwi fragment drewnianego ogrodzenia. A więc pobiegli w prawo. Nie sposób stwierdzić, jak daleko uciekli, nie wrócili jednak ani po rzeczy, ani po to, by pogrzebać martwego towarzysza. Parks prawdopodobnie się pomylił, sądząc, że poświęcenie pasażera z tylnego siedzenia ocaliło resztę. Raczej nikt tu nie uszedł z życiem.

Po chwili do auta podchodzą pozostali – Gallagher jako ostatni, ponieważ czeka na sygnał od dowódcy. Parks nakazuje im przeszukać torby i pudła, które jednak pełne są pamiątek mających znaczenie wyłącznie dla ich właścicieli. Nie ma tam nawet ubrań, jedynie książki i płyty, listy i ozdóbki. Trochę łatwo psującego się jedzenia: zgniłe, wysuszone jabłka, spleśniały bochen chleba, rozbita butelka po whisky.

Justineau otwiera plecak.

– Jezu Chryste – szepcze.

W plecaku są pieniądze. Pliki pięćdziesięciofuntowych banknotów, prosto z drukarni, wciąż w papierowych opaskach. Całkowicie bezużyteczne. Dwadzieścia kilka lat po tym, jak wszystko poszło w diabły, ktoś uznał, że kiedyś znów nadejdzie dzień, gdy pieniądze odzyskają swoją wartość.

– Triumf nadziei nad doświadczeniem – zauważa Parks.

– Nostalgia – kategorycznym tonem orzeka Caldwell. – Komfort mentalny przeważał nad logiką. Każdemu potrzebny jest kocyk bezpieczeństwa.

„Chyba tylko idiotom”, myśli Parks. Osobiście ma zwyczaj traktować

kwestie bezpieczeństwa z mniejszą dozą abstrakcji.

Gallagher spogląda to na jedno, to na drugie, jakby nie do końca rozumiał, o czym mówią. Jest zbyt młody, by pamiętać, do czego służyły pieniądze. Justineau zaczyna mu to wyjaśniać, ale już po chwili zrezygnowana kręci głową.

– Czemu miałabym cię pozbawiać niewinności? – mówi.

– Jeden funt równa się sto pensów – wtrąca głodna smarkula. – Ale dopiero od piętnastego lutego 1971 roku. Wcześniej wartość funta wynosiła dwieście czterdzieści pensów, oznaczanych wówczas literką d.

Justineau parska śmiechem.

– Bardzo dobrze, Melanie. – Rozdziera opaskę, układa banknoty w wachlarz, po czym wyrzuca je w powietrze. – D jak złoty deszcz – mówi, kiedy gorący wiatr porywa bezwartościowe papierki.

Głodna smarkula uśmiecha się, jakby zademonstrowano jej pokaz fajerwerków. Mruży oczy przed słońcem i obserwuje ich lot.

Zdaniem Caroline Caldwell poruszają się w całkiem niezłym tempie.

Trudno jej to stwierdzić z całą pewnością, ponieważ jej wyczucie czasu jest odrobinę skrzywione za sprawą dwóch czynników. Pierwszy to gorączka, która opanowała ją poprzedniego wieczoru i wciąż rośnie. Drugi czynnik – odwodnienie – wzmacnia efekty pierwszego.

Stara się obserwować rozwój własnej choroby jakby z pewnej odległości – nie dlatego, że jej naukowe powołanie warunkuje wszystko, co robi, ale dlatego, że taki chłodny dystans naprawdę pomaga. Rejestruje więc niezdrowe zmęczenie mięśni, identyfikuje ból głowy jako spowodowany drobnymi, lecz regularnymi wstrząsami z każdym kolejnym krokiem – a przy tym dalej posuwa się naprzód, ponieważ wszystko to są sprawy czysto fizjologiczne, niewpływające w żaden sposób na pracę jej umysłu.

Który zajęty jest roztrząsaniem dobrze znanych kwestii w świetle nowych dowodów.

Doktor Caldwell czytała wiele szczegółowych artykułów dotyczących odżywiania się głodnych, nigdy jednak nie obserwowała tego bezpośrednio (karmienie obiektów doświadczalnych, które odbywało się w sztucznych, klinicznych warunkach, to całkiem inna para kaloszy). Uderza ją to, że głodni, którzy dopadli mężczyznę w samochodzie, pożarli go niemal w całości – na górnej części jego tułowia pozostało tak mało mięsa, że w zasadzie można by uznać, że doszło do dekapitacji.

To nielogiczne. Caldwell oczekiwałaby po patogenie lepszych zdolności adaptacyjnych. Zdawało jej się, że *ophiocordyceps* powinien zręcznie manipulować komórkami podwzgórza nosiciela, tłumiąc odruch głodu po kilku pierwszych kęsach, tak by nowo zarażeni mieli solidną szansę na przeżycie. Byłoby to rzecz jasna o wiele efektywniejsze, jako że ofiara taka sama staje się nosicielem, zwiększając tym samym tempo rozmnażania się patogenu w danym ekosystemie.

Być może to efekt uboczny długiego cyklu dojrzewania: może właśnie dlatego ten akurat szczep *ophiocordycepsa* nigdy nie osiąga pełnej dojrzałości i nie wchodzi w etap rozrodczy, rozmnażając się, na zasadzie neotenui, we krwi bądź w ślinie. Na zdrowy rozum można by się spodziewać, że spowolni to rozprzestrzenianie się najkorzystniejszych mutacji.

Musi wziąć to pod uwagę przy okazji dalszych badań. Uważniej przyjrzeć się komórkom podwzgórza i zróżnicowanym poziomom penetracji dokonywanej przez grzybnię.

Półtora kilometra przed Stevenage – gdy z oddali wylaniają się dachy domów i błękitny gont wieży kościelnej – sierżant Parks zarządza postój. Unosi palec do nieba i wyjaśnia:

– W ciągu najbliższych dwóch godzin się ściemni. Nawet jeśli złomiarze wciąż nas szukają, musimy się gdzieś zadekować na noc i to właśnie jest to miejsce. Pójdziemy z Gallagherem na zwiad i w razie potrzeby oczyścimy teren. Potem po was wrócimy. W porządku?

Nic nie jest w porządku. Caldwell zauważa, że na twarzy Justineau również nie widać zachwytu, postanawia jednak przemówić w imieniu ich obu, ponieważ wie, że zrobi to klarowniej i zwięźlej.

– To się nie uda – oznajmia Parksowi.

– Uda się, jeśli zrobicie, co wam każę.

Caldwell wysuwa przed siebie stuloną dłoń. Czuje nieprzyjemne mrowienie w koniuszkach palców.

– Nie uda się – powtarza. – Pan nas postrzega jako ludność cywilną, a siebie oraz szeregowego Gallaghera jako naszą wojskową eskortę. Próbując wziąć całe ryzyko na siebie, sprowadza pan zagrożenie na nas wszystkich.

Parks spogląda na nią chłodno.

– Oszacowanie ryzyka to jeden z moich obowiązków – wyjaśnia.

Caldwell właśnie ma mu udowodnić, że się w owych szacunkach pomylił, ale Helen Justineau ją ubiega:

– Ona ma rację, sierżancie. Zamierzamy wejść na teren zabudowany, gdzie prawdopodobnie przebywa ogromna liczba głodnych w różnych stadiach infekcji. Wiemy, że to niebezpieczne, ale o tym, jak bardzo, przekonamy się dopiero na miejscu. Jaki więc sens w tym, żeby się pan trzykrotnie narażał? Rekonesans to raz, potem będzie pan musiał tu po nas wrócić, to dwa, i z powrotem, trzy. Zresztą co będzie, jeśli pod waszą nieobecność pojawią się złomiarze? Tu, na otwartej przestrzeni, nie mamy z nimi najmniejszych szans. Będzie znacznie lepiej, jeśli pójdziemy z wami.

Parks zastanawia się przez kilka sekund. Ale Caldwell zna go na tyle dobrze, by być pewną jego odpowiedzi. To do niego niepodobne, by odrzucić dobry pomysł tylko dlatego, że ktoś inny wpadł na niego pierwszy. Ona i Justineau mają rację, i tyle.

– W porządku – odzywa się w końcu sierżant. – Ale wy dwie nigdy wcześniej tego nie robiłyście, więc, do ciężkiej cholery, macie słuchać rozkazów, jasne? Wszystko, o czym wspominałem wcześniej, nadal obowiązuje, zwłaszcza to, że wszyscy trzymamy gęby na kłódkę, ale tym razem będzie inaczej. Jest niemal pewne, że zobaczymy głodnych i że sami znajdziemy się w polu ich widzenia. Rzecz w tym, by ich nie prowokować. Poruszajcie się powoli i płynnie. Nie patrzcie im w oczy. Nie wydawajcie nagłych ani głośnych dźwięków. W miarę możliwości wtapiajcie się w krajobraz. W razie wątpliwości patrzcie na mnie i czekajcie na sygnał. – Powiedziawszy to, rusza przed siebie. Nie marnuje więcej słów ani czasu. Caldwell to się podoba.

Dwadzieścia minut później zbliżają się do pierwszych zabudowań. Jak dotąd żadne z nich nie zauważyło głodnych, ale godzina wciąż jest młoda. Parks szeptem wydaje rozkaz i wszyscy się zatrzymują. Czworo niezarażonych ludzi po raz kolejny naciera się e-blokerem.

Wchodzą do miasta zwartą grupką, tak by sylwetka żadnego z nich się nie wyróżniała. Okolica mieszkalna, swego czasu luksusowa, po miesiącu zamieszek i grabieży, a następnie dwóch dekadach zapuszczenia, obróciła się w ruinę. Ogrody to małe kępki dżungli, które rozrosły się poza pierwotne granice, by zająć część ulicy. Sięgające pasa chwasty rozepchały szczeliny w połamanych płytach chodnikowych, kolczaste zarośla wyciągają się w górę jak macki podziemnych stworów. Szczęśliwie płytkość gleby pod chodnikiem powstrzymała je przed połączeniem sił i pochłonięciem wszystkiego, wraz z domami. Nadal panuje tu chwiejna równowaga sił.

Parks wytłumaczył im, czego mają szukać. Domek w szeregowej zabudowie przy samej ulicy zbyt trudno byłoby zabezpieczyć. Samotny budynek na osobnej działce, piętrowy, z dobrym widokiem i najlepiej z niezniszczonymi drzwiami, byłby idealny. Parks nie oczekuje jednak zbyt wiele i zadowolony się nawet jakimś połowicznym rozwiązaniem, byle nie musieli zapuszczać się zbyt głęboko w miasto.

Na razie nie widzi takiego rozwiązania, ruszają więc dalej.

Po pięciu minutach milczącego marszu dochodzą do szerokiej ulicy, przy której znajduje się ciąg zrujnowanych sklepów. Rozbite szkło chrzęści pod stopami, splądrowane wiele lat temu witryny zieją pustką. Cienkie skorupki przeżartych rdzą blaszanych puszek grzechoczą, turlając się po ziemi z każdym silniejszym podmuchem wiatru.

Są tam również głodni.

Około tuzina. Tkwią w bezruchu, szeroko rozsypani na całej długości ulicy.

Grupa żywych ludzi na ich widok staje jak wryta. Tylko Parks pamięta o tym, by stopniowo zwolnić kroku.

Caldwell, zafascynowana, powoli obraca głowę, by przyrzeć się każdemu z osobna.

Są wśród nich świeżo i dawno zarażeni. Tych starych łatwo rozpoznać po spleśniałej odzieży i straszliwej chudości. Każdy głodny, kiedy je, jednocześnie karmi patogen. Gdy jednak pokarmu zabraknie, *ophiocordyceps* czerpie składniki odżywcze prosto z organizmu nosiciela.

Zbliżywszy się nieco, Caldwell przygląda się szczegółom ich ubarwienia. U starszych głodnych szare nitki przebiły wyschniętą powierzchnię skóry siatką cieniutkich, krzyżujących się linii. Białka oczu również mają szare, a w otwartych ustach niektórych z nich widać szary osad na języku.

Ci młodszy ubrani są schludniej – ich odzież nie zdążyła jeszcze całkiem

spleśnieć – i zachowali w miarę ludzki wygląd. Paradoksalnie sprawia to, że stanowią jeszcze bardziej nieprzyjemny widok. Wyraźnie rzucają się w oczy ślady po ugryzieniach i poszarpana tkanka w miejscach, przez które przedostała się infekcja. Z czasem skóra oraz odzież płowieją, wystawione na działanie żywiołów, co w połączeniu z szarawą warstwą grzybni jakby zmiękcza i przykrywa fakturę rany, czyniąc ją czymś w rodzaju architektonicznego szczegółu.

Caldwell może przeprowadzić swoje nieśpieszne obserwacje tylko dzięki temu, że głodni znajdują się w stanie uśpienia. Niektórzy stoją, inni siedzą lub klęczą w różnych punktach wzdłuż jezdni, całkowicie nieruchomi, wpatrzeni w pustkę, z ramionami wzdłuż ciała albo – jeśli siedzą – z dłońmi splecionymi na kolanach.

Wyglądają, jakby pozowali do portretów albo jak pogrążeni w głębokich rozmyśleniach. Nie sprawiają natomiast wrażenia, jakby czekali; patrząc na nich, trudno się domyślić, że wystarczy jeden dźwięk lub ruch, by wyrwać ich z letargu.

Parks unosi rękę i powłóczyłym gestem daje pozostałym sygnał, by szli dalej. Sam zajmuje pozycję na przedzie, z karabinem gotowym do strzału, choć wycelowanym w ziemię. Patrzy w dół i tylko od czasu do czasu omiata najbliższe otoczenie prędkim, przelotnym spojrzeniem. Jego oczy zdradzają to, czego nie zdradza ospałość ruchów.

Tymczasem Caldwell przypomina sobie hipotezę, wedle której głodni zachowują podstawowe umiejętności poznawcze właściwe noworodkom – zatem widok ludzkiej twarzy przyciąga ich uwagę i powoduje lekkie podniecenie. Wyniki jej własnych badań nie potwierdziły tej teorii ani jej nie zaprzeczyły, jest jednak gotowa uznać ją za prawdziwą, wyłączając z niej osobniki w ostatniej fazie rozkładu.

Idący unikają więc wzroku głodnych. Spoglądają na siebie nawzajem, na ziejące pustką witryny sklepów, na drogę przed sobą albo w niebo i jedynie kątem oka dostrzegają upiorne, zastygłe w bezruchu postacie.

Tylko Melanie nie jest w stanie ani na chwilę oderwać wzroku od swoich większych odpowiedników; gapi się na nich jak zahipnotyzowana, zamiast patrzeć pod nogi, przez co w pewnym momencie potyka się i prawie upada.

Sierzant powoli odwraca głowę i rzuca jej złowieszcze spojrzenie. Mała przyjmuje reprimendę z pokorą. Odpowiada niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy, które zajmuje dobre dziesięć sekund. Chce, żeby wiedział, że nie popełni tego błędu po raz drugi.

Mijają pierwsze skupisko głodnych i idą dalej. Pojedyncze domy ustępują szeregowcom, po chwili pojawia się kolejny ciąg sklepów. Przy skrzyżowaniu okazuje się, że boczna ulica jest znacznie gęściej zaludniona. Głodni stoją w ciszy, zbici w ciasną grupę, jakby czekali na przejście pochodu. Caldwell domyśla się, że zebrali się wokół ofiary, a gdy ją pożarli, po prostu znieruchomieli.

Idąc, zastanawia się, czy strategia sierżanta rzeczywiście ma sens. Wchodzą coraz dalej w głąb miasta i nieprzyjaciel otacza ich teraz ze wszystkich stron. Mina Parksa wyraża niepokój. Pewnie myśli o tym samym.

Caldwell właśnie ma zaproponować, by się cofnęli i – z braku lepszego rozwiązania – przenocowali w jednym z bliźniaków na skraju miasta. Być może trafią tam na głodnych, ale przynajmniej będą mieli otwartą drogę ucieczki.

Wtedy jednak ich oczom ukazuje się błonie – a w każdym razie jego pozostałości. Choć zdziczałe, ma tę dobrą cechę, że wydaje się niemal puste. Kilku głodnych tkwi przy ścieżce otaczającej otwartą przestrzeń łąki, ale jest ich znacznie mniej niż wzdłuż ulicy.

Jest jeszcze coś. Gallagher dostrzega to pierwszy i powoli, lecz znacząco, wyciąga przed siebie palec. Po drugiej stronie błonia znajduje się właśnie to, czego sierżant kazał im szukać: duży samotny piętrowy dom, otoczony skrawkiem ziemi. To coś w rodzaju współczesnej miniposiadłości przesadnie wystylizowanej na starodawny dworek. Architektoniczne monstrum doktora Frankensteina: fasada z pruskiego muru, gotyckie łuki wieńczące okna parteru, drzwi ozdobione pilastrami. I duży szyld na bramie, a na nim napis: WAINWRIGHT HOUSE.

– Może być – stwierdza Parks. – Idziemy.

Justineau w pierwszym odruchu chce obrać najprostszą drogę przez zarośnięte błonie, ale Parks kładzie jej rękę na ramieniu.

– Nie wiemy, co tam siedzi – mruczy. – Jeśli przestraszymy jakiegoś kota albo ptaka, wszystkie truposze w promieniu kilku kilometrów natychmiast obrócą się w naszą stronę. Trzymajmy się lepiej drogi.

Ruszają więc wzdłuż skraju łąki zarośniętego gęstwiną chwastów i perzu i właśnie wtedy wzrok Caldwell pada na to zjawisko.

Zwalnia kroku, a po chwili przystaje. Nie może przestać się gapić. To, co widzi, to szaleństwo, całkowita niemożliwość.

Środkiem drogi sunie samotna postać. Jest płci żeńskiej – gdy na jej drodze stanął *ophiocordyceps*, jej wiek biologiczny wynosił zapewne trochę mniej lub trochę więcej niż trzydzieści lat. Wygląda nieźle, nie licząc wyszarpanej zębami lewej części twarzy. Tylko szare żyłki wokół oczu i ust wskazują na to, od jak dawna nie należy już do ludzkiego gatunku. Ma na sobie beżowe spodnie i białą bluzkę z rękawami trzy czwarte – stylowy efekt psuje nieco brak jednego buta. W długich, prostych jasnych włosach wciąż widać resztki francuskiego warkocza.

Popycha przed sobą dziecięcy wózek.

Dwa elementy czynią całe to zjawisko absolutnie nieprawdopodobnym, Caldwell skupia się najpierw na tym mniej uderzającym. Jakim cudem ona idzie? Kiedy głodni ścigają ofiarę, poruszają się biegiem, zaś resztę czasu spędzają w bezruchu. Nie mają zwyczaju wyruszać na nieśpieszne przechadzki.

Poza tym – jak to możliwe, że okazuje przywiązanie do przedmiotu? Wśród

miliona zdolności, które traci się po tym, jak *ophiocordyceps* opanuje ludzki mózg, jest umiejętność posługiwania się narzędziami. Niemowłęcy wózek powinien być dla tej istoty równie pozbawiony znaczenia jak, dajmy na to, równanie Einsteina.

Caldwell nie potrafi się powstrzymać. Podchodzi bokiem i przecina trajektorię postaci, uważając, by przypatrywać jej się wyłącznie kątem oka. Kątem drugiego dostrzega, jak Parks unosi dłoń w geście protestu. Nie zwraca na niego uwagi. Sprawa jest zbyt ważna.

Staje na drodze nadjeżdżającego wózka i powłóczącej nogami ekskobiety. Wózek wjeżdża w nią z niewielką siłą, a kobieta nieruchomieje. Opuszcza ramiona, głowa jej obwisa. Wygląda teraz tak, jak powinna – jakby ktoś zgasił światło albo wprowadził system w stan czuwania.

Parks i pozostali sztywnieją. Wszyscy patrzą w stronę Caldwell, po prostu patrzą, bo nic innego nie mogą zrobić. Dla Caldwell z kolei jest już za późno na martwienie się, czy e-bloker zadziała z tak małej odległości, więc po prostu się tym nie martwi.

W żółtym tempie okrąża wózek. Widzi teraz, że głodna ma więcej obrażeń, niż się na początku zdawało. Z rozszarpanego ramienia zwisają wyschnięte strzępy mięśni. Biała bluzka z tyłu wcale nie jest biała – od góry do dołu pokrywa ją czarna, zaskorupiała plama krwi.

Wewnątrz wózka podskakują w bezładnym tańcu nanizane na gumkę kaczuski. Spory żółty kocyk, zakurzony i pomięty, ukrywa coś jeszcze.

Głodna chyba w ogóle nie zdaje sobie sprawy z obecności Caldwell. To dobrze. Lekarka jeszcze wolniej, milimetr po milimetrze, sięga skraj kocyka.

Ujmuje grubą, sztywną dzianinę pomiędzy kciuk i palec skazujący. Odchyła ją w ślimaczym tempie.

Dziecko nie żyje od dawna. Dwa wielkie szczury, które umościły sobie legowisko w szczątkach jego klatki piersiowej, z przenikliwym piskiem wyskakują z wózka ponad ramionami Caldwell.

Ta wydaje z siebie nieartykułowany wrzask i zatacza się do tyłu.

Głodna powoli unosi i obraca głowę. Patrzy na Caldwell szeroko otwartymi oczami. Jej dolna szczęka opada, ukazując szary nalot na języku i czarne resztki zębów.

Sierżant Parks pojedynczym strzałem trafia ją w tył czaszki. Usta głodnej rozwierają się jeszcze szerzej, głowa przechyla się w bok. Ciało zwala się na wózek, a potem osuwa na zwirowaną powierzchnię drogi.

Wszędzie wokół żywe trupy budzą się do życia. Ich głowy obracają się niczym radary.

– Czekać na sygnał – cedzi Parks.

A potem ile sił w płucach wrzeszczy:

– Teraz!

Omali nie giną w ciągu pierwszych kilku sekund. Ponieważ pozostali nie reagują na krzyk Parksa. Nieruchomieją.

Zdaje im się, że nie ma dokąd uciekać. Głodni nadciągają ze wszystkich stron, stopniowo zacieśniając krąg.

Ale liczy się tylko jeden kierunek. A zadaniem Parksa jest utorować im drogę.

Trzema strzałami powstrzymuje trzy biegnące trupy. Dwa razy chybia. Brutalnie szturcha Justineau, Gallagher robi to samo z Caldwell, i tylko ta smarkula, Melanie, nie potrzebuje zachęty, by puścić się pędem przed siebie.

Przeskakują przez leżących głodnych, którzy wiją się jak karaluchy, usiłując odzyskać pion. Gdyby miał więcej czasu, gdyby każda kolejna sekunda nie miała być ostatnią, Parks celowałby w głowy. Ale jest, jak jest, i uznaje, że najlepszym rozwiązaniem są strzały w tułów.

Idzie mu nieźle do momentu, gdy Justineau wyklada się jak długa. Jeden z podziurawionych potworów chwycił ją za nogę i powoli wspina się do jej gardła.

Parks pakuje mu kulę w miejsce tuż pod uchem. Napastnik puszcza. Justineau natychmiast zrywa się z ziemi i rusza, nie oglądając się za siebie. Dobrze. Szkoda, że żona Lota nie wykazała się podobną przytomnością umysłu.

Sierżant posyła serie na lewo i prawo. Kosi tylko tych, którzy znajdują się najbliżej, tych, którzy właśnie szykują się do skoku. Gallagher idzie w jego ślady i – choć ma parszywego cela – na szczęście nie zwalnia przy tym kroku. To lepsze, niż gdyby miał oko jak Rysio Snajper, ale stał w miejscu na tyle długo, by dać się powalić.

Są już przy bramie, zamkniętej, choć Parks nie dostrzega zamka. Najwidoczniej była sterowana elektrycznie, ale co było, to było, i w tym nowym, wspaniałym, przeżartym gangreną świecie oznacza to tylko i wyłącznie tyle, że nie działa.

– Górá! – wrzeszczy Parks. – Dawajcie górá!

Łatwo powiedzieć. Trudniej zrobić, gdy ma się przed sobą wysoką zaporę z ozdobnych splotów kutego żelaza zwieńczoną niezwykle praktycznymi szpikulcami. Mimo to próbują. Parks tymczasem odwraca się tyłem do bramy i otwiera ogień.

Szczęśliwie nie musi już wybierać sobie celów. Opuszcza lufę w dół i odąd działa jak automat. Podcinając nogi tym na przedzie, zmienia ich w przeszkody, które spowalniają pozostałych.

Niestety wciąż nadciągają nowi. Kanonada jest jak gong wzywający na kolację. W martwym pędzie wypadają z sąsiednich ulic na zieleń błonia. Ich zastępy są nieograniczone, w przeciwieństwie do zasobów jego amunicji.

Która nagle się kończy. Karabin przestaje wibrować w jego dłoniach, a huk strzałów ginie w falach echa. Parks wyrzuca pusty magazynek, błędzi palcami w kieszeni w poszukiwaniu kolejnego. Wykonywał tę czynność tak wiele razy, że jest w stanie powtórzyć ją przez sen. Wcisnąć nowy magazynek, przekręcić lekko, by zaskoczył, i odciągnąć suwadło.

Suwadło zacina się w połowie drogi. Póki Parks nie odkryje, co je zablokowało – prawdopodobnie pierwszy nabój, zaklinowany w komorze – karabin staje się w jego rękach bezużytecznym ciężarem. Tymczasem z obu stron zbliża się do niego dwoje głodnych, mężczyzna i kobieta. Mniej więcej sekunda dzieli Parksa od udziału w najbardziej przerażającym trójkącie świata.

To instynkt. Błędna reakcja. Zamiast zamachnąć się karabinem jak kijem, sierżant robi krok w tył i na oślep sięga po pistolet. Marnuje w ten sposób ostatnią sekundę i nagle jest po wszystkim.

Albo i nie.

W ferworze walki Parks skupia się wyłącznie na tym, co znajduje się bezpośrednio w jego polu widzenia. Nie jest to nawet świadome działanie, nic wyuczonego. Po prostu tak się dzieje.

Nie pamięta więc o głodnej smarkuli aż do momentu, gdy ta nagle pojawia się obok. Wcisnęła się w malejącą przestrzeń między nim a napastnikami, chude ramionka wojowniczo młóć powietrze, a z drobnych płuc dobywa się przeraźliwy bojowy okrzyk.

Głodni stają jak wryci. Ich spojrzenia tracą ostrość. Głowy zaczynają się obracać to w lewo, to w prawo, trochę jak ze smutku albo rozczarowania. Już nie patrzą na Parksa. Znów go szukają.

Parks wie, że głodni nie atakują się nawzajem, z wyjątkiem dzieciaków w bazie nie widział nigdy, by któryś z nich wykazywał oznaki tego, że choćby przyjmuje do wiadomości istnienie swoich pobratymców. Każdy z nich, odosobniony w tłumie, zaspokaja wyłącznie własne potrzeby. Głodny nie jest zwierzęciem stadnym. Jest samotnikiem, który przypadkowo przebywa w pobliżu innych samotników, ponieważ reagują na te same bodźce.

W związku z tym sierżant zakładał zawsze, że głodni nie wyczuwają się nawzajem. Zapach żywych ludzi doprowadza ich do szaleństwa, ale woń innych głodnych jest dla nich niewykrywalna. W tej krótkiej chwili odrętwienia uświadamia sobie, że się mylił. Wygląda na to, że woń pozostałych jest dla nich po prostu neutralna. Zapach żywych wprawia ich w podniecenie, zapach głodnych ich go pozbawia.

Dzieciak go osłonił. Wydzielane przez nią związki chemiczne zablokowały jego feromony, zaledwie na sekundę lub dwie, ale to wystarczyło, by głodni zgubili trop, który w przeciwnym razie zaprowadziłby ich wprost do jego tchawicy.

Nadciągają jednak następni i ani na chwilę nie zwalniają tempa. Ci dwoje,

których smarkula na moment przyblokowała, na nowo łapia sygnał i ich wzrok zaczeplia się na celu.

Na szczęście Gallagher chwyta Parksa za ramię i wciąga go w wąski otwór między wrotami bramy, które udało im się częściowo sforsować.

Pędzą w stronę mającego przed nimi domu. Justineau jednym szarpnięciem otwiera drzwi na oścież. Wpadają do środka. Głodna smarkula wyprzedza Parksa, przesmygnąwszy między jego nogami. Gallagher zatrzaskuje drzwi, tracąc w ten sposób cenny czas, ponieważ po ich obu stronach znajdują się wysokie do sufitu oszklone panele.

– Na schody! – wrzeszczy Parks. – Biegnijcie na górę!

Co też robią, ścigani brzękiem tłuczonych szyb, przypominającym oszalałe kościelne dzwony.

Parks biegnie ostatni, rzucając za siebie granaty niczym sznury koralików podczas cholery parady Mardi Gras.

Granaty wybuchają za ich plecami jeden po drugim, urywane wstrząsy nakładają się na siebie w przerażającej harmonii. Odłamki smagają kuloodporną kamizelkę Parksa i niechronione niczym uda oraz łydki.

Nogi uginają się pod nim, jakby biegł po pokładzie rozkołysanej łodzi. Mimo to jakimś cudem dociera na górę. Osuwa się na kolana, a potem na podłogę, dławiąc się własnym oddechem. Pozostali są w podobnym stanie – z wyjątkiem smarkuli, która wpatruje się nieruchomo w ciemną otchłań pod nimi, milcząca i spokojna, jakby właśnie wróciła z popołudniowej przechadzki. Schodów już nie ma, seria eksplozji posłała je w diabły, a oni są bezpieczni.

Nie, wcale nie. Nie ma czasu na siedzenie i gadanie. Parks musi ich natychmiast postawić na nogi.

Owszem, główną bramę zastali zamkniętą, drzwi niewyłamane, ale przecież może tu być tylne wejście, dawno temu wysadzone z zawiasów. Lub rozbite okno. Kawałek płotu, który zawalił się miesiąc albo i rok temu. Niewykluczone również, że w jednym z pomieszczeń na górze zagnieździli się głodni, którzy właśnie strzygą uszami na dźwięk zbliżających się kroków.

W związku z czym muszą sobie przede wszystkim urządzić bezpieczną bazę wypadową.

A potem przeszukać piętro. Upewnić się, czy na obwodzie nie czai się wróg.

Parks musi przyznać, że dom wygląda na pusty. Ale policzywszy tylko te drzwi, które widzi, wie już, że jest tu całe mnóstwo zamkniętych pokoi. Nie spocznie, póki się nie przekona, że wszędzie jest bezpiecznie.

Ruszają więc przed siebie i sprawdzają każde drzwi po kolei. Większość jest zamknięta na klucz, co Parksowi całkowicie wystarczy. Cokolwiek się za nimi czai, niech tam zostanie.

Kilkoro drzwi, które ustępują po naciśnięciu klamki, prowadzi do maleńkich

sypialni. W każdej z nich tkwi charakterystyczne szpitalne łóżko z regulowanymi metalowymi ramami i linkami służącymi do przyzywania personelu. Poza tym składany stolik z laminowanym blatem i krzesło ze stalowych rurek z wyblakłym bordowym obiciem. Za ścianką mikroskopijna łazienka, w której poza kabiną prysznicową mieści się niewiele więcej. Wainwright House nie był domem mieszkalnym, raczej czymś w rodzaju prywatnego szpitala.

Jednoosobowe salki są zbyt ciasne, by pomieścić choćby dwie osoby. A ponieważ Parks uważa, że nie powinni się rozdzielać, szukają dalej.

Dręczy go przy tym powracające pytanie: czy smarkuła wiedziała, co robi? Czy zdawała sobie sprawę, że jest w stanie powstrzymać głodnych, po prostu stając im na drodze?

Szczególnie niepokoi go fakt, że niezależnie od tego, jak brzmiałyby odpowiedzi, nadal nie ma pojęcia, jaki z niej płynie wniosek. Melanie uratowała mu tyłek. Parks obraca tę myśl w głowie na wszystkie strony, ale jakkolwiek by na nią popatrzył, sprawa nie wygląda lepiej. Roztrząsanie jej tylko go złości.

Z głównego korytarza skręcają w prawo, potem w lewo, aż wreszcie odnajdują pokój na tyle przestronny, by odpowiadał ich potrzebom. Pod ścianami stoją rzędy krzeseł. Wiszą nad nimi tanie, oprawione w ramki sielskie widoczki, w większości przedstawiające wozy z sianem. Parks ma do wozów z sianem stosunek obojętny, poza tym jest tu zbyt wiele drzwi, z drugiej jednak strony są małe szanse, że uda im się znaleźć coś lepszego.

– Tu przenocujemy – oznajmia, zwracając się do cywilów. – Ale najpierw musimy sprawdzić resztę piętra. Nie chcę żadnych niespodzianek.

To „my” odnosi się głównie do niego samego i Gallaghera, ale ponieważ dochodzi do wniosku, że im szybciej to załatwią, tym lepiej, postanawia zaangażować również Justineau.

– Twierdziła pani, że chce pomóc – przypomina jej. – To ma pani okazję.

Justineau się waha – patrzy na doktor Caldwell, więc nietrudno zgadnąć, o czym myśli. Boi się ją zostawić sam na sam z dzieciakiem. Ale to właśnie Caldwell najmocniej ucierpiała wskutek ich ostatniej przygody. Błada i spocona, nadal ciężko dyszy, choć pozostali już od dawna oddychają swobodnie.

– To zajmie pięć minut – zapewnia ją Parks. – W pięć minut chyba wiele się nie może wydarzyć. – Zaskakuje go brzmienie własnego głosu: drgające w nim gniew i napięcie.

Justineau wlepia w niego zdumione spojrzenie. Zdaje się, że Gallagher też zerknął z niepokojem.

Tłumaczy więc:

– We trójkę łatwiej będzie nam się pilnować. Dzieciak nie wchodzi w rachubę, nie wiedziałyby, na co ma zwracać uwagę. Idziemy i zaraz wracamy, a one niech tu zostaną, żebyśmy wiedzieli, gdzie ich szukać. Okej?

– Okej – odpowiada Justineau, nie spuszczać z niego wzroku. Jakby się zastanawiała, z której strony dostanie w łeb.

Potem klęka i kładzie dłoń na ramieniu Melanie.

– Zaraz wrócimy – obiecuje.

– Uważajcie na siebie – odpowiada Melanie.

Justineau kiwa głową.

Jasne.

Zostawszy sam na sam z doktor Caldwell, Melanie przede wszystkim usuwa się w najdalszy kąt pokoju i przyciska plecami do ściany. Z niepokojem obserwuje każdy jej ruch, gotowa w jednej chwili umknąć przez otwarte drzwi za panną Justineau.

Ale doktor Caldwell osuwa się na krzesło, zbyt wyczerpana albo zbyt zamyślona, żeby zwracać na nią uwagę. Nawet na nią nie patrzy.

W innych okolicznościach Melanie zaczęłaby zwiedzać. Przez cały dzień widziała mnóstwo nowych, zachwycających rzeczy, ale ponieważ sierżant narzucił żwawe tempo, nie miała czasu przystanąć, by dokładniej obejrzeć te wszystkie cuda: drzewa i jeziora, drewniane płyty, drogowskazy ze znanymi jej z lekcji nazwami miejscowości, zmurszałe billboardy – wypłowiałe mozaiki abstrakcyjnych kolorów. I wszystko, co żyje: ptaki w powietrzu, szczury, myszy oraz jeże w zaroślach wzdłuż drogi. Świat zbyt wielki, by objąć go myślą, zbyt nowy, by wszystko nazwać.

A teraz znalazła się tutaj, w tym domu, który tak bardzo różni się od bazy. Na pewno jest tu wiele rzeczy do odkrycia. Nawet ten pokój kryje mnóstwo małych i dużych tajemnic. Czemu krzesła stoją tylko pod ścianami, czemu całe pomieszczenie jest takie wielkie? Czemu do ściany przymocowana jest drucziana półka, a na niej leży plastikowa butelka z dozownikiem, obok napisu wzywającego do zachowania higieny? Co to za wyblakły obrazek na jednym ze stołów (dzikie konie galopujące przez pole), pocięty na setki kwadracików z małymi wypustkami i złożony na nowo?

Mimo ogromu pytań w tej chwili jedyne, na co Melanie ma ochotę, to schować się w jakimś ciemnym kącie i myśleć o tej okropnej rzeczy, która się przed chwilą wydarzyła. O strasznej tajemnicy, którą właśnie odkryła.

Razem z tymi, przez które weszli, w pokoju jest troje drzwi. Melanie podchodzi do najbliższych, przez cały czas obserwując kątem oka doktor Caldwell (która wciąż się nie rusza). Drzwi prowadzą do bardzo małego pokoju, w którym panuje głównie biel. Są tam białe szafki i półki, i czarno-białe kafelki na ścianach. Jedna z szafek ma w drzwiach szybkę, a na górze mnóstwo pokręteł i przełączników. Śmierdzi starym tłuszczem. Melanie wie już o świetle na tyle dużo, by zgadnąć, że szafka z szybką to kuchenka. Widziała takie na obrazkach w książkach. Całe pomieszczenie to najwyraźniej coś w rodzaju kuchni – miejsce, w którym przyrządza się smaczne rzeczy do jedzenia. Jest jednak zbyt ciasne, by się w nim ukryć. Gdyby doktor Caldwell stanęła w drzwiach, Melanie znalazłaby się w pułapce.

Wraca do pokoju. Doktor Caldwell się nie poruszyła, omija ją więc szerokim łukiem i podchodzi do kolejnych drzwi. Otwiera je i widzi coś zupełnie innego.

Kolorowe ściany obwieszane plakatami. Na jednym widnieją różne gatunki polnych zwierząt, na drugim – słowa zaczynające się na kolejne litery alfabetu. „Astronauta”. „Borsuk”. „Ciężarówka”. „Dom”. „Emu”. Ilustracje są proste i wesołe. Ciężarówka i dom mają uśmiechnięte twarze. W głowie Melanie rodzi się silne podejrzenie, że nie przedstawiono ich zbyt realistycznie

Tu również stoją krzesła, ale mniejsze i rozstawione po całym pomieszczeniu, po kilka obok siebie. Rozrzucone po podłodze zabawki wyglądają, jakby ktoś zostawił je tam przed chwilą. Lalki w sukienkach i żołnierzyki w mundurach.auta i ciężarówki. Samochody, domy i ludziki z plastikowych klocków. Pluszowe zwierzątka, wypłowiałe do jasnej szarości.

I książki. Mnóstwo książek na krzesłach, stołach i podłodze. Setki książek na wysokim regale obok drzwi. Nowo odkryta tajemnica zbyt mocno jej ciąży, by miała ochotę na czytanie. Zresztą ręce ma przecież skute za plecami, a stopy, choć bose, nie są na tyle zręczne, by przekładać strony. Ogląda więc tylko tytuły.

Bardzo głodna gąsienica

Wielkomilud

Pięcioro dzieci i coś

Piotruś Królik

Tam, gdzie żyją dzikie stwory

Tajemniczy ogród

Jaś i magiczna fasola

Tytuły same w sobie brzmią jak historie. Niektóre książki się rozpadły, inne ktoś podarł i rozrzucił kartki po podłodze. To smutny widok, ale w sercu Melanie kłębi się już tyle emocji, że nie ma w nim miejsca na smutek.

Nie jest zwykłą dziewczynką. Jest głodną.

To zbyt szalone, zbyt okropne, by mogło być prawdziwe. Ale zarazem najzupełniej oczywiste. Ten głodny w bazie, który zamiast ją zjeść, po prostu się odwrócił... Wtedy jeszcze mogło chodzić o wszystko albo o nic. Mógł być dezorientowany, bo wyczuł zapach krwi doktor Selkirk, mógł szukać kogoś większego, niebieski żel do dezynfekcji mógł zamaskować jej zapach tak samo, jak chemikalia z pryszniców maskowały zapach dorosłych.

Ale przecież kiedy stanęła przed sierżantem Parksem – to był impuls, nie myślała o tym, co robi, chciała tak jak on walczyć z potworami, zamiast kryć się przed nimi jak jakieś strachajło – oni w ogóle jej nie dostrzegli. I z pewnością nie mieli na nią apetytu. Całkiem jakby była niewidzialna. Jakby w jej miejsce pojawiła się bańka nicości.

To popycha ją w stronę najważniejszego dowodu, tak wielkiego, że Melanie nie może wyjść z podziwu, jak mogła go dotąd nie dostrzegać. Chodzi o samo słowo. O to określenie. Głodni.

Potwory nazwano tak jak tę potrzebę, która nią owładnęła, gdy w swojej celi

poczuła zapach panny Justineau, a uciekając z bazy – zapach tamtego złomiarza. Głodni łapią trop ofiary, a potem ją ścigają, dopóki jej nie pożrą. Nie potrafią się powstrzymać.

Melanie doskonale wie, co wtedy czują. A więc sama jest potworem.

Doktor Caldwell uznała, że nie ma nic złego w pocięciu jej na kawałki i powsadzaniu tych kawałków do słoików. Nagle Melanie przestaje się temu dziwić.

Drzwi za jej plecami otwierają się niemal bezszelestnie.

Melanie odwraca się i widzi doktor Caldwell, która patrzy na nią od progu. Ma dziwną minę. Melanie cofa się lekko.

– Niezależnie od tego, z jakim czynnikiem mamy tu do czynienia – mówisz szybko, przyciszonym głosem doktor Caldwell – ty stanowisz jego apogeum. Zdajesz sobie z tego sprawę? Umysł geniusza, na który to szare świństwo, które pleni się w twoim mózgu, nie ma najmniejszego wpływu. *Ophiocordyceps* powinien był zeżreć twoją korę mózgową dawno temu, aż do samych motoneuronów, ale nie.

Postępuje naprzód, a Melanie w tym samym momencie robi krok do tyłu.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewnia ją doktor Caldwell. – Zresztą tutaj i tak niewiele zdołałam. Nie mam laboratorium. Ani sprzętu. Chcę tylko rzucić okiem. Na korzeń twojego języka. Na kanaliki łzowe. Na przelyk. Sprawdzić, jak bardzo rozwinęła się infekcja. To zawsze coś. Na początek. Reszta może poczekać. Jesteś moim kluczowym obiektem, nie mogę po prostu...

Doktor Caldwell wyciąga rękę, Melanie czmycha spod jej dłoni i rzuca się do drzwi. Doktor Caldwell odwraca się i rusza w pogoń. Prawie jej się udaje. Koniuszki jej palców, usztywnione przez warstwy bandaży, ześlizgują się z ramienia dziewczynki.

Melanie ucieka, jakby gonił ją tygrys.

Słyszy, jak doktor Caldwell sapie z wściekłości:

– Cholera! Melanie!

Wpada do dużego pokoju, tego z krzesłami wzdłuż ścian. Nie wie nawet, czy doktor Caldwell nadal ją ściga, ponieważ nie ma odwagi się obejrzeć. Na myśl o laboratorium, stole operacyjnym i nożu o długim trzonku do gardła podchodzi jej gorzka żółć.

Oślepią paniką, rzuca się w pierwsze lepsze drzwi. Pudło. Spod kagańca dobiega się zwierzęcy pisk.

Cofa się do sali z krzesłami. Doktor Caldwell stoi po drugiej stronie pomieszczenia. Drzwi na korytarz są w połowie drogi pomiędzy nimi.

– Nie bądź głupia – mówi doktor Caldwell. – Nic ci nie zrobię. Chcę cię tylko zbadać.

Melanie pokornie spuszcza głowę i rusza w jej stronę.

– Bardzo dobrze – szczebiocze doktor Caldwell. – Jeszcze kawałeczek.

Melanie zrównuje się z drzwiami i wypada na korytarz. Nie wie, dokąd biegnie, toteż nie ma znaczenia, w którą stronę skręci, a mimo to odtwarza sobie w głowie przebytą wcześniej trasę. W lewo. W lewo. W prawo. To ten sam instynkt, który kazał jej zapamiętać drogę powrotną na blok, kiedy sierżant Parks wiózł ją do laboratorium. Dom za każdym razem oznacza co innego, ale Melanie musi wiedzieć, jak do niego trafić. Ta potrzeba tkwi w niej zbyt głęboko i nikt nie jest w stanie jej tego odebrać.

Wszystkie korytarze wyglądają podobnie i nigdzie nie widać kryjówki – zwłaszcza dla kogoś, kto nie może używać rąk. Melanie mijają jedne drzwi po drugich, ale wszystkie są zamknięte.

W końcu chowa się w wąskiej wnęcie, która ledwo ją zasłania. Może ktoś, kto by jej nie szukał, dałby się zwieść, ale wystarczy, że odwróciłby głowę, żeby ją zauważyć. Jeśli doktor Caldwell ją znajdzie, Melanie rzuci się do ucieczki, a jeśli ją złapie, zacznie krzyczeć i wołać pannę Justineau. Taki ma plan, najlepszy, na jaki ją stać.

Wyteża słuch, usiłując wyłapać z oddali dźwięk kroków. Kiedy słyszy śpiew, płynący ze znacznie mniejszej odległości, podskakuje jak spłoszony królik.

– „Przyprowadź mi... dzieci...”**

Głos jest tak ochryply, że to właściwie nie głos. Raczej oddech wciskający się przez szczelinę w ścianie, wypychany przez zepsute miechy. Piosenka umarłego, która wyrwała się na wolność.

I tylko te trzy słowa. Przedtem i potem cisza.

Trwa to mniej więcej minutę. Melanie liczy własne oddechy. Drży.

– „A szybko przyprowadź...”

Tym razem nie podskakuje. Przygryza wargę. Nie potrafi sobie wyobrazić ust, które wydały z siebie ten dźwięk. Słyszała o duchach – panna Justineau opowiadała kiedyś dzieciom historie o nich, ale zrezygnowała, zbliżywszy się z nadto do tego zakazanego tematu: śmierci. Melanie zastanawia się, czy to może być duch kogoś, kto tutaj umarł.

– „Rychło umrę... niech śpieszą się, zaklnij...”

Musi się dowiedzieć, kto śpiewa. Nawet jeśli to duch, niewiedza wydaje jej się bardziej przerażająca. Opuszcza więc swoją wnękę i dochodzi do załomu korytarza.

Z otwartych drzwi wylewa się czerwone jak krew światło i na moment dziewczynkę ogarnia strach.

Ale gdy przekracza próg, widzi, że to tylko promienie zachodzącego słońca wpadają przez otwarte okno.

Tylko! Dobrze sobie! Melanie widziała dotąd zachód słońca jeden jedyny raz, a ten jest o wiele lepszy. Niebo zajęło się ogniem od horyzontu i płonie wszystkimi kolorami, od stygnącej pomarańczowej czerwieni przez fiolet po w błękit

w zenicie.

Dopiero po dziesięciu, może dwudziestu sekundach dziewczynka zauważa, że nie jest sama.

** Wiersz R. Southeya *Starucha z Berkeley* w tłumaczeniu S. Kryńskiego, cyt. za: W. Wordsworth, S.T. Coleridge, R. Southey, *Angielscy „Poeci Jezior”*, Wrocław 1963.

Caroline Caldwell również podążyła za dziwnym głosem. Jest oczywiście świadoma, że nie należy on do obiektu numer jeden. Ale ma zarazem całkowitą pewność, że właściciel głosu nie stanowi zagrożenia. Do momentu, gdy go dostrzeża.

Siedzący na łóżku mężczyzna wygląda jak puenta kiepskiego dowcipu. Spod rozchylonej szpitalnej koszuli prześwituje nagość. Skórę na barkach, ramionach i twarzy przecinają stare rany, głębokie, podłużne wyrwy po ugryzieniach. Tyle że ugryzienia to mało powiedziane: ktoś na nim żerował; wyszarpał i pochłoniął fragmenty jego fizyczności. Klatkę piersiową i brzuch znaczą szramy i zadrapania, ślady po zachłannych palcach, które wczepiły się w jego ciało. Środkowy i serdeczny palec prawej dłoni odgryziono przy drugim stawie. „Pewnie się bronił – myśli Caldwell – próbował odepchnąć głodnego, a ten wgrzył mu się w dłoń”.

Elementem nadającym całości wisielczego komizmu jest bandaż na łokciu. Ów człowiek zgłosił się zapewne do Wainwright House z jakąś drobną dolegliwością, na przykład zapaleniem kaletki, po czym – co częste – podczas leczenia doszło do komplikacji. W jego przypadku komplikacje polegały na tym, że stado głodnych najpierw nakarmiło się jego mięsem, a potem uczyniło go jednym z nich.

Wciąż śpiewa, najwyraźniej nieświadomy obecności Melanie tuż przed sobą ani Caldwell w progu.

– „Kruk zakrakał, gdy siadła starucha do stołu...”

Tak mocno zbiega się to z myślami Caldwell, że na moment wytrąca ją z równowagi. Ale nie, te słowa to nie odpowiedź, lecz ostatni wers czterowiersza. Caldwell jak przez mgłę pamięta tę piosenkę. To *Starucha z Berkeley*, stara ludowa ballada, równie ponura i przygnębiająca jak większość pieśni tego typu – dokładnie taka, jakiej spodziewałaby się po głodnym.

Tyle że oni nie śpiewają. Nigdy.

Nie mają też w zwyczaju oglądać zdjęć. Tymczasem on trzyma na kolanach portfel, taki z osobnymi koszulkami na karty płatnicze. Wewnątrz zamiast kart tkwią fotografie. Głodny próbuje je przekładać jednym z pozostałych mu palców prawej dłoni.

Jego ruchy są urywane, a przerwy między nimi bardzo długie. Niemożność przewrócenia kolejnego zdjęcia za każdym razem owocuje kolejnym wersem piosenki.

– „To zaś ona pojęła, jak słowa...”

Caldwell natrafia przypadkiem na wzrok Melanie. W spojrzeniu, które wymieniają, brak jest porozumienia, chyba że za jego znak uznać łączące jej poczucie bycia czymś racjonalnym i zdefiniowanym w obliczu tego, co niemożliwe

i niesamowite.

Caldwell przekracza próg i powoli, ostrożnie obchodzi łukiem zarażonego mężczyznę. Ślady walki na jego ciele są – teraz to widzi – bardzo stare. Strupy wokół ran wyschły i odpadły. Każda z nich jest obrębiona koronką szarych nitek na znak, że wewnątrz zagnieździł się *ophiocordyceps*. Usta i kąciaki oczu pokrywa szary nalot.

„Możliwe – myśli chłodno Caldwell – że tkwi w tym pokoju, na tym łóżku, od momentu, kiedy został zarażony. W takim razie część ran na rękach mógł zadać sobie sam. Grzyb żywi się przed wszystkim białkiem i choć wiele mu nie trzeba, nie może żyć powietrzem”.

Autokanibalizm to wyjątkowo praktyczne rozwiązanie z punktu widzenia pasożyta, który wie, że ciało nosiciela posłuży mu tylko przez jakiś czas.

Caldwell jest absolutnie zafascynowana. Ale i – po tym, co wydarzyło się na zewnątrz – świadoma ryzyka. Cofa się do drzwi i przywołuje gestem małą, obiekt numer jeden. Melanie nie rusza się z miejsca. Uznała, że to lekarka stanowi większe zagrożenie, i jest to jak najbardziej logiczny wniosek.

Caldwell nie ma czasu na bzdury.

Wyciąga broń, którą wręczył jej sierżant Parks i która spoczywała dotąd w kieszeni jej fartucha. Kładzie kciuk na bezpieczniku i trzymając pistolet w obu dłoniach, kieruje go w stronę Melanie. Celuje w głowę.

Melanie sztywnieje. Widziała skutki strzału z bliskiej odległości. Wpatruje się w wylot lufy zahipnotyzowana jego bliskością i drżącym w nim śmiertelnym potencjałem.

Caldwell przyzywa ją ponownie, tym razem ruchem głowy.

– „I zbladła jak płótno przed wieścią okrutną...”

Po długim zastanowieniu Melanie podchodzi bliżej. Caldwell kładzie dłoń na jej ramieniu i wyprowadza ją na korytarz.

Odwraca się do głodnego i intonuje śpiewnym głosem:

– „Tonęłam w grzechach i uciechach. Na sąd dziś stanąć muszę”.

Głodnym wstrząsa gwałtowny dreszcz. Caldwell cofa się w pośpiechu i kieruje pistolet w sam środek jego klatki piersiowej. Z tej odległości nie sposób chybić.

Ale on nie atakuje. Kręci tylko głową w prawo i w lewo, jakby próbował zlokalizować źródło dźwięku.

– So... – chrypi tym swoim przedziwnie nieobecny głosem. – So. So. So.

– Proszę go zostawić – szepcze Melanie z mocą. – Nic pani nie zrobił.

– „Lecz ocaliłam dusze dzieci” – nuci Caldwell. – „Módlcie się za mą duszę!”

– So – skrzeczy głodny. – So...

– Z drogi – rozkazuje sierżant Parks. Kładzie dłoń na ramieniu lekarki

i brutalnie odpycha ją na bok.

– ... phie – mówi głodny.

Parks oddaje pojedynczy strzał. Pośrodku czoła głodnego pojawia się czarny punkt niczym znak przynależności kastowej. Trup osuwa się na bok i spada na podłogę. Miejsce, w którym tak długo siedział, znaczą wyschnięte czerwone, czarne i szare plamy.

– Dlaczego? – wrywa się Caldwell. Odwraca się do sierżanta i szeroko rozrzuca ramiona. – Czemu, do ciężkiej cholery, musi pan zawsze strzelać im w głowę?

Parks spogląda na nią z kamienną twarzą. Potem chwyta ją za rękę i zmusza, by ją opuściła.

– Jeśli chce pani machać komuś przed nosem pistoletem – mówi – to proszę go przynajmniej zabezpieczyć.

Biorąc pod uwagę jej fatalny początek, druga noc w drodze upływa im znacznie spokojniej niż pierwsza, przynajmniej zdaniem Helen Justineau.

Przede wszystkim mają co jeść. O dziwo, mają również na czym gotować, ponieważ kuchenka w mikroskopijnej kuchni zasilana jest gazem z butli. Ta jest wprawdzie pusta, ale w rogu pomieszczenia stoją dwie następne, pełne i zdatne do użytku.

Wszyscy troje – Justineau, Parks i Gallagher – przetrząsają kuchenne szafki w świetle latarek i wpadających przez okno promieni niemal idealnie okrągłego księżyca, wydając na przemian okrzyki zachwytu i obrzydzenia. Justineau niepotrzebnie zaczyna sprawdzać daty ważności, które oczywiście upłynęły co najmniej dekadę temu, Parks jednak upiera się, że zgodnie z zasadą średniej arytmetycznej, zawartość przynajmniej niektórych puszek na pewno nadaje się do spożycia. To, co zdążyło się utlenić, będzie przecież śmierdziało, pozostaje więc próbować, póki im się nie poszczęści.

Mając w perspektywie kolację złożoną z miksu protein i węglowodanów typu trzeciego, Justineau uznaje, że ryzyko się opłaca. Sięga więc po znaleziony w szufladzie otwieracz i zabiera się do dzieła.

Nie licząc kilku przykrych niespodzianek, teoria Parksa się sprawdza. Po otwarciu trzydziestu, może czterdziestu puszek kończą z menu składającym się z wołowiny w sosie z młodymi ziemniaczkami, fasolki i purée z zielonego groszku. Sierżant podpala gaz za pomocą krzesiwa – najprawdziwszego krzesiwa, liczącego sobie zapewne setki lat, które wyciągnął z kieszeni podejrzanie zamasztyłym ruchem. Gallagher zabiera się do gotowania, podczas gdy Justineau wyciera kurz z talerzy i sztućców pod cienkim strumykiem wody z manierki.

Ani Melanie, ani doktor Caldwell nie biorą w tym udziału. Caldwell siedzi na krześle w dużej sali i z mozołem odwija bandażę, poprawia sobie opatrunki i zawija je z powrotem. Minę ma pełną zapiekłej furii i nie odpowiada na zaczepki. Można by pomyśleć, że się dąsa, ale zdaniem Justineau na jej twarzy odbija się proces myślowy w najczystszej formie.

Melanie tkwi w sąsiednim pomieszczeniu, które najwyraźniej było kiedyś czymś w rodzaju pokoju zabaw dla dzieci pacjentów lub odwiedzających. Odkąd się tu znaleźli, jest milcząca i wycofana. Nie sposób wydobyć z niej słowa. Parks zdecydowanie odmówił zdjęcia jej kajdanek, ale może przynajmniej oglądać obrazki na ścianach, siedząc na resztkę czerwonej poduchy. Jest przykuta do kaloryfera przytwierdzonym do kostki krótkim łańcuchem, który daje jej swobodę ruchu w promieniu około dwóch metrów.

Justineau przyniosła jej trochę jedzenia. Dziewczynka siedzi po turecku na poduszce. Jej błękitne oczy wpatrują się bacznie w plakat na ścianie

przedstawiający nornice, ryjówki, borsuki i innych mieszkańców brytyjskich zarośli. Justineau zauważyła na głowie małej jasnożółty meszek. Pierwsza oznaka, że włosy zaczynają odrastać. Kojarzy jej się to ze świeżo wyklutym kurczątkiem.

Melanie zabiera się do jedzenia. Justineau siada obok. Ponieważ Caldwell twierdziła, że głodni metabolizują tylko białko, oczyściła kawałki wołowiny z sosu i ułożyła je w miseczce.

Melanie wydaje się lekko przestraszona tym, że mięso jest gorące. Justineau dmucha na każdy kawałek przed podaniem go małej na widelcu przez kratkę kagańca. Melanie nie wygląda na zachwyconą, ale bardzo uprzejmie dziękuje nauczycielce za kolację.

– To był długi dzień – zagaja Justineau.

Melanie tylko kiwa głową.

Teraz, gdy sprawa posiłku została załatwiona, Justineau pokazuje dziewczynce, co jeszcze udało jej się znaleźć. W kilku pokojach natknęła się na poupychane w szafach i szufladach ubrania. Część z nich musiała kiedyś należeć do jakiejś dziewczynki – prawdopodobnie odrobinę młodszej od Melanie, ale o podobnych wymiarach.

Melanie bez słowa wpatruje się w przyniesioną jej odzież. Choć nadal sprawia wrażenie poważnej i wycofanej, ten widok wyraźnie ją fascynuje. Leżą przed nią różowe dżinsy z wyszytym na tylnej kieszonce jednoróżcem, jasnoniebieska koszulka z napisem: BORN TO DANCE, i różowa ramoneska z patkami na ramionach i całym mnóstwem kieszeni. Do tego białe majtki, skarpetki w tęczowe paski oraz tenisówki z błyszczącymi sznurowadłami.

– Podobają ci się? – pyta Justineau.

Melanie, nadal milcząca, ogląda te dziwne dary jeden po drugim.

– Tak – odpowiada w końcu. – Chyba tak. Ale... – waha się.

– Ale co?

– Nie wiem, jak to się wkłada.

Oczywiście. Melanie nigdy nie nosiła ubrań z guzikami czy suwakami. Dodatkowo na przeszkodzie stoją łańcuch i kajdanki.

– Pomogę ci – obiecuje Justineau. – Dziś już nic nie zrobimy, ale jutro rano, zanim ruszymy w drogę, poproszę sierżanta Parksa, żeby cię rozkuł na kilka minut. Pozbędziemy się tego swetrzyska i będziesz piękna jak ta lala.

– Dziękuję pani. – Dziewczynka spogląda na nią z powagą. – Ten drugi żołnierz też będzie musiał przy tym być.

Justineau przeżywa lekki wstrząs.

– Nie muszą patrzeć, jak się przebierasz – mówi. – Wyprosimy ich do sąsiedniego pokoju, co ty na to?

Melanie kręci głową.

– Nie.

– Nie?

– Potrzeba jednego, żeby mnie rozkuć, i drugiego, żeby trzymał mnie na muszce. Takie są zasady.

Rozmawiają jeszcze chwilę, osnuwając okropności minionego dnia delikatną, ostrożną nicią niedomówień. Melanie stwierdza w duchu, że to całkiem ciekawe, jak za pomocą słów można ukryć pewne rzeczy, starając się ich nie dotykać albo udając, że są czymś innym niż w rzeczywistości. Żałuje, że nie potrafi postąpić w ten sposób ze swoją wielką tajemnicą.

Panna Justineau wyraźnie usiłuje poprawić jej nastrój. Myśli chyba, że to śmierć tych wszystkich głodnych tak ją zasmuciła. Owszem, Melanie odrobinę ich żałuje. Ale wie już o świecie dostatecznie dużo, by zdawać sobie sprawę, że nie byli prawdziwymi ludźmi, nie byli nimi nawet przed tym, jak zginęli. Przypominali raczej opuszczone domy, w których nikt już nie mieszka.

Melanie chciałaby pocieszyć pannę Justineau – pokazać jej, że wcale nie jest jej ich aż tak żal. Nawet tamtego śpiewającego mężczyzny, choć jej zdaniem nie było powodu go zabijać. On sobie przecież tylko siedział na łóżku i w ogóle wyglądało na to, że nie mógłby wstać, nawet gdyby chciał. Jedyne, co był w stanie robić, to śpiewać i oglądać te swoje zdjęcia.

Ale kobieta z wózkiem na drodze też wydawała się niegroźna, do momentu kiedy doktor Caldwell krzyknęła. Wychodzi na to, że głodni bardzo szybko potrafią się zmieniać i że zbliżając się do nich, trzeba zawsze być bardzo ostrożnym.

– Będę się tobą opiekować – mówi tymczasem panna Justineau. – Wiesz o tym, prawda? Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził.

Melanie kiwa głową. Wie, że panna Justineau ją kocha i że robi co w jej mocy.

Ale czy to możliwe, by ktokolwiek zdołał ocalić Melanie przed nią samą?

– Spójrzcie, co znalazłem – mówi Gallagher, po tym jak Helen Justineau wróciła do stołu. Jej porcja zdążyła wystygnać, a reszta już prawie skończyła jeść, ale szeregowy uznał, że powinni tu być wszyscy, żeby to zobaczyć. Uważa, że jak na starszą babkę Helen Justineau całkiem seksownie się uśmiecha, i ma nadzieję, że kiedyś jeden z jej uśmiechów będzie przeznaczony dla niego.

Stawia na stole butelkę. Leżała na podłodze spiżarni przykryta stertą pleśniejących błękitnych ściereczek kuchennych i w ogóle by jej nie zauważył, gdyby nie brzęk i chlupot, które się rozległy, kiedy ją niechcący kopnął.

Szmatki rozsunęły się i błysnęła spomiędzy nich złota etykieta trzygwiazdkowej metaxy. Pełna, nieotwarta butelka. Na myśl o chlupoczącej wewnątrz truciznie w pierwszym odruchu aż go odrzuciło. Poprawił ściereczki i wyszedł.

Ale potem wrócił – raz, drugi, trzeci. Cały dzień z niepokojem rozmyślał o tym, co go czeka u kresu podróży. O powrocie do Beacon i ciasnego, zamkniętego świata, który niegdyś z taką radością porzucił. Czuł, że wpada z deszczu pod rynnę. „Być może – pomyślał – skrajne sytuacje wymagają skrajnych metod”.

Urywana rozmowa cichnie jak ucięta nożem i wszyscy wlepiają oczy w butelkę.

– O kurwa – mamrocze sierżant Parks. W jego tonie pobrzmiwa coś w rodzaju szacunku.

– Najlepsza, no nie? – Gallagher czuje, że się czerwieni.

– Nie. – Sierżant powoli kręci głową. – Najlepsza to nie, ale prawdziwa. Żadne tam szczynty. – Obraca butelkę w dłoniach, ogląda, a po chwili wacha zakrętkę. – Całkiem nieźle – kwituje. – Normalnie nie wstaję z łóżka, jeśli częstują mnie czymś gorszym niż francuski koniak, ale chrzanić to. Szeregowy, podajcie szklanki.

Gallagher spełnia rozkaz.

Nie udało mu się skłonić Justineau do uśmiechu. Jest prawie tak otępiała jak doktor Caldwell; jakby wszystkie potworności dzisiejszego dnia zabiły w niej zdolność do normalnych reakcji.

Jednak rozczarowanie ustępuje w obliczu czegoś o wiele lepszego niż jej uśmiech: sierżant nalewa mu jako pierwszemu.

– Jako sprawca dzisiejszej uczt – mówi, napelniwszy wszystkie szklanki – masz prawo do pierwszego toastu.

Pulsujące policzki Gallaghera robią się jeszcze gorętsze. Unosi szklankę.

– Dużo nas do jednej flachy, szczęście, że nie pijem z łachy! – recytuje. To jeden z tekstów ojca, którego ryk przedostawał się przez cienką podłogę, gdy mały

Kieran Gallagher kulił się pod kocem, nasłuchując dźwięków libacji.

Potem zaczynało się wyzywanie od pizd.

A potem bijatyka.

Toast spotyka się z uznaniem, rozlega się brzęk szklanek. Piją. W gardle Gallaghery rozlewa się pałaca słodycz. Robi, co może, by nie zwymiotować, i po chwili rozrywa go atak kaszlu. Z doktor Caldwell jest jeszcze gorzej. Przycisnęła dłoń do ust, kaszel narasta jej w gardle i nagle spomiędzy palców tryska chmura brandy.

Wszyscy wybuchają gromkim śmiechem, włącznie z panią doktor. Właściwie to ona śmieje się najdłużej. Ataki wesołości powracają raz po raz, by po chwili znów zginąć w spazmach kaszlu. Mogłoby się wydawać, że alkohol ma czarodziejską moc, ponieważ nagle atmosfera robi się swobodna, choć wypili zaledwie po łyku. Jednak Gallagher zbyt dobrze pamięta popijawy w rodzinnym domu, by wierzyć w takie czary.

– Pani kolej – zwraca się sierżant do Justineau, nalewając ponownie.

– Na toast? Cholera. – Justineau kręci głową, ale unosi wypełnioną po brzegi szklankę. – Pijmy, bo życie jest krótkie. Może być? – Wychyla trunek duszkiem.

Sierżant idzie w jej ślady. Gallagher i doktor Caldwell są ostrożniejsi.

– Mówi się: czas życia krótki, kropnijmy wódki – poprawia ją Gallagher. Zna te teksty jak Biblię.

Justineau ostawia szklankę.

– Faktycznie – przytakuje. – Czas przestać marzyć o gwiazdce z nieba, no nie?

Sierżant ponownie napełnia ich szklanki, dolewa też Gallagherowi i Caldwell.

– Pani doktor?

Caldwell wzrusza ramionami. Wyraźnie nie jest w biesiadnym nastroju.

Parks stuka swoją szklanką w trzy pozostałe, trzy razy z rzędu.

– Za wiatr, który wieje, okręt, który płynie, i pannę, która kocha się w żeglarzu.

– Zna pan jakichś żeglarzy? – pyta z przekąsem Justineau, po tym jak oboje opróżniają szklanki jednym haustem, a Gallagher bierze skromny łyżeczek. Zawartość butelki topnieje w oczach.

– Każdy mężczyzna to żeglarz – odpowiada Parks. – A każda kobieta to ocean.

– Gównno prawda.

Sierżant wzrusza ramionami.

– Może i tak, ale zdziwiłaby się pani, jak często to się sprawdza.

W kolejnej salwie śmiechu pobrzmiwa lekko histeryczna nuta. Gallagher wstaje. To nie dla niego, był głupi, że spróbował. Zaczyna sobie przypominać

o rzeczach, o których na co dzień udaje mu się nie myśleć. Nie ma ochoty spoglądać w oczy duchom przeszłości. Zna je zbyt dobrze.

– Sierżancie – mówi. – Zrobię jeszcze jedną rundkę, sprawdzę, czy wszystko w porządku

– To się chwali, synu – odpowiada Parks.

Kiedy wychodzi, nawet się za nim nie oglądają.

Wędruje po korytarzach, ale nie odkrywa niczego nowego. Mijając pokój z zastrzelonym głodnym, zakrywa dłonią nos i usta; smród jest nie do zniesienia.

Gdy dociera do podestu schodów, które sierżant wysadził w powietrze, robi się jeszcze gorzej. Wiszący w powietrzu odór jest jak oddech piekła. Wokół panuje cisza i bezruch. Gallagher podchodzi do krawędzi i spogląda w dół, w nieprzenikniętą ciemność. W końcu zbiera się na odwagę i sięga po latarkę.

W idealnie okrągłej plamie światła dostrzega zbitą grupę sześciu albo siedmiu głodnych. Drgają i chwieją się lekko w blasku latarki, są jednak zbyt ciasno stłoczeni, by ruszyć się z miejsca.

Gallagher przesuwa wiązkę światła to w przód, to w tył. Głodni wypełniają cały hol, ściśnięci jak sardynki. Ci, którzy niedawno ich gonili, ich znajomi i znajomi znajomych. Pod ślizgającym się snopem światła przez stłoczoną masę ciał przetacza się rytmiczna fala. Głodni raz po raz rozwierają i zwierają szczęki.

Przyciągnął ich huk wystrzałów. Hałas oznacza życie. Zebrali się tu i tu zostaną, póki nie trafi im się posiłek albo póki kolejny silny bodziec nie nakręci ich przeżartych grzybem mechanizmów.

Gallagher cofa się, owładnięty wstrętem i strachem. Nagle przeszła mu ochota na zabawę w nocnego stróża.

Wraca do dużej sali. Parks i Justineau nadal rozpracowują butelkę, a doktor Caldwell spi wyciągnięta na trzech zsuniętych krzesłach.

Przychodzi mu do głowy, by sprawdzić, co z małą. Albo przynajmniej się upewnić, czy łańcuch dobrze trzyma.

Zagląda do pokoju z zabawkami. Smarkula siedzi na poduszce, nieruchoma i milcząca, i gapi się w podłogę. Gallaghiera przechodzi dreszcz; przez chwilę wydaje mu się dokładnie taka sama jak potwory na dole.

Blokuje otwarte drzwi krzesłem. Niech go diabli, jeśli zostanie z tym czymś sam na sam w ciemnym pokoju. Podchodząc do niej, ciężko stawia stopy, żeby na pewno go usłyszała. Mała podnosi wzrok i Gallagher z ulgą stwierdza, że to nie ten bezwiedny ruch głodnych, których głowy przypominają radary obracające się w lewo i prawo, zanim skupią na tobie nieobecne spojrzenie. Popatrzyła na niego jak człowiek.

– Co tam masz? – pyta Gallagher.

Podłoga zaśmiecona jest książkami, pewnie patrzyła na jedną z nich. Zresztą ma skute ręce, więc raczej nic innego niż patrzenie jej nie pozostaje. Szeregowy

sięga po pierwszy z brzegu tytuł: Charles Kingsley, *Wodne dzieci*. Książka wygląda na bardzo starą, oprawiona w wyblakłą obwolutę i przedarta w rogu. Na obrazku stadko małych ślicznych elfów czy też wrózek unosi się nad dachami miasta. To miasto to pewnie Londyn, ale Gallagher nigdy Londynu nie widział, więc skąd może wiedzieć.

Smarkuła gapi się na niego bez słowa. Jej spojrzenie nie jest wrogie, ale bardzo intensywne. Jakby zastanawiała się, po co tu przyszedł, przygotowana na niemiłą niespodziankę.

Wie o nim tylko tyle, że jest jednym z tych, którzy przypinali ją do wózka i wozili między celą a klasą. Gallagher nie pamięta, żeby kiedykolwiek wcześniej się do niej odezwał. Nic dziwnego, że jego pierwsze pytanie brzmi odrobinę niezgrabnie i niepewnie. Sam do końca nie wie, czemu właściwie je zadał.

– Chcesz, żebym ci poczytał?

Chwila ciszy. I wciąż to poważne spojrzenie okrągłych oczu.

– Nie – odpowiada dzieciak.

– Aha. – Cały plan rozmowy diabli wzięli. Gallagher nie ma planu B. Odwraca się ku jasnemu prostokątowi wyjścia. Odsunął krzesło i już ma zamknąć za sobą drzwi, kiedy słyszy:

– Możesz poszukać czegoś na półkach?

Zawraca i z powrotem ustawia krzesło w progu.

– Słucham?

Cisza. Jakby pożałowała swoich słów i nie była pewna, czy chce je powtarzać. Gallagher cierpliwie czeka i wreszcie:

– Możesz poszukać czegoś na półkach? Panna Justineau dała mi w prezencie książkę, ale musiałam ją zostawić. Gdyby tu była...

– Tak?

– Gdyby tu była, to... mógłbyś mi ją poczytać.

Gallagher, który dotąd nie zauważył regału z książkami, podążywszy za wzrokiem dziewczynki, dostrzega go przy ścianie obok drzwi.

– Zgoda – mówi. – Jaki tytuł?

– *Opowieści muz* – w głosie smarkuli pobrzmiwa nuta podniecenia. – Napisał ją Roger Lancelyn Green. To mity greckie.

Gallagher podchodzi do regału, włącza latarkę i przesuwa snopem światła po półkach. W większości zapełniają je książeczki z obrazkami, o cienkich, spiętych zszywkami grzbietach, musi więc wyciągać każdą po kolei, żeby sprawdzić tytuł. Jest jednak również kilka prawdziwych książek i Gallagher sumiennie przypatruje się każdej z osobna.

Nie znajduje greckich mitów.

– Przykro mi – mówi. – Tu jej nie ma. Chcesz posłuchać czegoś innego?

– Nie.

– Jest tu *Listonosz Pat*. Kot i Pat, przyjaciele od lat. – Wyciąga książkę z regału i pokazuje ją małej.

Ona jednak spogląda tylko chłodno i odwraca wzrok.

Gallagher przysuwa sobie krzesło i siada w odległości, którą uznał za bezpieczną.

– Mam na imię Kieran – mówi. Odpowiada mu cisza. – Masz jakiś ulubiony mit?

Dziewczynka nie chce z nim rozmawiać. Nic dziwnego. Niby czemu miałyby chcieć?

– Poczytam ci to – oznajmia, sięgając po jedną z książek.

Ilustracje przypominają te z książeczki o Kocie Procie, dlatego ją wybrał. Jako dzieciak uwielbiał historię o nieznośnym kocurze, dzieciach i rybkach. Wyobrażał sobie, że podobna demolka odbywa się w jego własnym domu, a potem wszystko wraca na swoje miejsce zaledwie na sekundę przed wejściem taty. Ta myśl elektryzowała wyobraźnię siedmioletniego Gallaghera jak żadna inna.

– Posiedzę i ci poczytam – powtarza.

Mała wzrusza ramionami, jakby to była wyłącznie jego sprawa.

Gallagher otwiera książkę. Kartki są wilgotne, lekko sklejone, ale udaje mu się je rozdzielić, nie nadrywając papieru.

– „Gdym w dzień pewien wietrzny ulicą przemyskał, spotkałem młodzieńca w czerwonych trzewikach. Miał sprzączkę przy pasku, kapelusz z gipiury, jedwabną koszulę i spodnie ze skóry. I płaszał, jak gdyby oblażył go szczury”.

Dzieciak udaje, że nie słucha, ale Gallagher nie daje się nabrać. Widzi, jak przekrzywia głowę, żeby sięgnąć wzrokiem obrazków.

Parks rozlewa brandy. Justineau pije dalej, choć już wie, że to kiepski pomysł. Jutro rano będzie się fatalnie czuła.

Wachluje dłonią nieprzyjemnie rozgrzaną twarz. Alkohol zawsze wywoływał u niej taki efekt, nawet w zdrowotnych dawkach.

– Jezu – mówi. – Przydałoby się trochę powietrza.

Nie ma na to szans. Zabezpieczone blokadą okno można uchylić najwyżej na marne kilka centymetrów.

– Możemy wyjść na dach – proponuje Parks. – Na końcu korytarza jest wyjście przeciwpożarowe.

– Myśli pan, że na dachu jest bezpiecznie? – pyta Justineau.

Sierżant kiwa głową. Wiadomo – wszystko sprawdził. Można go kochać lub nienawidzić, ale to facet, który zbudował swoje jestestwo wokół świętego sakramentu solidnie wykonanej roboty. Miała tego dowód w bazie, kiedy jego refleks, który niemal dorównywał szybkością instynktownym reakcjom głodnych, ocalił ich przed śmiercią.

– W takim razie zgoda – mówi. – Obejrzyjmy sobie ten dach.

Na dachu jest całkiem przyjemnie. Jakies dziesięć stopni chłodniej niż w środku. Ich twarze owiewa rześki wiatr. No dobrze, z tą rzeźkością to może przesada, ponieważ w powietrzu unosi się fetor zgnilizny – jakby tuż obok, w ciemnościach, kryła się wielka góra zepsutego mięsa. Justineau przytyka szklanekę do ust jak maskę tlenową i odtąd wdycha własny, przepojony brandy oddech.

– Ma pan jakiś pomysł, co to może być? – pyta Parksa stłumionym, zniekształconym przez szklanekę głosem.

– Nie, ale tu smród jest silniejszy – odpowiada sierżant – więc proponuję, żebyśmy się przenieśli o, tam.

Prowadzi ją do południowo-wschodniego krańca budynku. Stają zwrócenii w stronę Londynu i odległego Beacon – domu, który porzucili, a teraz wracają do niego jak bumerang. W myśl zasady „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”, Justineau pogrąża się we wspomnieniach, choć wie, że w rzeczywistości Beacon to wstrętna dziura. Wielki obóz dla uchodźców, przypominający połączenie letnich kolonii z łagrem, w którym najprawdziwszy terror miesza się ze sztucznie podkręcanym optymizmem. W czasach gdy udało jej się stamtąd wyrwać, władze były na najlepszej drodze do wprowadzenia ustroju totalitarnego i Justineau ma średnią ochotę się przekonać, co się przez te trzy lata wydarzyło.

Tylko czy ma inne wyjście?

– Niezła aparatka z tej doktorki – zagaja Parks, przechylając się przez barierkę i wpatrując w ciemność.

W świetle księżycy panorama miasteczka przypomina czarno-biały drzeworyt, rycinę ze starej książki. Czerń przeważa, zmieniając ulice w przepastne koryta, w których zamiast wody płynie szumiące powietrze.

– Delikatnie mówiąc – odpowiada Justineau.

Sierżant parska śmiechem i unosi szklankę w żartobliwym, porozumiewawczym toaście.

– Jeśli mam być szczery – stwierdza – to cieszę się, że to już koniec. Koniec bazy i całej misji. To oczywiście okropne, że musimy uciekać, i modłę się, żebyśmy nie byli jedynymi, którym udało się zbiec. Ale cieszę się, że nie muszę już tego robić.

– Czego?

Parks wykonuje jakiś gest. W ciemności Justineau nie widzi dokładnie, co on oznacza.

– Pilnować domu wariatów. Żeby wszystko chodziło jak w zegarku, obwiązane sznurkiem i sklezione dobrymi intencjami. Chryste, to i tak cud, że tyle wytrzymałyśmy. Za mało ludzi, za mało zapasów, brak łączności, służbowej hierarchii, kurwa, też...

Nagle milknie. Justineau natychmiast wraca myślami do jego ostatnich słów, usiłując zorientować się, które z nich chciałby cofnąć.

– Od kiedy nie mieliśmy łączności? – pyta.

Parks nie odpowiada, więc pyta jeszcze raz.

– Ostatnia wiadomość z Beacon przyszła jakieś pięć miesięcy temu – przyznaje wreszcie Parks. – Od tamtego czasu nic.

– O kurwa! – Justineau jest głęboko poruszona. – A więc nie wiemy nawet, czy... O kurwa!

– Prawdopodobnie po prostu przenieśli wieżę – uspokaja ją Parks. – Nie musieliby jej nawet przenosić daleko. Nasze radia to kupa szmelcu. Nie zadziałają, póki się ich nie skieruje dokładnie w tę stronę, z której dochodzi sygnał. To jakby próbowała pani trafić piłką do kosza z jakichś stu kilometrów.

Milkną, pogrążeni każde we własnych myślach. Noc staje się jakby chłodniejsza i bardziej bezkresna.

– Mój Boże – mówi w końcu Justineau. – A jeżeli jesteśmy ostatni? Jeśli została tylko nasza czwórka?

– Nie jesteśmy ostatni.

– Nie wie pan tego.

– Owszem, wiem. Złomiarze mają się świetnie.

– Złomiarze... – powtarza cierpko Justineau.

Wcześniej wiele o nich słyszała, a teraz na dodatek zobaczyła ich na własne oczy. Ludzie, którzy chcieli przetrwać za wszelką cenę i zapomnieli, jak to jest po prostu żyć. Pasożyty i padlinożercy, na swój sposób niemal tak samo nieludscy jak

ophiocordyceps. Niczego nie budują, niczego nie starają się chronić. Po prostu utrzymują się przy życiu. A ich bezlitośnie patriarchalna hierarchia społeczna redukuje kobiety do roli hodowlanych zwierząt.

Jeżeli to ma być ostatnia nadzieja ludzkości, to chyba lepiej pograć się w rozpacz.

– Zawsze były ciężkie czasy – mówi Parks, odgadując jej myśli lepiej, niżby sobie życzyła. – Świat się wali, ludzie go odbudowują. Założę się, że w historii ludzkości nie było momentu, kiedy życie po prostu... płynęło spokojnie. Zawsze jest jakiś kryzys. Poza tym proszę nie zapominać o reszcie świata. Beacon nawiązało łączność z tymi, którzy przeżyli we Francji, w Hiszpanii, w Ameryce, w przeróżnych miejscach na ziemi. Najbardziej ucierpiały miasta, gdzie stłoczonych było mnóstwo ludzi, a razem z miastami padła infrastruktura. Ale w mniej rozwiniętych okolicach epidemia nie rozprzestrzeniła się tak szybko. Możliwe, że istnieją zakątki, do których w ogóle nie dotarła.

Parks napełnia jej szklankę.

– Chciałem panią o coś zapytać.

– Słucham.

– Wczoraj powiedziała pani, że zamierza wziąć dzieciaka i pójść w swoją stronę.

– No i?

– A tak przy okazji, to było na serio? Nie o to chciałem zapytać, ale naprawdę była pani gotowa odłączyć się od nas i sama dojść do Beacon?

– Kiedy to mówiłam, mówiłam serio.

– Ta... – Parks upija brandy. – Tak myślałem. W każdym razie, zanim wsadziła pani Gallagherowi lufę w nos, nazwała nas pani nakręcanymi żołnierzami. O co chodziło?

Justineau wygląda na zakłopotaną.

– To w zasadzie obelga – mówi.

– Zdziwiłbym się, gdyby to był całus w policzek. Po prostu jestem ciekawy. Chodziło o to, że nie mamy serca czy coś w tym rodzaju?

– Nie. Chodziło mi o pewne wrodzone zachowania. Coś, z czym człowiek się rodzi i czego nie może zmienić. Albo coś, co tak mocno wbite mu do mózgu, że nawet się nad tym nie zastanawia. Reaguje automatycznie.

Sierżant parska śmiechem.

– Całkiem jak głodni – rzuca.

Justineau przeżywa lekki wstrząs, ale nie daje się zbić z tropu.

– Owszem – przyznaje.

– Pani to umie człowieka zrugać – komplementuje ją Parks. – Serio. To było coś. – Znowu napełnia jej szklankę.

I obejmuje ją ramieniem.

Justineau szybko się odsuwa.

– Co to miało znaczyć? – pyta twardo.

– Zdawało mi się, że jest pani zimno – odpowiada Parks, zaskoczony. –
Trzęsła się pani. Przepraszam. Nie miałem nic złego na myśli.

Przez dłuższy czas Justineau po prostu wpatruje się w niego w absolutnej
ciszy.

Potem się odzywa. Tylko jedna rzecz przychodzi jej do głowy.

Wypluwa to z siebie tak, jak chciałaby wypluć – choć to niemożliwe –
alkohol, tamto wspomnienie i ostatnie trzy lata swojego życia

– Zabił pan kiedyś dziecko?

To pytanie trafia Parksa między oczy.

Do tej pory był spokojny i odprężony. Brandy wsiąkło w niego, tłumiąc ból poharatanych odłamkami nóg i dolnej części pleców. I pomyślał sobie, że oni dwoje całkiem nieźle się dogadują. Ale nie. Pani nauczycielka już go sobie zdefiniowała w swojej osobistej encyklopedii. „Parks, sierżant. Zob. kreatura, krwiopijca”. Miałyby na to kilka odpowiedzi, a większość z nich łączyłaby się z przypomnieniem jej o tym, jak to się stało, że przeżyła ostatnie trzy lata, nie skończywszy jako czyjeś śniadanie. I o tym, skąd pochodził jej komputer i inne gadżety oraz gadżeciki, które służyły jej w pracy. I jak to możliwe, że Beacon wciąż stoi, o ile stoi, i czeka, aż do niego wróci.

Trudno. Miał nadzieję na inny rozwój wydarzeń, ale nic mu nie przyjdzie z uświadamiania tej bardzo atrakcyjnej kobiecie, że jest hipokrytką, i to znacznie głupszą, niż przypuszczał. Utrudniłoby to im tylko życie.

Spisawszy wieczór na straty, rusza w stronę wyjścia.

– Zostawię panią samą z tym pięknym widokiem – rzuca przez ramię.

– Miałam na myśli czasy przed Załamaniem – mówi Justineau do jego pleców. – To nie jest podchwytliwe pytanie.

Parks zatrzymuje się i odwraca.

– Za kogo mnie pani, do cholery, ma?

– Nie wiem. Proszę odpowiedzieć. Zabił pan?

Nie musi się zastanawiać. Zna swoje zasady i w przeciwieństwie do wielu innych ludzi nie ma zwyczaju ich naginać.

– Nie. Zabijałem głodnych, nawet bardzo młodych, pięcio-, sześcioletnich. Człowiek nie ma wyboru, kiedy próbują go pożreć żywcem. Ale nigdy nie zabiłem prawdziwego, żywego dziecka.

– A ja tak.

Teraz to ona odwraca się tyłem. Opowiada, nie patrząc mu w oczy, choć cień rzucany przez słup pobliskiego komina i tak mocno utrudnia kontakt wzrokowy. W konfesjonale nigdy nie widać twarzy spowiednika. Parks mógłby się założyć, że nie urodził się jeszcze ksiądz z taką gębą jak jego.

– Jechałam samochodem do domu. Z przyjęcia. Tego wieczoru piłam, ale niezbyt wiele. I byłam zmęczona. Przez kilka tygodni siedziałam nad publikacją, późno się kładłam i wcześniej wstawałam. To nie ma znaczenia. Po prostu... no wie pan, potem człowiek próbuje sobie to jakoś tłumaczyć. Szuka przyczyn.

Helen Justineau mówi płaskim, monotonnym głosem. Parks przypomina sobie raport Gallaghery, z jego „dnem dzisiejszym” i „przechodzeniem do czynności zgodnie z zaleceniami”. Ale spuszczone głowa i mocno zaciśnięte na barierce dłonie mówią same za siebie.

– Jechałam drogą. To było w Hertfordshire, między South Mimms a Potters Bar. Od czasu do czasu kilka domów, ale głównie kilometry żywopłotów, jakiś wiejski pub i znowu żywopłoty. Nie spodziewałam się... To znaczy było późno. Dobrze po północy. Nie sądziłam, że ktokolwiek może być poza domem, nie mówiąc o... Ktoś wybiegł na drogę tuż przede mną. Pewnie przedostał się przez dziurę w żywopłocie. To chyba jedyne wyjaśnienie. Po prostu nagle wyrósł mi tuż przed maską. Nacisnęłam hamulec, ale było za późno, on już leżał pod kołami. Hamowanie nie zrobiło najmniejszej różnicy, jechałam pewnie z osiemdziesiąt na godzinę, a on... odbił się od maski jak piłka. Zatrzymałam się prawie sto metrów dalej. Wsiadłam i podbiegłam do niego. Miałam oczywiście nadzieję... Ale on już nie żył, nie było co do tego wątpliwości. Chłopiec. Mógł mieć z osiem lat, może dziewięć. Zabiłam dziecko. Kompletnie potrzaskałam mu kości, ręce i nogi miał powyginane w dziwne strony. Chyba bardzo długo tam siedziałam. Trzęsłam się, płakałam i nie mogłam... nie mogłam się podnieść. Tak mi się zdaje, że to długo trwało. Chciałam uciec, ale nie byłam w stanie się poruszyć.

Spogląda na sierżanta, ale wyraz jej twarzy ginie w mroku. Widać tylko wygiętą linię ust. Ta linia przypomina mu jego bliźnię

– W końcu się ruszyłam – ciągnie Justineau. – Ruszyłam się. Wstałam i odjechałam. Zamknęłam samochód w garażu i poszłam do łóżka. Parks. Ja zasnęłam. Może pan w to uwierzyć? Miotalam się, nie wiedziałam, co mam z tym zrobić. Gdybym się przyznała, pewnie poszłabym siedzieć i to byłby koniec mojej kariery. A jemu by to nie wróciło życia, więc niby po co miałabym to robić? Oczywiście dobrze wiedziałam po co i w ciągu kilku następnych dni z sześć czy siedem razy sięgałam po telefon, ale nie wystukałam numeru. A potem świat się skończył, więc już nie musiałam. Udało mi się. Uszło mi na sucho.

Parks odzywa się dopiero po dłuższej chwili, gdy jest całkowicie pewien, że monolog Justineau dobiegł końca. Prawdę mówiąc, przez większość czasu usiłował wydedukować, o co jej właściwie chodzi. Może jego nadzieje co do tego wieczoru wcale nie były płonne i Justineau, piorąc swoje stare brudy, chce po prostu oczyścić atmosferę, zanim zaczną uprawiać seks. Nie, raczej nie, chociaż nigdy nie wiadomo. Tak czy inaczej naturalną reakcją na spowiedź jest rozgrzeszenie, chyba że grzech jest niewybaczalny. Parks go za taki nie uważa.

– To był wypadek – tłumaczy jej to, co oczywiste. – Pewnie w końcu zrobiłaby pani, co należy. Nie wygląda mi pani na typ osoby, po której każde gówno spływa jak po kaczce. – Naprawdę tak sądzi. Jedną z rzeczy, które mu się w Justineau podobają, jest jej powaga. To, że tak samo jak on nienawidzi frywolnych, bezmyślnych ludzi, którzy pływają po ziemi, nigdy nie spoglądając pod nogi.

– Nic nie rozumiesz – odpowiada Justineau, nagle przechodząc na „ty”. – Jak myślisz, po co ci to wszystko opowiadam?

– Nie wiem – przyznaje Parks. – Po co?

Justineau odchodzi od barierki i zbliża się bojowym krokiem. Odległość od celu: zero metrów. Można by to odebrać jako zaproszenie do łóżka, ale nim nie jest.

– Zabiłam tego chłopca, Parks. Gdybyś zapisał moje życie za pomocą równania, wynik wynosiłby minus jeden. Tyle jest warte, rozumiesz? A ty... Ty i Caldwell, i pierdolony Rudy Rydz... Boże, nie wiem, czy to coś znaczy, czy nie, ale prędzej umrę tak, jak stoję, niż pozwolę, żeby przez was z minus jeden zrobiło się minus dwa.

Te ostatnie słowa wypowiada mu prosto w twarz. Opluwa go kropelkami śliny. Jest tak blisko, że Parks dostrzega w ciemności jej oczy. Czai się w nich jakieś szaleństwo. Jakiś głęboki strach. Sierżant ma całkowitą pewność, że to nie jego się boi.

Justineau zostawia go z butelką. Liczył na coś innego, ale to całkiem niezła nagroda pocieszenia.

Caroline Caldwell czeka, aż sierżant i Justineau wyjdą z pokoju. Kiedy znikają, natychmiast wstaje i idzie do kuchni.

Już wcześniej przyuważyła spiętrzone w ostatniej szafce plastikowe pojemniki, wciśnięte jeden w drugi tak, że tworzyły stromą piramidkę. Nikt inny nie zwrócił na nie uwagi, ponieważ były puste. Ale Caldwell odnotowała ich obecność z iskierką zadowolenia. Raz na jakiś czas, nawet teraz, wszechświat daje ci dokładnie to, czego potrzebujesz.

Caldwell bierze sześć najmniejszych pudełek i sześć łyżeczek i wrzuca je do kieszeni fartucha. Przynosi sobie również latarkę, ale włącza ją dopiero po zamknięciu drzwi.

Oddycha płytko. Woń ludzkich szczątków i wieloletni smród rozkładu ciąży w powietrzu tak mocno, że wydają się niemal namacalne.

Za pomocą łyżeczek pobiera próbki tkanki od zastrzelonego przez sierżanta głodnego. Interesuje ją tylko tkanka mózgowa, ale więcej próbek zwiększa szansę na tę jedną, która nie będzie zanadto zanieczyszczona przez zasiedlające skórę i ubranie oraz unoszące się w powietrzu mikroorganizmy.

Zamyka szczelnie wszystkie pudełka i chowa je w kieszeniach fartucha. Wyrzuca brudne łyżeczki, które już na nic jej się nie przydadzą.

Pracując, myśli: „trzeba było to zrobić lata temu”. Ludzie tacy jak sierżant mają swoje zastosowanie. W pojedynkę nigdy by nie zdołała dostarczyć do bazy odpowiedniej liczby obiektów doświadczalnych. Ale gdyby wychodziła w teren razem z traperami, jako członek ich drużyny, nie musiałyby polegać na ich niedokładnych obserwacjach i zawodnej pamięci.

I nie zmarnowałyby tyle czasu na badanie ślepych zaułków.

Wiedziałyby na przykład, że choć większość głodnych funkcjonuje tylko w dwóch stanach – spoczynku i polowania – to istnieje również stan trzeci, przypominający zdegradowaną wersję zwykłej świadomości. Polega na interakcji ze światem zewnętrznym, częściowej i sporadycznej, która stanowi niejako echo ich zachowań sprzed zarażenia.

Kobieta z wózkiem. Śpiewający mężczyzna z portfelem pełnym zdjęć. Błahe przykłady, a jednak reprezentują coś ogromnie ważnego. Caldwell jest pewna, że znalazła się bardzo blisko bezprecedensowego przełomu. Nie może zbadać próbek, póki nie dotrą do Beacon i nie uzyska dostępu do mikroskopu, ale w jej umyśle już formuje się pomysł na to, czego powinna szukać. Powoli dostrzega kształt, który przybiorą jej badania, gdy zyska dostęp do laboratorium, w którym znajdzie się wszystko, czego jej potrzeba.

Włącznie z obiektem numer jeden.

Melanie.

Justineau budzi się gwałtownie. Czyjaś ręka szarpie ją za ramię. W pierwszym odruchu panikuje, przekonana, że ma do czynienia z napastnikiem, ale właścicielem ręki okazuje się Parks. Zresztą nie tylko jej zafundowano brutalną pobudkę. Sierżant potrząsa wszystkimi po kolei, pokrzykując, by ruszyli dupy i podeszli do okna. Wschodzące słońce oświetliło dość paskudny i przygnębiający stan rzeczy, a oni muszą to zobaczyć.

Głodni, którzy ich wczoraj ścigali, nie rozproszyli się. Stoją wzdłuż otaczającego Wainwright House płotu, stłoczeni w podwójnym, miejscami potrójnym szpalerze, znieruchomieli tam, gdzie ich ciała zderzyły się z barierą.

Hol na dole pełen jest tych, których płot nie zatrzymał. Z resztki podestu u szczytu schodów widać tłum wygłodzonych, ziejących czarnymi otworami paszcz potworów, przypominających widownię wyprzedanego do ostatniego miejsca widowiska.

Połączonego ze śniadaniem.

Zesztywniali z przerażenia, wszyscy czworo usiłują obmyślić wyjście z sytuacji. Strzelanina nic tu nie da. Prawdopodobnie zmarnowaliby całą amunicję, w najmniejszym stopniu nie naruszając zastępów wroga.

Poza tym to właśnie hałas wpakował ich w to bagno; jeśli narobią go więcej, mogą zwabić kolejnych głodnych.

Justineau zaczyna się zastanawiać, czy nie dałoby się tego wykorzystać.

– A gdybyś rzucił kilka granatów – zwraca się do Parksa – powiedzmy, ze szczytu dachu? Głodni ruszą w stronę, z którego dochodzi dźwięk, prawda? Moglibyśmy ich stąd odciągnąć, przeskoczyć przez płot i zwać w przeciwnym kierunku.

Parks rozkłada puste ręce.

– Nie mam granatów – mówi. – Te, które miałem, zużyłem zeszłego wieczoru.

Gallagher otwiera usta, zamyka je i znów otwiera.

– Może koktajle Mołotowa? – mówi wreszcie. – W kuchni są butelki z olejem.

– Nie sądzę, żeby brzęk tłuczonego szkła wystarczył, żeby zwrócić ich uwagę – zauważa cierpko doktor Caldwell.

– Może wystarczyć – myśli na głos Parks, choć nie wygląda na przekonanego. – A nawet jeśli nie, moglibyśmy podpalić tych skurwieli i w ten sposób oczyścić sobie drogę.

– Nie tych na dole – protestuje Caldwell. – Nie zachwyca mnie perspektywa bycia uwięzioną w płonącym budynku.

– Poza tym zrobiłoby się mnóstwo dymu – dodaje Justineau. – To byłby

wysmienity sygnał dla złomiarzy, o ile wciąż nas szukają.

– To może puste butelki? – proponuje Gallagher. – Bez oleju. Spróbujmy ich odciągnąć samym hałasem.

Parks wygląda przez okno. Nie musi nawet nic mówić. Odległość między budynkiem a biegnącym za płotem chodnikiem wynosi jakieś trzydzieści metrów. Żeby rzucić butelkę tak daleko, potrzeba sporego wysiłku, a do tego szczęścia oraz pomyślnych wiatrów. Jeśli butelki spadną za blisko, skłonią tylko głodnych do sforsowania bramy.

To samo oczywiście tyczy się granatów. Prawdopodobnie uczyniłyby więcej szkody niż pożytku.

Wszyscy czworo przerzucają się myślami, ale żadne nie jest w stanie zaproponować łatwej ani oczywistej drogi ucieczki. Pozwolili się zapędzić w kosi róg drapieżnikom, które nigdy się nie męczą ani nie tracą zainteresowania. Nie sposób ich przeczekać, a wszystkie inne rozwiązania wyglądają marnie.

Justineau idzie sprawdzić, co z Melanie. Dziewczynka już jest na nogach i wygląda przez okno, ale odwraca się na dźwięk kroków. Prawdopodobnie słyszała ich rozmowę. Justineau stara się ją pocieszyć:

– Coś wymyślimy – mówi. – Musi być jakieś wyjście.

Melanie spokojnie kiwa głową.

– Wiem – odpowiada.

Parkowski pomysł się nie podoba, co Justineau specjalnie nie dziwi. Caldwell wydaje się jeszcze mniej zadowolona.

Chyba tylko Gallagher go pochwała, ogranicza się jednak do skinienia głową. Wyraźnie nie ma ochoty bezpośrednio sprzeciwić się swojemu dowódcy.

Siedzą w dużym pokoju na czterech ustawionych w okrąg krzesłach. Dzięki temu sprawiają wrażenie, jakby naprawdę z sobą rozmawiali, choć Caldwell buja gdzieś we własnym świecie, Gallagher boi się odezwać bez pozwolenia, a Parks nie słucha nikogo z wyjątkiem samego siebie.

– Nie podoba mi się pomysł, żeby ją spuścić ze smyczy – powtarza po raz trzeci.

– Niby czemu nie? – upiera się Justineau. – Dwa dni temu nie miałeś problemu z tym, żeby ją wypuścić na wolność. Smycz i kajdanki służą tylko do tego, żeby mogła z nami bezpiecznie podróżować. To był twój kompromis. Zatem przyjmując twoje myślenie, nie mamy nic do stracenia. Nic. Jeśli Melanie zrobi to, co obiecała, wydostaniemy się z tego syfu. Jeśli ucieknie, nasze położenie w żaden sposób się nie pogorszy.

Caldwell puszcza tę przemowę mimo uszu i zwraca się bezpośrednio do sierżanta:

– Melanie należy do mnie. Do mojego programu. Jeśli ją stracimy, to będzie pańska wina.

Nie powinna była tego mówić. Parks chyba nie lubi grózb.

– Spędziłem cztery lata w służbie pani programu – przypomina jej. – Dziś wzięłem sobie wolne.

Caldwell próbuje jeszcze coś powiedzieć, ale Parks nie słucha. Zwraca się do Justineau:

– Czy jeśli ją puścimy, wróci?

– Chciałabym to wiedzieć – odpowiada Justineau. – Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Ale skoro ona twierdzi, że tak, to ja jej wierzę. W końcu jesteśmy wszystkim, co jej zostało.

„Poza tym się we mnie zadurzyła, a miłość jest ślepa. I bardzo dobrze”.

– Chcę z nią pogadać – żąda Parks. – Niech ją pani przyprowadzi.

Choć wciąż na smyczy, w kajdankach i kagańcu, Melanie stawia mu czoła pełna godności, niczym wódz dzikiego plemienia, i Justineau uświadamia sobie nagle, jak bardzo dziewczynka się zmieniła. Rzucona w świat, przeszła przyspieszony kurs życia i nabrała w tym jakiejś niebezpiecznej, niewyobrażalnej prędkości. Justineau przypomina sobie stary obraz Williama Fredericka Yeamesa pod tytułem *Kiedy ostatnio widziałeś swego ojca*. Postawa Melanie jest dokładnie taka sama jak chłopca na obrazie. Tyle że w wypadku Melanie zawarte w tytule obrazu pytanie jest całkowicie pozbawione znaczenia.

– Naprawdę jesteś gotowa to zrobić? – pyta ją Parks. – To, o czym mówiłaś panie Justineau. Myślisz, że dasz radę?

– Tak – odpowiada Melanie.

– To by oznaczało, że muszę ci zaufać. Rozkuć cię tutaj, w tym pokoju. – Trzyma coś w prawej dłoni, potrząsa tym jak kostką przed rzutem. Rozchyła palce: to kluczyk do kajdanek.

– Nie ma pan racji, sierżancie – mówi Melanie.

– Nie?

– Nie. Musi mnie pan rozkuć, ale nie musi mi ufać. Najpierw nasmaruje się pan tym waszym mazidłem, żebym na pewno pana nie wyczuła. Potem każe pan Kieranowi odpiąć kajdanki, a sam będzie mnie trzymał na muszce. I nie musi mi pan ściągać tej kraty z twarzy. Wystarczy, że będę mogła poruszać rękami.

Parks wpatruje się w nią przez chwilę, jakby była jakimś napisem w niezrozumiałym języku.

– Wszystko przemyślałaś – stwierdza.

– Tak.

Nachyla się i spogląda jej w oczy.

– I nie boisz się?

Melanie się waha.

– Czego? – pyta.

Ta chwila zastanowienia wprawia Justineau w zdumienie. Dziewczynka

mogłaby z łatwością odpowiedzieć po prostu „tak” lub „nie”. Dodatkowe pytanie oznacza, że ma skrupuły i waży słowa. Że próbuje być z sierżantem szczerą.

Czy któreś z nich zrobiło kiedyś cokolwiek, żeby na to zasłużyć?

– Głodnych – odpowiada Parks takim tonem, jakby to było absolutnie oczywiste.

Melanie kręci głową.

– Dlaczego nie?

– Nic mi nie robią.

– Nie? A to czemu?

– Dosyć – wtrąca się Justineau, ale to nie powstrzymuje Melanie. Odpowiada powoli. Z namysłem. Jakby słowa były kamieniami, z których próbuje zbudować mur.

– Głodni nie gryzą się nawzajem.

– To co?

– Jestem taka sama jak oni. Prawie. Mój zapach nie robi na nich wrażenia.

Parks kiwa głową. Przesłuchanie doprowadziło go do celu. Chciał się dowiedzieć, ile Melanie zdążyła się domyślić. Jak bardzo jest świadoma rzeczywistego stanu rzeczy. Teraz pozostały tylko szczegóły techniczne.

– To w końcu jesteś taka sama czy prawie taka sama?

Z twarzy Melanie trudno cokolwiek wyczytać, ale przez ulotną chwilę przebiega po niej jakaś silna emocja.

– Jestem inna, bo ja nie chcę nikogo zjeść.

– Nie? To co to było to czerwone, to, czym byłaś umazana, kiedy dwa dni temu wskoczyłaś nam do auta? Bo jak dla mnie to wyglądało na krew.

– Czasem muszę kogoś zjeść. Ale nigdy nie chcę.

– To twoje wytłumaczenie, mała? Że niektórzy mają gówniane szczęście?

Kolejna pauza. Tym razem dłuższa.

– Nie pan.

– Racja – przyznaje Parks. – Ale wciąż mi się wydaje, że dzielimy tu włos na czworo. Zaproponowałaś, że nam pomożesz z tymi potworami na dole. Tymczasem, logicznie rzecz biorąc, powinnaś być tam z nimi i czekać z zadartą głową, aż ktoś zadzwoni na obiad. Więc zgadnij, o co chcę cię zapytać. Czemu miałabyś do nas wrócić i czemu miałbym uwierzyć, że wrócisz?

Po raz pierwszy Melanie nie udaje się ukryć zniecierpliwienia.

– Wrócę, bo chcę. Bo jestem po waszej stronie. Zresztą nawet gdybym chciała być z nimi, nie mogłabym. Oni... – Szuka właściwego określenia, które wyraźnie jej się wymyka. – Ich nic ze sobą nie łączy. Każdy z nich jest osobno. Zawsze.

Nikt nie odpowiada, ale Parks wygląda na zadowolonego. Jakby Melanie odkryła jakieś tajemne hasło. Jakby właśnie została członkiem klubu. Klubu

otoczonych przez potwory nieszczęśników.

– Jestem po waszej stronie – powtarza Melanie. A potem dodaje, choć właściwie nie musi: – Nie, nie po waszej. Po pani stronie, panno Justineau.

O dziwo, to również zdaje się sierżanta satysfakcjonować. Wstaje, roztaczając wokół aury stanowczości.

– Wiem o tym – mówi. – Dobra, mała. Zaufamy ci. Idziemy.

Melanie nie rusza się z miejsca.

– Co jest? – pyta sierżant. – Jeszcze czegoś ci potrzeba?

– Tak – odpowiada Melanie. – Chciałabym włożyć swoje nowe ubrania.

Prowadzą ją na szczyt schodów. A raczej tam, gdzie ów szczyt się znajdował, zanim sierżant Parks wysadził stopnie w powietrze. Melanie wychyla się przez krawędź.

Na dole jest mnóstwo głodnych. Może setka albo i więcej, stłoczonych w zwartą masę wypełniającą cały hol. Kiedy dostrzegają dwóch mężczyzn i dwie kobiety, którzy ukazali się na skraju podestu, ich głowy obracają się równą falą jak podążające za słońcem tarcze kwiatów.

Sierżant Parks podchodzi, żeby zdjąć jej kajdanki. Nie wyciąga broni, ale nakazuje jej się odwrócić i zabrania choćby drgnąć. Melanie czuje, jak metalowe obręcze spadają z jej nadgarstków, ma ochotę poruszyć palcami, żeby sprawdzić, czy nadal może, ale tego nie robi.

Sierżant Parks odpina również smycz, a Melanie odwraca się do panny Justineau, która czeka obok z naręczem ubrań.

To nieprzyjemne uczucie, kiedy zdejmują jej przez głowę sweter – sweter panny Justineau, który miała na sobie cały czas. Nieprzyjemnie jest znów być przez chwilę nagą. To nie spojrzenia dorosłych jej przeszkadzają, lecz zimny powiew powietrza na skórze. Czuje się odsłonięta, bezbronna.

Ale to mija, kiedy panna Justineau ubiera ją w nowy, piękny strój. Melanie bardzo się podobają dzinsy i koszulka – i kurtka, która przypomina trochę kurtkę sierżanta Parksa. Tylko tenisówki jakoś jej nie pasują. Nigdy wcześniej nie nosiła butów i utrata strumienia informacji odbieranych z podłoża przez bose stopy jest niepokojąca. Możliwe, że długo nie ponosi tych tenisówek. Choć z drugiej strony są przecież takie piękne!

– Jesteście gotowe? – pyta Parks.

– Wspaniale wyglądasz, Melanie – mówi panna Justineau.

Dziewczynka przytakuje z wdzięcznością. Wie, że to prawda.

Ale panna Justineau ma jeszcze coś w zanadrzu. Podaje Melanie jakiś maleńki przedmiot z szarego plastiku. Prostokątny, z okrągłym guzikiem. Wokół krawędzi guzika widnieją słowa: BEZPIECZEŃSTWO I OSTROŻNOŚĆ. A pod spodem: UWAGA! 150 DECYBELI.

– Przyda ci się, kiedy przyjdzie ten moment, że będziesz musiała narobić hałasu – tłumaczy.

– Co to? – pyta Melanie. Usiłuje zachowywać się swobodnie, jakby prezent od panny Justineau to nie było nic wielkiego.

– Alarm osobisty. Kiedyś, dawno temu, ludzie nosili je przy sobie na wypadek napadu.

– Bali się głodnych?

– Nie, innych ludzi. To wydaje z siebie taki dźwięk jak wieczorna syrena

w bazie, tylko dużo, dużo głośniejszy. Na tyle, żeby ten, kto go usłyszy, wpadł w panikę i rzucił się do ucieczki. Z tym że głodni nie będą uciekać, oni pobiegną za tym dźwiękiem. Jest bardzo stary, więc może nie zadziałać, ale nigdy nie wiadomo.

Melanie waha się przez chwilę.

– Niech go pani zatrzyma – mówi. – Na wypadek, gdyby ktoś chciał panią napaść.

Panna Justineau zamyka palce Melanie na alarmie, wciąż ogrzanym ciepłem jej ciała po tym, jak wyciągnęła go z kieszeni. To mały kawałek panny Justineau, który Melanie może zabrać ze sobą w świat. Choć ciężar niedawnego odkrycia nadal ją przytłacza, to kiedy wsuwa alarm do kieszeni swoich nowych dzinsów z jednorożcem, jej serce przepęlnia radość.

– Gotowe – zwraca się do sierżanta.

Jego mina mówi: najwyższy czas. Zawiązuje jej smycz wokół pasa, używając specjalnego węzła.

– Kiedy już będziesz na ziemi – poucza ją – pociągniesz za ten koniec i lina się rozwiąże.

– Dobrze – odpowiada Melanie.

– Nie ściągnę ci kagańca. Ale masz wolne ręce, więc z łatwością możesz zdjąć go sobie sama. Mądry z ciebie dzieciak, założę się, że już dawno o tym pomyślałaś.

Melanie wzrusza ramionami. Oczywiście, że pomyślała, i nie ma sensu po raz kolejny tłumaczyć mu, dlaczego nie ma zamiaru tego robić.

– Przypominam ci tylko – ciągnie sierżant – że jeśli chcesz z nami zostać, musisz go dalej nosić. Albo przynajmniej włożyć z powrotem, kiedy wrócisz. Mam tylko jedną sztukę, a twoje zęby są dla mnie jak naładowana broń. Więc go pilnuj, bo bez niego nie masz u nas czego szukać. Jasne?

– Jasne.

– W porządku. Gallagher, pomóż mi.

Mężczyźni stają u szczytu nieistniejących schodów, gotowi opuścić linę, ale w ostatnim momencie panna Justineau klęka przed Melanie i rozkłada ramiona.

Melanie poddaje się uściskowi, drżąc z rozkoszy w ciepłych objęciach nauczycielki. Jednak już po ułamku chwili cofa się. Spod goryczy chemikaliów przebija lekki ślad ludzkiego zapachu, zapachu panny Justineau. Wystarczy, by zmienić czystą przyjemność wynikającą z bliskości w coś zupełnie innego; coś, co w każdej chwili może jej się wymknąć spod kontroli.

– To niebezpieczne – mruczy Melanie. – Niebezpieczne.

– E-bloker – tłumaczy niepotrzebnie sierżant Parks. – Musisz się nasmarować.

– Przepraszam – szepcze panna Justineau. Nie do sierżanta. Do Melanie.

Melanie kiwa głową. Przez chwilę się bała, ale już jest dobrze. Zapach jest

ledwo wyczuwalny i teraz, kiedy odpłynął, odzyskała kontrolę nad głodem.

Sierżant Parks każe jej usiąść na najwyższym stopniu i skoczyć. Wraz z Kieranem opuszczają ją prosto w oczekującą masę głodnych.

Którzy nie reagują. Część z nich śledzi jej ruch, ale sierżant Parks pilnuje, by opuszczać linę stopniowo i bardzo powoli, żeby ich zbyt nie pobudzić. Ich wzrok albo prześlizguje się po niej, albo przenika ją na wylot, zupełnie jakby nie istniała.

Postawiwszy stopy na ziemi, Melanie jednym pociągnięciem rozwiązuje linę, którą sierżant Parks w równie żółtym tempie wciąga z powrotem na górę.

Melanie unosi głowę. Z góry spoglądają na nią sierżant i panna Justineau. Nauczycielka wyciąga dłoń w geście pozdrowienia, powoli prostując i zginając palce. Melanie robi to samo.

Bardzo ostrożnie przeciska się przez tłum głodnych, niezauważona i nienagabywana.

Kłamała, kiedy mówiła, że się nie boi. Być tu, wśród nich, patrzeć na ich zwieszane głowy, półotwarte usta i poszarzałe białka oczu – to naprawdę okropne. Wczoraj pomyślała, że głodni są jak opustoszałe domy. Teraz uświadamia sobie, że każdy z tych domów jest nawiedzony. To nie głodni ją otaczają, lecz duchy mężczyzn i kobiet, którymi kiedyś byli. Ogarnia ją przemożne pragnienie, by jak najszybciej wydostać się na powietrze.

Zbliża się do wyjścia, torując sobie drogę wśród stłoczonych ciał. Niestety, drzwi okazują się zaporą nie do pokonania. Zbyt wielu głodnych wcisnęło się w wąską przestrzeń pomiędzy framugami i Melanie nie starczy sił, by przecisnąć się przez tę zwartą masę. Na szczęście szyby w wysokich oknach po obu stronach drzwi są wybite. Każdy najmniejszy choćby odłamek szkła został wypchnięty przez napierający tłum. Ci, którzy stoją najbliżej, noszą na ramionach i tułowiach ślady tej trudnej przeprawy. Wokół świeżych ran widnieją smugi brunatnej glutowatej substancji, która w niczym nie przypomina krwi.

Melanie przepycha się przez otwór okienny po lewej stronie. Na podjeździe też stoją głodni, ale nie są już tak ciasno upakowani i z łatwością da się ich ominąć.

Do bramy i na ulicę.

Melanie mija kolejne nieruchome postacie. Nie odwracają się za nią, chyba w ogóle jej nie widzą. Przechodzi przez jezdnię i wkracza na porośnięte drzewami i wysoką trawą błonie.

Podoba jej się tu. Gdyby była wolna, gdyby miała mnóstwo czasu i nic do roboty, zostałaby tutaj długo i udawała, że jest w amazońskiej dżungli, którą pamięta z lekcji panny Mailer dawno temu i z obrazka na ścianie swojej celi.

Ale Melanie nie jest wolna, a czas ucieka. Jeśli zbyt długo tu zamarudzi, panna Justineau może pomyśleć, że uciekła i ją zostawiła, a Melanie prędzej umrze, niż pozwoli, żeby panna Justineau pomyślała tak choćby przez chwilę.

Ma nadzieję, że spotka szczura, takiego jak ten, który wystraszył doktor Caldwell, ale tu nie ma szczurów. Ani ptaków, zresztą ptak nie na wiele by jej się zdał.

Szuka więc dalej. Przemierza kolejne ulice, przez otwarte drzwi zagląda do domów, w których walają się szczątki porozrzucanych, zbezczeszczonych ludzkich historii, i robi wszystko, by nie dać się rozproszyć drobnym ozdobom, zdjęciom i setkom, a nawet tysiącom innych tajemniczych, niezrozumiałych przedmiotów.

W jednym z pomieszczeń, zaścienionym sięgającą do pół łydki warstwą suchych brązowych liści, Melanie przypadkiem płoszy lisa. Zwierzę daje susa przez wybite okno, ale Melanie jest tak szybka, że dopada go jeszcze w powietrzu. Jej własna prędkość zadziwia ją i napełnia radością.

Prędkość i siła. Lis jest tak duży jak ona sama, ale kiedy skręca się i rzuca w jej ramionach, Melanie tylko zacieśnia uścisk, blokując mu swobodę ruchów, aż stworzenie nieruchomieje i drżąc oraz cicho skomląc, pozwala się zabrać tam, gdzie ona chce.

Czyli na zewnątrz i na błonie. Przez błonie do płotu, przy którym tłoczą się głodni – wszystkie głowy odwrócone, ciała zastygłe w bezruchu.

Melanie krzyczy. Najgłośniejszy, jak potrafi. Nie tak głośno, jak zawyłyby osobisty alarm panny Justineau, ale ma ręce pełne lisa i boi się go puścić, póki wszyscy głodni na nią nie spojrzą.

Gdy dostrzega odwracające się głowy, rozkłada ramiona. Lis śmiga przed siebie jak strzała z łuku Ulissesa.

Wyrwani z letargu, czujni i gotowi na polowanie głodni podporządkowują się instynktowi. Zgodnie rzucają się w gwałtowną pogoń za lisem, jakby łączył ich system naciągniętych linek. Melanie czym prędzej cofa się w stronę bramy, przepuszczając pierwszą falę pościgu.

Jest ich tak wielu i są tak ciasno stłoczeni, że zaczynają tratować się nawzajem. Melanie widzi, jak ci, którzy upadli, próbują wstać, lecz za każdym razem na nowo osuwają się na ziemię, miażdżeni falą napierających stóp. To jest całkiem śmieszne, choć jednocześnie jakoś smutne i okropne, ponieważ z ich ust spływa bura piana, przypominająca tłoczony z winogron sok. Kiedy reszta hordy dopada drogi i niemal znika Melanie z pola widzenia, stratowani dźwigają się z ziemi i potykając się, chwiejnym krokiem ruszają za nimi. Niektórzy nadal leżą tam, gdzie upadli, skręcając się w drgawkach i drapiąc paznokciami ziemię, tak zmaltretowani, że już nie są w stanie się podnieść.

Melanie omija ich ostrożnie. Żał jej ich. Chciałaby im jakoś pomóc, chociaż wie, że to niemożliwe. Mija bramę i rusza w stronę domu. Znalazłszy się w opustoszałym holu, woła do sierżanta Parksa, który przez cały czas nie ruszył się z miejsca:

– Udało się! Droga wolna.

– Zostań tam – odkrzykuje sierżant Parks. – Zejdziemy do ciebie.
Po czym, obrzuciwszy ją długim spojrzeniem, dodaje:
– Dobra robota, dzieciaku.

Przedostanie się na dół za pomocą lin okazuje się całkiem proste. Pierwszy zjeżdża Gallagher, bowiem na dole potrzebny jest ktoś, kto potrafi obsługiwać broń. Po nim Justineau, doktor Caldwell i na końcu sierżant. Kłopoty sprawia jedynie doktor Caldwell, ponieważ zabandażowane dłonie nie pozwalają jej chwycić się liny. Parks wiąże więc wokół jej talii ruchomy węzeł i dopiero wtedy opuszcza ją na dół.

Mogliby wrócić tą samą drogą, ale uznają, że najprostsza trasa wiedzie dalej przez miasto. Jest wiele punktów, w których mogą wejść z powrotem na autostradę. Ponadto uznają, że będzie szybciej, jeśli skierują się na południowy wschód i przetną okolicę opuszczonych osiedli przemysłowych. W dawnych czasach mieszkało tu niewielu ludzi, a ci, którzy przeżyli Załamanie, nie radzili sobie najlepiej, gdyż w tej zdominowanej przez przemysł ciężki okolicy trudno było znaleźć coś do jedzenia. W związku z tym idący nie natykają się na wielu głodnych. Na początku ruszają szlakiem obranym przez lisa, który jako niezawodna przynęta skutecznie oczyścił im drogę.

A więc głodna smarkuła już dwukrotnie ocalała im tyłki. Jeśli dokona tej sztuki po raz trzeci, być może Parks będzie mógł się odrobinę rozluźnić w jej towarzystwie. Na razie jednak nie jest jeszcze na to gotowy.

Idąc, ustalają dalszą strategię ściszonymi głosami, tak by dźwięk nie niósł się zbyt daleko. Parks uważa, że mimo wcześniejszych przygód powinni się trzymać pierwotnego planu.

Jego argumenty nie uległy zmianie. Najprostsza droga wiodąca przez Londyn skróci ich podróż o dwa dni, poza tym nocami będzie im potrzebny dach nad głową.

– Nawet jeśli ma się okazać pułapką? – pyta cierpko doktor Caldwell.

– Owszem, to możliwe – przyznaje Parks. – Z drugiej strony, gdyby wczoraj wieczorem dopadli nas pod gołym niebem, nie przetrwalibyśmy dziesięciu sekund. Taka luźna myśl.

Caldwell nie podejmuje sporu, w związku z czym sierżant szczęśliwie nie musi jej przypominać, że to właśnie jej próba zadziergnięcia znajomości ze spacerującym ulicą trupem wpakowała ich w kłopoty. Nikt inny chyba nie ma ochoty się kłócić, idą więc dalej. Rozmowa gaśnie i zapada pełna napięcia cisza.

W miarę upływu czasu idący coraz bardziej się od siebie oddalają. Gallagher zgodnie z rozkazem zajmuje pozycję z przodu. Helen Justineau nie rozstaje się z małą, która pomimo krótkich nówek trzyma niezłe tempo, choć co chwilę coś ją rozprasza. Doktor Caldwell porusza się najwolniej i przestrzeń między nią a resztą stopniowo, lecz stale, się powiększa. Ponaglana przez sierżanta przyśpiesza, ale już po minucie lub dwóch znowu zaczyna powłóczyć nogami. Mimo wczesnej pory

sprawia wrażenie potwornie zmęczonej i jest to niepokojące.

Wkraczają w strefę wypalanej ziemi, która jest kolejną pozostałością czasów Załamania. Zanim rząd rozpadł się na dobre, wydał całą serię nieprzemyślanych rozporządzeń. Jedno z nich polegało na rozpylaniu z powietrza środków zapalających, by stworzyć w ten sposób enklawy całkowicie wolne od głodnych. Niezarażeni cywile ostrzegani byli zawczasu przez wyjące syreny i nadawane w kółko komunikaty, a mimo to wielu zginęło, ponieważ nie zdołali zbiec przed nadlatującymi helikopterami.

Głodni natomiast uciekali przed płomieniami zupełnie jak karaluchy przed zapalonym nagle światłem. Jedyne, co przyszło z ogniowych nalotów, to to, że głodni przemieszczali się o kilka kilometrów w jedną lub drugą stronę, a przy okazji zniszczono infrastrukturę, która mogłaby ocalić wiele istnień. Chociażby lotnisko Luton. Spłonęło razem z całą flotą, kiedy więc przyszło kolejne rozporządzenie – dotyczące ewakuacji niezarażonych na Wyspy Normandzkie na pokładach samolotów rejsowych – wojskowi mogli jedynie wzruszyć ramionami i stwierdzić: „chcielibyśmy, żeby to było możliwe”.

Z okolicznych budynków zostało bardzo niewiele. Potworny żar wywołany przez środki zapalające rozpuścił nie tylko metal, ale również cegłę i kamień. Ziemia pokryta jest cienkim czarnym oleisto-węglowym osadem powstałym w wyniku spalania i sublimacji materii organicznej, która wzbiwszy się w powietrze, osiadła wszędzie tam, gdzie zaniósł ją wiatr.

Wszędzie unosi się kwaśny, ostry zapach. Po dziesięciu minutach oddech staje się ciężki i charczący, a w klatce piersiowej pojawia się swędzenie i nie można się nawet podrapać, ponieważ swędzi od wewnątrz.

Minęło ponad dwadzieścia lat, a oni nadal nie natykają się na żadne rośliny, choćby najbardziej wytrzymałe bandyckie chwasty. Natura nie jest tak głupia, by dać się złapać po raz drugi.

Parks słyszy, jak mała pyta Justineau, co się tutaj wydarzyło. Helen męczy się i kręci, a przecież odpowiedź jest prosta. „Nie mogliśmy zabić głodnych, więc pozabijaliśmy się nawzajem. Od zarania dziejów był to nasz popisowy numer”.

Spalona ziemia ciągnie się kilometrami, ciąży im na sercach i wysysa energię. Już jakiś czas temu należało zrobić postój, posilić się i odpocząć, nikt jednak nie ma ochoty siadać na skażonym gruncie. Jak za sprawą niewypowiedzianej umowy, wszyscy zgodnie idą dalej.

Po jakimś czasie krajobraz gwałtownie się zmienia, jednak tuż przed tym, jak docierają do skraju wymarłej krainy, okazuje się, że kryje ona w sobie jeszcze jedną niespodziankę. Za ledwie sto kroków dzieli pola śmierci od rozbuchanego życia, czern od zieleni, spieczony czyściec od łąki rozkwitającej gęstymi kępami malw i strzelistych ostów.

Na tej właśnie granicy stoi dom, który spłonął, lecz się nie zawalił. Na jego

tylnej ścianie, tam gdzie życie upadło na rozgrzane cegły i wtopiło się w nie mieszaniną kolorów, produktów ostatecznej klęski, widnieją dwa cienie, duży i mały, odznaczające się głęboką czernią na ciemnoszarym tle muru.

Cienie układają się w kształty dorosłego i dziecka z wyrzuconymi w górę ramionami, jakby pożar zastał ich w trakcie ćwiczeń gimnastycznych.

Głodna smarkula, zafascynowana tym widokiem, przymierza swoje ciało do mniejszego z kształtów. Pasuje całkiem nieźle.

Myśli przy tym: „to mogłam być ja”. Czemu nie? Prawdziwa dziewczynka, która mieszkała w prawdziwym domu z ojcem i matką, bratem i siostrą, ciotką i wujkiem, bratankiem, siostrzenicą i kuzynką. Wszystkie te słowa określające ludzi, którzy się kochają i trzymają się razem, tworzą mapę. Ta mapa nazywa się „rodzina”.

Dziewczynka dorasta i dojrzewa. Bawi się i poznaje świat. Jak Puchatek i Prosiaczek. Potem jak dzieci z Bullerbyn. Jak Heidi i Ania z Zielonego Wzgórza. I jak Pandora, otwierająca puszkę, w której mieści się cały świat, niedbająca o to, czy w środku siedzi dobro, czy zło. Ponieważ siedzi jedno i drugie. Wszystko jest zawsze jednym i drugim.

Ale by się o tym przekonać, trzeba otworzyć puszkę.

Zatrzymują się na posiłek, zapatrzeni w martwą strefę, którą właśnie opuścili.

Sierżant Parks zabrał ze sobą część znalezionych w kuchni konserw. Panna Justineau, doktor Caldwell i obaj żołnierze jedzą parówki, fasolkę i zimny krupnik. Melanie dostaje coś, co nazywają mielonką, przypominającą trochę mięso, którym panna Justineau karmiła ją wczorajszego wieczoru, choć zdecydowanie mniej smaczną.

Potem zwracają się na południe, tyłem do tego czegoś, co panna Justineau nazwała spaloną ziemią – ale Melanie wciąż ogląda się za siebie. Weszli na wzniesienie, ma więc widok daleko na północ, aż do miasta, w którym spędzili noc i gdzie wypuściła lisa. Kilometr za kilometrem ziemia łagodnie wznosi się i opada, szerniała i spalona na węgiel. Melanie zadaje pannie Justineau kolejne pytania, ponieważ chce mieć pewność, że wszystko zrozumiała. Rozmawiają ściszymi głosami.

– Czy tam było kiedyś zielono? – pyta Melanie.

– Owszem. Tak samo jak w okolicy, przez którą szliśmy pierwszego dnia.

– Czemu oni to wszystko spalili?

– Próbowali powstrzymać głodnych. To się działo w pierwszych tygodniach po wybuchu epidemii.

– Ale im się nie udało?

– Nie. Przestraszyli się i spanikowali. Wielu ludzi, którzy mieli podejmować ważne decyzje, zostało zarażonych, inni uciekli i się poukrywali. A reszta niezbyt dobrze wiedziała, co robi. Ale nie jestem pewna, czy istniało jakieś lepsze wyjście. Wtedy było już za późno. Całe zło, którego się bali, w zasadzie już się dokonało.

– Zło? – powtarza Melanie.

– Chodzi mi o głodnych.

Melanie zastanawia się nad tym określeniem. Może i jest prawdziwe, ale jej się nie podoba. Ani trochę.

– Ja nie jestem zła, panno Justineau.

Nauczycielka wygląda na skruszoną. Dotyka przelotnie ramienia dziewczynki i ściska je pocieszająco. Melanie wolałaby, żeby ją przytuliła, ale wie, że to zbyt niebezpieczne.

– Wiem, że nie jesteś zła, kochanie. Nie to miałam na myśli.

– Ale ja jestem taka jak oni.

Chwila ciszy.

– Zostałaś zarażona – mówi w końcu panna Justineau – Ale nie jesteś taka jak oni, ponieważ myślisz, a oni tego nie potrafią.

To rozróżnienie nie przyszło dotąd Melanie do głowy, a nawet jeśli, to

przytłoczyła je ogłuszająca masa jej pierwotnego odkrycia. A jednak różnica istnieje. Czy to znaczy, że możliwe są kolejne? Że być może Melanie nie jest jednak potworem?

Spoza ogromu ontologicznych dylematów wychyla się inne, bardziej przyziemne pytanie.

– Czy to dlatego jestem kluczowym obiektem doświadczalnym?

Mina nauczycielki wyraża ból, a po chwili gniew.

– To dlatego jesteś ważna dla programu badawczego doktor Caldwell. Ona uważa, że jest w stanie znaleźć u ciebie coś, co pomoże jej w wyprodukowaniu lekarstwa dla innych. Antidotum. Żeby nigdy się nie zmienili w głodnych, a w wypadku tych, z którymi już się to stało, żeby można było ich wyleczyć.

Melanie kiwa głową. Wie, że to naprawdę ważne. Wie również, że wszystkie nieszczęścia, które spadły na tę ziemię, mają jedną przyczynę i jedno pochodzenie. Epidemia była zła. I złe były rzeczy, które ważni ludzie zrobili, by zahamować jej rozwój. Podobnie jak złe jest łapanie małych dzieci i krojenie ich na kawałki, nawet jeśli się to robi po to, żeby wyprodukować lekarstwo, dzięki któremu ludzie nie będą się zmieniać w głodnych.

Nie tylko Pandora nosiła w sobie to fatalne piętno. Wygląda na to, że każdy człowiek jest skonstruowany tak, by zrobić czasem coś niedobrego lub głupiego. No, prawie każdy. Panna Justineau z całą pewnością stanowi wyjątek.

Sierżant daje sygnał do dalszej drogi. Melanie znacznie wyprzedza pannę Justineau, mocno napinając łączącą je smycz. Natłok nowych informacji przyprawia ją o zawroty głowy. Po raz pierwszy przestała marzyć o powrocie do celi. Zaczyna rozumieć, że cela była zaledwie maleńkim fragmentem większej całości, której częścią są również jej towarzysze podróży.

Zaczyna wysnuwać wykraczające daleko poza jej własną egzystencję wnioski, które rozrastają się w przerażających i zaskakujących kierunkach.

Londyn wchłania ich powoli, kawałek po kawałku.

Jest zupełnie inny niż Stevenage, gdzie polna droga wiodła niemal wprost do serca miasta. Dla Kierana Gallaghery, któremu Stevenage wydawało się wielkie, to nowe doświadczenie jest tak mocne, a zarazem rozciągnięte w czasie, że trudno mu dojść z nim do ładu.

Choć idą i idą, nadal znajdują się na obrzeżach. Wedle słów sierżanta Parksa od centrum dzieli ich dobre piętnaście kilometrów marszu na południe.

– Te wszystkie mijane przez nas okolice – tłumaczy Gallagherowi Helen Justineau, w której jego nieporadność i oszołomienie wywołują falę współczucia – były kiedyś osobnymi miejscowościami. Deweloperzy budowali tam coraz więcej domów, do których wprowadzało się coraz więcej ludzi, aż wszystkie miasteczka zlały się w jedną masę.

– Jak dużo było tych ludzi? – Gallagher wie, że zadaje pytania jak dziesięciolatek, ale głód wiedzy jest silniejszy.

– Miliony. O wiele więcej, niż żyje teraz w całej Anglii. Chyba że...

Nie kończy zdania, ale Gallagher wie, co chciała powiedzieć. Chyba że liczyć głodnych. Ale ich przecież nie można brać pod uwagę. Oni już nie są ludźmi. No, może z wyjątkiem tej małej, która jest...

Właściwie nie wie, kim ona jest. Może żywą dziewczynką przebraną za głodną. Nie, nawet nie to. To dorosła przebrana za dziewczynkę przebraną za głodną. O dziwo, badając swoje odczucia co do niej tak, jak bada się językiem miejsce po wyrwanym zębie, Gallagher uświadamia sobie, że ją lubi. A jednym ze źródeł tej sympatii jest fakt, że mała jest kompletnie inna niż on. Taki knypek, a nie daje sobie w kaszę dmuchać. Pyskuje nawet sierżantowi. Przypomina wtedy mysz szczekającą na pitbulla. I to jest, kurde, rewelacja!

Istnieje jednak coś, co ich łączy: oboje wchodzą do Londynu z ustami otwartymi z podziwu, niemal niezdolni przyswoić sobie tego, co widzą. Jak to możliwe, że żyło tu kiedyś wystarczająco dużo ludzi, by zapęłnić te wszystkie domy? Że budowano tak wysokie wieże? I jakim cudem ta potęga została pokonana?

W miarę jak ubita ziemia po obu stronach drogi pokrywa się asfaltem i przechodzi w coraz rozleglejszą siatkę ulic, wędrujący zauważają wokół więcej głodnych. Sierżant wspominał im już o zasadzie zagęszczenia. Im więcej ludzi żyło w danym miejscu, tym więcej będzie w nim głodnych, chyba że przeszły tamtędy wcześniej patrole ogniowe albo zrzuciono bomby. Zasada sprawdza się i w tym wypadku.

Sierżant, mając świeżo w pamięci katastrofę w Stevenage, nie zamierza ryzykować po raz drugi. Poruszają się powoli, zaglądając w każdą równoległą ulicę

i wybierając tylko te, w których głodni jeśli już tkwią, to pojedynczo, nie tworząc grup. Wprawdzie zmusza ich to do kluczenia i nadrabiania drogi, ale dzięki temu zdarzają się długie odcinki trasy, na których nie spotykają nikogo. Na początku to Parks z Gallagherem zapuszczają się w niezbadane tereny, jednak z upływem czasu coraz częściej wykorzystują do tego Melanie, ponieważ a) mała niczym nie ryzykuje, i b) po wydarzeniach w Stevenage wiedzą, że do nich wróci. Okazuje się idealnym zwiadowcą.

Za którymś razem po powrocie sierżant zapomina zawiązać jej smycz – może nawet robi to celowo. Mała wciąż ma na sobie kaganiec i kajdanki, chodzi teraz jednak wolno i jeśli chce, może ich wyprzedzić lub zamarudzić z tyłu.

Przez większą część popołudnia zagęszczenie głodnych utrzymuje się na wysokim, ale stałym poziomie, po czym, o dziwo, zaczyna maleć. Dzieje się tak, gdy opuszczają okolicę zwaną Barnet i maszerują dalej usłaną porzuconymi pojazdami ulicą. Parks nie cierpi takich terenów, rozgląda się więc bacznie i pilnuje, by pozostali nie rozproszyli się w labiryncie wraków.

Ale głodnych jest tu jak na lekarstwo, mimo że w gęsto zabudowanej okolicy powinno się od nich roić. Raz po raz dostrzegają tylko jakieś niedobitki pędzące ulicą na północ od nich w pogoni za kotem albo kręcące się przy skrzyżowaniach jak przechodnie z apokaliptycznego koszmaru.

Ta mała – Melanie – przez jakiś czas idzie obok Gallaghera. W pewnym momencie łapie jego spojrzenie i wywraca oczami w prawo. Kiedy chłopak podąża za jej wzrokiem, ukazuje mu się kolejne чудо. Wygląda jak połączenie samochodu z budynkiem; jaskrawoczerwone, z dwoma rzędami okiem, a w środku – Gallagher widzi to bardzo wyraźnie – w środku są schody. Do tego cała konstrukcja wsparta jest na kołach. Na kołach! Istne szaleństwo.

Obydwoje, Gallagher i mała, podchodzą do zjawiska, by lepiej mu się przyjrzeć. Dzieciak nie oddalił się tak mocno od Justineau od momentu, gdy opuścili Stevenage. Ale Justineau patrzy w inną stronę, rozmawiając z sierżantem i doktor Caldwell. Gallagher i mała mają więc chwilę, by dać upust łączącej ich ciekawości.

Piętrowy pojazd wbił się w witrynę sklepu. Tkwi tam lekko przechylony, wszystkie szyby ma powybijane. Pozbawione powietrza opony odpadły od felg, ich pofałdowane płaty przywodzą na myśl szaroczną skórkę nieznanego owocu. Wewnątrz i na zewnątrz nie widać ciał, śladów krwi ani żadnych poszlak wskazujących na to, co się przydarzyło temu kolubryniastemu, wyniosłemu rydwanowi. Stoi tam, gdzie zakończył swoją trasę prawdopodobnie bardzo dawno temu.

– To się nazywa autobus – objaśnia Melanie.

– Tak, wiem – kłamie Gallagher. Nazwa obita mu się wprawdzie o uszy, ale nigdy nie widział czegoś takiego na własne oczy. – Jasne, że to autobus.

– Każdy mógł nim pojechać, o ile tylko miał bilet. Albo kartę. Wkładało się ją do automatu, automat ją odczytywał i wpuszczał ludzi do autobusu. Pojazd co chwilę się zatrzymywał, ludzie wsiadali i wysiadali. Na ulicach były wyznaczone pasy, po których mogły jeździć tylko autobusy. To było o wiele lepsze dla środowiska, niż gdyby każdy mieszkaniec podróżował własnym samochodem.

Gallagher powoli kiwa głową, jakby nic z tego nie było dla niego nowiną. Prawda jest jednak inna. Nie ma pojęcia o tamtym utraconym świecie, co więcej, nigdy wcześniej o nim nie rozmyślał. Jako dziecko Załamania znacznie bardziej niż historiami o wspaniałej przeszłości interesował się tym, jak tu podwędzić należący do kogoś innego przydział chleba. Oczywiście w codziennym życiu stale używał przedmiotów pamiętających tamte odległe czasy. To wtedy powstały jego nóż i pistolet. I zabudowania bazy, i płot, i większość mebli. Humvee. Radio. Lodówka w żołnierskiej świetlicy. Gallagher dorastał jako dziki lokator w ruinach imperium, nie zastanawiając się nigdy nad ich pochodzeniem, tak samo jak nie zastanawiał się nad pochodzeniem mięsa, które zjadał. Przeważnie lepiej takich rzeczy po prostu nie wiedzieć.

Właściwie jak dotąd jedynym reliktem przeszłości, który wzbudził jego żywe zainteresowanie, było pisemko pornograficzne trzymane przez szeregowego Si Brooksa pod materacem pryczy. Przerzucając strony w nabożnym skupieniu, co kosztowało go zwykle półtora szluga, Gallagher godzinami zachodził w głowę, czy w czasach przed Załamaniem ciała kobiece naprawdę przybierały takie barwy i faktury. Sam nigdy nie spotkał kobiety, która byłaby do nich podobna. Teraz, stojąc obok tej małej dziewczynki, czerwieni się na samo wspomnienie i spuszcza wzrok, żeby nie wyczytała myśli z jego twarzy.

Melanie wciąż przygląda się autobusowi, zafascynowana jego konstrukcją.

Gallagher uznaje, że starczy tego dobrego. Powinni już wrócić do pozostałych. Bezwiednie wyciąga do niej rękę i zamiera w pół gestu. Melanie nic nie zauważyła, zresztą i tak nie mogłaby przyjąć propozycji, gdyż jej własne dłonie wciąż skute są kajdankami. A jednak – co z niego za idiota! Gdyby to sierżant zobaczył...

Ale sierżant wciąż tonie w głębokiej i poważnej rozmowie z Justineau i doktor Caldwell. Niczego nie widział. Odetchnąwszy z ulgą, roztrzęsiony i spłoszony Gallagher dołącza do reszty.

Wtedy dostrzega to, na co od dłuższego czasu patrzyła pozostała trójka, i poprzednie myśli ulatują mu z głowy. Na ziemi, we wnęce przy wejściu do sklepu, leży głodny.

Zdarza się, że głodni upadają i nie potrafią się podnieść, ponieważ grzyb rozwala ich system nerwowy, aż ten po prostu przestaje działać. Gallagher widział już głodnych rozciągniętych na boku, wpatrzonych prosto w słońce poszarzałymi oczami, wstrząsanych urywanymi drgawkami, które przeszywają ich ciała jak

elektryczne iskry. Czyżby temu tutaj właśnie coś takiego się przytrafiło?

Nie, tu chodzi o coś więcej. Klatka piersiowa głodnego jest szeroko rozwarta, rozsadzona od wewnątrz przez... Gallagher nie ma pojęcia przez co. Z martwej piersi wyrasta biała kolumna, wysoka na dwa metry, zwieńczona czymś w rodzaju okrągłej płaskiej poduszki o żłobkowanych krawędziach i pokryta nabrzmiętymi naroślami. Ściany kolumny są szorstkie i nierówne, ale narośle lśnią. Jeśli przekrzywić głowę, mienia się niczym olej w kałuży.

– Jezus Maria – wzdycha Helen Justineau.

– Fascynujące – mamrocze pod nosem Caldwell. – Absolutnie fascynujące.

– Skoro pani tak twierdzi – burczy sierżant. – Ale coś mi się widzi, że lepiej trzymać się od tego z daleka, mam rację?

Nieustraszona, a może po prostu głupia, Caldwell sięga ku jednej z narośli. Powierzchnia ugina się pod dotykiem palca, ale gdy doktor cofa rękę, szybko wraca do poprzedniego kształtu.

– Nie sądzę, żeby to było groźne – stwierdza Caldwell. – Na razie. Sytuacja się zmieni, kiedy te owoce dojrzeją.

– Owoce? – powtarza Justineau.

Gallagher w pełni podziela jej niedowierzanie. Owoce wyrastające ze zgniłego, pogruchotanego ludzkiego ciała? Czy można sobie wyobrazić coś obrzydliwszego?

Melanie staje za Gallagherem i spoza jego nogi przygląda się leżącemu. Gallagherowi jest jej żal. Dzieci nie powinny myśleć o śmierci.

Nawet jeśli ta mała jest... no cóż, martwa. Tak jakby.

– Owoce – potwierdza tymczasem Caldwell stanowczo, z nutą satysfakcji w głosie. – Sierżancie, oto owocujący patogen głodu. A te wypustki to zarodnie. Każda z nich to wypełniona po brzegi fabryka spor.

– W sensie to są jego jajca – tłumaczy sobie sierżant.

Doktor Caldwell parska perlistym śmiechem. Gdy Gallagher ostatnio na nią patrzył, była przygnębiona i wymęczona, ale to zdarzenie na nowo tchnęło w nią życie.

– Tak. Dokładnie. Jajca. Rozerwijcie jedną z tych wypustek, a spotkacie się oko w oko z *ophiocordyceps*.

– To ja dziękuję – odpowiada Parks, odciągając ją do tyłu, ponieważ Caldwell wykonuje taki gest, jakby znów chciała dotknąć zarodni.

To ją zaskoczyło. Spogląda na niego, wyraźnie gotowa do sporu, ale sierżant zdążył już przenieść uwagę na Justineau i Gallaghera.

– Słyszeliście, co mówiła pani doktor – oznajmia tak, jakby to był jej pomysł. – Jeśli jeszcze kiedykolwiek ujrzycie coś podobnego, macie się trzymać od tego z daleka i w żadnym wypadku nie dotykać. To dotyczy wszystkich bez wyjątku.

– Chciałabym pobrać próbki... – zaczyna Caldwell.

– Bez wyjątku – powtarza sierżant. – A teraz w drogę, szkoda dnia. No już, ruszamy.

Co też robią. Incydent wyraźnie zwarzył im nastroje. Melanie wraca do Justineau i trzyma się jej, jakby znów łączyła je smycz. Doktor Caldwell dalej gędzi o cyklach życiowych i rozmnażaniu, zaczyna to wyglądać, jakby się przystawiała do sierżanta, który wydłuża krok, próbując się od niej uwolnić. Gallagher zaś nie może się powstrzymać i raz po raz ogląda się za siebie, na te martwe szczątki, które w tak dziwaczny sposób okazały się brzemienne.

Przez kolejne kilka godzin mijają dziesiątki owocujących głodnych, będących często w znacznie gorszym stanie niż pierwszy. Najwyższe z białych kolumn wznoszą się wysoko nad głowami idących, zakotwiczone u podstawy pianistą siatką szarych nitek, które niemal całkowicie okrywają powalone ciała. Ich trzony, im wyższe, tym grubsze, rozpychają otwory między żebrami trupów, w ich brzuchach, gardłach, tam skąd wyrosły. Jest w tym coś obscenicznego i Gallagher zaczyna gorzko żałować, że nie wybrali innej drogi i że musieli się o tym dowiedzieć.

Przeraża go również to, co dzieje się z okrągłymi naroślami na trzonach grzybów. Zaczyna się od nieznacznych wypukłości i nieco większych wybrzuszeń, które stają się coraz większe, zmieniając się w lśniące perłowobiałe kule, które przypominają choinkowe bombki. W końcu kule odpadają. Wokół najwyższych i najgrubszych pni ziemia jest nimi zasłana, a oni, idąc, muszą bardzo uważać, by na nie nie nadeptać.

Gallagher jest szczęśliwy, kiedy nadchodzi zmierzch i nie musi więcej patrzeć na to draństwo.

Dla Helen Justineau trzecia noc jest najdziwniejsza ze wszystkich.

Spędzają ją w aresztanckich celach posterunku policji przy Whetstone High Road. Sierżant Parks postanowił bowiem zjechać z trasy, by się tu rozejrzeć. Miał nadzieję, że znajdzie skład broni. Potyczka w Stevenage przetrzebiła ich zapasy amunicji na tyle, że przyda się każdy nabój.

Składu jednak nie znajdują, nawet uszkodzonego. Natykają się za to na tablicę, na której wiszą między innymi klucze do piwnicznych cel. Cele są cztery, umiejscowione jedna obok drugiej w krótkim korytarzu zakończonym pokojem strażnika. Wychodzące na schody drzwi są drewniane, grube na pięć centymetrów, wzmocnione przynitowanym po wewnętrznej stronie stalowym pancierzem.

– Proszę bardzo, wolne pokoje – rzuca z przekąsem Parks.

Justineau najpierw myśli, że zażartował, a uświadomiwszy sobie, że nie, daje upust swojemu oburzeniu.

– Czemu niby mielibyśmy zamykać się tu na klucz? – pyta ostro. – To pułapka. Jeśli zamkniemy za sobą te drzwi, będziemy jak ślepcy, bez pojęcia, co się dzieje na górze.

– Wszystko się zgadza – przyznaje Parks. – Wiemy jednak, że tamci złomiarze za nami nie pojechali. A teraz wchodzimy w teren, który miał największą gęstość zaludnienia w całej Europie. Zatrzymując się, musimy pamiętać o znalezieniu odpowiedniej kryjówki. Nie przychodzi mi do głowy nic lepszego niż podziemne pomieszczenie znajdujące się za zamkniętymi na klucz stalowymi drzwiami. Światło ani dźwięk raczej nie przedostaną się na powierzchnię. Dzięki temu jesteśmy bezpieczni i jednocześnie nie przyciągamy uwagi. Trudno sobie wyobrazić lepszą sytuację.

Nie urządzają głosowania – po prostu wszyscy kładą plecaki na ziemi. Caldwell opiera się o ścianę i osuwa w kucki. Trudno stwierdzić, czy zgadza się z Parksem. Za to z pewnością jest zbyt zmęczona, by iść dalej. Szeregowy Gallagher wypakowuje i otwiera ostatnie puszki z jedzeniem z Wainwright House.

Nikt nie dyskutuje. Nie ma sensu.

Zamykają drzwi, żeby móc włączyć latarki, ale nie przekręcają klucza; nagle budzi się w nich lęk przed ograniczoną przestrzenią, a zamknięcie drzwi na zamek wydaje się czymś zbyt nieodwracalnym. Zabierają się do jedzenia, urywana rozmowa gaśnie i zapada cisza. Parks miał pewnie rację, twierdząc, że ich głosy nie przedostaną się na powierzchnię, co nie zmienia faktu, że tu odbijają się zbyt głośnym echem.

Potem jedno po drugim wchodzi do pokoju strażników i załatwiają tam, co mają do załatwienia. Nie zapalają latarek, tworząc w ten sposób iluzję prywatności. Justineau uświadamia sobie, że Melanie ani razu nie prosiła o przerwę na toaletę.

Jak przez mgłę przypomina sobie informację w pakiecie z instrukcjami, który otrzymała po przybyciu do bazy, jakieś notatki Caldwell na temat układu pokarmowego głodnych. Grzyb wchłania wszystko, co połkną. Nie mają potrzeby wydalania, ponieważ nie ma czego wydalać.

W końcu Parks zamyka drzwi. Przez chwilę szarpie się z kluczem. Justineau – jak pewnie zresztą wszyscy – wyobraża sobie, co by było, gdyby trzonek ułamał się w zamku. Te drzwi są naprawdę kurewsko solidne.

Rozdzielają się. Caldwell i Gallagher zajmują po jednej celi, w trzeciej lokują się Justineau z Melanie, a Parks kładzie się na podłodze pod drzwiami z karabinem pod bokiem.

Gdy gaśnie ostatnia latarka, ciemność opada na nich jak ciężka płachta. Justineau leży bezsennie, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

Jest tak, jakby Bogu nigdy się nie chciało.

Melanie myśli: „Kiedy spełniają się twoje marzenia, zmieniasz się w inną osobę. Przestajesz być tą, która snuła tamte marzenia, a one same wydają się dziwnym echem czegoś, co zdarzyło ci się dawno temu”.

Leży w pomieszczeniu, które przypomina trochę jej celę w bazie. Różnica polega na tym, że dzieli je z panną Justineau. Bark panny Justineau dotyka jej pleców i porusza się w rytm oddechu. To, że tak się dzieje, napętnia Melanie wielkim, oszałamiającym szczęściem.

Ale przecież nie mogą tu zostać i zamieszkać. To tylko przystanek w podróży, która jest pełna niewiadomych. Część tych niewiadomych nie dotyczy świata na zewnątrz, tylko siedzi w niej samej. Jest głodną, a więc kieruje nią instynkt i ten instynkt już zawsze będzie wracał. Trzeba jej zakładać łańcuchy i kaganiec, bo inaczej mogłaby kogoś zjeść.

I żyły długo i szczęśliwie w dostatku i spokoju.

Tak się kończyło jej wypracowanie, ale prawdziwa historia zakończy się inaczej. W Beacon nie przyjmą jej z otwartymi ramionami. A nawet jeśli, to zaraz potem potną na kawałki. Szczęśliwe zakończenie panny Justineau nie stanie się jej szczęśliwym zakończeniem.

Niedługo będzie musiała zostawić pannę Justineau i odejść w świat, by szukać własnego szczęścia. Jak Eneasz, który zbiegł z pokonanej Troi i żeglował po morzach, aż dotarł do Lacjum, gdzie odnalazł nową Troję, później nazwaną Rzymem.

Tylko że Melanie zdążyła poważnie zwątpić w to, że książęta, których sobie wyobrażała i którzy mieli o nią walczyć, w ogóle istnieją na tym świecie, tak pięknym, ale zarazem tak starym i zniszczonym. I już tęskni za panną Justineau, choć przecież nadal są razem.

Nie sądzi, żeby jeszcze kiedykolwiek kogoś tak pokochała.

Czwarty dzień to dzień cudu, który spada na Caroline Caldwell jak grom z jasnego nieba.

Pomyłka: niebo nie jest jasne. Już nie. Nadeszła zmiana pogody. Rzadka mżawka przesiąka przez ubrania, zapasy się skończyły i w związku z tym wszyscy są w ponurych, burkliwych nastrojach. Parks wyżywa się na pozostałych, ponieważ martwi go sprawa e-blokera. Zostały im marne resztki i nacierając się tego ranka, musieli je mocno oszczędzać. A przed nimi jeszcze przynajmniej trzy dni wędrówki. Jeśli nie uda im się w jakiś sposób uzupełnić zapasów, może się to fatalnie skończyć.

Wciąż idą na południe. Przed nimi rozciąga się cały północny, centralny i południowy Londyn. Caldwell widzi, że nawet z młodego szeregowca uleciała część zdumienia i zachwytu. Jedynym członkiem wyprawy, który na każdą mijaną nowość spogląda z niewyczerpaną fascynacją, jest obiekt numer jeden.

Jeśli chodzi o Caldwell, myśli ona o wielu rzeczach. O grzybni rozrastającej się w substracie komórek ciała ssaków. O receptorze GABAA w ludzkim mózgu, umożliwiającym selektywne przewodzenie chlorków jonowych po powierzchni błony komórkowej konkretnych neuronów. Poza tym dręczy ją bardziej nagląca sprawa: czemu widzą wokół tak niewielu głodnych, skoro wczoraj mijali zbiorowiska, w których były ich setki?

W odpowiedzi na owo pytanie Caldwell rozważa kilka różnych hipotez: zaplanowaną likwidację dokonaną przez niezainfekowanych, konkurencję ze strony dzikich zwierząt, epidemię tajemniczej choroby, nieznaną skutek uboczny zarażenia *ophiocordyceps* i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście istnienie tych owocujących okazów musi być ważnym czynnikiem – dziś widzieli tak wiele kolejnych, że przestali to już komentować – prawdopodobnie jednak nie jest to jedyne wyjaśnienie. By tak było, musiałyby tu ich być setki, nie dziesiątki. Ku własnej nieopisanej irytacji Caldwell nie znajduje żadnych namacalnych dowodów, które pomogłyby jej wybrać jeden spośród wielu rozważanych scenariuszy.

Co więcej – i to ją jeszcze bardziej wytrąca z równowagi – coraz trudniej jest jej się skupić. Zwykły ból przerodził się w chroniczne, nieznosne pulsowanie, jakby w każdej z jej dłoni biło we własnym, niedoskonałym rytmie dodatkowe serce, a miarowe przyływy ćmiącego bólu głowy bezskutecznie próbowały nadażyć za każdym z nich z osobna. Jej nogi są tak osłabione, że trudno pojąć, jakim cudem wciąż dźwigają jej ciężar. Ma wrażenie, że ciało zmieniło się w kiwający się nad nimi balon z helem.

Helen Justineau coś do niej mówi, wznosząca się intonacja sugeruje pytanie. Caldwell go nie słyszy, ale dla świętego spokoju kiwa głową.

Być może *ophiocordyceps* w stanie dojrzałym wywołuje inne reakcje niż

w swej neotenalnej, aseksualnej formie. Skłania do migracji bądź osiadłego trybu życia. Powoduje skrajną nadwrażliwość na światło lub coś podobnego do odruchu szukania dużych wysokości występującego u zainfekowanych mrówek. Gdyby wiedziała, gdzie podzieli się tutejsi głodni, mogłaby zacząć konstruować model tego mechanizmu, co być może przyniosłoby ostateczne zrozumienie zasad interakcji grzyba z komórkami nerwowymi.

Dzień mija leniwie, jak w sennym transie. Rzeczywistość dociera do Caldwell niby z oddali i tylko od czasu do czasu. Natykają się na kolejną zbitkę owocujących ciał – tym razem jednak ułożone są tak gęsto, że wyrastające z ich klatek piersiowych pnie czy też łodygi połączyły się ze sobą strzechami splecionych nitok.

Podczas gdy pozostali z chorą fascynacją przyglądają się grzybnemu rozłogowi, Caldwell przykłęka i podnosi z ziemi jedną z opadłych zarodni. Jej powłoka wygląda na dość mocną i taka też jest w dotyku, waży natomiast bardzo mało. Ma przyjemnie gładką powierzchnię. Caldwell niepostrzeżenie wsuwa zarodnię do kieszeni fartucha. Kiedy sierżant na nią spogląda, wygląda na całkowicie pochłoniętą poprawianiem opatrunku na dłoni.

Droga ciągnie się w nieskończoność. Czas zdaje się wydłużać, cofać, odgrywać wciąż na nowo te same urywane momenty, które – choć pozbawione wewnętrznej spójności – bez wyjątku sprawiają wrażenie nieznośnie znajomych i niemożliwych do uniknięcia.

Receptor GABAA. Hiperpolaryzacja komórki nerwowej, zachodząca po osiągnięciu szczytowej wartości potencjału czynnościowego i determinująca następujący po nim czas spoczynku. Mechanizm tak ryzykownie wyważony, a zarazem tak niebywale istotny!

– Ostrożnie – ostrzega tymczasem Parks. – Nie mamy pewności, czy nikogo nie ma w środku.

W swoim laboratorium w bazie Caldwell miała do dyspozycji specjalną aparaturę pozwalającą mierzyć drobne zmiany w przepływie strumieni jonów na powierzchni żywych komórek nerwowych. Nigdy nie uczyła się jej obsługi, wie jednak, że zarażeni *cordyceps*em wykazują inne poziomy pobudzenia oraz odmienne wartości aktywności elektrycznej niż zdrowi badani. Jednocześnie różnią się znacznie od siebie nawzajem i różnice te są całkiem nieprzewidywalne. Caldwell zastanawia się teraz, czy koreluje to z jakąś inną zmienną, której nie zdołała dostrzec.

Dotyk ręki na ramieniu.

– Jeszcze chwilę, Caroline – mówi Helen Justineau. – Poczekaj, aż sprawdzą, czy na pewno jest bezpiecznie.

Caldwell spogląda przed siebie. Dostrzega coś sto metrów dalej.

Na początku boi się, że to halucynacja. Wie, że doskwiera jej skrajne

wyczerpanie i lekkie zaburzenia orientacji, będące wynikiem albo infekcji, która wdała się w poranione dłonie, albo (co mniej prawdopodobne) picia surowej wody.

Nie zwracając uwagi na Justineau, podchodzi bliżej. Zresztą sierżant skończył już swój obchód i sygnalizuje, że droga wolna. Nie ma powodu, by zwlekać.

Caldwell unosi rękę i dotyka chłodnego metalu, który przemawia do niej spod warstwy pyłu i brudu wąskimi grzbietami liter, wypowiadając swoje imię.

Brzmi ono Rosalind. Rosalind Franklin.

Caroline Caldwell wychowana została w wierze w drugą zasadę termodynamiki. W układzie zamkniętym entropia musi wzrastać. Żadnych „jeśli”, żadnych „ale”. Żadnych przerw w nagrodę za dobre zachowanie. Przez sklep z pamiątkami i prosto do wyjścia, bez pieczętki umożliwiającej ponowne zwiedzanie.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd Charlie i Rosie wyszły z bloków. Dwadzieścia lat, odkąd wystartowały – bez niej – i zginęły w chaosie rozpadającego się świata. A teraz Rosie stoi tu, skromna i niewinna, spoglądając Caroline Caldwell prosto w oczy.

Sama jej obecność obala zasadę entropii. Pod warunkiem że wciąż jest *virgo intacta*, że nikt jej nie splądrował ani nie spalił od wewnątrz.

– Drzwi są zablokowane – melduje sierżant Parks. – I wygląda na to, że nikogo nie ma w domu.

– Spójrzcie na ten kurz – mówi Helen Justineau. – To coś tkwi tu od bardzo, bardzo dawna.

– Okej, wchodzimy do środka.

– Nie! – wrzeszczy Caldwell, – Nie ma mowy! Niech nikt nie próbuje wyważać drzwi!

Pozostali patrzą na nią zaskoczeni. Nawet obiekt numer jeden wpatruje się w nią z powagą nieruchomymi szaroniebieskimi oczami.

– To laboratorium! – ciągnie Caldwell. – Ruchomy ośrodek badawczy. Jeśli otworzymy drzwi, narazimy na niebezpieczeństwo to, co znajduje się w środku. Tam mogą być próbki, niedokończone eksperymenty i Bóg wie co jeszcze..

Sierżant nie wygląda na zachwyconego.

– Naprawdę pani uważa, że to teraz istotne?

– Nie wiem – przyznaje z bólem Caldwell. – Ale nie chcę ryzykować. Sierżancie, ten pojazd wysłano tu do badań nad patogenem, a jego załogę stanowili najznakomitsi naukowcy z całego świata. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co odkryli. Włamując się do środka, może pan wyrządzić nieopisane szkody!

Doktor Caldwell staje między Parksem a pojazdem. Niepotrzebnie. Sierżant nie wykonuje najmniejszego ruchu.

– Ta... – wzdycha posępnie. – Na razie nie ma co gdybać. Ten właz jest solidny jak cholera. Nieprędko dostaniemy się do środka. Można by spróbować łomem, ale nawet łom...

Caldwell namyśla się przez chwilę, usilnie grzebiąc w pamięci.

– Łom nie będzie nam potrzebny – mówi w końcu.

Pokazuje sierżantowi korbę dostępu awaryjnego ukrytą pomiędzy dwoma uchwytnymi tuż pod środkowym włazem. Niezgrabnie ujmując ją w obandażowaną

lewą dłoń, klęka i drugą ręką maca na oślep płaszczyznę podwozia nieopodal przedniego nadkola. Pamięta – tak jej się przynajmniej wydaje – umiejscowienie otworu, w który można wpasować korbę, ale go tam nie znajduje. Po kilku minutach, czując na sobie osłupiałe, milczące spojrzenia towarzyszy, wreszcie udaje jej się zlokalizować otwór i umieścić korbę we właściwym miejscu. Mechanizm wyposażony jest w funkcję ręcznego blokowania, ale zaprojektowano ją jedynie z myślą o prawdziwym obłężeniu. Twórcy pojazdu wzięli pod uwagę wiele sytuacji, które wymogłyby na załodze konieczność dostania się do środka bez wyważania bądź wysadzania w powietrze drzwi.

– Skąd wiedziałaś? – pyta ją Justineau.

– Byłam związana z tym projektem – przypomina jej oschle Caldwell. Choć nie mówi całej prawdy, ani przez moment się nie czerwieni. Bolesne wspomnienia tkwią w niej znacznie głębiej niż wstyd i nie ma takiej siły, która by ją skłoniła do bardziej szczegółowych wyjaśnień.

Musiałaby przyznać, że zajęła dwudzieste siódme miejsce na liście potencjalnych załogantów Charliego i Rosie. Że przez pięć miesięcy uczyła się obsługi systemów sterowania tylko po to, by usłyszeć, że jednak nie będzie potrzebna. Dwadzieścioro sześcioro innych biologów i epidemiologów uplasowało się wyżej – co oznaczało, że zdaniem kierownictwa misji posiadali więcej pożądanych umiejętności i większe doświadczenie niż ona. Ponieważ pełna załoga obu laboratoriów liczyła dwanaście osób, Caldwell nie znalazła się nawet na liście rezerwowych. Charlie i Rosie pożeglowały bez niej.

Dotąd zakładała, że zatoneły wraz z całą załogą – wciągnięte w wir oszalałego miasta, bez możliwości ruchu w żadną stronę, oblepione rojem głodnych lub uwięzione w zasadzce złomiarzy. Ta świadomość lekko poprawiała jej humor – nie chodziło nawet o zemstę opatrności za jej urażoną dumę, raczej o to, że niska pozycja na liście ocaliła jej życie.

Stąd już blisko do stwierdzenia, że fakt, iż wciąż żyje, jest efektem ubocznym jej średniactwa.

To oczywiście bzdura; wszyscy się o tym przekonają, kiedy wynajdzie lekarstwo. Historia o tym, jak nie dostała się na pokład, stanie się wówczas ironicznym przypisem do jej biografii, takim jak rzekome złe oceny z matematyki młodego Einsteina.

Teraz ów przypis nabiera dodatkowej pikanterii. Konstruktorzy tego laboratorium nieświadomie wybudowali je właśnie dla niej. I przysłali tutaj, by stanęło na trasie jej podróży.

Parks z Gallagherem kręcą korbą, która dla Caldwell okazała się zbyt sztywna i ciężka. Drzwi rozsuwają się centymetr po centymetrze. Z wnętrza dobywa się stęchłe powietrze, co przyprawia panią doktor o mocniejsze bicie serca. Uszczelka działa. Cokolwiek się tu wydarzyło, cokolwiek stało się z załogą Rosie,

jej środowisko wewnętrzne wyszło z tego bez szwanku.

Gdy tylko szpara jest dostatecznie szeroka, Caldwell robi krok naprzód.

I wpada prosto na sierżanta Parksa.

– Wchodzę pierwszy – oznajmia sierżant. – Przykro mi, pani doktor. Wiem, jak się pani rwie, żeby zajrzeć do środka, i zajrzy pani, kiedy tylko sprawdzę, czy aby na pewno nikogo nie ma w domu.

Caldwell zaczyna wyliczać argumenty na poparcie tezy, że Rosie z pewnością stoi pusta, ale sierżant nie słucha. Już zniknął w środku. Szeregowy Gallagher ustawia się przy drzwiach i łypie na nią podejrzliwie – z jego oczu wyciera strach, że będzie próbowała go odepchnąć.

Ale ona nie próbuje. Jeżeli ma rację, ryzyka nie ma, ale zarazem nie ma powodu do pośpiechu. Jeśli zaś się myli i do pojazdu rzeczywiście ktoś się włamał, sierżant poradzi sobie z tym kimś znacznie lepiej. Zdrowy rozsądek podpowiada, by poczekać, aż zakończy oględziny.

Cóż z tego, skoro przez cały czas aż ją skręca z niecierpliwości. Ten niezwykle dar jest przeznaczony dla niej i tylko dla niej. Nikt inny nie potrafi korzystać z tego, co znajduje się wewnątrz. Co być może się tam znajduje. Po tylu latach nie sposób stwierdzić, co się mogło stać z bezcennym sprzętem w laboratorium Rosie. W końcu trudno sobie wyobrazić katastrofę, która wyeliminowałaby cały personel, nie niszcząc przy tym aparatury. Najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie jest takie, że jeden lub kilku członków załogi zostało zarażonych. Caldwell wyobraża sobie, jak opanowani głodem biegają w amoku po wnętrzu laboratorium, rozrzucając po podłodze beczenną aparaturę i depcząc szalki Petriego pełne pieczolowicie wyhodowanych próbek.

Sierżant Parks wyłania się z wnętrza pojazdu i kręci głową. Caldwell, której wyobraźnia pochłonięta jest katastroficzną wizją, bierze to za werdykt. Z krótkim wrzaskiem biegnie do drzwi, ale Parks powstrzymuje ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko gra, pani doktor. Droga wolna. Tylko jedno ciało na miejscu kierowcy, prawdopodobnie sam się zastrzelił. Ale zanim wejdziemy, proszę mi coś powiedzieć, bo to znacznie przekracza moje doświadczenie. Czy jest tam coś, o czym powinienem wiedzieć? Coś, co może być niebezpieczne?

– Nic – odpowiada Caldwell, ale po chwili, z precyzją naukowca, dodaje: – Nic, czego byłabym świadoma. Proszę mi pozwolić się rozejrzeć, a dam panu ostateczną odpowiedź.

Parks ustępuje, a ona przekracza próg, z trudem ukrywając roztrzęsienie.

W laboratorium jest wszystko. Wszystko.

Na końcu pomieszczenia stoi coś, co widziała jedynie na fotografiach, wie jednak dobrze, co to takiego, do czego służy i jak działa.

To ATLUM. Automatyczny ultramikrotom taśmowy.

Innymi słowy: Święty Graal.

Rosalind Franklin wyraźnie ekscytuje zarówno doktor Caldwell, jak i sierżanta Parksa – choć bez wątplenia z dwóch różnych powodów. Pierwsze wrażenie Helen Justineau jest natomiast negatywne. Wewnątrz jest cholernie zimno, echo odbija się od ścian jak w grobowcu, a wiszący w powietrzu zapach kojarzy jej się z płynem do balsamowania zwłok. Wyraz twarzy Melanie podpowiada jej, że dziewczynka podchodzi do tego miejsca z jeszcze mniejszym entuzjazmem.

Oczywiście obie mają nieodległe i ponure wspomnienia dotyczące laboratoriów, zwłaszcza takich, w których urzęduje doktor Caldwell. A tym właśnie jest Rosie (tak Caldwell nazywa ów pojazd). Laboratorium na kółkach. Tyle że wyposażonym w kąpielnię i kuchnię, co sprawia, że przypomina przerośniętą przyczepę kempingową. Natomiast miotacze ognia oraz wieżyczka z karabinem maszynowym upodabniają je do czołgu.

Pojazd jest olbrzymi. W środkowej części znajduje się pomieszczenie laboratoryjne, zajmujące niemal połowę całej przestrzeni. Z przodu i z tyłu urządzono stanowiska strzelców, którzy zwrócenii do siebie plecami mogli spoglądać każdy w swoją stronę przez wąskie okienka przypominające otwory strzelnicze w średniowiecznym zamku. Każde z tych stanowisk oddzielono od laboratorium grubymi, szczelnymi drzwiami. Dalej z tyłu umieszczono przedział silnikowy. Z przodu zaś – pomieszczenia dla załogi z tuzinem zamontowanych na ścianach prycz, dwiema toaletami oraz kącikiem kuchennym i wreszcie kabinę kierowcy z wieżyczką uzbrojoną w karabin o tym samym kalibrze co karabin w humvee i z nie mniejszą liczbą kontrolek niż w kokpicie samolotu rejsowego.

Justineau i Melanie stoją w pomieszczeniu dla strzelców i obserwują rozwój wydarzeń, chwilowo wyłączone z jego biegu.

Caldwell sprawdza sprzęt w laboratorium. Dzierży w dłoni spis, który odkleiła od ściany obok wejścia – za jego pomocą odnajduje kolejne elementy, które następnie ogląda, by stwierdzić ewentualne uszkodzenia. Na jej twarzy maluje się zajadłe skupienie. Wygląda na to, że całkowicie zapomniała o współtowarzyszach.

Parks i Gallagher przeszli do kabiny kierowcy. Siłują się tam z czymś – prawdopodobnie z ciałem, o którym wspomniał sierżant. Po chwili wynoszą owinięte w koc zwłoki na zewnątrz. Ciągnie się za nimi płatanina nieprzyjemnych woni, szczęśliwie starych i zwierzęcych.

– Drzwi w kabinie kierowcy są zablokowane – rzuca burkliwie Parks. – Wygląda na to, że nie otworzymy ich bez zasilania. A zasilania nie ma.

Wynoszą ciało przez drzwi w bocznej ścianie, te same, przez które weszli. Justineau zauważa po ich wewnętrznej stronie skomplikowany zestaw stalowych

pancerzy i plastikowych płyt. Podejrzewa, że to składana śluza powietrzna. Po prawej stronie jest szafka, a w niej sześć skafandrów ochronnych, z których każdy zwieńczony jest walcowatym hełmem z wąskim wizjerem. Przypominają głowy robotów z filmów z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Ludzie, którzy zaprojektowali ten pojazd, pomyśleli naprawdę o wszystkim.

Żałodze to jednak nie pomogło.

Kiedy Justineau kładzie rękę na ramieniu Melanie, dziewczynka podskakuje prawie na pół metra. Justineau cofa się gwałtownie.

– Przepraszam – mówi.

– Nie szkodzi – mamrocze Melanie i podnosi na nią szeroko otwarte, przepastne błękitne oczy. Zazwyczaj widać po niej wszystkie emocje, ale teraz spod niepokoju i ogólnego smutku przezierają głębie, których Justineau nie potrafi zinterpretować.

– Raczej długo tu nie zostaniemy – pociesza ją.

Słyszy, jak jej własne słowa odbijają się pustką. Przecież wcale tego nie wie.

Tymczasem Parks i Gallagher pośpiesznym szeptem wdają się w rozmowę z doktor Caldwell. Następnie Gallagher przechodzi do pomieszczenia dla załogi, a Parks rusza na tył pojazdu. Zaciekawiona Justineau podąża za nim do przedziału silnikowego.

Sierżant zdejmuje pokrywę z urządzenia, które wygląda jak spory generator. Przez chwilę grzebie w nim, pograżony w myślach. Potem zaczyna otwierać szafki na ścianach, jedną po drugiej, i przeglądać ich zawartość. W pierwszej w wielkim porządku tkwi chyba z tysiąc rozmaitych narzędzi. Kolejna zawiera szpule drutu, metalowe części owinięte w poplamioną smarem gazę i różnej wielkości pudełka oznaczone wielocyfrowymi numerami. W trzeciej Parks znajduje instrukcje, które zaczyna natychmiast przeglądać, w skupieniu marszcząc brwi.

– Myślisz, że da się go uruchomić? – pyta Justineau.

– Możliwe – odpowiada Parks. – Spec ze mnie żaden, ale na bezrybiu i rak ryba. Te podręczniki napisano dla idiotów. A ja całkiem nieźle czytam w ich języku.

– To może zająć sporo czasu.

– Pewnie tak. Ale, Chryste, ta fura ma w sobie więcej mocy niż niejedna armia. Stopięćdziesięciopięćmilimetrowe działa. Miotacze ognia. Chyba warto spróbować, nie?

Justineau ma zamiar wrócić do Melanie, by jej przekazać, że pewnie zostaną tu dłużej, niż przewidywali, ale gdy się odwraca, okazuje się, że mała stoi tuż za nią.

– Muszę porozmawiać z sierżantem Parksem – mówi.

Parks znad instrukcji obrzuca ją niewzruszonym spojrzeniem.

– Mamy o czym rozmawiać? – pyta sucho.

– Owszem – odpowiada Melanie i zwróciwszy się do Justineau, dodaje: – Na osobności.

Justineau dopiero po chwili uświadamia sobie, że ją odprawiono.

– W porządku – rzuca, siląc się na obojętny ton. – Pójdę pomóc Gallagherowi.

Zostawia ich samych. Nie potrafi sobie wyobrazić, co Melanie może mieć Parksowi do powiedzenia bez świadków, i ta niepewność rychło przeradza się w niepokój. Sierżant może i ustąpił w sprawie smyczy, ale Justineau wie, że nadal traktuje Melanie jak inteligentne, a zarazem niebezpieczne zwierzę – niebezpieczne tym bardziej, że inteligentne. Dziewczynka musi przy nim pilnować nie tylko tego, co robi, ale również tego, co mówi. Potrzebuje nieustannego wsparcia Justineau.

Gallagher zajmuje się mniej więcej tym samym co doktor Caldwell, czyli przeglądaniem inwentarza – tyle że w pomieszczeniu dla załogi. Gdy Justineau wchodzi do środka, jego praca zbliża się ku końcowi. Szeregowy pokazuje jej zawartość jednej z szafek. Jest tam odtwarzacz CD i dwie półki płyt. W Justineau wzbiera stereofoniczna fala wspomnień, gdy omiata wzrokiem tytuły, które stanowią – delikatnie mówiąc – dość eklektyczny miks. Simon i Garfunkel. The Beatles. Pink Floyd. Frank Zappa. Fairport Convention. The Spinners. Fleetwood Mac. 10CC. Eurythmics. Madness. Queen. The Strokes. Snoop Dogg. Spice Girls.

– Słuchałeś kiedyś takiej muzyki? – pyta Gallaghery.

– Zdarzało się – odpowiada chłopak z nutą melancholii w głosie. Jedynym sprzętem grającym w bazie był ten zamontowany na bloku, z którego puszczano wyłącznie klasykę. Jedna czy dwie osoby z personelu miały empetrójki z ładowarką na korbkę, których jednak zazdrośnie strzegli.

– Myśli pani, że dałoby się tego posłuchać? – pyta.

Justineau nie ma pojęcia.

– Pewnie tak, zakładając że Parks zdoła uruchomić generator. Jedyne, na co narażony był sprzęt grający, to zmiany temperatury. Z pewnością nie ma tu wilgoci, a to by było najgorsze. O ile nie przepalił się bezpiecznik, a wszystkie obwody są w porządku, nie ma powodu, żeby nie działał. Nie róbcie sobie zbyt wielkich nadziei, żołnierzu, ale sądzę, że może wam się dzisiaj trafić kolacja z potańcówką.

Gallagher markotnieje.

– Nie sądzę – wzdycha posepnie.

– Jak to?

Szeregowy wzrusza ramionami, a potem wskazuje rozbebeszone szafki.

– Kolacji nie będzie.

Parks zwołuje spotkanie w pomieszczeniu dla załogi, zjawia się na nim jednak tylko czworo uczestników.

– Gdzie Melanie? – pyta twardo Justineau, z miejsca niespokojna i podejrzliwa.

– Wyszła – odpowiada Parks. Po czym, w obliczu gniewnego sceptycyzmu Justineau, dodaje: – Ale wróci. Musiała coś zrobić.

– Coś zrobić? – powtarza Justineau. – Melanie nie ma potrzeb fizjologicznych, więc jeśli twierdzisz, że...

– Nie – prostuje sierżant. – Nie wyszła za potrzebą. Później ci wszystko wyjaśnię, skoro nalegasz, choć mała upierała się, żebym tego nie robił, tak, że masz wybór. Tymczasem musimy przedyskutować pewne sprawy, i to natychmiast.

Wszyscy czworo balansują na skrajach dolnych prycz. Są one zamontowane po trzy, jedna nad drugą, siedzący muszą więc wychylać się do przodu, by nie nabicić sobie guza o stalową ramę środkowego legowiska, umieszczoną na dokładnie takiej wysokości, jaka jest potrzebna, by rozwalić człowiekowi łeb. W laboratorium mieliby do dyspozycji więcej przestrzeni, ale z wyjątkiem doktor Caldwell nikt nie ma ochoty spędzać zbyt wiele czasu w miejscu, gdzie funkcję potpourri spełnia formalina.

– Z tego, co mówi pani doktor – zaczyna Parks, podkreślając swoje słowa skinieniem głowy w odpowiednią stronę – ta landara była czymś w rodzaju stacji badawczej, zbudowanej tak, by mogła swobodnie poruszać się po mieście i zapewnić bezpieczeństwo na wypadek ataku. Pomysł był świetny, nie mówię, że nie. Tyle że pewnego dnia wydarzyły się dwie rzeczy; nie jestem pewien, w jakiej kolejności. Po pierwsze trzasnął generator. Albo coś w systemie zasilania, ponieważ jak na moje laickie oko sam mechanizm, ogólnie rzecz biorąc, jest w porządku.

– Może skończyło im się paliwo – ryzykuje Gallagher.

– Nie. Mieli pod ręką koło siedmiuset galonów wysokooktanowego paliwa lotniczego. Butle w miotaczach ognia również są pełne. Gdyby ich przycisnęło, spokojnie mogliby się nimi poratować. Tak więc prawdopodobnie doszło do usterki mechanicznej. Niby powinni byli naprawić ją bez trudu, tu jest cała masa zapasowych części, ale... no nie wiem, z jakiegoś powodu im się nie udało. Może w tamtej chwili ci z nich, którzy najlepiej znali się na mechanice, już nie żyli. Tak czy siak trzeba rozebrać ten generator i sprawdzić, o co chodzi.

– Czyli się decydujemy? – stanowczym tonem pyta Justineau.

– Chyba że masz solidną alternatywę. Ta fura jest pancerna jak czołg i o wiele skuteczniejsza niż humvee. Możemy dojechać nią do Beacon, oszczędzając sobie w ten sposób mnóstwo zachodu.

Justineau mimowolnie zauważa na twarzy Caldwell przebiegły, chełpliwy uśmiezek. To sprawia, że wbrew rozsądkowi wysuwa kolejne obiekcje:

– Raczej nie przejedziemy niezauważeni.

– Nie – przyznaje Parks. – Warkot silnika będzie słycać z przeszło kilometra. Ale temu, kto nas usłyszy, radziłbym, żeby spierdalał, gdzie pieprz rośnie, bo jak już ruszymy, nic nas nie zatrzyma. Głodni, złomiarze ani blokady. Gaz do dechy i do przodu. Zresztą nie musimy nawet trzymać się jezdni. Tą landarą spokojnie da się staranować dom. Jedyne, co powstrzyma grubaskę Rosie, to rzeka, ale mamy tu mapy, na których ktoś zaznaczył mosty zdolne udźwignąć jej ciężar. Moim zdaniem byłby to spory błąd, gdybyśmy przynajmniej nie spróbowali. Najgorsze, co się może zdarzyć, to to, że któryś z mostów będzie zerwany, a wtedy najwyżej zrobimy małe kółko. Albo spadnie bieżnik, albo pójdzie uszczelka w silniku, ale nawet wtedy nie będziemy w gorszej sytuacji niż w tej chwili. Tymczasem odpoczniemy od marszu, który wszystkim mocno dał się we znaki, a najbardziej pani doktor.

– Dzięki, przybyszu z Samarii – rzuca z przekąsem Caldwell.

– Nie wiem, co to znaczy, ale nie ma za co.

– Dwie rzeczy – wtrąca Justineau.

– Słucham?

– Powiedział pan, że dwie rzeczy poszły nie tak. Generator to jedno.

A drugie?

– A, faktycznie – przyznaje Parks. – Właśnie miałem o tym wspomnieć. Załodze skończyło się jedzenie. Szafki są puste. Nie ma w nich ani okruszka. Oto, co się moim zdaniem wydarzyło: stracili generator i nie byli w stanie go naprawić. Siedzieli tu kilka dni, może tygodni, czekając na pomoc. Ale na zewnątrz rozpętało się piekło i pomoc nie nadeszła. W końcu jedno z nich stwierdziło: chrzanić to. Spakowali manatki i postanowili iść pieszo. Jeden został, prawdopodobnie na straży. Reszta wyruszyła w stronę zachodzącego słońca. Może im się udało, może nie. To drugie jest bardziej prawdopodobne, ponieważ ten, który został, strzelił sobie w łeb. Poza tym nikt nie wrócił po wrak. Na całe szczęście dla nas.

Sierżant toczy wzrokiem po twarzach zebranych.

– Rzecz jasna istnieje niebezpieczeństwo, że nam przytrafi się to samo – podsumowuje. – Nie mam pojęcia, jak długo potrwa naprawa generatora, o ile w ogóle jest możliwa. Ale póki się nie uda albo póki nie damy za wygraną, zostaniemy tutaj. A więc potrzebne nam zapasy. Te ze Stevenage się skończyły, a po drodze nie trafiliśmy na żaden budynek, który nie zostałby wcześniej splądrowany, spalony albo zrównany z ziemią. Wciąż mamy zapas wody, ale trzeba ją oszczędzać, ponieważ następnym miejscem, gdzie będziemy go mogli uzupełnić, jest brzeg Tamizy. Zatem musimy coś znaleźć, i to szybko. Idealny byłby supermarket, który jakimś cudem uchował się przed złomiarzami, albo dom,

którego właściciele byli na tyle zapobiegliwi, by zaopatrzyć się na czas katastrofy, po czym ktoś ich załatwił, zanim zdążyli skorzystać z zapasów.

Z jego głosu bije taki chłód, że Justineau aż się wzdryga.

– Założę się, że załoga przeszukała całą okolicę – zauważa. Poczawszy na sobie wzrok Parksa, wzrusza ramionami. – To znaczy możemy chyba spokojnie założyć, że dobrze się rozejrzeli, zanim opuścili swoją superfortecę. O ile były gdzieś w okolicy jakieś zapasy, jestem pewna, że je znaleźli.

– Trudno się z tym nie zgodzić – przyznaje Parks. – Zatem wygląda na to, że mamy poważny problem. I to niezależnie od tego, co postanowimy, choć jeśli zostaniemy tu dzień lub dwa, czyli tyle, ile potrzebuję, by się uporać z naprawą, stanie się prawdopodobnie jeszcze poważniejszy. Przed nami ważna decyzja, być może sprawa życia lub śmierci, a jej skutki dotyczą wszystkich po równo. Chętnie wziąłbym to na siebie, ale kilka dni temu panna Justineau była mi łaskawa dobitnie przypomnieć, że nie jest moją podkomendną. Nie jest nią również pani doktor. Zatem w drodze wyjątku jestem gotów zarządzić głosowanie. Ruszamy czy zostajemy? Niech podniosą ręce ci, którzy chcą spróbować naprawić generator i wrócić do Beacon w pełni chwały.

Dłoń Caldwell błyskawicznie szybuje w górę. Gallagher podnosi rękę odrobinę wolniej. Justineau zostaje przegłosowana.

– W porządku? – pyta ją Parks.

– Chyba nie mam wyboru – odpowiada Justineau.

Prawda jest jednak taka, że sama się wahała. Jej podejrzliwość w stosunku do Rosie ma o wiele więcej wspólnego z wyraźnym niepokojem Melanie i wydarzeniami w bazie niż z jakąkolwiek logiczną argumentacją. Zdecydowanie przemawia do niej wizja wygody i poczucia bezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą podróż w tym gigantycznym czołgu. Żadnych więcej pułapek, żadnego spania pod gołym niebem. Nie trzeba będzie podskakiwać na każdy szelest i sprawdzać, czy aby coś nie czai się za plecami.

Równocześnie jednak wyraz twarzy Caldwell przypomina jej minę kota oblizującego się na widok miski ze śmietanką. Głowa i żołądek buntują się na myśl o tym, że będzie musiała przebywać z nią w zamkniętej przestrzeni dłużej, niż jest to absolutnie konieczne.

– W takim razie chcę wyjść na miasto – zwraca się do Parksa. – Jeśli nie jestem potrzebna przy generatorze, pójdę z Gallagherem szukać jedzenia.

– Taki właśnie miałem plan – zgadza się sierżant. – Nie uruchomię generatora, póki nie obmyślę, jak się do tego zabrać, więc na razie mam zamiar skupić się na czytaniu instrukcji. Do zmroku zostały jeszcze trzy godziny, zatem jeśli rzeczywiście masz na to ochotę, sugerowałbym, żebyście je wykorzystali. Pamiętajcie o krótkofalówkach. Jeśli coś się stanie, dotrę do was tak szybko, jak to będzie możliwe. Pani doktor, panią zwalniam z tego zadania, pani ręce są w takim

stanie, że tak czy inaczej wiele by pani nie udźwignęła. Poza tym mamy tylko dwa plecaki.

Justineau jest zdziwiona, że sierżant się usprawiedliwia. Ale widzi, że spogląda na Caldwell z namysłem, więc może ma wobec niej jakieś plany.

– Cóż, jest wiele rzeczy, którymi mogę zająć się na miejscu – odpowiada Caldwell. – Zacznę od filtrów wodnych. Teoretycznie miały one za zadanie kondensować wodę z powietrza. Jeśli generator zadziała, być może uda nam się je uruchomić.

– Świetnie. – Parks ponownie zwraca się do Justineau: – Lepiej już ruszajcie, jeśli macie wrócić przed zachodem słońca.

Ale ona nie jest gotowa. Martwi się o Melanie i chce poznać prawdę.

– Czy mogę z tobą porozmawiać? – pyta, świadoma, że naśladuje słowa dziewczynki. – Na osobności.

Parks wzrusza ramionami.

– Okej, byle krótko.

Wracają do przedziału silnikowego. Justineau otwiera usta, ale wtedy Parks wręcza jej swoją krótkofalówkę.

– Na wypadek, gdybyście się rozdzielili – wyjaśnia. – Tu w kabinie jest mnóstwo nadajników, dużo lepszych niż te przenośne, więc możecie spokojnie zabrać ze sobą po jednej.

Justineau wsuwa urządzenie do kieszeni, nawet na nie nie patrząc. Nie zamierza dać się zbić z tropu omawianiem technicznych detali.

– Chcę wiedzieć, co powiedziała Melanie – oznajmia. – I dokąd poszła.

Parks drapie się w szyję.

– Na pewno? Mimo że mnie wyraźnie prosiła, żebym nic ci nie mówił?

Justineau wytrzymuje jego spojrzenie.

– Puściłeś ją całkiem samą. Dobrze wiem, że jest ci wszystko jedno, czy przeżyje. Ale mnie nie. Chcę wiedzieć, jak mogłeś na to pozwolić.

– Mylisz się.

– Serio? W jakiej sprawie?

– Co do mnie. – Sierżant przysiadła na otwartym kadłubie generatora i krzyżuje ręce na piersi. – Okej, może nie do końca. Kilka dni temu rzeczywiście twierdziłem, że najlepiej byłoby się jej pozbyć. Ale od tego czasu dwa razy uratowała nam tyłki, a do tego okazała się całkiem niezłym zwiadowcą. Źle by się stało, gdybyśmy ją stracili.

Justineau chce odpowiedzieć, ale on jeszcze nie skończył.

– Na dodatek może tu niechcący kogoś przyprowadzić, więc pozwolenie, żeby włączyła się sama, niosło za sobą pewne konsekwencje. Ale po tym, co mi powiedziała, postanowiłem wybrać mniejsze zło.

Justineau robi się sucho w ustach.

– Co powiedziała? – pyta stanowczym tonem.

– Że nasz e-bloker jest głównie wart, Helen. Dziś rano natarliśmy się o wiele za cienką warstwą, ponieważ zostało nam pół tubki na cztery osoby. Miałem nadzieję, że znajdziemy tu jakieś zapasy, ale nic z tego. Jest tylko ta niebieska maź, której doktor Caldwell używa w laboratorium, ale to zwykły środek do dezynfekcji. Nie przykryje naszego zapachu. Mała czuła nas od rana i wariowała z głodu. Była przerażona, że nie wytrzyma i kogoś ugryzie. Na przykład ciebie. Dlatego nie chciała, żebym ci o tym mówił. Chce, żebyś o niej myślała jak o dziecku ze swojej klasy, nie wygłodzonym zwierzęciu.

Justineau czuje, że kręci jej się w głowie. Opiera się o zimną metalową ścianę i czeka, aż pomieszczenie przestanie wirować.

– Ale... – mówi w końcu – ja właśnie tak o niej myślę.

– To samo jej powiedziałem. Ale przecież się tym nie naje. Więc puściłem ją wolno.

– Wolno...?

– Zabrałem ją na zewnątrz, zdjąłem kajdanki i poleciała. Czekają tu na nią. – Sierżant otwiera szafkę i rzeczywiście, leżą tam, obok starannie zwiniętej smyczy. – Pokazałem jej też, jak ściągnąć kaganiec, choć jestem pewien, że już dawno zdążyła się domyślić. To tylko parę skórzanych pasków. Zostanie tam, póki nie znajdzie czegoś do jedzenia. Czegoś dużego. Plan jest taki, żeby się napchała, aż pęknie. I broń Boże nie wracała z pustym brzuchem. Może to jej pozwoli utrzymać instynkt w ryzach, na krótko, bo na krótko, ale zawsze.

Justineau przypomina sobie dzisiejsze zachowanie Melanie – jej gwałtowne reakcje i ogólny niepokój. Teraz rozumie, jak bardzo musiała cierpieć. Nie rozumie natomiast, co skłoniło Parksa do ustępstwa w sprawie kajdanków i kagańca. Ogarnia ją jednocześnie zdziwienie i niechęć, jakby fakt, że ktoś inny – a już zwłaszcza Parks – postanowił zaufać Melanie, miał jakoś nadwątlić łącząca je więź.

– Nie bałeś się, że cię ugryzie? – pyta. Słyszy w swoim głosie zjadliwą nutę i nagle przyprawia ją to o mdłości. – To znaczy... Uznałeś, że może z nami zostać, chociaż to głodna?

– No nie – odpowiada niewzruszony Parks. – Dlatego ją wypuściłem. A może chodzi ci o to, czy się bałem, kiedy zdejmowałem jej kajdanki? Też nie, bo cały czas miałem ją na muszce. Ten dzieciak jest niezwykły, może lepszym określeniem byłoby: jedyny w swoim rodzaju, ale jest, kim jest. I o tym wie, i właśnie to czyni ją wyjątkową. Nie oszczędza się. Sporo ludzi mogłoby wziąć z niej przykład.

Wręcza jej swój opróżniony plecak.

– Chodzi ci o mnie? – pyta Justineau wyzywającym tonem. – Uważasz, że się opieprzam?

Ma ochotę się pokłócić, ale on nie włącza się do gry.

– Nie, nie miałem na myśli ciebie. Mówiłem ogólnie.

– Ogólnie? Zebrało ci się na filozofowanie?

– Raczej na bycie wrednym gburem. Taka robota. Sądziłem, że wiesz.

Waha się, zaskoczona. Nie uważała go za zdolnego do samokrytyki.

Z drugiej strony wcześniej nie sądziła również, że Parks zdobędzie się na to, by zmienić zdanie.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś mądre rady? – pyta. – Jak przeżyć szal zakupów? Dziesięć zasad przetrwania w wielkim mieście?

Parks zastanawia się dłużej i poważniej, niż się spodziewała.

– Natrzyjcie się resztką e-blokera – mówi w końcu. – I spróbujcie przeżyć.

Gallagher żałuje, że nie jest sam.

Nie chodzi o to, że nie lubi Helen Justineau. Wręcz przeciwnie. Lubi ją bardzo. Uważa, że jest naprawdę piękna. Wielokrotnie bywała gwiazdą jego seksualnych fantazji, zazwyczaj obsadzana w roli niezwykle doświadczonej, a zarazem dziko perwersyjnej starszej kobiety, która uwodzi chłopca na tyle młodego, że mógłby być jej synem, po czym pokazuje mu co i jak, wyciskając przy tym z niego ostatnie soki. Często w jak najbardziej dosłownym sensie.

Właśnie dlatego teraz Gallagher czuje się niezręcznie. Boi się, że powie albo zrobi coś głupiego. Boi się, że gdy trzeba będzie szybko podjąć decyzję, on nie zdoła się skupić, bo będzie myślał tylko o niej. Boi się, że nie będzie potrafił ukryć tego, jak bardzo się boi.

Wcale mu nie pomaga to, że nie mogą ze sobą rozmawiać. Okej, wymieniają od czasu do czasu ostrożne pomruki, kiedy przy końcu jakiejś ulicy trzeba postanowić, który wybrać kierunek. Ale poza tym poruszają się w całkowitej ciszy, wolnym, posuwistym chodem, którego nauczył ich sierżant Parks. Co nie zmienia faktu, że ta ostrożność wydaje im się nieco przesadzona. Przez pierwszą godzinę po opuszczeniu pancernejszej ciężarówki o głupiej nazwie widzieli tylko czterech żywych głodnych, i to z daleka.

Potem znajdują pierwszego martwego. Nieszczęśnik zakwitł jak pozostali, tyle że upadł na brzuch, w związku z czym biały trzon przebił się przez jego plecy. Na twarzy Helen Justineau obrzydzenie miesza się z troską. Chyba się martwi o smarkulę. Tak jak przed Załamaniem martwiło się wiele matek, myśląc: „świat to olbrzymie miejsce pełne degeneratów i gdzie jest teraz moja słodka dziewczynka?”.

Zgadza się, po świecie chodzi mnóstwo bydlaków, Gallagher jest nawet z niektórymi spokrewniony. Kolejnych spotkał, kiedy upadała baza. To, że jest ostatnio wiecznie niespokojny, bierze się częściowo – a może przede wszystkim – z poczucia, że to, co robi, nie ma sensu. Okej, wraca do domu. Ale to jest trochę jak wkładanie stopy w sidła, z których człowiek dopiero co zdołał się oswobodzić. Wiadomo, nie mogą wrócić do bazy, ponieważ baza już nie istnieje, a dranie, którzy ją rozwalili, prawdopodobnie nadal ich ścigają. Problem w tym, że w Beacon wcale nie czeka na szeregowego schronienie. Myśląc o powrocie, Gallagher wyobraża sobie ogromną paszczę, która rozwiera się szeroko, żeby go połknąć w całości.

Próbuje wziąć się w garść. Chciałby wyglądać i czuć się jak żołnierz. Chciałby, aby Helen Justineau czuła się bezpiecznie w jego obecności.

Od jakiegoś czasu posuwają się do przodu długą ulicą pełną splądrowanych wiele lat temu sklepów. Stanowiły zbyt oczywisty cel. Prawdopodobnie ogołoco

je w pierwszych dniach Załamania.

Skupiają więc uwagę na domach w bocznych uliczkach, do których trudniej się dostać i które trudniej przeszukać. Przede wszystkim trzeba się upewnić, czy w pobliżu nie ma głodnych. A włamując się do środka, nie wolno robić hałasu, ponieważ hałas ich przyciąga. Wewnątrz należy przeprowadzić kolejny zwiad. W jednym z tych domów może się kryć całe gniazdo głodnych – byłych mieszkańców bądź nieproszonych gości.

Taka robota idzie powoli i nerwy ma się w strzępach.

Na dodatek leje deszcz. Jak szczyzny z ponurego szarego nieba.

Jest również nudno, o ile można się bać i nudzić jednocześnie. Gallagher ma wrażenie, że wszystkie domy są do siebie podobne. Ciemne. Zatechłe. Z wilgotnymi dywanami, pleśniejącymi zasłonami w oknach i czarnymi plamami grzyba na ścianach. Zagracone miliardem niepotrzebnych przedmiotów, o które człowiek bez przerwy się potyka. Zupełnie jakby przed Załamaniem ludzie poświęcali całe życie na budowanie wokół siebie kokonów z mebli, ozdób, książek, zabawek, obrazów i całej masy zbędnego szmelcu. Jakby mieli nadzieję, że któregoś dnia wychyną z wnętrza takiego kokonu odmienieni. Faktycznie, niektórym to się sprawdziło, choć chyba nie o takiej odmianie marzyli.

W większości tych domów Justineau i Gallagher zagląдают tylko do kuchni. Czasem zdarzy się składzik albo garaż, wtedy sprawdzają i tam. Trzymają się natomiast z dala od lodówek i zamrażarek, wiedzą bowiem, że zastaną tam jedynie smród oraz zgniliznę. Warte uwagi są wyłącznie puszki, torebki i plastikowe paczki.

Tych jednak nie znajdują. Kuchnie wieją pustką.

Zaczynają więc obchód kolejnej ulicy, z podobnym skutkiem. Na samym jej końcu dostrzegają zamknięte jaskrawozielone drzwi jakiegoś garażu i w pierwszym odruchu po prostu je mijają. Garaż sąsiaduje ze splądrowanym spożywcakiem. Justineau, zauważywszy to, zwalnia kroku.

– Myślisz o tym co ja? – pyta Gallaghera.

Póki się nie odezwała, Gallagher nic nie myślał, ale teraz błyskawicznie zaczyna główkować, bo bardzo chciałby mieć jej coś do powiedzenia, coś oprócz: „hm?”.

– To może być magazyn – rzuca wreszcie.

– Właśnie. I coś mi mówi, że nikt wcześniej nie dostał się do środka. Rozejrzyjmy się, żołnierzu.

Drzwi są zaryglowane. Wykonano je z lekkiego, cienkiego metalu, co z jednej strony jest zaletą (nie będzie trudno się włamać), z drugiej zaś wadą (jeśli spróbują, narobią przy tym mnóstwo hałasu).

Gallagher wciska bagnet pod metalową płachtę w dolnym rogu i napiera. Metal gnie się z donośnym, przenikliwym zgrzytem. Oboje wkładają palce

w szczelinę przy framudze i ciągną, powoli, lecz zawzięcie. Towarzyszy temu wciąż ten sam zgrzytliwy hałas, ale nie są w stanie nic na to poradzić.

Odginają trójkąt blachy, którego najdłuższy bok ma niecały metr. Potem rozglądają się, nasłuchując w napięciu. Na ulicy panuje martwota.

Padają więc na czworaka i przeciskają się do środka. Gallagher włącza latarkę i omiata nią pomieszczenie.

Garaż jest pełen pudeł.

Większość z nich jest pusta. Niektóre są wypełnione gazetami i czasopismami, zabawkami, zeszytami i przyborami do pisania. Reszta zawiera jedzenie, choć są to głównie przekąski. Chipsy, fistaszki, suszone skwarki. Czekoladowe batony i herbatniki. Landrynki w tubkach długości karabinowego naboju. Pojedynczo zapakowane biszkoptowe roladki.

I butelki. Wszelkiego rodzaju. Oranzada, lemoniada, cola, sok z czarnej porzeczki i napój imbirowy. Poza wodą praktycznie wszystko, co można sobie wyobrazić, o ile czyjaś wyobraźnia ogranicza się do substancji słodzących i dwutlenku węgla.

– Myśli pani, że coś tu się nadaje do jedzenia? – szepcze Gallagher.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – brzmi odpowiedź.

Zabierają się do degustacji, rozrywając plastikowe paczuszki i ostrożnie sondując ich zawartość. Chipsy okazują się paskudne, miękkie i skruszałe, z kwaśnym posmakiem, który kojarzy się z zapachem potu. Herbatniki za to są w porządku.

– Tłuszcz utwardzone – wyjaśnia Justineau, prychnąwszy okruszkami. – Podejrzewam, że to kurewstwo przetrwałoby i do końca świata.

Najlepsze są fistaszki. Gallagher nie może uwierzyć w ich smak, równie słony i intensywny jak smak mięsa. Z rozpędu pochłania trzy paczki.

Kiedy podnosi wzrok, Justineau szczyrzy do niego zęby – ale z sympatią, bez cienia złośliwości. Gallagher wybucha głośnym śmiechem, zadowolony, że odbyli razem tę dziwną ucztę – i że w półmroku garażu nie widać, jak się czerwieni.

Melduje sierżantowi przez krótkofalówkę, że wyprawa się powiodła i że w zasadzie była to bułka z masłem. A jeśli nie bułka, to herbatnik. Z utwardzonym tłuszczem. Parks przekazuje im swoje najszczerze gratulacje, po czym poleca załadować do plecaków, ile się da, i brać dupy w troki.

Gallagher i Justineau napełniają przekąskami plecaki oraz kieszenie, poza tym każde bierze z sobą kilka pełnych pudeł. Gdy dziesięć minut później ostrożnie wychodzą na ulicę, okazuje się, że nadal mają ją tylko dla siebie.

Ruszają z powrotem w euforycznych nastrojach. Jak myśliwi, którzy właściwie spełnili swoje zadanie i wracają do jaskini z mamutem na plecach. Pozostaje rozpalić ognisko, które rozświetli mrok, rozsiać się wokół, pić i wesoło gawędzić.

No, może niezupełnie. Ale jeśli będą mieli szczęście, czeka ich prawdziwa kolacja za zamkniętymi drzwiami i przy dźwiękach piosenek Fleetwood Mac.

Doktor Caldwell wyciąga sześć plastikowych pudełek z próbkami tkanki mózgowej głodnego z Wainwright House i ustawia je jedno obok drugiego na świeżo zdezynfekowanym blacie. Powierzchnie w laboratorium wykonane są z syntetycznego zamiennika marmuru, czyli mieszanki mączki marmurowej, boksytu i poliestru, która nie jest tak zimna jak prawdziwa skała. Gdy Caldwell opiera na nim na moment rozpalone, pulsujące dłonie, dotyk blatu nie przynosi jej specjalnej ulgi.

Przygotowuje szkiełka z próbkami. Nie ucieka się do ATLUM – ponieważ Rosie nie ma funkcjonującego źródła zasilania, ale również dlatego, że próbki zostały pobrane łyżką. Nie zachowały naturalnego układu poszczególnych warstw, więc cięcie ich na plasterki miałyoby się z celem.

ATLUM będzie jej potrzebne do czego innego.

Na razie rozsmarowuje na szkiełkach maleńkie ilości tkanki, tak cienko, jak to możliwe, dodaje po kropli barwnika i bardzo ostrożnie przykrywa szkiełka. Gruba warstwa bandaży na dłoniach sprawia, że zabiera jej to więcej czasu, niż powinno.

Sześć próbek tkanki. Pięć różnych barwników, czyli siarczan ceru, ninhydryna, D282, bromokrezol i roztwór aldehydu anyżowego. Caldwell pokłada największe nadzieje w D282, fluorescencyjnej lipofilnej karbocyjaninie, znanej z tego, że czyni delikatne struktury neuronów doskonale widocznymi. Ponieważ jednak ma wybór, zamierza wypróbować wszystkie barwniki. Każdy z nich może przynieść cenne informacje.

W normalnych warunkach kolejnym krokiem byłoby uruchomienie transmisyjnego mikroskopu elektronowego, który czeka w kącie laboratorium. Wygląda jak skrzyżowanie młota pneumatycznego i szturmowca z *Gwiezdnych wojen* – biały, ceramiczny, o gładkich, zaokrąglonych płaszczyznach.

Niestety po raz kolejny pojawia się problem braku zasilania. Mikroskop nie zadziała, póki sierżant Parks nie nakarmi go energią.

Tymczasem doktor Caldwell skupia uwagę na zarodni. Laboratorium może się poszczycić kilkoma komorami badawczymi. Każda z nich ma w bocznej ścianie dwa okrągłe otwory zabezpieczone cylindrycznymi osłonkami. Można w nie włożyć długie do łokci gumowe rękawiczki, które następnie uszczelnia się specjalnym żelem.

Umieściwszy zarodnię w komorze, Caldwell zabiera się do pracy. Najpierw próbuje otworzyć ją palcami. Bez skutku. Zewnętrzna powłoka jest mocna, sprężysta i bardzo gruba. Niełatwo sobie z nią poradzić nawet za pomocą skalpela.

W końcu ze środka wylewa się nieskończenie delikatna, piana masa zarodników przypominających szare mydlane bańki. Zaciekawiona Caldwell

zagłębia w nich palec. Watowata substancja mimo niebywalej gęstości nie stawia najmniejszego oporu.

Pochłonięta pracą, uświadamia sobie nagle, że nie jest sama. Do pomieszczenia wszedł sierżant Parks i teraz obserwuje ją w milczeniu. Trzyma w dłoni pistolet – tak swobodnie, jak to możliwe w cywilizowanej przestrzeni laboratorium, gdzie taki przedmiot nie ma najmniejszej racji bytu.

Caldwell nie reaguje i dalej ostrożnie rozcina tykwę, by przyjrzeć się z bliska jej wewnętrznej strukturze.

– Dobra wiadomość jest taka – odzywa się wreszcie, nie odrywając wzroku ani uwagi od komory – że ściana zarodni wygląda na wyjątkowo mocną. Żadna z kul, które widzieliśmy leżące na ziemi, nie pękła, a rozdarcie jej gołymi rękami byłoby niemożliwe. Aby wykiełkowała, potrzebny jest prawdopodobnie jakiś czynnik zewnętrzny, który jak do tej pory się nie pojawił.

Parks nie odpowiada. Nadal stoi bez ruchu.

– Zastanawiał się pan kiedyś nad karierą naukową, sierżancie? – pyta Caldwell, wciąż odwrócona do niego plecami.

– Raczej nie – odpowiada Parks.

– I dobrze. Naprawdę jest pan na to o wiele za głupi.

Nagle sierżant wyrasta tuż nad jej ramieniem.

– Pani sądzi, że coś mi umknęło? – pyta.

Gdy Caldwell zerka w dół, pistolet znajduje się dokładnie na linii jej wzroku. Sierżant zaciska na nim obie dłonie, gotów do strzału.

– Owszem.

– Co takiego?

Caldwell odkłada skalpel i bardzo powoli wyjmuje ręce z komory. Potem odwraca się i spogląda prosto na niego.

– Widzi pan, że jestem blada i się pocę. Że mam zaczerwienione oczy. Że coraz wolniej chodzę.

– Rzeczywiście, widzę.

– Rozumiem, że postawił pan diagnozę.

– Swoje wiem, pani doktor.

– Ach, sierżancie, właśnie, że pan nie wie. Nie wie pan wszystkiego.

Rozwija bandażę i pokazuje mu lewą dłoń. Spod warstw białego płótna wylania się trupio blada, lekko pomarszczona skóra. Czerwone linie biegną od nadgarstka w górę ramienia – albo w dół, teraz gdy ramię jest uniesione. To nieważne. Trucizna szuka drogi do serca i nie zwraca przy tym uwagi na kaprysy lokalnej topografii.

– Zatrucie krwi – oznajmia Caldwell. – Ciężki przypadek sepsy. Pierwszym, co zrobiłam, gdy się tu znaleźliśmy, było przyjęcie solidnej dawki amoksycyliny, ale jestem niemal pewna, że było już na to o wiele za późno. Ja się nie zmieniam

w głodną, sierżancie. Ja po prostu umieram. Więc proszę łaskawie pozwolić mi pracować w spokoju.

Parks zwleka jeszcze kilka chwil. Caldwell to rozumie. Sierżant jest typem człowieka, który lubi, gdy problemy mają proste, jednoznaczne rozwiązania. Sądził, że ona stanowi taki właśnie problem, a teraz się przekonał, że tkwił w błędzie. Trudno mu poradzić sobie ze zmianą perspektywy.

Tak więc Caldwell rozumie, ale nie potrafi pomóc. Zresztą co ją to obchodzi. Teraz liczą się tylko badania, które – po długim okresie stagnacji – wreszcie zaczynają jawić się obiecująco.

– Mówi pani, że te owocujące twory nie są niebezpieczne? – pyta sierżant.

Caldwell parska śmiechem. To silniejsze od niej.

– Ależ skąd, w żadnym wypadku – zapewnia go. – Chyba że martwi pana wizja zagłady na światową skalę.

Na jego twarzy jak na kartach otwartej książki malują się kolejno ulga, zmieszanie, aż w końcu – podejrzliwość.

– Słucham?

Caldwell jest niemal przykro przekłuć bańkę jego nieświadomości.

– Wspominałam już, że te zarodnie zawierają zarodniki patogenu głodu. Ale chyba nie dotarło do pana, co to oznacza. W swojej niedojrzałej, aseksualnej formie *ophiocordyceps* poradził sobie z naszą cywilizacją w ciągu trzech lat. Jedynym powodem, dla którego globalna pandemia nie wybuchła natychmiast i gdzieś przetrwały jeszcze enklawy niezarażonych, jest to, że niedojrzały organizm przenosić się może wyłącznie poprzez płyny ustrojowe.

– Pani doktor – odpowiada sierżant z bólem w głosie. – Jeśli będzie pani do mnie gadać jak cholerna encyklopedia...

– Krew i ślina, sierżancie. Nasz znajomy żyje we krwi i w ślinie. Nie lubi wypuszczać się na powietrze, bo mu ono nie służy. Za to forma dojrzała... – Macha ręką w stronę niewinnej białej kulki spoczywającej na dnie komory. – Cóż, forma dojrzała nie weźmie jeńców. Każda zarodnia zawiera, mówiąc z grubsza, od miliona do dziesięciu milionów spor. Wzniosą się one w powietrze, na tyle lekkie, by przemierzać dziesiątki, a może i setki kilometrów. Jeśli sięgną górnych warstw atmosfery, a to się niechybnie stanie, z łatwością mogą się przenosić z kontynentu na kontynent. Będą na tyle wytrzymałe, by przetrwać tygodnie, miesiące, może nawet lata. I jeśli znajdą się we wdychanym przez pana powietrzu, zostanie pan zarażony. Kiedy zbliża się głodny, to pan go widzi, ale z organizmem o średnicy mniejszej niż milimetr nie pójdzie panu tak łatwo. Trudniej go dostrzec i trudniej trzymać się z dala. Szacuję, że kiedy pierwsza z tych łupin się otworzy, w ciągu miesiąca będzie po nas.

– Ale... twierdziła pani, że się nie otworzą – jąka się wstrząśnięty Parks.

– Mówiłam, że nie otworzą się same. Ten gatunek to forma nietypowa,

mutant, i jego rozwój przebiega w sposób przypadkowy. Ale prędzej czy później nastąpi jakieś wydarzenie będące sygnałem do rozpoczęcia akcji. To tylko kwestia czasu, a prawdopodobieństwo tego wydarzenia stopniowo rośnie, zbliżając się do absolutnej pewności.

Parks nie ma nic więcej do powiedzenia. Wycofuje się, zostawiając ją w spokoju. I choć doktor Caldwell nie pozwoliła, by jego obecność choć na moment spowolniła jej pracę, to bardzo się cieszy, że wreszcie jest sama.

Penetrując okolicę, Helen Justineau odkryła, że ta ekspedycja sprawiła jej więcej przyjemności, niż była skłonna przypuszczać. Towarzystwo Kierana Gallaghera okazało się zaskakująco znośne.

Ale gdy zaledwie dziesięć minut przed zachodem słońca wracają do Rosie i okazuje się, że Melanie jeszcze nie ma, niepokój przygniata ją niczym szesnastotonowy odważnik w starym skeczu Monty Pythona. Gdzie ona się, do diabła, podziewa tyle czasu? Czy naprawdę tak trudno jest jej znaleźć coś do zjedzenia?

Justineau przypomina sobie lisa w Stevenage. Nie była świadkiem momentu, gdy Melanie go złapała, widziała jednak, jak niesie wrywające się zwierzę, poprawiając jego ułożenie tak, by nie stracić równowagi. Skoro była w stanie schwytać lisa, to chyba szczur, blakający się pies albo kot czy ptak nie powinny sprawić jej kłopotu?

Nie sposób stwierdzić, na co Melanie mogła się natknąć na tym pustkowiu. Powinna jej była poszukać, zamiast włóczyć się jak głupia z tym ryżym młokosem.

Odruchowa fala pogardy dla Gallaghera natychmiast sprawia, że robi jej się wstyd. Przecież on niczym nie zawinił poza tym, że jest młody, zielony jak szczypiorek na wiosnę i bezkrytycznie wielbi Parksa.

Który z kolei – Justineau właśnie to zauważyła – nagle zrobił się małomówny i wycofany. Ledwo zerknął na ich znaleziska, burknął coś i skinął głową, po czym wrócił do przedziału silnikowego.

Justineau idzie za nim.

– Co zrobimy, jeśli ona nie wróci? – pyta twardo.

Parks, z głową w bebeczach generatora, odpowiada stłumionym głosem:

– A jak myślisz?

– Pójdę jej poszukać.

Parks prostuje się natychmiast, zresztą o to jej właśnie chodziło. Nie myślała poważnie o tym, by wyjść samotnie w noc. To by nie miało sensu. Nie mogłaby włączyć latarki, nie ogłaszając przy tym wszem wobec swojej obecności. Bez źródła światła byłaby jak ślepiec, choć i latarka niewiele by pomogła. Prędko zjawiliby się głodni, zwabieni światłem albo jej zapachem, albo ciepłem wydzielanym przez jej ciało, i w minutę byłoby po niej.

Gdy więc Parks jej to wszystko tłumaczy, tyle że w nieco dobitniejszy sposób i nie przebierając zbytnio w słowach, ona właściwie go nie słucha. Czeka, aż się wygada, po czym powtarza:

– Co robimy?

– Nic nie możemy zrobić. Mała jest tam o wiele bezpieczniejsza niż którekolwiek z nas. Poza tym to niegłupi dzieciak. Wie, że po zmroku należy się

przycząć i czekać na wschód słońca.

– A jeśli się zgubiła? Kilka razy skręciła w ciemności nie w tę stronę albo po prostu zapomniała drogi? Nie mamy pojęcia, jak daleko zawędrowała, a te ulice pewnie wszystkie wyglądają dla niej tak samo. Możliwe, że nawet za dnia nie trafiłaby z powrotem.

Parks spogląda na nią twardo.

– Nie zamierzam odpalać flary – mówi. – Jeśli o to ci chodzi, możesz od razu o tym zapomnieć.

– Co mamy do stracenia? – upiera się Justineau. – Siedzimy w cholernym czołgu. Nic nas nie ruszy.

Parks rzuca na bok trzymaną dotąd instrukcję i sięga po klucz francuski. Przez chwilę Justineau ma wrażenie, że jej nim przywali. Dopiero po chwili ze zdumieniem uświadamia sobie, że sierżant jest nie mniej spięty niż ona.

– Nie musieliby nas ruszać – zauważa ponuro Parks. – Wystarczy, że rozbiją biwak pod progiem i poczekają dzień lub dwa. Nie stać nas na to, by ryzykować oblężenie, Helen. Zwłaszcza kiedy całe nasze zapasy to solone fistaszki i kilka paczek delicji.

Justineau wie, że w tej sprawie Parks ma rację. Ale to nie ma znaczenia, ponieważ gdy opróżnił plecak, niepostrzeżenie zwędziła ze sterty różnorodnych przedmiotów pistolet sygnałowy. Wetknęła go za krawędź džinsów pod plecami, gdzie ledwo go widać. Póki będzie się trzymała w cieniu, nic się nie wyda.

Parksa jednak gryzie coś innego. Justineau z niepokojem stwierdza, że nie jest w stanie odgadnąć przyczyny jego nerwowego nastroju.

– Co jest? – pyta ostro. – Czy pod naszą nieobecność coś się wydarzyło?

– Nie. – Odpowiedź pada zbyt szybko. – Tyle że skończył nam się e-bloker, a tu nie ma nic, czego moglibyśmy użyć w zamian. Od teraz za każdym razem, gdy wyjdziemy na zewnątrz, zostawimy ślad prowadzący pod same drzwi. Jeśli mała wróci, kaganiec i smycz nie wystarczą, żeby ją powstrzymać. Będzie nas czuła non stop. Jak myślisz, co się wtedy stanie?

Ta nowa myśl draży jej umysł jak podstępna żmija. Przez chwilę Justineau nie jest w stanie wykrztusić słowa. Pamięta, co napad głodu zrobił z Melanie w bazie. I wyobraża sobie, co będzie, gdy dziewczynka straci nad sobą kontrolę tu, w zamkniętej przestrzeni Rosie.

Jak zdołają założyć jej kajdanki i kaganiec?

Znając drobiazgowość Parksa, zastanawia się, jak dawno przyszło mu to do głowy.

– To dlatego tak chętnie ją wypuściłeś? – pyta. – Miałeś nadzieję, że zasmakuje wolności i zostanie?

– Już ci tłumaczyłem, o czym myślałem – odpowiada Parks. – Nie mam zwyczaju kłamać.

– Bo dla niej to nie jest naturalne środowisko – ciągnie Justineau, czując się, jakby połknęła coś gorzkiego. – Ona nie ma o tym świecie bladego pojęcia. Jest jeszcze bardziej zdezorientowana niż my. Może i zdoła znaleźć coś do jedzenia, ale to nie znaczy, że zdoła przetrwać. Będzie żyła wśród zwierząt. Jak zwierzę. Aż sama upodobni się do zwierzęcia. Mała dziewczynka umrze. To, co zostanie, będzie raczej przypominać głodnych naokoło.

– Wypuściłem ją, żeby nie głodowała – upiera się Parks. – Nad resztą się nie zastanawiałem.

– Jesteś skończonym idiotą. – Podchodzi do niego tak blisko, że sierżant aż się cofa, na tyle, na ile pozwala wąska przestrzeń. W świetle latarki mającej jego zaciśnięte usta. – Caroline może sobie pozwolić na luksus bezmyślności. Ty nie.

– Zdawało mi się, że pani doktor to geniusz – mamrocze Parks z nieprzekonującą nonszalancją.

– Na jedno wychodzi. Ona widzi tylko to, co tkwi na dnie jej probówek. Kiedy nazywa Melanie obiektem numer jeden, to naprawdę tak o niej myśli. Ale ty wiesz, że to tak nie działa. Kiedy zabierze się kociaka od matki, a potem jej go odda, ona przegryzie mu gardło, bo zapach nie będzie się zgadzał. Jeśli schwyta się ptaka i nauczy go mówić, a potem wypuści na wolność, ten ptak zginie, bo nie zdoła sam zdobyć pożywienia, i nie będzie wątpliwości, czyja to wina. Ale Melanie nie jest kotem. Ani ptakiem. Mogłaby na coś takiego wyrosnąć, gdybyś zostawił ją tam, gdzie ją znalazłeś. Na coś dzikiego, co nie ma świadomości własnego istnienia i podąża wyłącznie za instynktem. Ale ty zarzuciłeś na nią siatkę i przywlokłeś z sobą do domu. Więc teraz jest twoja. Wmieszałeś się, a tym samym wzięłeś na siebie odpowiedzialność.

Parks milczy. Justineau powoli sięga ręką za plecy i wyciąga pistolet. Pokazuje mu go.

Potem rusza do drzwi.

– Helen – mówi Parks.

Justineau mija stanowiska strzelców i kieruje się do wyjścia, którego nikt nie pilnuje. Caldwell jest w laboratorium, a Gallagher w pomieszczeniu dla załogi przegląda stare płyty z takim zapałem, jakby to były świerszczyki.

– Helen.

Odsuwa blokadę. Nie robiła tego wcześniej, ale nietrudno się domyślić działania mechanizmu. Spogląda przez ramię na Parksa, który celuje w nią z pistoletu, a po chwili opuszcza ramię i wzdycha ciężko, wydymając policzki.

Justineau otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz. Podnosi rękę i naciska spust.

Dźwięk przypomina odgłos fajerwerku, tylko trwa dłużej. Flara ze świstem mknie w górę i wbija się w atramentową czerń nieba.

I nic. Pistolet miał w końcu sporo lat, wyprodukowany przed Załamaniem,

jak większość ekwipunku Parks. Pewnie to bubel.

Nagle niebo rozbłyska, jakby Bóg zapalił światło. Czerwone. Z tego, co Justineau wie na temat Boga, całkiem możliwe, że to jego ulubiony kolor.

Jest jasno jak za dnia, a jednak zupełnie inaczej. To światło rodem z rzeźni albo z horroru. Mimo zaciągniętych stor w malutkich pancernych okienkach dociera ono do wnętrza Rosie i po chwili w progu pojawia się Gallagher, a Caroline Caldwell wypelza ze swego laboratorium i staje za nimi, wlepiając osłupiałe spojrzenie w karmazynową noc.

– Lepiej wracaj do środka – poleca Justineau zrezygnowany Parks. – Mała nie będzie jedyną, która to zobaczy.

Melanie wprawdzie się nie zgubiła, ale widok flary podnosi ją na duchu.

Siedzi na dachu budynku kilometr dalej. Tkwi tam już od kilku godzin, nie bacząc na to, że ulewa przemoczyła ją do suchej nitki. Usiłuje poukładać sobie w głowie coś, co widziała późnym popołudniem, tuż po tym, jak wreszcie napełniła brzuch. Od tamtego momentu bezustannie odtwarza to w pamięci, jakby wciąż na nowo przewijała pozbawioną dźwięku taśmę.

Po półtorej godziny wędrówki po śliskich uliczkach i przesiąkniętych deszczem ogrodach udało jej się upolować zdziczałego kota. To było paskudne. To znaczy nie sam kot, ale proces gonienia go, łapania i zjadania. Głód sterował nią, całkowicie przejmując kontrolę nad ciałem i wydając mu dokładne polecenia. Kiedy rozerwała zębami koci brzuch i wgryzła się w to, co z niego wypłynęło, część jej jestestwa, całkowicie zaspokojona, wypełniła się błogą sytością. Ale była jeszcze druga część, która kazała jej spojrzeć z dystansu na straszliwe okrucieństwo, jakiego się dopuściła, i na jego obrzydliwe, krwawe skutki. Ta część widziała, że kot wciąż żyje, szarpany drgawkami, gdy miażdżyła jego kruche żebra, by dostać się do serca. Słyszała żalosne miauczenie, gdy nieszczęsne zwierzątko bezskutecznie próbowało się bronić, wbijając pazury w jej ramiona, z których nawet nie płynęła krew. Czuła gorzki smród jego wnętrza i obserwowała samą siebie, wyrzucającą w górę kocie jelita niby serpentyny, by dostać się do miękkiego mięsa pod spodem.

Melanie wyjadła wszystko.

A kiedy jadła, po głowie błąkały jej się najróżniejsze nieistotne myśli. Kocię na obrazku w celi, z błogim zapałem chłęczące mleko. Przysłowie o tym, że w nocy wszystkie koty są czarne, którego nie rozumiała i którego pan Whitaker nie potrafił wytłumaczyć. Oraz taki wierszyk:

Wlazł kotek na płotek i mruga.

Ładna to piosenka niedługa.

Niedługa, nie krótka, lecz w sam raz.

Zaśpiewaj, koteczku, jeszcze raz.

Cóż, ten konkretny koteczek już nie zaśpiewa. Nie smakował wprawdzie nawet w połowie tak dobrze jak dwaj mężczyźni, których zjadła podczas oblężenia bazy, wiedziała jednak, że dzięki niemu przeżyje, poza tym miała nadzieję, że głód się uspokoi i przestanie jej bez przerwy dyktować, co ma robić.

Później kluczyła po ulicach, nieszczęśliwa i podenerwowana, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Raz po raz odnajdywała jakiś punkt, z którego widać było Rosalind Franklin, by sprawdzić, czy nadal stoi, po czym zbaczała w płataninę bocznych ulic, by się zgubić na godzinę lub dwie. Nie chciała jeszcze wracać. Poza tym zaczęła czuć, że zanim to zrobi, musi jeszcze raz zaspokoić głód.

Zataczała coraz szersze kółka, coraz mocniej powłócząc nogami. Badała granice swojego głodu tak, jak sierżant Parks badał kolejne pokoje w Wainwright House z wyciągniętą strzelbą, napiętymi mięśniami i szeroko otwartymi, rozbieranymi oczami. Wkroczyła na terytorium wroga i dobrze o tym wiedziała.

Podczas jednej z takich wycieczek znalazła się przed dużym białym budynkiem z mnóstwem okien. W tych na dole, naprawdę ogromnych, wszystkie szyby były wytłuczone. Ale na wyższych piętrach wiele pozostało nienaruszonych. Na fasadzie nad drzwiami widniał napis: małe CENTRUM i o wiele większe SZTUK. Ze szklanych drzwi nic nie zostało prócz pustej framugi, z której tu i ówdzie sterczały drzazgi rozbitego szkła.

Ze środka dobiegały jakieś odgłosy – krótkie i przenikliwe, jak jęki rannego zwierzęcia. Melanie uznała, że ranne zwierzę to znalezisko nie do pogardzenia.

Weszła do środka i znalazła się w pomieszczeniu z bardzo wysokim sufitem i podwójnymi schodami. Schody były metalowe, z gumowymi poręczami. Obok widniał kolejny napis. W zapadającym zmierzchu Melanie z trudem go odcyfrowała: **DZIECI MOGĄ KORZYSTAĆ ZE SCHODÓW RUCHOMYCH WYŁĄCZNIE POD OPIEKĄ DOROSŁYCH.**

Weszła na schody. Pod naciskiem jej stóp wydawały metaliczny jęk i ugiwały się lekko, jakby miały się zapaść. Prawie zawróciła, ale dochodzące z góry piski przybrały teraz na sile. Melanie była ciekawa, jakie stworzenie je wydaje.

U szczytu schodów otworzył się przed nią duży pokój z obrazami na ścianach i mnóstwem krzeseł oraz stołów. Obrazy były całkowicie niezrozumiałe, pełne słów i wizji, które zdawały się zupełnie ze sobą nie łączyć. Na jednym z nich, podpisanym „Twisted Folk jesienna trasa”, jakiś mężczyzna grał na gitarze. Ale po chwili ten sam mężczyzna, w tej samej pozycji, grał na rozmaitych innych rzeczach: na psie, krześle, drzewie, innym mężczyźnie i tak dalej. Na niektórych stołach stały talerze, filiżanki i kieliszki, tyle że filiżanki i kieliszki były puste, a na talerzach nie było nic prócz niewyraźnych smug pozostałych po potrawach, które zgniły i rozłożyły się dawno, dawno temu, tak dawno, że nawet po pleśni nie został ślad.

Wszędzie panował spokój i nie wyglądało na to, by przebywał tu ktoś żywy. Do uszu Melanie oprócz pisków zaczęły docierać jakieś gwałtowne szelesty, ale pomieszczenie było tak duże i pełne echa, że nie potrafiła określić, skąd dochodzą.

Rozejrzała się. Otaczały ją drzwi i schody prowadzące nie wiadomo dokąd. Wybrała na chybił trafił kolejne schody, potem przeszła przez jakieś drzwi, a za nimi korytarz doprowadził ją do kolejnych, które otwały się pod dotykiem jej dłoni.

Przekroczywszy próg, zamarła jak człowiek, który zbyt blisko się zbliżył do krawędzi urwiska.

Przestrzeń, w której się znalazła, była dużo, dużo większa niż pomieszczenie na dole. Panowała tam ciemność, ale Melanie domyśliła się jego rozmiarów po

tym, jak zmieniało się echo i kierunek ruchu powietrza. Nie musiała się nad tym zastanawiać. W jakiś sposób po prostu wiedziała, że stoi w wielkiej sali.

Dźwięki dochodziły teraz z dołu, co oznaczało, że cały ten ogrom rozciąga się nie w dwóch, ale w trzech wymiarach.

Melanie wyciągnęła przed siebie ręce i ruszyła do przodu – małymi kroczkami, które prędko zawiodły ją na skraj podłogi. Pod palcami poczuła chłód metalowej balustrady.

Stała w milczeniu, nasłuchując tupotu stóp, rytmicznego klaskania i łomotów, które to zamierały, to rozbrzmiewały na nowo.

A potem ktoś się roześmiał. Piskliwie, radośnie, szczebiotliwie.

Melanie stała jak wmurowana, nie posiadając się ze zdumienia i zachwytu. Czowała, że się trzęsie. W ten sposób mogłaby się zaśmiać Anne albo Zoe, albo którakolwiek inna koleżanka z jej klasy. Był to śmiech małej dziewczynki – ewentualnie małego chłopca.

Już miała krzyknąć, ale się powstrzymała. Śmiech był miły i Melanie pomyślała, że ten, kto się tak śmieje, musi być sympatyczny. Ale niemożliwe, by wszystkie te dźwięki wydawała jedna osoba. To brzmiało tak, jakby biegała tam cała grupa ludzi. Jakby w ciemnościach odbywała się jakaś zabawa.

Czekała tak długo, że zaszło coś dziwnego. Nagle zaczęła widzieć.

W pomieszczeniu nie zrobiło się jaśniej. Po prostu jej oczy postanowiły przekazać jej więcej informacji. Podczas jednej z lekcji opowiadano jej o czymś, co nazywa się adaptacją. Czopki i pręciki – a zwłaszcza pręciki – w siatkówce oka zmieniają próg swojej wrażliwości i sprawiają, że dostrzega się detale, które wcześniej pograżone były w całkowitej ciemności. Proces ten ma jednak swoje granice, toteż obraz pozostaje w większości czarno-biały, gdyż pręciki średnio sobie radzą z gradacją kolorów.

Tu było inaczej. Melanie widziała równie dobrze jak za dnia, jak gdyby w pomieszczeniu weszło niewidzialne słońce. Albo jakby rozciągająca się pod nią przestrzeń w ciągu kilku minut z czarnego oceanu zmieniała się w suchy ląd. Dziewczynka zaczęła się zastanawiać, czy jest to umiejętność, którą posiadają tylko głodni.

Znajdowała się w teatrze. Wprawdzie nigdy wcześniej nie była w teatrze, wiedziała jednak, że to musi być to. Salę wypełniały rzędy foteli zwróconych w stronę podwyższenia z drewnianych desek. To była scena. Kolejne rzędy foteli znajdowały się na balkonie i to właśnie tam stała Melanie – przy samej krawędzi, spoglądając w dół na przednią część widowni.

Miała rację, myśląc, że w pomieszczeniu jest więcej niż jedna osoba. Był ich tam przynajmniej tuzin.

Pomyliła się jednak, uznając, że zastała ich w trakcie zabawy. Robili coś zupełnie innego.

Melanie długo obserwowała ich w milczeniu. Szeroko otwierając oczy, mocno zaciskała palce na balustradzie, jakby się bała spaść.

Patrzyła i patrzyła, aż dźwięki i ruch ustały. Wtedy wymknęła się, tak cicho jak umiała, przez wahadłowe drzwi i schodami w dół.

Gdy wypadła na ulicę, okazało się, że deszcz przybrał na sile. Melanie zrobiła kilka chwiejnych kroków i zatrzymała się w cieniu ściany jakiegoś budynku, pomazanej graffiti, które z czasem zbladło w widmową plątaninę czarnoszarych smug.

Coś się stało z jej twarzą. Oczy ją piekły, gardłem wstrząsały drgawki. Przypominało jej to pierwszy oddech po zakręceniu pryszniców w łaźni, gdy w powietrzu wciąż unosiły się gorzkie opary.

Tu nie było żadnych oparów. Melanie po prostu płakała.

Podobnie jak wtedy, gdy pożerała kota, teraz też przypatrywała się sobie z pewnego oddalenia, żałując, że ciężkie krople deszczu nie pozwalają jej stwierdzić, czy to, co spływa jej po policzkach, to naprawdę łzy.

Po kolacji – która mimo niebezpiecznie wysokiej zawartości tłuszczu oraz cukrów wydaje się całkowicie pozbawiona smaku – nad miasto artretycznie i bezładnie nadciąga noc.

Justineau siedzi w pokoju dla załogi, wykręcona na krześle, by móc obserwować ulicę przez wąskie okienko. Z tyłu dobiega urywane chrapanie Gallaghery. Wybrał jedną z górnych prycz, na której umościł sobie legowisko z koców. Jest tam całkowicie niewidzialny, odgradzony od świata sztańcem utkany z snów i polibawelny.

Jemu jako jedynemu udało się zasnąć. Parks nadal majstruje przy generatorze i nie wygląda na to, żeby miał wkrótce skończyć. Sporadyczne łomotanie podpowiada Justineau, że robi postępy. Sporadyczne przekleństwa ogłaszają chwilowe zastoje.

Pomiędzy nimi znajduje się laboratorium, w którym Caldwell pracuje w milczeniu, wsuwając szkiełko za szkiełkiem pod mikroskop konfokalny Zeiss LSM 510 z wbudowanym akumulatorem (mikroskop elektronowy wciąż czeka na ożywczy zastrzyk energii z generatora Rosie), po czym opisuje je pieczołowicie w oprawionym w skórę notesie i wsuwa do plastikowego pudełka o starannie ponumerowanych przedziałach.

Wschód słońca napęla Justineau cichym niedowierzaniem. Wydawało jej się całkiem prawdopodobne, że ten ontologiczny impas będzie trwał wiecznie.

W czerwonym świetle jutrzeńki z bocznej ulicy wychodzi maleńka figurka i zbliża się do drzwi Rosie.

Justineau wydaje z siebie mimowolny wrzask i biegnie otworzyć. Parks dopada drzwi pierwszy i nie usuwa się z drogi. Rozlega się cichy, stłumiony odgłos gołych kłykci stukających w żelazny pancierz.

– Zajmę się tym – oznajmia Parks. Ma cienie pod oczami i smugi oleju na czole oraz policzkach. Wygląda, jakby zamordował kogoś, kto krwawił tuszem. Z łuku jego przygarbionych ramion wyziera zmęczenie i rezygnacja.

– Co masz na myśli? – pyta ostro Justineau.

– To, że pierwszy z nią porozmawiam.

– Z bronią w ręku?

– Nie – sarka sierżant z irytacją. – Z tym.

Pokazuje jej lewą dłoń, w której ściska smycz i kajdanki.

Justineau waha się przez chwilę.

– Umiem obsługiwać kajdanki – mówi wreszcie. – Czemu to ja nie mogę do niej wyjść?

Parks wyciera brudne czoło brudnym rękawem.

– Chryste Panie – wzdycha pod nosem. – Ponieważ sama mnie o to prosiła.

Boi się, że zrobi ci krzywdę. Jestem prawie pewien, że nic jej nie jest, bo zapukała jak człowiek, zamiast drapać w drzwi pazurami i walić w nie głową. Ale niezależnie od tego, jak się czuje, jesteś ostatnią osobą, którą chciałaby teraz zobaczyć. Zwłaszcza jeśli ma twarz i ubrania umazane krwią tego, co upolowała. Chyba to rozumiesz? Zadbam, żeby się umyła, i założę jej kajdanki. Wtedy będziesz mogła z nią porozmawiać. Zgodna?

Justineau przetyka ślinę. Ma suche gardło. Prawda jest taka, że się boi. Głównie tego, co ostatnie dwanaście godzin zrobiło z Melanie. Boi się, że gdy spojrzy jej w oczy, dostrzeże w nich jakąś obcą istotę. Ale właśnie dlatego nie chce odwlekać tej chwili. I nie chce, żeby to Parks spojrział na małą pierwszy.

Mimo to rozumie, że nie powinna sprzeciwiać się prośbie dziewczynki. Musi cofnąć się za ścianę i pozwolić sierżantowi otworzyć drzwi.

Słyszy dźwięk odsuwanej rygli, płynne westchnienie hydraulicznych zawiasów.

Ucieka. Mija stanowiska strzelców i zatrzymuje się dopiero w laboratorium. Doktor Caldwell spogląda na nią, z początku obojętna. Dopiero po chwili uświadamia sobie, co się stało.

– Melanie wróciła – stwierdza, prostując się gwałtownie. – To dobrze. Bałam się, że mogła...

– Zamknij gębę, Caroline – przerywa jej brutalnie Justineau. – Mówię serio. Zamknij i więcej nie otwieraj.

Caldwell patrzy na nią jeszcze przez chwilę. Potem rusza z miejsca, ale Justineau staje jej na drodze i nie ma zamiaru ustąpić. Narastająca w niej agresja prędzej czy później będzie musiała znaleźć jakieś ujście.

– Siadaj – mówi Justineau. – Nie wolno ci na nią patrzeć. Ani z nią rozmawiać.

– Owszem, wolno – odzywa się Parks zza jej pleców.

Justineau odwraca się i widzi go w progu. Za nim stoi Melanie. Nie zdążył jej skuć, za to dziewczynka sama założyła sobie kaganiec. Jest przemoczona, odrastające włosy kleją jej się do skóry, a koszulka przylega ciasno do drobnego, kościstego ciała. Deszcz ustał, a więc to ślady zeszłej nocy.

– Melanie chce porozmawiać z nami wszystkimi – oznajmia Parks. – I uważam, że powinniśmy jej wysłuchać. Dalej, mała. Powtórz, co mi powiedziałaś.

Melanie przypatruje się Justineau, a po chwili – jeszcze uważniej – doktor Caldwell.

– Nie jesteśmy sami – mówi. – Tu jest ktoś jeszcze.

Wszyscy zbierają się w pomieszczeniu dla załogi. Jest ciasno, choć Rosie została zaprojektowana dla dwunastu osób. Są świadomi swojej bliskości i Justineau czuje, że nie tylko u niej wywołuje to dyskomfort.

Przycupnęła na skraju dolnej pryczy. Caldwell ulokowała się naprzeciwko. Gallagher usiadł po turecku na podłodze, a Parks stoi w progu, wsparty ramieniem o framugę.

Melanie zajęła miejsce z przodu wąskiego pomieszczenia. Justineau wytarła jej głowę, a kurtkę, dzinsy i koszulkę wywiesiła, by wyschły, po czym, z braku szlafroka, owinęła dziewczynkę ręcznikiem. Ręce Melanie są przykryte fałdami tkaniny, ponieważ Parks znów założył jej kajdanki. To był jej pomysł. Odwróciła się do niego tyłem i cierpliwie czekała, aż skończy.

Z jej twarzy i sylwetki wyziera olbrzymie napięcie. Z trudem utrzymuje nad sobą kontrolę – nie za sprawą głodu, wygląda raczej jak ktoś, kogo napadnięto na ulicy albo kto był świadkiem morderstwa. Justineau widziała wcześniej, jak Melanie się boi, ale to jest coś nowego, czego w pierwszej chwili nie potrafiła zidentyfikować.

Teraz już wie. To niepewność.

Po raz pierwszy wyobraża sobie, kim mogłaby być Melanie, kim mogłaby się stać, gdyby żyła przed Załamaniem. Cokolwiek w niej drzemie, nigdy nie zatraciła istoty swojego jestestwa. Owszem, zdarzają się krótkie momenty, gdy pod wpływem zapachu krwi budzi się w niej zwierzę. Ale dziewczynka podchodzi do tego niezwykle pragmatycznie. To niebywałe, jaka jest wobec siebie bezlitosna.

Melanie wyrywa Justineau z zamyślenia. Kiedy się odzywa, wszyscy patrzą już tylko na nią.

– Powinłam była wrócić wcześniej – mówi. – Ale się bałam. Uciekłam, chciałam się schować.

– Daruj sobie dramatyczne wstępy, mała – głos Parksa przerywa ciszę, która zapadła po tym wyznaniu. – Po prostu powiedz, co masz do powiedzenia.

Ale Melanie zaczyna od początku, jakby nie potrafiła tego opowiedzieć w żaden inny sposób. Relacjonuje wizytę w teatrze krótkimi, treściwymi zdaniami. Tylko to, jak przestępuje z nogi na nogę, zdradza kłębiące się w niej uczucia.

W końcu dochodzi do momentu, gdy wyrzała z balkonu przywykłymi do ciemności oczami i zobaczyła to, co rozgrywało się w dole.

– Byli tam mężczyźni, podobni do tych, których widziałam w bazie – mówi. – Umazani czymś błyszczącym i czarnym, z najeżonymi włosami. Właściwie to wyglądali dokładnie tak samo jak ci z bazy. – Justineau czuje ścisk w żołądku. Złomiarze to prawdopodobnie najgorsze, co mogło ich spotkać. – Było ich całe mnóstwo. Walczyli ze sobą, kijami i nożami, tyle że to nie było naprawdę.

Tylko tak udawali. Mieli też broń, taką jak wasza, która wisiała na ścianach. Ale jej nie używali. Używali tylko kijów i noży. Najpierw noży, potem kijów i znów noży. Ten, który nadzorował walkę, mówił im, kiedy mają czego używać. Któryś spytał, czy już mogą przestać, a on na to nie, nie możecie, póki wam nie powiem.

Melanie zerka na doktor Caldwell. Z jej wyrazu twarzy nie sposób czegokolwiek wyczytać.

– Potrafisz stwierdzić, ilu ich było? – pyta Parks.

– Próbowałam policzyć, sierżancie, i wyszło mi, że pięćdziesięciu pięciu. Ale mogło ich być więcej, jeśli stali bezpośrednio pod balkonem. Nie widziałam całej sali, a nie chciałam się poruszyć, żeby mnie nie usłyszeli. Myślę, że mogło ich być więcej.

– Chryste! – Głos Gallaghera jest głuchy z rozpacz. – Wiedziałem. Wiedziałem, że nie dadzą nam spokoju!

– Skąd pomysł że to byli ci sami mężczyźni, którzy zaatakowali bazę? – pyta Caldwell.

– Niektórych rozpoznałam – odpowiada Melanie bez chwili wahania. – Nie po twarzach, ale po ubraniach. Mieli ponaszywane takie łąty i kawałki metalu, które układały się w różne wzory. Zapamiętałam je. Poza tym jeden miał napis na ramieniu. „Niepowstrzymany”.

– Tatuaż? – upewnia się Parks.

– Chyba tak – potwierdza Melanie i znów przenosi wzrok na doktor Caldwell. – A potem przyszło jeszcze trzech innych. Mówili, że zgubili ślad. Ten najważniejszy bardzo się na nich wściekł i kazał im wracać do pracy. Powiedział, że jeśli nie przyprowadzą jeńców, pozwoli pozostałym wypróbować na nich kije i noże.

To już chyba koniec historii, ale Melanie w napięciu czeka na ewentualne pytania.

– Chryste Panie! – jęczy Gallagher. Opuszcza głowę na skrzyżowane ramiona.

Tymczasem Justineau zwraca się do Parksa:

– Co robimy? – pyta.

Czy tego chcą, czy nie, to na nim spoczywa obmyślenie strategii. On jedyny ma szansę ich stąd wyprowadzić, zwłaszcza teraz, gdy skończył im się e-bloker, a na ich progu rozbiła obóz banda oszalałych morderców. Justineau słyszała opowieści o tym, co złomiarze robią z jeńcami. Nawet jeśli część tych historii to bzdury, wystarczą, by się modlić, żeby nie dopadli człowieka żywcem.

– Co robimy? – powtarza Gallagher jak echo, prostując się gwałtownie. Patrzy na nią, jakby zwariowała. – Zabieramy się stąd. Uciekamy. Natychmiast.

– Jeszcze nie teraz – odpowiada Parks z rozmysłem. A gdy zwracają się w jego stronę, dodaje: – Lepiej odjechać, niż uciekać na własnych nogach. Za jakąś

godzinę powinienem uruchomić generator, a ten rzęch to wciąż najlepsze, co nam się mogło przytrafić. Więc nie panikujmy. Zabarykadujemy się tu, póki nie będziemy gotowi.

– To nie jest typowe zachowanie – odzywa się Caldwell.

Parks zerka na nią z namysłem.

– Ma pani na myśli złomiarzy? Fakt.

– Gdy ich spotkaliśmy, tworzyli konwój. Wykorzystali nasze pojazdy, by maksymalnie szybko się przemieszczać. Zakładanie tu bazy byłoby dla nich bezsensownym posunięciem. Tak nieliczna grupa ma małe szanse na przeżycie w mieście. Nas jest tylko czworo, a i tak z trudem udało nam się znaleźć wystarczającą ilość jedzenia.

Justineau już się nawet nie dziwi.

– O kurczę – mówi, potrząsając głową. – Może pójdziesz i im to powiesz, Caroline? Jeszcze chwila i popełniliby idiotyczny błąd. Przyda im ktoś tak mądry i zapobiegliwy jak ty, kto trzepnie ich przez łeb, żeby wreszcie zaczęli logicznie myśleć.

Caldwell nie zwraca na tę przemowę najmniejszej uwagi.

– Sądzę, że jest coś, o czym nie pomyśleliśmy, coś, co nadałoby temu sens – mówi, zwyczajem naukowca ważąc każde słowo. – Bo na razie tego nie widzę.

Parks odrywa się od framugi i rozciera bark.

– Zamykamy drzwi – powtarza. – Nikt stąd nie wyjdzie aż do odwołania. Gallagher, znalazłeś w szafkach taśmę izolacyjną?

Szeregowy kiwa głową.

– Tak jest. Trzy całe rolki, jedna napoczęta.

– Zaklej okna.

Nagle Justineau przypomina sobie wystrzeloną poprzedniej nocy flarę i zalewa ją fala wstydu. Mogła sprowadzić im na kark złomiarzy. Parks powinien był ją zastrzelić, kiedy miał okazję.

– I sprawdź, jak stoimy z wodą – ciągnie tymczasem Parks. – Pani doktor, miała pani sprawdzić, czy coś zostało w filtrze.

– Pojemnik jest pełen – raportuje Caldwell. – Ale nie radziłabym z niego pić, póki generator nie zadziała. Woda jest pełna glonów i prawdopodobnie mnóstwa innych kontaminantów. Musimy poczekać, aż filtry zaczną pracować.

– W takim razie wracam do roboty – mówi Parks, ale nie wychodzi. Spogląda na Melanie. – A ty? – pyta surowym tonem. – Trzymasz się? Minęła prawie doba, odkąd natarliśmy się e-blokerem.

– Już jest w porządku – odpowiada Melanie tym samym rzeczowym tonem, jakby dyskutowali o czymś, co znajduje się poza nimi. – Chociaż wciąż czuję wasze zapachy. Panny Justineau i Kierana troszkę, pański i doktor Caldwell dużo mocniej. Skoro mam tu siedzieć, powinniście mnie gdzieś zamknąć.

Gdy Melanie mówi, że wyczuwa jego zapach, Gallagher podnosi wzrok, ale trwa to tylko chwilę. Choć się nie odzywa, wyraźnie rzędzie mu mina.

– Kajdanki i kaganiec nie wystarczą? – pyta Parks.

– Sądzę, że gdybym chciała, pozbyłabym się kajdanek, nawet gdybym musiała zedrzyć sobie skórę z rąk – odpowiada Melanie. – Potem byłoby mi już bardzo łatwo zerwać kaganiec.

– W laboratorium jest klatka – odzywa się doktor Caldwell. – Wystarczająco duża i mocna.

– Nie! – wybucha Justineau. Na nowo wzbiera w niej uśpiony gniew.

– Całkiem niezły pomysł – mówi Parks. – Pani doktor, proszę przygotować tę klatkę. Trzymaj się blisko niej, mała, żeby w razie czego tam wskoczyć. Jeśli cokolwiek poczujesz...

– Bzdura – rzuca Caldwell. – Nie możemy po niej oczekiwać, że sama będzie monitorowała swoje nastroje.

– Po tobie też nie – wtrąca Justineau. – Odkąd opuściliśmy bazę, widzę, jak cię świerzbią łapska, żeby ją dorwać.

– Świerzbiły mnie już dużo wcześniej – odpowiada Caldwell. – Tak czy inaczej mam zamiar poczekać, aż dotrzemy do Beacon. Gdy to się stanie, Rada Ocalonych wysłucha nas obu i podejmie decyzję.

Justineau ma ochotę odpowiedzieć obscenicznym przekleństwem, ale Parks ciężko opuszcza dłoń na jej ramię i brutalnie obraca ją twarzą do siebie. Zaskakuje ją to. Parks prawie nigdy jej nie dotyka, zwłaszcza od czasu nieudanego podrywu na dachu Wainwright House.

– Wystarczy – mówi teraz. – Helen, potrzebuję cię w przedziale silnikowym. Reszta wie, co ma robić. Mała idzie do klatki, ale ręce z daleka, pani doktor. Choćby zadraśnięcie, a będzie pani miała ze mną do czynienia. I proszę mi wierzyć, że żadne z tych szkielek, które tak starannie pani wczoraj porządkowała, nie przetrwa tego spotkania. Zrozumiano?

– Mówiłam, że zaczekam.

– Wierzę. Ale wolę uprzedzić na wszelki wypadek. Helen?

Justineau zwleka jeszcze przez chwilę.

– Jeśli się do ciebie zbliży – mówi do Melanie – po prostu krzycz.

Znalazłszy się w przedziale silnikowym, Parks zamyka drzwi i opiera się o nie plecami.

– Wiem, że jest ciężko – mówi Justineau. – Nie próbuję utrudniać nam życia. Po prostu... Po prostu jej nie ufam. Nie mogę.

– Ja też nie – odpowiada Parks. – Nie mam do ciebie pretensji. Ale małej nic się nie stanie. Masz moje słowo.

Justineau przyjmuje to z ulgą. Dobrze jest wiedzieć, że sierżant uznał Melanie za sojusznika, przynajmniej na jakiś czas, i że nie pozwoli jej skrzywdzić.

– Ale ja również chciałbym prosić cię o przysługę – mówi Parks.

Justineau wzrusza ramionami.

– Jasne. O ile to będzie w mojej mocy. O co chodzi?

– Dowiedz się, co naprawdę zobaczyła.

– Słucham? – pyta zdezorientowana. Nie jest wściekła ani zniecierpliwiona, po prostu najzwyczajniej w świecie nie rozumie, co miał na myśli. – Dlaczego miałyby kłamać? Jak możesz w ogóle myśleć, że... O kurwa! Chodzi o to, co powiedziała Caroline? Bo jej się zdaje, że taki wielki z niej antropolog? Gównu tam wie. Jak można uważać, że ci psychole złomiarze będą podejmowali racjonalne decyzje?

– Pewnie nie można – przyznaje Parks.

– No to o co chodzi?

– Helen, mała wcisnęła nam bujdu na resorach. Nie wątpię, że coś wczoraj widziała. I pewnie ją to wystraszyło, bo widać, że naprawdę chce opuścić to miejsce. Ale to nie byli złomiarze.

Justineau czuje, że znów narasta w niej gniew.

– Niby skąd to wiesz? – rzuca buntowniczo. – Ile jeszcze razy Melanie będzie musiała ci udowadniać, że jest po naszej stronie?

– Nic już nie musi udowadniać. Całkiem nieźle się dogadujemy. Ale ta jej historia nie trzyma się kupy.

Parks odsuwa plik instrukcji i robi dla niej miejsce na pokrywie generatora. Nie wygląda na szczęśliwego.

– Rozumiem, czemu się przed tym bronisz – mówi Justineau. – Skoro przywlekli się za nami aż tu, to znaczy, że nawaliliśmy. Zostawiliśmy ślady.

Parks wydaje z siebie coś pomiędzy śmiechem a pogardliwym prychnięciem.

– Owszem, zostawiliśmy ślady, po których można by nas wyśledzić, idąc tyłem i z wiadrem na głowie – odpowiada. – Nie w tym rzecz. Po prostu... – Zaczyna wyliczać na palcach: – Ona twierdzi, że widziała samych mężczyzn, żadnych kobiet. Zatem nie mieszkają w tym teatrze, rozbili tam tylko obóz. Czemu nie wystawili straży? Jakim cudem mogła tam sobie swobodnie wejść, a potem wyjść, i nikt jej nie zauważył?

– Może mają kiepskich strażników. Nie każdy jest taki zmyślny jak ty.

– Może. Ale są jeszcze ci trzej faceci, którzy zjawili się w dokładnie tym momencie, co trzeba, żeby powiedzieć, że kogoś śledzili. No i tatuaż. Szeregowy Barlow miał na ramieniu wytatuowane to samo słowo. Przypadek?

– Przypadki się zdarzają.

– Owszem – przyznaje Parks. – Ale jest jeszcze Rosie.

– Rosie? Co Rosie ma z tym wspólnego?

– Była nietknięta. Znaleźliśmy ją tu, na środku ulicy, i nie ma na niej nawet zadrapania. Nikt nie próbował wyważyć drzwi albo okna. Cała jest w pyłe

i brudzie, ale bez jednej smugi, bez jednego odcisku dłoni. Naprawdę trudno mi uwierzyć, że przeszło tędy pięćdziesięciu złomiarzy i jej nie zauważyli. Albo zauważyli i nie zapragnęli zajrzeć do środka. Zresztą jak to możliwe, że chodziliście wczoraj z Gallagherem po okolicy tyle godzin i na nikogo się nie natknęliście? Albo że oni nie zauważyli twojej flary? Gdyby naprawdę nas śledzili, toby znaczyło, że przegapili mnóstwo okazji.

Justineau szuka kontrargumentów i kilka nawet znajduje, ale wtedy przychodzi jej na myśl jeden dowód, którego nie dostrzegł Parks. Te zerknięcia z ukosa... zupełnie jakby Melanie adresowała swoją historię do publiczności składającej się z jednej osoby. Jakby nad głowami pozostałych przemawiała wyłącznie do Caldwell.

Nie podejmuje więc sporu. To nie ma sensu, skoro jest w połowie przekonana. Ale się nie poddaje. Nie ma zamiaru przepytować Melanie, nie wiedząc, w co gra Parks.

– Dlaczego więc to zrobiłeś? – pyta.

– Co?

– Dlaczego kazałeś zamknąć drzwi i zalepić okna? Skoro Melanie kłamie, to znaczy, że jesteśmy bezpieczni.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale nie próbowałeś wydobyć z niej prawdy. Zachowywałeś się, jakbyś wierzył w każde słowo. Dlaczego?

Parks zastanawia się przez chwilę.

– Nie będę ryzykował naszym życiem z powodu zwykłego przecucia – odpowiada. – Uważam, że mała kłamie, ale mogę się mylić. Nie po raz pierwszy zresztą.

– Gówno prawda, Parks. Ty nie miewasz wątpliwości. Dlaczego jej nie przycisnąłeś?

Parks przeciera pięścią oczy. Justineau stwierdza nagle, że wygląda na zmęczonego i o kilka lat starszego niż w rzeczywistości

– Z jakiegoś powodu to wiele dla niej znaczy – mówi sierżant. – O ile się nie mylę, ona się czegoś boi. Nie naciskałem, bo nie mam bladego pojęcia czego. Dlatego proszę cię, żebyś wyciągnęła z niej prawdę. Tylko ty potrafisz to zrobić tak, żeby nie wystraszyć jej jeszcze bardziej. Mnie by się nie udało. Nie ma między nami takiej więzi.

Po raz pierwszy od dnia, gdy go poznała, Parks zdołał ją zaskoczyć.

Justineau bez zastanowienia całuje go w policzek. Parks nieruchomieje, może dlatego, że pocałowała go w bliznę, a może dlatego, że kompletnie się tego nie spodziewał.

– Przepraszam – mówi Justineau.

– Nie ma za co – odpowiada natychmiast sierżant. – Ale... Jeśli mogę

zapytać...

– Po prostu po raz pierwszy mówisz o niej jak o człowieku. Człowieku, który ma uczucia i zasługuje na szacunek. Uznałam, że należy to uczcić.

– Okej – odpowiada Parks, najwyraźniej niepewny, co o tym myśleć. – Chcesz jeszcze tu posiedzieć i pogadać o jej uczuciach? Moglibyśmy...

– Może później. – Justineau rusza do drzwi. – Nie chcę cię odrywać od pracy.

„Ani robić ci nadziei”, dopowiada w duchu. Ponieważ nadal kojarzy go przede wszystkim z krwią, śmiercią i okrucieństwem. Niemal tak samo mocno jak siebie samą. Z takiego związku naprawdę nie wyszłoby nic dobrego.

Jeszcze by się rozmnożyli albo coś w tym stylu.

Wraca do laboratorium, gdzie Caldwell zdążyła już przygotować klatkę. Podobnie jak służbę powietrzną można ją składać i rozkładać, a mimo to wygląda solidnie. Sześćian z gęstej siatki, metr dwadzieścia w każdą stronę, na stalowym stelażu przymocowanym do ściany. Stoi w kącie z przodu pomieszczenia, tam gdzie nie blokuje dostępu do blatów i aparatury.

Melanie siedzi w klatce skulona, z kolanami przyciśniętymi do piersi. Caldwell zajmuje się mniej więcej tym samym co Parks – pochylona nad jakimś skomplikowanym urządzeniem, największym w całym laboratorium, jest tak pochłonięta pracą, że nawet nie zauważa obecności rywalki.

– Dzień dobry, panno Justineau – mówi Melanie.

– Dzień dobry, Melanie – odpowiada jej jak echo Justineau. – Nie wiem, co robisz – zwraca się do Caldwell – ale to będzie musiało poczekać. Idź sobie na fajkę czy coś.

Caldwell się odwraca. Chyba po raz pierwszy pozwoliła sobie na to, by jawnie okazać wrogość, którą Justineau wita jak przyjaciela. Uznaje, że dokonała niezłego wyczynu, przebijając się przez tę emocjonalną barykadę.

– Jestem zajęta ważnymi sprawami – mówi Caldwell.

– Naprawdę? Jaka szkoda. Wyjdź stąd, Caroline. Powiem ci, kiedy będziesz mogła wrócić.

Przez długą chwilę mierzą się spojrzeniami, jakby za moment miały stanąć do walki. Caldwell chyba jest na to gotowa mimo obandażowanych dłoni. A jednak nie atakuje. Może to i dobrze. Wygląda tak nędznie, że chyba wystarczyłby mocniejszy podmuch wiatru, by powalić ją na ziemię, nie mówiąc już o ciosie pięścią prosto w szczękę.

– Powinnaś się zastanowić – mówi – skąd się w tobie bierze ta przyjemność z poniżania mnie.

– Nie chcę jej sobie psuć.

– Powinnaś zadać sobie pytanie – nie poddaje się Caldwell – czemu tak chętnie myślisz o mnie jako o swoim wrogu. Jeśli wynajdę szczepionkę, będzie

można uleczyć takich ludzi jak Melanie, którzy wykazują częściową odporność na *ophiocordycepsa*. Z pewnością ocaliłoby to tysiące dzieci przed takim losem, jaki ją spotkał. Co jest ważniejsze, Helen? Co w efekcie końcowym przyniesie więcej dobra? Twoje współczucie czy moje zaangażowanie w pracę? A może właśnie dlatego na mnie wrzeszczysz i nie okazujesz mi szacunku, żeby nie musieć sobie zadawać takich pytań?

– Możliwe – przyznaje Justineau. – A teraz rób, co mówię, i wynoś się stąd.

Nie czeka na odpowiedź. Wypycha Caldwell do pomieszczenia dla załogi i zamyka jej drzwi przed nosem. Lekarka jest tak słaba, że to nawet nie jest trudne. Drzwi nie mają jednak zamka. Justineau czeka przez chwilę, na wypadek gdyby Caldwell spróbowała wrócić, ale drzwi się nie otwierają.

W końcu, zadowolwszy się ułudą prywatności, przykłęka obok klatki. Spogląda na wyzierającą zza siatki drobną bladą twarz.

– Cześć – mówi.

– Cześć, panno Justineau.

– Czy możemy... – zaczyna i milknie. – Wejść do ciebie – decyduje.

– Nie! – krzyczy Melanie. – Nie. Proszę tam zostać!

Kiedy Justineau odsuwa rygiel, Melanie cofa się gwałtownie i wciska się w kąt.

Justineau nieruchomieje, nie otwórzysz drzwi do końca.

– Mówiłaś, że czujesz mnie tylko trochę. Jest ci z tym źle?

– Jeszcze nie – odpowiada dziewczynka napiętym, stłumionym głosem.

– W takim razie wszystko w porządku. Gdyby coś się zmieniło, po prostu powiedz, to wyjdę. Ale nie podoba mi się, że siedzisz w tej klatce jak zwierzę, a ja tylko zaglądam do środka. Dla mnie tak będzie lepiej. O ile nie masz nic przeciwko temu.

Po minie Melanie widać wyraźnie, że owszem, ma. Justineau daje za wygraną. Zamyka drzwi i zasuwą rygiel. Siada po turecku na podłodze i opiera się ramieniem o siatkę.

– Niech będzie – mówi. – Wygrałaś. Ale podejdź tu przynajmniej i usiądź obok. Jesteś w środku, ja na zewnątrz, więc powinno być dobrze, nie?

Melanie zbliża się ostrożnie, ale w połowie drogi nieruchomieje, wyraźnie przestraszona, że sytuacja może jej się wymknąć spod kontroli.

– Kiedy pani powiem, cofnie się pani od razu, dobrze?

– Melanie, dzieli nas siatka i twój kaganiec. Nie skrzywdzisz mnie.

– Nie o to mi chodzi – mówi cicho dziewczynka.

No jasne. Boi się przemiany w obecności nauczycielki i przyjaciółki. Przeraża ją myśl o tym, że przestanie być sobą.

Justineau ogarnia wstyd spowodowany nie tylko własną bezmyślnością, ale i przyczyną wizyty. Melanie na pewno miała poważny powód, żeby skłamać.

Justineau czuje, że demaskowanie tego kłamstwa byłoby czymś niewłaściwym. Ale równie niewłaściwa wydaje jej się myśl o tym, że nie ma pojęcia, co skłoniło Melanie do tego, by namówić ich do ucieczki. Parks ma rację. Muszą się dowiedzieć.

– Kiedy poszłaś wczoraj do tego teatru... – zaczyna z wahaniem.

– Tak?

– I zobaczyłaś złomiarzy...

– Tam nie było żadnych złomiarzy, proszę pani.

Tak po prostu. Justineau, która starannie przygotowała sobie kolejne kwestie, przypatruje się dziewczynce z głupią miną i otwartymi ustami.

– Nie? – powtarza.

– Nie.

Potem Melanie opowiada jej, co naprawdę zobaczyła.

Biegali między pokrytymi pleśnią fotelami i po scenie, nad którą unosiło się donośne echo ich kroków. Nadzy jak ich Pan Bóg stworzył. I brudni, choć pod warstwą brudu ich skóra była równie biała jak jej własna. Włosy wisiały im w ciężkich strąkach lub, w wypadku kilkorga, sterczały do góry. Niektórzy mieli w rękach kije, inni torby – stare plastikowe torby z napisami „Foodfresh” i „Grocer’s Market”.

– Nie kłamałam w sprawie noży. Też je mieli. Nie takie ostre, jakie noszą sierżant Parks i Kieran. Takie, jakimi kroi się w kuchni chleb albo mięso.

Było ich piętnaścioro. Policzyła. Wymyśliwszy historyjkę o złomiarzach, po prostu dodała do tego czterdzieści.

To nie byli złomiarze, tylko dzieci. W różnym wieku, najmłodsze mogło mieć cztery, najstarsze – piętnaście lat. Uganiały się za szczurami. Niektóre waliły kijami w podłogę i fotele, żeby zmusić szczury do ucieczki. Inne je łapały, odgryzały im głowy i wrzucały ich zwiotczone ciała do swoich toreb. Biegały znacznie szybciej niż szczury, więc polowanie nie sprawiało im trudności. Zrobiły z tego zabawę, śmiały się i poszturchiwały nawzajem, piszcząc i strojąc miny.

Dzieci takie jak ona. Głodne, ale żywe i pełne życia, czerpiące radość z polowania. W końcu wszystkie usiadły i rzuciły się na maleńkie, przesiąknięte krwią szczurze truchelka. Te starsze miały pierwszeństwo, mniejsze wciskały się między nich, by uszczknąć coś dla siebie. Wciąż traktowały to jako zabawę i ciągle się śmiały. Nie było w tym śmiechu nic groźnego.

– Był tam taki chłopiec, który wyglądał na przywódcę. Miał duży kij, błyszczący jak królewskie berło. I twarz pomalowaną na różne kolory. Wyglądał trochę groźnie, ale ci mniejsi wcale się go nie bali, bo wiedzieli, że ich chroni. Kiedy jedna z większych dziewczynek pokazała zęby takiemu maluchowi i wyglądało na to, że chce go ugryźć, chłopiec z pomalowaną twarzą dotknął kijem jej ramienia i przestała. Ale tak ogólnie to nie robili sobie nawzajem krzywdy.

Wyglądali prawie jak rodzina. Znali się wszyscy i lubili ze sobą przebywać.

Urządzili sobie nocny piknik. Obserwując ich, Melanie miała wrażenie, że patrzy na własne życie przez odwrotny koniec teleskopu. Gdyby dawno temu nie schwytano jej i nie zabrano do bazy, byłaby taka jak oni. Jej miejsce było wśród nich. Ale związane z tym uczucia zmieniały się, im dłużej o tym myślała. Było jej smutno, że nie może wziąć udziału w pikniku. Z drugiej strony gdyby nie baza, nie nauczyłaby się wielu rzeczy i nigdy nie poznała panny Justineau.

– Rozplakałam się – mówi Melanie. – Nie ze smutku, tylko dlatego, że nie wiedziałam, czy mi smutno, czy nie. W pewnym sensie tęskniłam do tamtych dzieci, choć przecież ich nie znałam. Nie znałam ich imion. Pewnie w ogóle ich nie mieli. Nie wyglądali, jakby potrafili mówić, porozumiewali się za pomocą pisków i powarkowań.

Na twarzy dziewczynki maluje się jakaś bolesna głębia. Justineau kładzie dłoń na siatce i przekłada palce przez oczka.

Melanie pochyla się i dotyka czołem palców panny Justineau.

– Więc... dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? – To pierwsze pytanie, jakie przychodzi Justineau do głowy. Instykt nakazuje jej omijać temat egzystencjalnego kryzysu Melanie. Boi się z nim skonfrontować. Wie, że Melanie nie wpuści jej do klatki i nie pozwoli się przytulić, więc pozostają jej tylko słowa, a wszelkie słowa wydają się nieadekwatne do sytuacji.

– Wiem, że pani mogę powiedzieć – odpowiada prostolinijnie Melanie. – Ale to musi być nasza tajemnica. Nie chcę, żeby doktor Caldwell się dowiedziała. Ani sierżant Parks. Ani nawet Kieran.

– Czemu nie, Melanie? – podpuszcza ją Justineau.

Gdy tylko zadaje to pytanie, uświadamia sobie, jak brzmi odpowiedź. Unosi rękę, by powstrzymać Melanie przed wypowiedzeniem jej głośno. Melanie robi to tak czy inaczej.

– Złapałoby ich i powsadzali do podziemnych cel, a doktor Caldwell pokroiłaby ich na kawałki. Wydawało mi się, że to, co wymyśliłam, sprawi, że sierżant będzie chciał stąd jak najszybciej wyjechać i nikt nigdy nie dowie się o ich istnieniu. Panno Justineau, proszę obiecać, że im pani nie powie. Obiecujecie pani?

– Obiecuję – szepcze Justineau. Zupełnie szczerze. Jakkolwiek miałyby się to skończyć, nie pozwoli, by Caroline Caldwell się dowiedziała, że ma pod bokiem nowy zapas materiału doświadczalnego. Te dzieci muszą pozostać na swobodzie.

Co oznacza, że wróci teraz do sierżanta i będzie podtrzymywała kłamstwo Melanie. Albo go wtajemniczy. Albo wymyśli coś bardziej wiarygodnego.

Przez chwilę siedzą w milczeniu. Prawdopodobnie obie myślą o tym, jak to wydarzenie zmieni sytuację między nimi. Gdy opuściły bazę, Justineau dała Melanie wybór: zostać z nimi lub pójść do jednego z pobliskich miasteczek. „Żebyś była wśród swoich”, miała wtedy ochotę powiedzieć, ale się powstrzymała,

ponieważ dotarło do niej, że Melanie nie ma żadnych „swoich”.

Cóż. Teraz już ma.

Wciąż myśli o skutkach wyznania Melanie, gdy nagle przesywa ją głęboki dreszcz. W pierwszym, absurdalnym i przerażającym momencie wydaje jej się, że dostała jakiegoś ataku. Ale wibracje nabierają regularnego, znajomego rytmu i po chwili w jej uszach rozbrzmiewa niski warkot, który narasta krótko, po czym ustaje. Razem z nim znikają wstrząsy, równie nagle, jak się pojawiły.

– Mój Boże! – szepcze Justineau.

Gramoli się z podłogi i biegnie do wyjścia.

Parks stoi nad generatorem, unosząc umazane smarem ręce, jakby udzielał maszynie błogosławieństwa. Albo odprawiał egzorcyzm.

– Udało się – oznajmia, posyłając jej zwycięski uśmiech.

– Ale znów nie działa – odpowiada Justineau.

Do przedziału wpada Caldwell. I ją przywabiło tu cudowne zmartwychwstanie generatora.

– Działa. Tylko go wyłączyłem. Nie chcę, żeby dźwięk się niósł, póki nie jesteśmy gotowi do wyjazdu. W końcu nie wiadomo, kto tu nasłuchuje.

– A więc możemy odjechać! – cieszy się Justineau. – Wreszcie, kurs na południe! Ruszajmy, Parks. I do diabła z całą resztą.

Sierżant spogląda na nią podejrzliwie.

– Aha – odpowiada. – Nie chcielibyśmy przecież zdrzeć z naszymi złomiarzami. Prawdopodobnie będziemy musieli... – Nagle milknie i spogląda w przestrzeń za plecami obu kobiet. Poważnieje.

– Gdzie Gallagher? – pyta.

Gallaghery wywiał wiatr. Po prostu dał nogę. Narastające w nim napięcie wreszcie wybuchło i siła eksplozji poniosła go z sobą, zanim zdążył się zorientować, co robi.

To nie kwestia tchórzostwa. Raczej zasada dynamiki. Ponieważ stres napiera na niego zarówno od tyłu, jak i od przodu – wywołany myślą o tym, co czeka na niego w Beacon. Zmiażdżyło go więc i wyrzuciło w bok.

Do tego doszła mu myśl o tym, że będzie trzeba zamknąć drzwi, zgasić światła i czekać, aż znajdą ich złomiarze. Raczej nie było szans na to, by nie zauważyli Rosie stojącej na środku ulicy.

Gdy upadała baza, Gallagher widział, jak Si Brookswi – chłopakowi, który wypożyczał całym koszarom swój cenny egzemplarz świerszczyka i skrycie kochał się w dziewczynie ze strony dwudziestej trzeciej – rozwalono twarz kolbą karabinu. A Lauren Green, jednej z niewielu szeregowych płci żeńskiej, z którymi był w stanie swobodnie rozmawiać, rozplątano brzuch bagnetem. On sam podzieliłby ich los, gdyby sierżant Parks nie chwycił go za ramię i nie odciągnął w kąt kantyny, cedząc przez zęby: „Potrzebny mi strzelec”.

Gallagher nie ma złudzeń co do tego, jak długo by tam przetrwał o własnych siłach. W tamtej chwili przerażenie wmurowało go w ziemię. Chociaż nie, „wmurowało” to niewłaściwe słowo, ponieważ to, co wtedy czuł, przypominało raczej lęk wysokości. Zdawało mu się, że jeśli się poruszy, runie w nieznanym kierunku, ukosem przez świat, który zatracił dotychczasowe linie.

Wstydzi się okropnie, że porzucił sierżanta – swojego wybawiciela. Było to jednak jedyne możliwe rozwiązanie. Nie mógł zawrócić. Nie mógł iść przed siebie ani zostać w miejscu. Musiał więc wybrać inny kierunek.

Byle dobrnąć do rzeki. Nad rzeką będą łodzie, pozostawione tam dawno temu, jeszcze przed Załamaniem. Może odpłynąć, kajakiem lub żaglówką, i znaleźć sobie jakąś wyspę, na której będzie stał dom, ale nie będzie głodnych, i żyć tam z tego, co uda mu się wyhodować, upolować lub złapać w sidła. Wie, że Wielka Brytania to wyspa i że w pobliżu leżą inne wyspy. Widział mapy, choć szczegółów nie pamięta. Ale czy to może być aż takie trudne? Odkrywcy i piraci w kółko tak robili.

Kieruje się na południe, pomagając sobie kompasem. A właściwie próbuje, gdyż w plątaniu ulic nie jest to łatwe. Zszedł z szerokiej głównej drogi, na której czuł się zbyt wystawiony na niebezpieczeństwo, i kluczy teraz wśród bocznych ulic. Kompas podpowiada mu, w którą stronę się kierować, a on idzie za jego radą, ilekroć pozwala na to istny labirynt ciasnych uliczek, rond i zaułków. Na szczęście wszystkie są puste. Nie spotkał jeszcze ani jednego żywego głodnego. Natknął się za to na kilku martwych, z których wyrastały te dziwaczne drzewa.

Dotrze do rzeki, to najwyżej osiem kilometrów stąd, i wtedy zastanowi się, co dalej. Tymczasem niebo się przejaśnia i zza deszczowych chmur wyziera słońce. Choć wszystko wydaje się nierzeczywiste, Gallaghery ogarnia niezrozumiałe zdziwienie. Ciepło i światło jakoś mu nie pasują do tego świata. Wprawiają go wręcz w zakłopotanie – nagle czuje się bezbronny, promienie słońca podążają za nim jak reflektor.

I jeszcze coś. Jakiś nieznaczny ruch w oddali sprawia, że Gallagher podskakuje jak oparzony i omal nie robi w gacie ze strachu. Ale ulica jest pusta. To był tylko cień czegoś, co poruszyło się za jego plecami albo na dachu jednego z domów. Złomiarze? Nie, cień zdawał się mniejszy, zresztą gdyby złomiarze go ścigali, leżałby już pewnie na asfalcie z kulą w plecach. To musiał być kot albo coś podobnego, ale, cholera, wybrało sobie kiepski moment.

Gallagher wciąż się trzęsie, a w brzuchu go skręca, jakby zaraz miał się wyrzygać. Znajduje ustronny kącik w cieniu rdzewiejącego wraku jakiegoś samochodu i przysiadła na moment. Wyjmuje menażkę, żeby napić się wody.

Menażka jest prawie pusta.

Nagle Gallagher uświadamia sobie, że jest mnóstwo rzeczy, które by mu się w tej chwili naprawdę przydały.

Na przykład jedzenie. Gdy opuszczał Rosie, nie odważył się zabrać z sobą jednego z plecaków, więc teraz nie ma nic. Nawet paczki fistaszków, którą schował sobie na później pod poduszką pryczy.

Nie ma również karabinu.

Ani puste tubki e-blokera, którą zamierzał rozciąć, by dobrać się do resztek żelu i rozsmarować go pod pachami oraz w kroku.

Ma za to pistolet i sześć magazynków amunicji. A także odrobinę wody. I kompas. I granat tkwiący w kieszeni spodni od czasu, kiedy porzucili humvee. To tyle.

Jakim trzeba być idiotą, żeby wypuszczać się na terytorium wroga tak, jak się stoi, w jednej koszuli? Będzie musiał zrobić jakieś zapasy, i to prędko.

Garaż, w którym razem z Justineau znaleźli magazyn z przekąskami, został dobre kilka kilometrów za nim. Jeśli Gallagher zawróci, straci mnóstwo czasu. Jednak wizja śmierci głodowej jest znacznie gorsza, a nie ma gwarancji, że przed dotarciem do rzeki trafi mu się drugi taki skarbiec.

Wstaje i rusza w drogę. Nie jest to łatwe, ale sprawia, że od razu lepiej się czuje. Ma wyznaczony cel, konkretny plan. Cofnie się, ale tylko po to, bo potem ruszyć naprzód i tym razem dotrzeć dalej.

Po pięciu albo sześciu zakrętach mimo kompasu zupełnie traci orientację.

Do tego zyskuje niemal całkowitą pewność, że nie jest sam. Nie widzi już więcej przemykających cieni, ale raz po raz z bardzo bliska dobiegają go jakieś dziwne szelesty i chrobotanie. Kiedy się zatrzymuje i nastawia uszu, dźwięczy

w nich tylko cisza, ale gdy ponownie rusza, czyjeś kroki pobrzmiwają w jego własnych. Ktoś porusza się i zatrzymuje dokładnie w tych samych momentach co on.

Brzmi to, jakby byli tuż za nim. Powinien ich widzieć, ale on nie wie nawet, z której strony się zbliżają. Te cienie... bez wątpienia padały z któregoś z dachów. Gallagher dochodzi do wniosku, że jeśli ktoś go śledzi, to wybrał najlepszy możliwy sposób.

No dobrze. Zobaczymy, jak ten ktoś poradzi sobie na dole.

Bez ostrzeżenia puszcza się pędem i wpada w jedną z bocznych uliczek. Przecina parking za rzędem spalonych sklepów. Przedostaje się do środka przez ciemny otwór tylnego wejścia i przebiega wąski korytarz. Wahadłowe drzwi z wulkanizowanej gumy, przegniłe i lepkie, wiodą do sklepowej sali. Gallagher pokonuje ją kilkoma długimi krokami i...

Zwalnia. A po chwili się zatrzymuje.

Ponieważ trafił do niedużego supermarketu, w którym znajduje się siedem sięgających do sufitu regałów oddzielonych wąskimi alejkami.

A na półkach: szczotki do czyszczenia toalet, kieliszki do jajek w kształcie uśmiechniętych kurcząt, blaszane pojemniki na chleb ozdobione motywem brytyjskiej flagi, drewniane pułapki na myszy, tarki do sera z wygodnymi uchwytami, deski do krojenia, kuchenne ścierki, kiczowate podajniki do przypraw, worki na śmieci, pokrowce na siedzenia w samochodzie, śrubokręty magnetyczne.

I jedzenie.

Nie jest tego wiele – tylko jeden regał na końcu alejki – ale puszki i paczki wyglądają na nietknięte. Wciąż starannie poukładane – na jednej półce zupy, na drugiej kuchni świata, na trzeciej ryż i makaron. Tak jak jakiś znudzony sprzedawca ustawił je zapewne długo przez narodzinami Gallaghery, któregoś pozornie zwyczajnego ranka, w świetle, o którym nikt nie sądził, że wkrótce się skończy.

Puszki mają rozdęte wieczka. Stoją w pełnym słońcu i stały tak zapewne każdego słonecznego dnia przez wiele lat.

Ale są jeszcze paczki. Gallagher przygląda im się najpierw z nadzieją, a po chwili z rosnącym podnieceniem.

„Uczta smakosza. Kurczak curry z ryżem – wystarczy dodać wody!”

„Wyśmienity strogonow – wystarczy dodać wody!”

„Paella cztery rodzaje mięs – wystarczy dodać wody!”

Innymi słowy, suchy prowiant w hermetycznych opakowaniach.

Gallagher rozrywa pierwszą paczkę i z wahaniem wacha jej zawartość. Pachnie fantastycznie. I naprawdę nie robi mu różnicy, czy kiedykolwiek choćby leżała obok kurczaka czy krowy, najważniejsze, że da się zjeść.

Wlewa do torebki jedną trzecią zawartości menażki, ścisną i potrząsa przez

pół minuty. Następnie przechyla i wciska powstałą w ten sposób papkę prosto do ust.

Smakuje wspaniale. Uczta smakosza, dokładnie tak jak obiecywała etykieta. Gallagher nie musi nawet gryźć. Masa spływa do żołądka gładko, jak zupa. Nie przeszkadza mu, że trochę chrząści w zębach – dopóki grudka niezmięsanego proszku nie staje mu w gardle. Gallagher zanosi się rozrywającym kaszlem i spryskuje pozostałe na półce opakowania kropelkami brązowej, doprawionej curry śliny.

Potem już bardziej uważa. Rozdziera jeszcze kilka torebek i napycha kieszenie saszetkami z proszkiem. Kiedy dotrze do rzeki, uczci to dwiema lub trzema z nich, wybranymi na chybił trafił. To będzie kolacja z niespodzianką.

Skoro o tym mowa, naprawdę powinien już ruszać. Nie może się jednak powstrzymać i ponownie omiata wzrokiem wnętrze sklepu, zastanawiając się, jakie jeszcze cuda się w nim kryją.

Nagle serce podskakuje mu w piersi, ponieważ zauważa regał z prasą. Cała górna półka, szeroka na trzy metry, jest zapchana świerszczykami. Zdejmuje je, jeden po drugim, i z nabożeństwem przekłada strony, jakby zawierały święte wersety. Niewyobrażalnie piękne dziewczyny uśmiechają się do niego wyrozumiale i zapraszają, szeroko otwierając przed nim serca i nogi.

Gdyby wcióż mieszkał w bazie, ten skarbiec uczyniłby go nieprawdopodobnie bogatym. Z całych koszar schodziłyby się do niego pielgrzymki, by zapłacić mu tytoniem i alkoholem za pół godziny spędzone w towarzystwie owych dam. Fakt, że alkohol wzbudza w nim niemal taką samą grozę jak głodni i złomiarze, w żadnym stopniu nie zaburza tej oszałamiającej wizji. Byłby z niego gość. W kantine każdy napotkany żołnierz pozdrawiałby go gestem lub słowem, a on przyjmowałby te wyrazy szacunku z dobrotliwą godnością. Ci, którym by łaskawie odpowiedział, z miejsca stawaliby się kimś.

Skrzypnięcie podłogi wyrywa go z marzeń o glorii i chwale i przenosi z powrotem w rzeczywistość. Gallagher opuszcza trzymane w rękach pisemko. Trzy metry od niego, dotychczas zasłonięta przez karty świerszczyka, choć wcale niepróbująca się ukryć, stoi mała dziewczynka. Drobniutka i chuda, sama skóra i kości. Przez chwilę oszołomionemu Gallagherowi zdaje się, że ma przed sobą postać z czarno-białej fotografii, ponieważ włosy dziecka są czarne jak smoła, a skóra ma odcień najczystszej bieli. Czarne otwory oczu przypominają pozbawione dna dziury wywiercone w białej desce, usta zaś to prosta, bezkrwista kreska.

Ma może z pięć albo sześć lat. Ewentualnie można by ją wziąć za wychudzoną siedmiolatkę.

Stoi bez ruchu i patrzy na niego. Gdy zyskuje pewność, że ją zauważył, wyciąga rękę i otwiera zaciśnięte palce. Na jej dłoni leży martwy, bezgłowy szczur.

Gallagher patrzy na szczura, potem na dziewczynkę. I znów na szczura. Stoją tak, wydawałoby się, bardzo długo. Gallagher powoli, z drżeniem wciąga powietrze w płuca.

– Cześć – mówi w końcu. – Jak się masz?

To najgłupsze, co mógł wymyślić, ale z trudem przychodzi mu uwierzyć w to, co się dzieje. Dobrze wie, że dziewczynka to głodna. Ale głodna z gatunku Melanie, taka, która myśli i nie zjada ludzi, jeśli nie chce.

Właśnie ofiarowała mu prezent na znak pokoju. I to bardzo cenny, zważywszy, jak straszliwie jest wychudzona.

Mała nie robi żadnego ruchu w jego stronę i nie odzywa się ani słówkiem. Czy ona w ogóle potrafi mówić? Dzieciaki w bazie, gdy je tam sprowadzono, przypominały bardziej zwierzęta niż ludzi. Szybko się uczyły, przysłuchując się rozmowom żołnierzy i personelu, ale na samym początku głównie pokwikiwały jak prosięta albo darły się jak małe szympansy.

Nieważne. Istnieje przecież coś takiego jak język ciała.

Gallagher uśmiecha się szeroko i przyjaźnie macha ręką. Mała się nie porusza, a jej twarz wciąż przypomina maskę. Potrząsa tylko szczurem zachęcająco, jakby chciała przywabić psa.

– Ładna z ciebie dziewczynka – rzuca głupekowato Gallagher. – Jak masz na imię? Bo ja Kieran. Kieran Gallagher.

Dziecko potrząsa szczurem, otwierając przy tym i zamykając usta, jakby chciało go zachęcić do jedzenia.

Co za idiotyzm. Będzie musiał wziąć od niej tego szczura, inaczej utkną tu na zawsze.

Gallagher bardzo powoli odkłada pismo – okładką do dołu, jakby tę żywo-martwą smarkulę można było zawstydzić albo zdeprawować widokiem nagich kobiecych piersi. Pokazuje dziewczynce, że ma puste ręce. Potem rusza w jej stronę nieśpiesznym, swobodnym krokiem, którego nauczył go sierżant Parks. Stara się, by cały czas widziała jego dłonie i szeroki uśmiech na twarzy.

Bardzo powoli wyciąga rękę po szczura.

A ta łobuziara nagle odskakuje. Gallagher zamiera, zastanawiając się, czy to możliwe, że źle zrozumiała jego intencje.

Gwałtowny, oszalamiający ból przeszywa jego lewą, a po chwili prawą łydkę. Z gardła wyrywa się krzyk. Gallagher czuje, jak uginają się pod nim nogi, i ciężko jak kłoda zwala się na twardą podłogę.

Zza regałów wyskakują drobne figurki i przemykają alejką po jego obu stronach. Gallagher nie widzi ich dokładnie, oślepiiony bólem i wściekłością, zbyt otumaniony, by zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

Dźwiga się na łokciu i spogląda na swoje nogi. To, co dostrzega, z trudem dociera jednak do jego świadomości. Wszędzie jest czerwono. Wszędzie jest krew.

Jego krew. Jest tego pewny, ponieważ teraz nie tylko ją widzi, ale również czuje. Łydki pulsują, rozrywane nieznośnym bólem. Nogawki spodni od kolan w dół są przesiąknięte krwią.

„Co oni zrobili? – myśli w oszołomieniu. – Co oni mi zrobili?”

Kątem oka dostrzega jakiś ruch. Kolejny dzieciak pędzi prosto na niego. Jego twarz to rozmazana plama przypadkowych kolorów, w której błyszczą czarne szpileczki oczu. W wysoko uniesionych rękach trzyma jakiś metalowy przedmiot, który oślepiająco błyszczy w ukośnych promieniach popołudniowego słońca.

Chłopiec bierze zamach. Gallagher uchyla się z wrzaskiem. Przez chwilę ma wrażenie, że lśniący przedmiot to miecz, ale gdy przemyka mu przed oczami, widzi, że jest na to zbyt gruby i zbyt toporny. Metalowy regał przyjmuje na siebie większość siły uderzenia. Gallagher odpycha dzieciaka, który waży tyle co nic, więc cios posyła go w powietrze i sprawia, że niemal nakrywa się nogami. Broń – aluminiowy kij do baseballu – wypada mu z ręki i z brzękiem ląduje u stóp Gallaghera.

Które tkwią już w okazałych rozmiarów kałuży. Kałuży jego własnej krwi.

Chłopiec z pomalowaną twarzą wycofuje się niezgrabnie, ale z obu stron biegnie na Gallaghera jeszcze dwójka innych dzieciaków, jedno z nożem, drugie z czymś, co wygląda jak rzeźnicki tasak. Gallagher wrzeszczy ile siły w płucach i chwyta aluminiowy kij.

Mali głodni hamują i cofają się na tyle, że znajdują się poza jego zasięgiem.

Są teraz wszędzie. Gallagher nie potrafi ich zliczyć, ale wydaje mu się, że są ich dziesiątki. Może setki. Drobne, blade twarze to znikają, to pojawiają się w szczelinach między półkami. Co odważniejsi zbierają się u obu wlotów alejki i wpatrują w niego otwarcie. Uzbrojeni we wszystko, co można sobie wyobrazić, od noży i widelców po ułamane gałęzie. W większości są całkiem nadzy, tak jak pierwsza dziewczynka, ale niektórzy mają na sobie dziwacznie zestawione ubrania, zapewne ściągnięte ze sklepowych witryn. Jeden z chłopców zapiął sobie na skos wokół tułowia panterkowy biustonosz, a u dołu przywiązał go do paska, z którego zwisa pęk ozdobnych breloczków do kluczy.

Dziewczynka, którą ujrzał jako pierwszą, nadal stoi w tym samym miejscu. Cofnęła się tylko nieznacznie, by zrobić odrobinę więcej miejsca swoim uzbrojonym ziomkom. Spokojnie i cierpliwie żuje zdechłego szczura.

Gallagher próbuje wstać, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Nie może oderwać wzroku od dzieciaków, na wypadek gdyby znów postanowiły zaatakować, na oślep sięga więc ręką do nóg, by stwierdzić, co właściwie się z nim stało. W prawej nogawce spodni, w połowie drogi pomiędzy kolanem a kostką, wyczuwa szerokie rozdarcie. Ostrożnie dotyka palcami krawędzi rany. Nie jest szeroka, za to długa, prosta i prawdopodobnie głęboka.

To samo z lewą nogą.

Ten szczur nie był gałązką oliwną. Był przynętą. Zresztą cały numer nie powinien był się udać, bo on przecież nie jada szczurów. A tu proszę, kto by się spodziewał. Jak zwykle wystarczyła ładna buźka. Ta mała franca zwabiła go w odpowiednie miejsce, a wtedy dwóch jej koleżków załatwiło go od tyłu.

Przecięli mu ścięgna.

Nie wyjdzie stąd na własnych nogach.

Być może już nigdy na nich nie stanie.

– Kurwa mać! – rzuca zduszonym szeptem, zdziwiony, bo w jego głowie był to krzyk. – Słuchajcie – mówi głośno. – Posłuchajcie mnie. To nie... Nie zrobicie mi tego. Rozumiecie? Nie możecie mnie...

W ich twarzach nie zachodzi żadna zmiana. Wszystkie mają ten sam wyraz dzikiego, bolesnego pragnienia, które w jakiś sposób zostało powściągnięte. Do czasu.

Czekają, aż umrze, żeby go zjeść.

Gallagher wyciąga pistolet i celuje. Najpierw w dziewczynkę ze szcurem. Potem w chłopca, który upuścił kij. Wygląda na to, że jest z nich najstarszy. Ma pełne, nieprzyzwoicie czerwone wargi, podczas gdy większość pozostałych wygląda, jakby ich w ogóle nie miała. Na początku trudno je jednak zauważyć, ponieważ giną w plamach koloru, które – Gallagher dopiero teraz to zauważa – nie układają się w abstrakcyjne wzory. To maska demona z wielką, rozwartą paszczą, narysowana rozmazaną, chybotliwą kreską, która wskazuje, że chłopiec stworzył ją własnoręcznie, prawdopodobnie markerem. Cienkie proste czarne włosy opadają mu na oczy, czyniąc go podobnym do zblazowanej gwiazdy rocka. Chłopak jest tak chudy, że Gallagher byłby w stanie policzyć wszystkie żebra.

Wydaje się w ogóle nie zauważać wycelowanej w niego lufy pistoletu. Absolutnie niewzruszony, bez mrugnięcia powieką patrzy szeregowemu prosto w oczy. Gallagher wymachuje pistoletem w stronę każdego dziecka po kolei. A one jakby tego nie widziały. Nie wiedzą, co to pistolet ani że należy się go bać. Będzie musiał zastrzelić przynajmniej jedno, żeby zrozumiały.

I to szybko. Ręka mu drży, oczy przesłania mgła. Świat zaczyna podskakiwać jak widziany z okna samochodu jadącego po wyboistej drodze. Mimo to Gallagher usiłuje się skupić.

Chłopiec z pomalowaną twarzą. Ten, który upuścił kij. Stoi z przodu i prawdopodobnie to on dowodzi operacją pod kryptonimem „Zjeść Kierana Gallaghera”, więc niech go szlag, będzie pierwszy.

Problem w tym, że chłopiec, podobnie zresztą jak pozostali, podryguje mu przed oczami razem z całym wnętrzem sklepu. Jeśli nie będzie uważał, Gallagher może niechcący trafić tamtą dziewczynkę. A tego by nie chciał, mimo że go wystawiła. Jest za mała. Za bardzo by to przypominało morderstwo.

Mam cię, gówniarzu. Cel namierzony. Broń ciąży mu niemożliwie, ale

wystarczy, że utrzyma ją prosto przez kilka sekund, tyle by nacisnąć spust, nacisnąć i...

I nic.

Magazynek jest pusty.

Gallagher zużył wszystkie naboje drugiego dnia, kiedy przedzierali się przez tłum głodnych, żeby dotrzeć do tego czegoś, co wyglądało jak szpital. Wainwright House. Potem przerzucił się na karabin i sięgał po niego, ilekroć sytuacja robiła się groźna. A pistoletu nie naładował.

Ma ochotę wybuchnąć śmiechem. Dzieciaki nie reagują, ponieważ pistolet nic dla nich nie znaczy. To kij baseballowy trzymał je na dystans.

Trzymał, ale już nie trzyma. Zbliżają się powoli od obu wylotów alejki, ostrożnie, po jednym kroku, jakby chodziło o jakiś zakład. Chłopiec z pomalowaną twarzą, choć pozbawiony kija, pozostaje na przedzie. Raz po raz zaciska i prostuje kościste palce.

Tymczasem Gallagher powoli traci czucie, drętwa rozlewa się od rozharatanych nóg po całym ciele. Tylko buzujące w głowie przerażenie ją powstrzymuje i przynosi nagły przebłysk natchnienia. Błyskawicznym ruchem szeregowy przekręca się na lewą stronę i na oślep maca w kieszeni spodni w poszukiwaniu...

Tak! Jest. Jego palce zaciskają się na chłodnym metalu. „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna”, myśli z niedowierzaniem. Dzieciaki są już bardzo blisko. Gallagher wyciąga granat z kieszeni i pokazuje im go na wyciągniętej dłoni.

– Patrzcie! – woła ile sił w płucach. – Patrzcie na to!

Nieubłagana fala napastników zwalnia i zatrzymuje się, ale on wie, że to podniesiony głos, nie granat, sprawił, że dzieci się zawahały. Przypatrują mu się, by oszacować, ile zostało w nim woli walki.

– Bum! – Gallagher dziko wymachuje rękami, odgrywając pantomimę wybuchu.

Na moment zapada cisza. A potem chłopiec z pomalowaną twarzą wydaje z siebie coś w rodzaju szczeknięcia. Jakby mu się zdawało, że to tylko próżna groźba, próba konfrontacji sił. Jakiś cholerny turniej.

– To bomba! – krzyczy zrozpaczony Gallagher. – Pierdolony granat! Rozerwie was na strzępy. Idźcie sobie złapać jakiegoś bezdomnego kundla albo coś. Bo to zrobię, nie żartuję, naprawdę to zrobię.

Żadnej reakcji. Gallagher ujmuje zawleczkę między kciuk i palec wskazujący.

Nie chce ich zabijać. Pragnie tylko, by jego odejściu towarzyszył jasny błysk i nagły wstrząs zamiast czegoś okropnego i rozciągniętego w czasie ponad ludzką wytrzymałość. Nie zostawili mu wyboru.

– Błagam – mówi.

Cisza.

Gdy nadchodzi właściwy moment, nie jest w stanie odciągnąć zawlecзки. Gdyby potrafił im uświadomić, czym grozi przedmiot, który trzyma w dłoni, może byłoby inaczej.

Upuszcza kij, a wtedy dzikie dzieci uderzają niczym fala. Wytracony z dłoni granat turla się po podłodze.

– Nie chcę was skrzywdzić! – krzyczy Gallagher.

Naprawdę tak myśli, dlatego właśnie powstrzymuje się od walki, gdy wgryzają się w jego ciało i rozszarpują je na kawałki. To w końcu tylko dzieci, które miały zapewne równie gówniane dzieciństwo jak on.

W idealnym świecie byłby jednym z nich.

Parks jest zdeterminowany, by rozpocząć poszukiwania, choć wie, że szanse na odnalezienie Gallaghera są niemal zerowe. Nie mogą krzyczeć, nie są również w stanie przeczesać okolicy, ponieważ jest ich tylko troje – on, Helen Justineau i smarkula. Doktor Caldwell oznajmiła, że jest zbyt słaba, by wypuszczać się na większe odległości, a ponieważ faktycznie wygląda, jakby jedno ostrzejsze słowo mogło złamać ją na pół, Parks nie podejmował dyskusji.

Okazuje się jednak, że niepotrzebny im nikt więcej. Melanie kręci się w kółko jak wiatrowskaz i kilka razy węszy w powietrzu. W końcu obraca się na południowy zachód.

– Tędy.

– Jesteś pewna? – pyta ją Parks.

Skinienie głową. Żadnych zbędnych słów. Melanie rusza przed siebie, a oni posłusznie udają się za nią.

Kłopot w tym, że trop wije się na wszystkie strony, tylko na początku skierowany mniej więcej na południe. Wygląda na to, że Gallagher zabłądził i wrócił po własnych śladach, kiedy zaledwie kilometr z hakiem dzielił go od Rosie. Parksowi przychodzi na myśl podejrzenie, że mała specjalnie wpuszcza ich w maliny – może chce się poczuć ważna i zwrócić na siebie uwagę dorosłych. Po chwili stwierdza jednak, że to bzdura. Może dziesięciolatka z pulsem byłaby zdolna do takich numerów, ale Melanie twardo stąpa po ziemi. Gdyby nie wiedziała, w którą stronę poszedł Gallagher, po prostu by im o tym powiedziała.

A jednak coś się najwyraźniej kroi. Melanie i Justineau raz po raz wymieniają pełne przestrachu spojrzenia. Ten niemy dialog osiąga punkt kulminacyjny, gdy trop przecina główną drogę i skręca w boczną uliczkę. Mała przystaje i spogląda na Parksa.

– Sierzancie, niech pan wyciągnie broń – mówi cicho. Strasznie spoważniała.

– Głodni? – Nie obchodzi go, skąd smarkula o tym wie. Chce tylko wiedzieć, co ich czeka.

– Tak.

– Gdzie?

Mała się waha. Stoją w miejscu, które służyło prawdopodobnie jako sklepowy parking. Z trzech stron otaczają ich zabudowania, prawie wszystkie drzwi są wyważone lub roztrzaskane. Z jednej strony tkwi zardzewiały, wsparty na cegłach samochód, unieruchomiony prawdopodobnie na długo przed tym, nim Załamanie zamieniło drogi w pustynię. Obok kubły na odpadki, wystawione do opróżnienia przez śmieciarzy, którzy nigdy się nie pojawili.

– Tam – mówi w końcu Melanie.

Drzwi, które wskazuje, na pierwszy rzut oka niczym się nie różnią od

pozostałych. Po bliższych oględzinach poszukujący dostrzegają przed nimi zdeptane chwasty, w tym ogromny oset, wciąż mokry od soku w miejscu, gdzie łądyga została złamana.

Parks bez słowa puszcza się biegiem. „Lepiej późno niż wcale”, myśli. Dotyka ręki Justineau na znak, by przygotowała broń. Oboje dopadają drzwi niczym gliniarze w telewizyjnym serialu, przesadnie ostrożni mimo chrzęszczącego pod stopami żwiru.

Melanie zastępuje im drogę.

– Niech mi pan to zdejmie – zwraca się do Parksa.

– Kajdanki?

– Kajdanki i kaganiec.

– Nie tak dawno temu prosiłaś, żeby ci je założyć – przypomina jej sierżant.

– Wiem. Będę ostrożna.

Nie musi mówić nic więcej. W zamkniętej przestrzeni pełnej głodnych jej pomoc z pewnością będzie im potrzebna. Nie ma sensu się kłócić. Parks uwalnia małą z kajdanek i zatyka je za pasek spodni. Melanie sama odpina kaganiec i podaje mu go na wyciągniętej dłoni.

– Popilnuje go pan? – prosi.

Sierżant chowa kaganiec do kieszeni. Melanie wchodzi w ciemność.

Niestety, spóźnili się. Cokolwiek tu się zdarzyło, jest już po wszystkim. Szeroka smuga krwi prowadzi ze środkowej alejki w ciemny kąt, w który głodni zawlekli Gallaghera, by go pożreć. Wzrok chłopaka skierowany jest w sufit, a na twarzy maluje się łagodne cierpienie, przywodzące na myśl manierystyczne sceny ukrzyżowania. Jednak w przeciwieństwie do Chrystusa Gallaghera ktoś objadł do kości. Jego kurtka zniknęła, nigdzie nie ma po niej śladu. Rozerwana na piersi koszula okala wydrążoną jamę klatki piersiowej. Na obnażonych kręgach leżą blaszane nieśmiertelniki. Głodni zdołali pożreć gardło Gallaghera, nie naruszając metalowego łańcuszka – jak w numerze polegającym na tym, by ściągnąć ze stołu obrus, nie strącając zastawy.

Justineau bez słowa odwraca twarz. Spod jej zaciśniętych powiek spływają łzy. Parks również milczy, przez chwilę lub dwie. Myśli tylko o tym, że miał jednego podkomendnego i pozwolił mu umierać w samotności. To grzech, za który łąduje się w piekle.

– Trzeba go pochować – mówi Melanie.

Przez chwilę gniew sierżanta zwraca się przeciwko niej.

– A jakie to, kurwa, ma znaczenie? – rzuca ostro, przesywając ją gniewnym wzrokiem. – Co niby mamy pochować? Nic z niego nie zostało. Można by zgarnąć go na łopatkę i wyrzucić na śmietnik.

Melanie nie pozostaje mu dłużna. Obnażywszy zęby, odpowiada z wściekłością:

– Musimy go pochować. Inaczej znajdą go psy albo głodni i już nic z niego nie zostanie. Nikt się nigdy nie dowie, gdzie umarł. Poległemu żołnierzowi należy się szacunek, sierżancie!

– Poległemu... Szacunek... Skąd tyś to, do cholery, wzięła?

– Prawdopodobnie z opowieści o wojnie trojańskiej – mamrocze pod nosem Justineau. Ociera oczy spodem dłoni. – Melanie, niby jak mielibyśmy... Tu nigdzie nie ma odpowiedniego miejsca. I nie mamy czasu. Sami byśmy im się wystawili. Będziemy musieli go tu zostawić.

– Skoro nie możemy go pochować – upiera się Melanie – to trzeba będzie go spalić.

– Niby jak? – pyta Justineau.

– Oblejemy go tym, co jest w tych wielkich beczkach – odpowiada zniecierpliwiona dziewczynka. – Tych, co stoją przy generatorze. Tam na nich jest napis „łatwopalne”, a to znaczy, że się nadadzą.

Justineau coś tam jej tłumaczy, może próbuje małej uświadomić, że przyciągnięcie tu kilku dwudziestogalonowych beczek z paliwem lotniczym jest kolejną czynnością, w którą nie powinni się angażować.

Parks natomiast milczy, zatopiony w myślach; z otępiałym zdumieniem stwierdza, że dla tej małej świat nigdy się nie skończył. Nakładli jej do głowy tych wszystkich staroci, nikomu do niczego niepotrzebnych, i zdawało im się, że to bez znaczenia, ponieważ pozostanie w swojej celi aż do dnia, gdy rozmontują ją na części, które następnie rozsmarują na mikroskopowych szkiełkach.

Niedobrze mu się robi. Po raz pierwszy w swojej żołnierskiej karierze uświadamia sobie, jak wygląda zbrodnia wojenna od środka. Ale to nie on jest zbrodniarzem, i Caldwell też nie. Winna jest Justineau. I Mailer. I ten przekłety pijus Whitaker, i cała reszta. Caldwell jest tylko rzeźnikiem. Sweeneyem Toddem, z jego fotelem, brzytwą i zapadnią. To nie ona przez lata wykręcała mózgi tych dzieci na kształt precli.

– Możemy się za niego pomodlić – proponuje tymczasem Justineau. – Ale Melanie, nie damy rady przyciągnąć tu tych beczek. A nawet gdybyśmy dali...

– Dobra – przerywa jej Parks. – Zróbmy to.

Justineau spogląda na niego jak na wariata.

– To nie jest pora na żarty – rzuca ponuro.

– A wyglądam, jakbym żartował? Mała ma rację. Ma więcej oleju w głowie niż my oboje razem wzięci.

– Nie możemy... – powtarza Justineau.

Parks nie wytrzymuje.

– Niby czemu nie!? – wrzeszczy. – Jeśli ona chce oddać jebany hołd poległym, to niech odda! Rok szkolny dobiegł końca, droga pani profesor, i to już jakiś czas temu. Może pani nie zauważyła.

Justineau gapi się na niego zdumiona. Odrobinę zbladła.

– Nie krzycz – mamrocze, uciszając go gestem dłoni.

– Czyżby przenieśli mnie do twojej klasy? – pyta ją Parks. – Jesteś teraz moją nauczycielką?

– Głodni, którzy to zrobili, nie mogą być daleko, usłyszą cię.

Parks unosi lufę karabinu i naciska spust. Strzał wybija dziurę w suficie, z którego spadają grudki wilgotnego gipsu. Jedna z nich pozostawia na jego ramieniu białą smugę.

– Chętnie zamieniłbym z nimi dwa słowa – rzuca z przekąsem.

Odwraca się do Melanie, która obserwuje całą scenę szeroko otwartymi oczami. Jak dziecko, które przygląda się kłótni rodziców.

– Co ty na to, mała? Urządzimy Kieranowi pogrzeb godny wikinga?

Dziewczynka nie odpowiada. Nic dziwnego. Odpowiadając twierdząco, weźmie jego stronę, a zarazem sprzeciwi się Justineau, w której jest najwyraźniej zakochana po uszy.

Parks uznaje jej milczenie za zgodę. Wchodzi za ladę, gdzie wcześniej dostrzegł pudło zapalniczek. Wciąż są pełne płynu – i choć to małe ilości, jest ich chyba ze sto. Wraca z pudełkiem w miejsce, gdzie leży zbezczeszczone ciało.

Ponieważ jest człowiekiem pragmatycznym, odczepia od paska Gallaghery krótkofalówkę, a dopiero potem zaczyna rozłamywać plastikowe rurki i oblewać ciało żołnierza znajdującym się w nich płynem. Justineau przygląda się temu, kręcąc głową.

– A co z dymem? – pyta.

– Co z nim? – odburkuje Parks.

Melanie odwraca się do nich tyłem i rusza ku wylotowi alejki, na sam przód sklepu. Po chwili wraca z żółtą peleryną przeciwdeszczową opakowaną w folię. Podkłada Gallagherowi zawiniątko pod głowę. Klęczy w jego krwi, która nie zdążyła jeszcze zaschnąć. Kiedy wstaje, jej kolana i łydki zdobią czerwone smugi.

Parks demontuje ostatnią zapalniczkę. Mógłby ją wykorzystać do podpalenia stosu, ale tego nie robi. Wylewa z niej płyn, po czym dobywa iskrę z krzesiwa. Wkrótce płomienie obejmują całe ciało zmarłego.

– Z Bogiem, żołnierzu – mruczy, patrząc, jak ogień pochłania to, co zostało z Kierana Gallaghery.

Melanie też coś mówi, ale cicho, pod nosem – jej słowa nie są skierowane do żadnego z nich. Justineau – trzeba jej to oddać – w ciszy czeka, aż skończą, co następuje dopiero wtedy, gdy tłuste, śmierdzące płomienie zmuszają ich do odwrotu.

Wracając do Rosie, idą z dala od siebie. Nie mają sobie zbyt wiele do powiedzenia. Po chwili cały sklep za ich plecami staje w płomieniach, buchając w niebo grubym słupem dymu, który rozpościera się nad ich głowami niczym

czarny parasol.

Justineau traktuje Parksa jak psa z odrobiną piany wokół pyska, co wydaje mu się w tej chwili niepozbowione sensu. Melanie idzie z przodu, zgarbiona i ze spuszczoną głową. Nie poprosiła o ponowne założenie kajdanków i kagańca, a i sierżant nie wyszedł z taką propozycją.

Gdy są już całkiem blisko, mała przystaje. Zaalarmowana, gwałtownie unosi głowę.

– Co to? – szepcze.

Parks chce powiedzieć, że nic nie słyszy, ale wtedy powietrze zaczyna drżeć i to drżenie powoli składa się w dźwięk. Coś budzi się ze snu, ponure i groźne, gotowe do wszczęcia zwycięskiej walki.

Silniki Rosie.

Parks puszcza się biegiem i wypada z za rogu Finchley High Road akurat w chwili, gdy mała czarna plamka na horyzoncie zaczyna się powiększać do olbrzymich rozmiarów.

Rosie porusza się nieco chwiejnie, z powodu zaścielającego ziemię gruzu, ale i dlatego, że doktor Caldwell prowadzi kciukami zahaczonymi o dolną część kierownicy. Każde drgnienie jej rąk sprawia, że długi pojazd zatacza się chybotliwie, gwałtownie zbaczając z kursu.

Parks bez chwili namysłu wychodzi na środek drogi. Nie ma pojęcia, co Caldwell ma zamiar zrobić, przed czym być może ucieka, wie jednak, że musi ją powstrzymać. Rosie zatacza się jak pijak, by go ominąć, i wjeżdża prosto w zaparkowany na ulicy samochód. Ciągnie go za sobą przez kilka metrów, po czym samochód rozbija się w grad szklanych odłamków i drobinek rdzy.

I już po wszystkim. Cała trójka wpatruje się w niknące w oddali tylne światła ruchomego laboratorium.

– Co, do kurwy nędzy!? – woła zdumiona Justineau.

Parks podziela to odczucie.

Gdy tylko Parks i Justineau wychodzą na poszukiwania szeregowego Gallaghera, zabierając ze sobą obiekt numer jeden, Caroline Caldwell zdecydowanym krokiem podchodzi do bocznych drzwi Rosie, otwiera przymocowaną do ściany niewielką szafkę i pociąga za znajdującą się wewnątrz wajchę, ustawiając ją w pozycji poziomej. Jest to wajcha ręcznego sterowania dostępem awaryjnym. Od tej chwili nikt nie wejdzie do pojazdu, o ile Caldwell sama go nie wpuści.

Następnie rusza do kabiny kierowcy i uruchamia jeden z trzech paneli. Generator, znajdujący się osiemnaście metrów za jej plecami, na tyłach pojazdu, zaczyna szumieć – ale nie ryczeć, ponieważ Caldwell nie posyła energii do silnika. Potrzebuje jej w laboratorium, gdzie zresztą udaje się w następnej kolejności. Ponieważ zamierza pracować bezpośrednio na zarażonej tkance, nakłada rękawiczki, ochronne okulary i maseczkę.

Włącza mikroskop elektronowy, cierpliwie i starannie konfiguruje kolejne ustawienia, po czym wsuwa na miejsce pierwszą próbkę.

Z przyjemnym dreszczem oczekiwania spogląda w okular, w którym natychmiast w pełnej krasie pojawia się centralny układ nerwowy głodnego z Wainwright House.

Ponieważ wybrała zielony filtr, nagle przenosi się w sam środek tropikalnego lasu i spacerowym krokiem rusza przed siebie pod baldachimem splątanych dendrytów.

Rozdzielczość jest tak idealna, że zapiera dech w piersiach. Każdy element widoczny jest w najdrobniejszym szczególe, jak na ilustracji z podręcznika. Fakt, że tkanka w momencie pobrania była mocno uszkodzona, objawia się przede wszystkim tym, że gdy Caldwell delikatnie obraca głowicę obiektywu, pomiędzy neuronami dostrzega rozmaite obce ciała – kłębki kurzu, ludzkie włosy, komórki bakterii, jak również – co było do przewidzenia – nitki grzybni. Same komórki nerwowe są jednak całkowicie odsłonięte i ten widok wprawia ją w podniecenie.

Widzi teraz to, co zauważali inni badacze, lecz czego nie była dotąd w stanie zweryfikować za pomocą prowizorycznego, niekompletnego sprzętu, który miała do dyspozycji w bazie. Widzi dokładnie, w jaki sposób *ophiocordyceps* buduje swoje kukułcze gniazdo w gąszczach mózgu – jak cieniuteńkie nitki grzybni owijają się wokół dendrytów niczym bluszcz wokół gałęzi dębu. Tyle że bluszcz nie szepcze dębowi do ucha syrenich pieśni i nie kradnie mu duszy.

Kukułki? Bluszcz? Syreny? „Skup się, Caroline – karcisz surowo doktor Caldwell. – Patrz na to, co przed tobą, patrz uważnie i wyciągaj wnioski tam, gdzie istnieją wystarczające dowody”.

A dowody, owszem, istnieją. Teraz widzi to, co inni przeoczyli – szczeliny

w murze fortecy („skup się!”), miejsca, gdzie regularne struktury mózgu rozstępują się, pokonane i bezradne, wokół zdławionych przez grzyb komórek nerwowych. Niektóre niezarażone zwoje zgęstniały wprawdzie, ale nowsze komórki wyglądają jakby na wzdęte i wyjąłowane, rozepchane od środka przez wyszczerbione złogi amyloidu.

Gdy doktor Caldwell uświadamia sobie znaczenie tego, co widzi, włosy jeżą jej się na głowie.

To się działo powoli – przypomina sobie w duchu. Wcześniej badacze nie zanotowali tego procesu, ponieważ tuż po Załamaniu nie osiągnął on jeszcze punktu, w którym był wizualnie weryfikowalny. Jedynym sposobem, by potwierdzić jego istnienie, było przewidzenie tego, co się stanie, i poprowadzenie badań w oparciu o tę hipotezę.

Caldwell podnosi głowę i odsuwa się od mikroskopu. Mogłaby godzinami wpatrywać się w ten zielony świat i odnajdywać w nim wciąż nowe cuda.

Zostawi to na później. Z drugiej strony „później” to słowo, które w jej wypadku straciło wszelki sens. „Później” oznacza kolejny dzień lub dwa rosnącej gorączki połączonej z utratą funkcji motorycznych, a potem bolesną, odartą z godności śmierć. Udało jej się położyć podwaliny hipotezy, która ma szansę okazać się prawdziwa. Teraz musi dokończyć dzieła, póki jeszcze może.

W jej laboratorium w bazie znajdują się – a raczej znajdowały – dziesiątki slajdów z próbkami tkanki pobranymi od obiektu numer szesnaście (czyli Marcii) oraz obiektu numer dwadzieścia dwa (Liana). Gdyby mogła, z całą pewnością by je wykorzystała. Doktor Caldwell nie ma zwyczaju szastać materiałami badawczymi, wbrew temu, co powiedziała kiedyś w desperacji do Helen Justineau. Teraz wreszcie pojawiła się ta prawidłowość – a przynajmniej hipoteza, którą można przetestować – ale wszystkie istniejące próbki pochodzące od obiektów z bazy, od dzieci, które wydają się w jakiejś części odporne na efekty działania *ophiocordycepsa*, zostały jej odebrane.

A więc potrzebuje nowych próbek. Pobranych od obiektu numer jeden.

Wie jednak, że Helen Justineau zrobi wszystko, by ją powstrzymać od przeprowadzenia sekcji Melanie lub choćby od wykonania biopsji mózgu. Co więcej, zarówno sierżant Parks, jak i szeregowy Gallagher – czego Caldwell obawiała się od początku – weszli z obiektem badawczym w niedopuszczalnie bliskie relacje, spowodowane interakcją w częściowo znormalizowanym kontekście społecznym. Nie ma zatem żadnej gwarancji, że jeśli wyrazi chęć pobrania od Melanie próbki tkanki mózgowej, ktokolwiek ją w tym poprze.

Planuje więc dalsze działania w oparciu o założenie, że już to zrobiła i spotkała się z odmową.

Rozkłada służbę powietrzną i montuje ją przy drzwiach. Sprytna konstrukcja czyni to zadanie stosunkowo prostym nawet dla jej niesprawnych dłoni. Teraz

problemem nie są już same bandaże; stan zapalny doprowadził do ogólnej utraty czucia i reakcji. Jej palce na wszelkie polecenia reagują z opóźnieniem, gwałtownymi, urywanymi ruchami, co przypomina próby uruchomienia auta na mrozie.

Doktor Caldwell nie daje jednak za wygraną. Wpasowuje skompletowaną śluzę w osiem rowków, cztery w suficie pojazdu i cztery w podłodze. Każdy sworzeń zabezpiecza obejmą, a następnie okrągłym zaciskiem. Musi do tego użyć klucza francuskiego trzymanego w obu dłoniach. Osiem razy. Na długo przed wykonaniem zadania czucie wraca do niej falą nieznośnego bólu, który sprawia, że Caldwell wydaje z siebie mimowolny skowyt.

Boki oraz przód śluzę wykonane są z ultraelastycznego, ale i niezwykle mocnego plastiku. Pozostaje uszczelnić dół i górę szybko schnącą pianką wprowadzaną z ręcznego aplikatora. Caldwell przytrzymuje aplikator w zgięciu lewego łokcia i naciska spust kciukiem prawej dłoni.

Wychodzi z tego niezły bajzel, ale po sprawdzeniu okazuje się, że uszczelka działa bez zarzutu, i kiedy Caldwell wypompowuje powietrze ze śluzę, strzałka ciśnieniomierza gładko opada ku zeru.

Znakomicie.

Caldwell z powrotem wpompowuje do śluzę powietrze, tak by wewnątrz zapanowało normalne ciśnienie. Następnie podłącza system kontroli drzwi do komputera. Zamyka obie pary drzwi, blokując tylko wewnętrzne. Ładuje do komory cylinder wypełniony fosgenem. Zauważyła go już podczas pierwszych oględzin laboratorium. Wyszła wówczas z założenia, że używano go do przeprowadzania syntezy organicznych polimerów. Oczywiście gaz ma również inne zastosowania, między innymi można za jego pomocą szybko i skutecznie uśmiercać duże zwierzęta doświadczalne. Zgon następuje przez uduszenie, które szczęśliwie nie powoduje zbyt rozległego uszkodzenia tkanki.

Teraz pozostaje jej czekać. Czekając, doktor Caldwell analizuje własne uczucia dotyczące tego, co ma zamiar zrobić. Niechętnie zastanawia się nad efektami działania gazu na jej ludzkich współtowarzyszy. Fosgen zabija w sposób bardziej humanitarny niż jego bliski krewniak chlor, pozostaje jednak pytanie, czy jest to jakoś szczególnie ważne. Caldwell ma nadzieję, że Melanie pierwsza wejdzie do śluzę i że będzie można zablokować zewnętrzne drzwi, zanim inni wejdą tam za nią.

Wie jednak, że to mało prawdopodobne. Helen Justineau wkroczy zapewne do pojazdu u boku swojej pupilki bądź kilka kroków przed nią. Ten scenariusz specjalnie Caldwell nie martwi. Jest w tym nawet pewien rodzaj dziejowej sprawiedliwości. Justineau zrobiła bowiem wiele, by doprowadzić do obecnej, isticie absurdalnej sytuacji, w której Caldwell musi knuć intrygi, by zyskać dostęp do własnego obiektu doświadczalnego.

Ma jednak nadzieję, że nie będzie musiała zabić Parksa ani Gallaghera. Obaj żołnierze zajmą zapewne pozycję na tyłach, by osłaniać Justineau i Melanie do momentu, gdy te będą bezpieczne wewnątrz pojazdu. Łatwo będzie więc zamknąć im drzwi przed nosem.

Plan nie jest idealny. Najchętniej w ogóle nikogo by nie zabijała. Jednak implikacje wynikające z jej hipotezy są tak niebywale brzemiennie w skutki, że wzdryganie się przed dokonaniem morderstwa byłoby zbrodnią przeciwko ludzkości. Caldwell ma obowiązek do spełnienia i coraz mniej czasu, liczonego nie w dniach, lecz w godzinach.

Uniosła ciężkie story w oknach laboratorium, żeby mieć widok na ulicę i powracającą ekipę ratunkową. Ale nieustający ból wyciągnął z niej wszelką energię. Mimo woli zaczyna przysypiać. Raz po raz odzyskuje świadomość, po czym znów osuwa się w niebyt. Unoszone ogromnym wysiłkiem powieki za każdym razem opadają odrobinę niżej.

W pewnym momencie, spojrzawszy w okno, napotyka w oddali spojrzenie małego dziecka stojącego w progu jednego z domów, niemal dokładnie naprzeciwko niej.

Wyraźnie widać, że to głodny. W chwili zarażenia nie miał więcej niż pięć lat. Nagi, wychudzony i nieopisanie brudny, przypomina ofiarę katastrofy z telewizyjnego spotu organizacji charytatywnej z czasów, gdy wydarzenie, które pochłonęło kilka tysięcy ofiar, zasługiwało jeszcze na miano katastrofy.

Chłopiec wlepia w nią uparte, nieruchome spojrzenie. Nie jest sam. Jest późne popołudnie i wydłużone cienie zapewniają wiele naturalnych kryjówek. Ale jak detale łamigłówek, kolejni głodni jeden po drugim wyłaniają się z tła. Nieco starsza od chłopca rudowłosa dziewczynka kryje się za przeżartym rdzą kadłubem samochodu. Jeszcze starszy czarnowłosy chłopak kuca w gruzach sklepowej witryny, ściskając w dłoniach aluminiowy kij do baseballu. Za nim, w głębi sklepu, kolejna dwójka przycupnęła pod wieszakiem pełnym spłowiałych od słońca, pleśniejących sukienek.

Cała wataha głodnych! Caldwell jest zachwycona. Kiedy Parks i jego ludzie oznajmili jej, że populacja obiektów doświadczalnych na wolności uległa wyczerpaniu, mogło to oznaczać wiele rzeczy. Jeden z powodów – wtedy uważała go za nieprawdopodobny, ale teraz jest pewna jego prawdziwości – był taki, że zarażone dzieci były na tyle inteligentne, by uznać sierżanta i jego podkomendnych za zagrożenie i przenieść się na nowe tereny łowieckie.

Caldwell obserwuje, jak czarnowłosy chłopiec kiwa głową na kryjącą się w sklepie parkę, która po chwili zrównuje się z nim i spogląda w tę samą stronę. Najwyraźniej jest ich przywódcą. Poza tym jako jeden z niewielu nie jest całkiem nagi. Jego wąskie, kościste ramiona okrywa wojskowa kurtka. Zapewne, upolowawszy jakiegoś żołnierza, prócz jego mięsa zainteresował się również jego

przyodziewkim. Przecinające twarz chłopca różnobarwne smugi układają się w plemienną oznakę pozycji i siły.

Caldwell widzi doskonale, że ci mali głodni działają zespołowo. Komunikując się za pomocą gestów i min, jednoczą wysiłki przeciw nieznanemu zjawisku, które pojawiło się na ich terytorium.

Być może zwabił ich tu jednostajny szum generatora. A może obserwowali Rosie już od dłuższego czasu, wyruszywszy śladem powracających z wyprawy aprowizacyjnej Justineau i Gallaghery. Niezależnie od tego, co przyciągnęło ich uwagę, pewne jest, że ją zauważyli.

A to oznacza, że chcą ją dopaść.

Mimo że jest zamknięta za nietłukącym się szkłem w przerośniętym czołgu, tak wspaniale uzbrojonym, że rozniósłby w pył wszystkie okoliczne budynki. Mimo że nie ma sposobu, by mogli się do niej dostać, ani by ocenić, jak bardzo jest niebezpieczna. I – przede wszystkim – mimo że przez warstwy stali, szkła i plastiku nie czują jej zapachu.

A jednak rozpoznają w niej potencjalną ofiarę i reagują w jedyny znany sobie sposób.

Podniósłszy się z krzesła i ruszywszy ku drzwiom, Caldwell nie od razu uświadamia sobie swoją decyzję. Ale to dobra decyzja. Potrafi ją uzasadnić na każdej płaszczyźnie.

Przenosi system kontrolujący drzwi do znajdującego się obok śluzy panelu. Następnie kilka razy otwiera i zamyka drzwi zewnętrzne, testując ich działanie przy różnych ustawieniach prędkości. Obserwuje, jak hydrauliczne tłoki grubości jej ramienia przesuwają się gładko w przód i w tył. Nawet na trzecim poziomie prędkości – a jest ich w sumie dziesięć – wyciskają prawie siedemset dzuli. Wewnętrzne drzwi śluzy są poruszane za pomocą prostych mechanicznych siłowników. Ich konstruktorzy nie przypuszczali, że śluza będzie pełniła funkcję zapory.

Przed przystąpieniem do działania Caldwell starannie rozważa wszystkie za i przeciw. Nie sposób stwierdzić na pewno, czy obiekt numer jeden powróci z ekspedycji. Jeśli wróci, pułapka może nie zadziałać. A nawet zakładając, że zadziała, nie da się przewidzieć reakcji pozostałych na śmierć tych, którzy w nią wpadną.

Prawda jednak jest taka – przynajmniej po części – że Caldwell nie potrafi się powstrzymać. Te potworki postanowiły na nią zapolować, a ona ma nieprzewartą chęć odpłacić im pięknym za nadobne i sprawić, by ich wysiłki gładko wpisały się w opracowany przez nią fortel.

Otwiera więc drzwi pojazdu na oścież, wewnętrzne drzwi śluzy zaś – do połowy. Staje w progu i czeka.

Zmęczenie sprawiło, że cała lepi się od potu. Jej feromony – wie o tym

dobrze – rozprzestrzeniają się właśnie niesione na wszystkie strony przez podmuchy stygnącego przedwieczornego powietrza. A głodne dzieci je wdychają. I choćby były nie wiem jak rozumne, zręczne i przebiegłe, nie przewyciężą własnej natury. Prędzej czy później zareagują.

Pierwsza porusza się rudowłosa dziewczynka. Wychodzi zza kadłuba samochodu i niczym nieosłonięta zbliża się do otwartych zapraszająco drzwi Rosie.

Chłopiec w wojskowej kurtce wydaje z siebie odgłos przypominający szczeknięcie. Dziewczynka zwalnia niechętnie i odwraca się w jego stronę.

Młodszy chłopczyk, ten, którego Caldwell zauważyła na samym początku, pędem mija rudą i rzuca się prosto na drzwi. Wszystko dzieje się tak nagle i tak szybko, że Caldwell – choć na to właśnie czekała – reaguje w ostatniej chwili.

Naciska przełącznik.

Chłopiec mija próg i leci ku niej jak rakieta, z zachłannie wyciągniętymi ramionami.

Zanim udaje mu się jej dosięgnąć, zatraskują się wewnętrzne drzwi.

Caldwell nie doceniła ich mocy. Drzwi miażdżą żebra chłopca jak dziadek do orzechów. Głodny otwiera usta, chce krzyknąć, ale w jego płucach nie została ani odrobina powietrza. Utknął wewnątrz śluzu, z jedną ręką wygiętą do tyłu, drugą wyciągniętą do przodu. Nadal pręży się, usiłując jej dosięgnąć i wyciągając przed siebie drobne palce. Jednym z nich udaje mu się musnąć rękaw jej fartucha, ale nawet gdyby ją podrapał, nie zarazi jej, gdyż infekcja przenosi się wyłącznie przez krew lub ślinę. W okularach i maseczce doktor Caldwell jest bezpieczna.

Zauważa, że głowa stworzenia pozostała nienaruszona. Czuje oszałamiający przypływ radości i wybucha głośnym śmiechem.

Śmiech ten przerywa coś, co ze świstem nadlatuje z ulicy i wbija się w jej szczękę, przedarłszy się przez drut i papier maseczki. Ból jest nie do wyobrażenia. Usta Caldwell wypełnia krew, w której ułamane fragmenty zębów obijają się o siebie z głuchym, beznadziejnym klekotem.

Kamień ze stukiem turla się po podłodze, ciemnoczerwony od krwi. Rudowłosa dziewczynka ładuje tymczasem kolejny pocisk do paska spłowiełej tkaniny czy też kawałka rzemienia, który posłużył jej za procę.

Zmiażdżone ciało chłopca nadal tkwi w drzwiach, tworząc w nich mniej więcej ośmiocentymetrową szparę, drzwi zewnętrzne zaś otwarte są na oścież i przyczajona dotąd wataha pędzi teraz prosto na nie, wznosząc do góry prowizoryczne narzędzia walki.

Ręka Caldwell wyciąga się bez udziału woli i opada na kontrolki panelu. Drzwi zaczynają się zamykać, ale ponieważ zapomniała przestawić prędkość z trójki na dziesiątkę, w zwężającą się szczelinę w ostatniej chwili dostaje się czubek aluminiowego kija. Napierające drzwi miażdżą go z przeciągłym jękiem hydraulicznych tłoków. Tymczasem w szparze pojawiają się drobne palce błędzące

po stalowej krawędzi. Niektóre wyciągają się do Caldwell, większość usiłuje zapobiec zamknięciu drzwi.

To jasne, że nie uda im się dostać się do środka. Nie poddają się jednak, zmieniają pozycję, by więcej dłoni mogło wczepić się w krawędź i dołożyć do zbiorowego wysiłku. Caldwell wie, że drzwi są mocne, kiedy więc widzi, że zaczynają ustępować, nagły wstrząs sprawia, że jej ciało buntuje się przeciw woli. Cofa się chwiejnie, podnosząc pięści do ust, jakby chciała się za nimi ukryć.

W szparze zewnętrznych drzwi pojawia się wymalowana twarz. Czarnowłosa chłopiec wbija w Caldwell złowrogie spojrzenie, a jego przekrwione oczy mówią, że teraz jest to osobista sprawa między nimi dwojgiem.

Co oznacza, że uważa się za osobę. Zdziwiająca.

Caldwell pędem wpada do kabiny kierowcy i gwałtownie przesuwa dwie dźwignie, uruchamiające koła oraz działa, w które wyposażony jest pojazd. Oczywiście nie jest w stanie operować obydwoma jednocześnie. Będzie miała szczęście, jeśli sobie przypomni, czego ją uczono podczas kilkudniowego szkolenia, w którym brała udział dwie dekady temu. Przez przerażającą chwilę cała konsola nagle wydaje jej się całkowicie niezrozumiała. Musi się otrząsnąć z adrenalinowego haju i zapanować nad własnym umysłem.

Przycisk z literą E. Pierwszy, którego należy użyć, tkwiący tu, na środku kolumny sterowniczej. E jak ELEVATE, czyli podniesienie. Podwozie Rosie z węzowym sykiem hydraulicznych tłoków unosi się dwadzieścia centymetrów wyżej ponad powierzchnię drogi. Caldwell widzi, jak część głodnych rozbiega się na wszystkie strony, choć łomot dochodzący od drzwi podpowiada jej, że nie wszyscy zrezygnowali.

Panika wykręca jej wnętrzności. Musi się stąd wydostać. Wie, że być może zabierze nieprzyjaciół ze sobą, ale jeśli się nie ruszy, będzie trupem. Te potworki pokonają w końcu drzwi zewnętrzne, a wtedy wewnętrzne wytrzymają najwyżej kilka sekund.

Caldwell chwyta kierownicę w odrętwiałe dłonie, przyciska i zmawia w duchu modlitwę. Hamulce zwalniają się same. Rosie otrząsa się jak pies i z ciężkim szarpnięciem rusza, tak szybko i gwałtownie, że Caldwell wciska w fotel. Jej dłonie zsuwają się z kierownicy, a tymczasem olbrzymi stwór wjeżdża prosto w uliczną latarnię, wyrывая ją z ziemi z brzękiem, który przypomina gong rozpoczynający mecz bokserski.

Caldwell zaciska dłonie na kierownicy i ciągnąc z całej siły, wyprowadza Rosie na prostą. Jej własny okrzyk bólu ginie w przeraźliwym ryku silników. Nie ma pojęcia, co dzieje się przy włączaniu, ponieważ hałas zagłusza również dobiegające stamtąd odgłosy. Przyciska kolumnę sterowniczą do samego końca. Widoczna za szybą ulica rozmywa się w szarą smugę.

Następuje drugie zderzenie, potem trzecie, ale Caldwell czuje tylko wibracje.

Rozpędzona Rosie nabrała takiego impetu, że świat rozstępuje się przed nią jak morskie fale.

Za szybą przemykają jakieś postacie. Głodni? Caldwell widzi je z przodu, potem z boku, po chwili znikają. Jedna z nich przypominała Parksa, nie sposób jednak się o tym przekonać, nie zatrzymując się, czego ona nie zamierza robić. Właściwie w tym momencie nie ma ochoty nawet przypominać sobie zasad działania systemu hamulcowego.

Tymczasem niektóre elementy konsoli zaczynają wyglądać znajomo. Caldwell uświadamia sobie, że nie musi prowadzić na oślep. Wzdłuż całej długości pojazdu zamontowano kamery, w większości obrotowe. Uruchamia monitory i przesuwa wzrokiem po tych po lewej stronie. Obiektów jednej z kamer skierowany jest wprost na środkowe drzwi, ukazując dwoje głodnych, którzy zdołali przytrzymać się pędzącego olbrzyma. Jedno z nich to przywódca, jego kurtka łopocze na wietrze niczym flaga. Drugie to rudowłosa dziewczynka.

Caldwell gwałtownie skręca w prawo i wjeżdża w stromą ulicę. Drogowskaz wskazuje drogę do Highgate i Kentish Town. Czeką z tym manewrem do ostatniej chwili po to, aby Rosie mocno przechyliła się na bok, ale pnąc się ulicą, pojazd nieco zwalnia i efekt nie jest tak spektakularny, jak planowała. Głodni wciąż się trzymają i wciąż walczą ze szczeliną w drzwiach, usiłując dostać się do środka.

Caldwell pamięta tę okolicę z dawnych czasów, jeszcze przed Załamaniem. Budzące się wspomnienia w absurdalny sposób zderzają się z teraźniejszością. Domy, w których niegdyś pragnęła zamieszkać, przemykają za szybą, ciemne i przygarbione niczym wdowy na hiszpańskim cmentarzu, cierpliwie oczekujące zmartwychwstania.

U szczytu wzgórza Caldwell wykonuje kolejny skręt. Źle oceniwszy jego kąt, uderza bokiem o frontową ścianę pubu na rogu. Rosie wychodzi z tego bez szwanku, choć we wstecznych kamerach budowla zapada się niczym wieża z klocków.

Za ostrym, wąskim zakrętem droga opada szerokim pasmem ku centralnej części miasta. Caldwell całym ciężarem naciska na kolumnę sterowniczą, po czym mocno wychyla się w lewo, celowo ocierając bokiem Rosie o długą ścianę czegoś, co wygląda jak budynek szkolny. Na szyldzie nad bramą widnieje nazwa: „La Sainte Union”. Przednią szybę oprósza ceglany pył, a ryk silników tonie w potwornym zgrzycie umęczonego metalu. Rosie wytrzymuje i po chwili Caldwell z radością dostrzega co najmniej jedno drobne ciało szybujące w powietrzu w ostrym deszczu ceglanych odłamków.

Caldwell wydaje z siebie ogłuszający, potępieńczy okrzyk triumfu, ozdabiając przednią szybę kropelkami krwawej śliny.

Wraca na środek drogi i ponownie zerka w monitory. Ani śladu głodnych. Powinna się zatrzymać, by obejrzeć swą zdobycz i upewnić się, że zwłoki nie

doznały uszczerbku. Przychodzi jej jednak do głowy, że jej ofiary mogły przeżyć kontakt ze ścianą. Przypomina sobie wyraz pomalowanej twarzy czarnowłosego chłopca. Będzie ją ścigał, póki starczy mu sił.

Jedzie więc dalej przez Camden Town, w miarę możliwości kierując się na południe, w stronę Euston i nieodległego brzegu rzeki. Ulice są puste, ale ona nie traci czujności. W tym mieście mieszkało kiedyś jedenaście milionów ludzi. Niektórzy z nich z pewnością czają się w ślepych jamach okien i za zamkniętymi drzwiami, uwięzieni w połowie drogi między życiem i śmiercią.

Na tym etapie udało jej się już odgadnąć zasady obsługi hamulców, zwalnia więc, nagle onieśmielona przeraźliwym rykiem silników rezonującym głucho w martwocie pustych ulic. Ogarnia ją przyprawiające o mdłości poczucie, że jest jedynym żywym człowiekiem pozostałym na powierzchni tej nekrotycznej planety. I że być może fakt, iż twórcy tych mauzoleów spoczęli wreszcie milczący i zrezygnowani w ich wnętrzach, gdzie powoli obracają się w proch, nie ma w gruncie rzeczy najmniejszego znaczenia.

„Kto za nami zatęskni?”

Te myśli to skutek ustępującego adrenalinowego haju. Oraz gorączki. Ciałem Caldwell wstrząsa dreszcz, a obraz przed oczami zamazuje się. Widniejąca przed nią droga zdaje się zlewać w jednolitą szarą masę. Wrażenie to jest nagłe i zaskakujące. Czyżby traciła wzrok? To się nie może stać. Nie teraz. Potrzebny jej jeszcze jeden dzień. Albo przynajmniej kilka godzin.

Zatrzymuje się z ciężkim szarpnięciem i przenikliwym jękiem hamulców.

Blokuje ster.

Przesuwa dłonią po twarzy, trąc powieki kciukiem i palcem wskazującym, by odzyskać ostrość widzenia. Ma wrażenie, jakby w jej oczodołach tkwiły dwie rozżarzone szklane kulki. Ale gdy ponownie unosi powieki i wygląda przez przednią szybę kabiny, dociera do niej, że z jej wzrokiem wszystko jest w porządku.

Tuż przed nią naprawdę góruje szara ściana, wysoka na ponad dziesięć metrów i zajmująca całą szerokość ulicy. Po pełnych grozy i zdumienia kilku minutach doktor Caldwell nagle uświadamia sobie, co widzi.

Oto jej nemezis, jej wszechmocny przeciwnik.

Ophiocordyceps.

Panna Justineau jest wściekła i Melanie też bardzo stara się być wściekła. Co okazuje się niełatwe, i to z wielu powodów.

Przede wszystkim wciąż jej smutno z powodu śmierci Kierana, a bycie smutną powstrzymuje ją od bycia wściekłą. Poza tym świadomość, że doktor Caldwell odjechała w siną dal, oznacza, że Melanie nie będzie musiała więcej oglądać ani jej, ani wielkiej ciężarówki, a to sprawia, że ma ochotę podskakiwać, młóćąc pięściami powietrze z niepowstrzymanej radości.

Tak więc podczas gdy sierżant Parks wyrzuca z siebie stek chyba wszystkich znanych sobie przekleństw, a panna Justineau siedzi na krawężniku z ponurą, nieobecną miną, Melanie myśli: „Do widzenia, pani doktor. Niech panią poniesie daleko, daleko i proszę już nigdy nie wracać”.

Ale wtedy panna Justineau mówi:

– To koniec. Już po nas.

I nagle wszystko się zmienia. Melanie zaczyna myśleć nie tylko o tym, co czuje, ale i o tym, co się teraz wydarzy, i nagle robi jej się zimno.

Ponieważ panna Justineau ma rację.

Zużyli resztki e-blokera. Pachną tak intensywnie, że Melanie ze zdumieniem zadaje sobie pytanie, jakim cudem, siedząc tak blisko, jeszcze ich nie pogryzła. Chyba zdołała w jakiś sposób przyzwycząć się do ich zapachu. Zupełnie jakby potrzeba zaspokojenia głodu tkwiła na dnie zamkniętej puszki, której nie musi otwierać, jeśli nie ma na to ochoty.

To im jednak nie pomoże. W końcu będą musieli ruszyć w dalszą drogę i z pewnością już wkrótce natkną się na coś, co będzie chciało ich pożreć.

– Musimy za nią pójść – mówi Melanie. Teraz, gdy zrozumiała, o co toczy się gra, przepelnia ją potrzeba działania. – Musimy się dostać z powrotem do środka.

Sierżant Parks obrzuca ją badawczym spojrzeniem.

– Potrafisz ją wytropić? – pyta. – Tak jak Gallaghery? Zostawiła jakiś ślad?

Melanie wcześniej o tym nie pomyślała, ale teraz bierze głęboki wdech i natychmiast łapie trop, silny niczym powietrzna rzeka. Jest w nim odrobina zapachu doktor Caldwell i jakiegoś innego, być może należącego do głodnego lub nawet większej grupy głodnych. Tym, co dominuje, jest jednak paskudna chemiczna woń dobywająca się z silnika Rosie. Melanie mogłaby za nią pójść z zawiązanymi oczami. Mogłaby pójść przez sen.

Parks dostrzega to w jej twarzy.

– W porządku – mówi. – Ruszajmy.

Panna Justineau wlepia w niego oszalałe spojrzenie.

– Ona jechała prawie sto na godzinę! – mówi z szyderczym grymasem. – Już

po wszystkim. Nie dogonimy jej, choćby nie wiem co.

– Nie dowiemy się tego, póki nie spróbujemy – kontruje Parks. – Chcesz się tu położyć i umrzeć czy wolisz zaryzykować?

– Jedno i drugie skończy się tak samo.

– Przynajmniej umrzesz na własnych nogach.

– Panno Justineau, proszę! – błaga Melanie. – Spróbujmy podejść chociaż kawałeczek. Kiedy się ściemni, możemy się zatrzymać i poszukać jakiejś kryjówki. – Tak naprawdę myśli o tym, że będą musieli usunąć się z ulicy, gdzie żyją i polują te dzieci, które są takie jak ona. I o tym, że jest w stanie chronić pannę Justineau przed zwykłymi głodnymi, ale nie przed chłopcem z wymalowaną twarzą i jego dzikim plemieniem.

Sierzant Parks wyciąga rękę i nie cofa jej, choć panna Justineau nie rusza się z miejsca. W końcu pozwala mu postawić się na nogi.

– Ile godzin zostało do zmroku? – pyta.

– Ze dwie.

– Nie możemy poruszać się w nocy. A Caroline może.

Parks kwituje ten argument krótkim skinieniem głowy.

– Będziemy szli, póki nie zrobi się całkiem ciemno. A potem się gdzieś zadekujemy. Rano, jeśli Melanie zdoła znów złapać trop, ruszymy dalej. Jeśli nie, poszukamy jakiejś smoły, kreozotu albo innego świństwa i wysmarujemy się nim jak złomiarze, a potem pójdziemy na południe. – Zwraca się do Melanie: – Dalej, maleńka. Rób, co do ciebie należy.

Melanie waha się przez moment.

– Myślę... – zaczyna.

– Tak? O co chodzi?

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli pobiegnę przodem. Jestem od was dużo szybsza.

Sierzant prycha krótkim, ostrym śmiechem.

– Racja, pełna zgoda – mówi. – Zrobimy co w naszej mocy. Tylko postaraj się nie stracić nas z oczu. – Po chwili zastanowienia wpada na lepszy pomysł i zwraca się do Justineau: – Dajmy jej krótkofalówkę. Na wypadek, gdybyśmy się zgubili.

Justineau podaje Melanie pękate czarne urządzenie, a sierżant Parks demonstruje jego działanie. Sprzęt jest mało skomplikowany, ale zaprojektowano go z myślą o znacznie większych dłoniach. Melanie powtarza kolejne ruchy, aż opanowuje je w dostatecznym stopniu. Parks pokazuje jej, jak zaczepić krótkofalówkę o patkę różowych dżinsów z jednorożcem. Wygląda tam dość niedorzecznie.

Panna Justineau uśmiecha się do dziewczynki krzepiąco. Pod tym uśmiechem Melanie dostrzega jej wszystkie lęki, całą rozpacz i zmęczenie. A także

czającą się z tyłu pustkę.

Podchodzi do panny Justineau i krótko, ale mocno, ją przytula.

– Nic mi nie będzie – mówi. – Nikomu nie pozwolę pani skrzywdzić.

Po raz pierwszy się tak przytuliły – po raz pierwszy to Melanie gra rolę pocieszycielki. Pamięta, że kiedyś panna Justineau złożyła jej podobną obietnicę, choć nie potrafi dokładnie określić, kiedy to było. Tak czy inaczej tęskni za tamtą chwilą. Ale jednocześnie wie, że choćby się chciało, nie można na zawsze pozostać dzieckiem.

Rusza przed siebie truchtem, stopniowo przyśpieszając. Stara się utrzymać takie tempo, by dwójka dorosłych była w stanie za nią nadążyć. Przy każdym skrzyżowaniu czeka, aż pojawią się w zasięgu wzroku, po czym rusza dalej. Niezależnie od krótkofalówki nie ma zamiaru zostawiać ich samym sobie. W końcu zbliża się noc. A pod jej osłoną – Melanie wie o tym dobrze – kryje się mnóstwo strasznych rzeczy.

Doktor Caldwell wychodzi z Rosie przez drzwi w kabinie kierowcy. Do środkowego wjazdu wciąż przymocowana jest śluza, w której tkwi obiekt jej przyszłych doświadczeń.

Robi dwadzieścia kroków naprzód. Dalej pójść się nie da.

Długo wpatruje się w szarą ścianę. Trwa to dobre kilka minut, choć tu nie ma całkowitej pewności, ponieważ przestała ufać własnemu poczuciu czasu. Poranione dziaśła i wewnętrzna strona policzków pulsują w rytm serca, ale jej system nerwowy jest jak zalany gaźnik; silnik nie zaskakuje, pomieszane sygnały nie łączą się w ból.

Caldwell zauważa strukturę ściany, jej wysokość i szerokość, szacuje grubość i oblicza w głowie czas jej powstawania. Dokładnie wie, na co patrzy. Tyle że ta wiedza nie pomaga. Niedługo umrze, i to z widokiem na to... na to coś. Na tę rękawicę rzuconą jej przez okrutny, pełen pogardy wszechświat, który pozwolił ludziom z mozołem doczołgać się do etapu, gdy stali się istotami rozumnymi tylko po to, by w tak bolesny sposób przywołać ich do porządku.

Caldwell porusza się z trudem. Robi jedyne, co potrafi. Podnosi rękawicę.

Powróciwszy do Rosie, zamyka za sobą drzwi kabiny. Przechodzi przez pomieszczenie dla załogi oraz laboratorium w stronę środkowych drzwi. W laboratorium zatrzymuje się na moment, by z powrotem przywdziać maskę, którą zerwał jej z twarzy nadlatujący kamień. Oczyszcza i wkłada gumowe rękawiczki, zdejmuje z wieszaka piłę do cięcia kości i plastikową kuwetę. Lepsze byłoby wiadro, ale nie ma go do dyspozycji.

Ściśnięty drzwiami głodny wciąż podryguje ospale mimo straszliwych zniszczeń, jakich potężny mechanizm dokonał w mięśniach i ścięgnach górnej połowy jego ciała. Przyjrząwszy mu się z bliska i wzięwszy pod uwagę rozmiar głowy w stosunku do reszty ciała, Caldwell uznaje, że w momencie zarażenia był jeszcze młodszy, niż jej się na początku zdawało.

Cóż, pozostaje sprawdzić tę hipotezę.

Prawe ramię głodny ma wygięte do tyłu i uwięzione wewnątrz śluzy. Caldwell obwiązuje najpierw jego lewe ramię plastikową linką, którą przewleka następnie przez uchwyt w ścianie. Potem trzy lub cztery razy owija drugi koniec linki wokół swojego przedramienia i własnym ciężarem powstrzymuje ruchy głodnego. Zwoje linki wrzynają się głęboko w jej skórę, wcześniej wściekle czerwoną, teraz zabarwioną na posępny odcień fioleto. Caldwell prawie nie czuje bólu, co samo w sobie jest bardzo złym znakiem. Uszkodzenie nerwów w obumarłej tkance to proces nieodwracalny i postępujący.

Tak szybko, jak się da, odcina piłą głowę głodnego, który przez cały czas stęka i kłapie zębami, dziko wymachując uwięzioną na lince ręką. Nie udaje mu się

jednak jej dosięgnąć.

Krucze kręgi szyjne z łatwością poddają się ostrzu. Największe wyzwanie stanowią mięśnie. Piła to grzęźnie w nich, to ślizga się po powierzchni. Kiedy Caldwell przecina kręgi, głowa głodnego obwisa gwałtownie i nacięcie rozwiera się szeroko, ukazując szokująco białe krawędzie rozerzniętej kości. Płyn, który spływa z rany do kuwety, jest szary, tu i ówdzie tylko splamiony smużkami czerwieni.

Ostatnie cieniutkie pasemko skóry rozrywa się samo pod ciężarem głowy, która spadłszy na ziemię, potrąca krawędź kuwety, przewraca ją i turla się dalej po podłodze.

Ciało głodnego nie porusza się ani trochę mniej żwawo niż przedtem. Ramiona kręcą bezużyteczne młynki, nogi ślizgają się po metalowej podłodze śluzu. Kolonia *cordycepsa*, która zagnieżdżyła się między kręgami, nadal usiłuje sterować martwym dzieckiem, tak by działało na rzecz nadrzędnych interesów swego grzybnego pasażera. Ruchy powolnieją, gdy Caldwell schyla się po głowę, ale nie ustają całkowicie, nawet gdy prostuje się i wynosi swój łup do laboratorium.

Bezpieczeństwo przede wszystkim. Caroline układa głowę na blacie, po czym wraca, by zrobić porządek ze śluzą. Chwyta rozedrgane bezgłowe ciało i ciska je na ulicę. Leży tam, jak wielki wyrzut na sumieniu nie tylko jej, ale i całego świata nauki.

Caldwell odwraca się do niego plecami. Gdyby droga do wiedzy była wybrukowana martwymi dziećmi – co zresztą już się zdarzało, w różnych epokach i na różnych szerokościach geograficznych – ona nadal by po niej kroczyła, by po dotarciu do celu udzielić sobie samej rozgrzeszenia. Czy miałaby wybór? Wszystko, co dla niej cenne, znajduje się u kresu tej drogi.

Zamyka drzwi, wraca do laboratorium i zabiera się do pracy.

Melanie czeka, aż Justineau i Parks pojawią się u wlotu ulicy, przy której drugim końcu znajduje się stacja kolejowa Euston. Bez słowa wyciąga palec, a Justineau podąża za nim wzrokiem. Pozbawiona tchu, lśniaca od potu i skręcana bolesnymi skurczami w nogach i klatce piersiowej nie jest w stanie zrobić nic więcej.

W połowie szerokiego pasma asfaltu tkwi Rosie, rozciągnięta na skos w poprzek ulicy tak, że praktycznie dotyka kołami krawężników po obu jej stronach. Bezpośrednio przed maską pojazdu drogę blokuje olbrzymia barykada. Wznosi się na kilkanaście metrów w górę, wyżej niż dachy okolicznych budynków. W niskich, ukośnych promieniach słońca Justineau dostrzega, że ta przedziwna masa rozlewa się i napiera na przylegające do ulicy domy. Z początku sprawia wrażenie pionowej, ale po chwili obraz nabiera ostrości i Justineau widzi, że przypomina raczej górskie zbocze. Zupełnie jakby w tym miejscu spadły na ziemię tony brudnego śniegu.

Parks zrównuje się z nią i teraz oboje przypatrują się zjawisku w całkowitym osłupieniu.

– Masz jakiś pomysł? – pyta w końcu Parks.

Justineau kręci głową.

– A ty?

– Zazwyczaj najpierw przyglądam się faktom. Potem proszę kogoś mądrzejszego ode mnie, żeby objasnił mi ich znaczenie.

Ruszają przed siebie powoli, czujni na najdrobniejszy szelest. Liczne poszlaki wskazują na to, że wydarzyło się tu coś strasznego. Wgięcia i zadrapania na zewnętrznym pancerzu pojazdu. Krew i kawałki skóry oblepiające środkowy właz. I drobne, zmasakrowane ciało leżące na asfalcie tuż obok.

Ciało należy do głodnego. Dziecka. Chłopca zaledwie cztero-, może pięcioletniego. Pozbawione jest głowy, której nigdzie nie widać, a tułów jest zmiażdżony niemal na płasko, jakby ktoś ścisnął go w imadle. Melanie, poważna i zamyślona, klęka, by przyjrzeć mu się z bliska. Justineau staje nad nią, bezskutecznie szukając właściwych słów. Dostrzega na prawym nadgarstku chłopca bransoletkę z włosów, być może jego własnych. Bardzo wyraźnie widać, że to oznaka przynależności. Chłopiec był jak Melanie, nie jak zwykli głodni.

– Przykro mi – mówi Justineau.

Melanie milczy.

Jakiś ruch, dostrzeżony kątem oka, sprawia, że Justineau odwraca głowę. Sierżant Parks patrzy w tę samą stronę, w stronę środkowej części pojazdu. Caroline Caldwell oczyściła szybę okna laboratorium z czarnej taśmy i odsunęła światłoszczelne story. Wbija w nich surowe, niewzruszone spojrzenie.

Justineau podchodzi do okna. „Co ty wyprawiasz?“, pyta, bezgłośnie poruszając ustami.

Caldwell wzrusza ramionami. Dalej tkwi przy oknie. Najwyraźniej nie ma zamiaru wpuścić ich do środka.

Justineau wali pięścią w okno i gorączkowo wymachuje ręką w stronę środkowych drzwi. Caldwell znika na kilka sekund, po czym pojawia się ponownie z niedużym notatnikiem. Pokazuje Justineau to, co napisała na pierwszej kartce. „Muszę pracować. Przełom blisko. Boję się, że zechcecie mnie powstrzymać. Wybaczcie”.

Justineau wyrzuca ramiona na boki, obejmując gestem pustą ulicę i wydłużone cienie kładące się na asfalcie w świetle późnego popołudnia. Nie wypowiada przy tym słowa ani nie wykonuje żadnego gestu. Komunikat jest jasny. „Zginiemy tu”.

Caldwell przypatruje jej się jeszcze przez chwilę, a potem opuszcza storę.

Parks klęczy kilka metrów dalej, po jej lewej stronie. Majstruje przy korbie otwierającej włącz. Ale drzwi nie ustępują, nawet ponaglone strumieniem przekleństw. Najwyraźniej Caldwell odłączyła funkcję dostępu awaryjnego.

Melanie wciąż tkwi przy bezgłowym ciecie, pogrążona albo w rozpacz, albo w tak głębokim zamyśleniu, że nie jest świadoma tego, co dzieje się wokół. Justineau czuje ścisk w żołądku i robi jej się niedobrze. To skutek długiego biegu zakończonego ogłuszającym ciosem. Rusza przed siebie, usiłując powstrzymać mdłości, i podchodzi do samego skraju szarej ściany.

To nie ściana, lecz lawina, bezkształtne skupisko materii, które nadal rozprzestrzenia się w niedostrzegalnym tempie. Zbudowane z wici *ophiocordycepsa*, z miliardów nitek grzybni splecionych misterniej niż włókna gobelinu. Nitki są tak delikatne, że aż przezroczyste, dzięki czemu Justineau udaje się zajrzeć na jakieś trzy metry w głąb masy. Wewnątrz wszystko otoczone jest gęstym kokonem, skolonizowane, owinięte setkami warstw tej samej substancji. Miękkie kontury i kolory wypływałe w tysiące ocieni szarości.

Justineau czuje ponowny atak nudności i zawrotów głowy. Siada powoli i kryje twarz w dłoniach, czekając, aż ustąpią. Jest świadoma tego, że Melanie, wyminąwszy ją, zbliża się do skraju tego czegoś i najwyraźniej nie ma zamiaru się zatrzymać.

– Nie! – krzyczy Justineau.

Melanie spogląda na nią z zaskoczeniem.

– Ale proszę pani, to jest całkiem jak wata. Albo jak chmura, która spłynęła na ziemię. Nic nam nie robi. – Natychmiast demonstrowa prawdziwość swoich słów, pochylając się i lekko wsuwając rękę w puchatą masę. Ta rozstępuje się pod jej dotykiem i po chwili jej powierzchnię znaczy ślad wędrowki drobnej dłoni. Nitki, których dotknęła Melanie, osiadają na jej skórze niczym pajęczyna.

Justineau dźwiga się z ziemi i delikatnie, ale stanowczo odciąga dziewczynkę do tyłu.

– Nie wiem – mówi. – Może zrobi, może nie zrobi. Nie chcę się o tym przekonać. – Prosi Melanie, żeby starannie wytarła dłoń o wyrastającą z pękniętego chodnika nieopodal kępkę trawy. Jej źdźbła również owinięte są płataniną grzybnych nitek i w większości martwe – zdecydowanie bardziej szare niż zielone.

Wracają do Parksa, który siedzi zrezygnowany, oparty plecami o tylny bieżnik. Trzyma manierkę, ostrożnie ważąc ją w dłoniach. Gdy się zbliżają, upija łyk wody, po czym podaje naczynie Justineau.

Justineau orientuje się, że manierka jest prawie pusta. Oddaje ją Parksowi.

– Nie chce mi się pić – kłamie.

– Gówno prawda – odpowiada na to Parks. – Pij, Helen. Ja tymczasem zrobię małą rundkę po tych domach. Sprawdzę, czy nic nie zostało w rynnach albo wiadrach na deszczówkę. Bóg się o nas zatroszczy.

– Myślisz?

– Jest z tego znany.

Justineau osusza manierkę, osuwa się na ziemię obok niego i kładzie mu naczynie na kolanach. Spogląda w ciemniejące niebo. Od zachodu słońca dzieli ich może pół godziny. A zatem Parks blefował, twierdząc, że zamierza poszukać stojącej wody – która tak czy inaczej byłaby z pewnością pełna wszelakiego świństwa.

Melanie siada po turecku, twarzą do nich.

– Co teraz? – pyta Justineau.

Parks wykonuje dłonią niezobowiązujący gest.

– Poczekamy jeszcze chwilę, a potem wybierzemy sobie któryś z tych domów. Zabezpieczymy go tak szybko, jak się da, żeby zdążyć przed zmrokiem. Trzeba by zbudować jakąś barykadę, ponieważ teraz zostawiamy za sobą zapach. Głodni znajdą nas na długo przed świtem.

Justineau jest rozdarta między rozpaczą a dławiącym gniewem. Uznaje, że lepiej poddać się gniewowi, ponieważ rozpacz mogłaby ją sparaliżować.

– Niech no tylko dostanę tę sukę w swoje ręce – mamrocze. – Załatwię ją tak, że nie będzie co zbierać, a to, co zostanie, trafi na mikroskopowe szkiełka. – Poruszona jakimś pierwotnym refleksem, dodaje: – Wybacz, Melanie.

– Nic nie szkodzi – odpowiada dziewczynka. – Ja też nie lubię doktor Caldwell.

Kiedy słońce dotyka horyzontu, w końcu zmuszają się do tego, by wstać i zabrać się do dzieła. Widzą, że w laboratorium palą się światła. Przez krawędzie stor spływa jego lekkie mżenie, zupełnie jakby ktoś namalował zarysy okien na ścianie fluorescencyjną farbą.

Reszta świata stopniowo pogrąża się w coraz głębszych ciemnościach.

Parks zwraca się do Melanie, niespodziewanie, jakby od dłuższego czasu zbierał się na odwagę.

– Chce ci się spać? – pyta.

Melanie kręci głową.

– Boisz się?

Po chwili namysłu Melanie po raz kolejny kręci głową.

– Nie boję się o siebie – wyjaśnia. – Głodni nie zrobią mi krzywdy. Boję się o pannę Justineau.

– W takim razie mogłabyś zrobić mi przysługę. – Parks wskazuje górującą nad nimi szarą ścianę. – Wolałbym zbyt długo nie przebywać w pobliżu tego czegoś. Nie wiem, czy to nas może zarazić, ale jestem niemal pewny, że jeśli powdychamy to jeszcze jakiś czas, niebawem zadławimy się na śmierć.

– No i? – pyta Melanie.

– No i chciałbym się dowiedzieć, czy da się to jakoś ominąć. Mogłabyś pójść to sprawdzić, a my tymczasem znajdziemy sobie jakąś metę. Przydałoby się jutro wiedzieć, w którą stronę powinniśmy pójść.

– Mogę to zrobić – mówi Melanie.

Justineau nie jest zachwycona tym pomysłem, wie jednak, że ma on sens. Melanie ma szansę przeżyć w ciemności. Ona i Parks zdecydowanie nie.

– Jesteś pewna? – pyta.

Melanie jest całkowicie pewna.

Właściwie to cieszy się z nowego zadania, ponieważ jest nieszczęśliwa i nie może sobie znaleźć miejsca po tym wszystkim, co się dziś wydarzyło. Po śmierci Kierana – który zginął dlatego, że przeraziła go jej zmyślona opowieść. Po tym jak doktor Caldwell nawiała w siną dal, pozostawiając pannę Justineau bez dachu nad głową. I wreszcie po tym jak znalazła na ulicy to drobne ciało, zwłoki dziecka o wiele młodszego od niej, z odciętą głową.

Uznaje, że Caldwell zrobiła to, co zrobiła, bo po prostu taka już jest. Pod warstwą smutku odnajduje w sobie czysty, rozpalony do białości gniew. Ktoś musi skłonić panią doktor do tego, by przestała robić takie rzeczy. Ktoś musi dać jej nauczkę.

Dziki dzieci są takie same jak ona, Melanie, tyle że nigdy nie doznały radości, jaką były dla niej lekcje z panną Justineau. Nikt ich nigdy nie uczył myśleć, nikt ich nie uczył być ludźmi, ale one w gruncie rzeczy nie potrzebują pomocy. Wiedzą już na przykład, jak stworzyć rodzinę. A doktor Caldwell zabija je jak zwierzęta. Być może to one pierwsze próbowały ją zabić, ale skąd miały wiedzieć, że tak nie wolno? Doktor Caldwell to wie.

Ta myśl napęła Melanie wściekłością, która swoją mocą może się niemal równać z uczuciem głodu. Z kolei odkrycie, że jest zdolna do takiego uczucia, mocno ją przeraża.

W związku z tym wszystkim chętnie wyrusza, by przyjrzeć się temu szaremu czemuś. Uznaje, że w ruchu poczuje się lepiej, niż gdyby tkwiła w miejscu.

Sierżant Parks i panna Justineau znajdują puste poddasze w jednym z domów, stanowiącym część trypoziomowej wiktoriańskiej zabudowy szeregowej, usytuowanej kilka ulic od Rosie. Na strych wiedzie drabinka. Kiedy sierżant i panna Justineau są już na górze, Melanie ujmuje jej dolną część, oni górną i wspólnymi siłami udaje im się wyrwać metalowe elementy, które trzymają drabinkę na miejscu. Melanie łapie ją i ostrożnie opuszcza na podłogę, uważając, żeby nie narobić zbyt wiele hałasu.

– Do zobaczenia później – woła cicho. Chwyta walkie-talkie i macha nim w ich stronę, żeby pokazać, że nie zapomniała. Będzie mogła z nimi porozmawiać, nawet jeśli odejdzie bardzo daleko.

Panna Justineau coś szepcze w odpowiedzi. Do widzenia, powodzenia albo coś takiego. Ale Melanie już zbiega lekko po schodach. Jej bose stopy cicho uderzają o spleśniałą, omszałą wykładzinę.

Na chybił trafił wybiera sobie punkt startowy i zaczyna iść wzdłuż krawędzi szarej masy. Wkrótce niepokój i zniecierpliwienie sprawiają, że puszcza się truchtem, a w końcu biegiem. Przebywa w ten sposób duży dystans, tam, gdzie to konieczne, oddalając się od ściany, po czym ponownie odnajdując do niej drogę.

Ściana wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Jej zewnętrzna krawędź nie jest całkowicie prosta; to wybrzusza się, to wklęsa, to rozlewa na całą długość wąskiej uliczki, to cofa, gdy nie ma się czego uczepić. Melanie nie odnajduje jednak w zwartej masie żadnego pęknięcia ani miejsca, z którego mogłaby dostrzec, co znajduje się po drugiej stronie.

Zatrzymuje się dopiero po godzinie z kawałkiem. Nie po to, by odpocząć – mogłaby przebiec jeszcze wiele kilometrów bez uczucia zmęczenia – ale po to, by sprawdzić, co się dzieje u panny Justineau i sierżanta.

Przyciska guzik krótkofalówki i mówi: „halo”. Przez dłuższą chwilę słyszy tylko trzaski, ale potem odzywa się głos sierżanta Parksa:

– Jak sobie dajesz radę?

– Poszłam na wschód – odpowiada Melanie. – Dość daleko. Ta ściana się ciągnie i ciągnie.

– I szłaś przez cały ten czas?

– Biegłam.

– Gdzie teraz jesteś? Widzisz jakieś znaki?

Melanie nie widzi, aż dociera do kolejnego skrzyżowania.

– Northchurch Road – odczytuje. – Hackney.

Słyszy w głośniczku ciężki oddech Parksa.

– Ściana ciągnie się jeszcze dalej?

– O wiele. Tak daleko, jak sięgam wzrokiem. A sięgam daleko, nawet w ciemności. – Melanie nie chce się przechwalać, ale uznaje, że sierżant powinien o tym wiedzieć.

– Dobra. Dzięki, mała. Jeśli masz ochotę rozejrzeć się również na zachód, będę wdzięczny. Tylko się nie przeforsuj. Kiedy poczujesz się zmęczona, wróc.

– Nic mi nie jest – zapewnia go Melanie. – Bez odbioru.

Cofa się po własnych krokach i rusza w drugą stronę, ale sytuacja się powtarza. Jeśli postanowią okrążyć ścianę, będą musieli iść bardzo długo na wschód albo zachód i nie wiadomo na pewno, kiedy uda im się znów skierować się na południe.

W końcu Melanie staje naprzeciw ścianie, dokładnie kilka kilometrów od miejsca, gdzie się na nią natknęli. Jej powierzchnia jest tu równie gruba jak wszędzie indziej, ale zmieniła nachylenie. Wysunięte urwisko z szarej piany wisi wysoko nad jej głową. Melanie spogląda na sączącą się przez nią księżycową poświatę. Ostry biały blask jest jak obietnica albo zachęta. Gdyby spróbowała przebrnąć przez wnętrze bryły, być może prowadzona światłem księżyca zdoła dotrzeć na drugą stronę.

Panna Justineau mówiła, że to niebezpieczne, ale Melanie nie rozumie, co miała na myśli. Nie boi się szarej masy. Robi krok naprzód, po chwili kolejny. Szare nitki sięgają jej do kostek, po chwili do kolan, ale nie stawiają najmniejszego

oporu. Łaskoczą tylko lekko, gdy przez nie brnie, rozstępując się przed nią z ledwo słyszalnym niby-westchnieniem, które w zasadzie najbardziej przypomina ciszę.

Księżyc podąża za nią jak reflektor, a wszystko wokół jaśnieje w jego świetle. Szare nitki szybko robią się coraz grubsze i grubsze. Mijane przedmioty – kubły na śmieci, zaparkowane samochody, skrzynki na listy, żywopłoty i furtki ogrodów – skąpane są w grubych całunach szarości, sprawiających, że przypominają własne granitowe pomniki.

Wszedłszy siedem metrów w głąb masy, Melanie natyka się na pierwsze ciała. Zwalnia kroku, zafascynowana tym widokiem. Głodni leżą na środku ulicy, inni tkwią wsparci o podstawy ścian budynków – zupełnie jak ci, których widziała, kiedy po raz pierwszy weszli do Londynu. Ale jest ich tam o wiele, wiele więcej! Z popękanych czaszek i strzaskanych głów niczym pnie drzew wyrastają szare trzony o mniej więcej piętnastocentymetrowej średnicy. Pną się strzeliście w górę, osiągając niewyobrażalne wysokości, kiełkując na wszystkie strony długimi nitkami grzybni. Część z nich łączy się, tworząc gęsty baldachim jakby miliona splątanych pajęczyn. Inne owijają się wokół tego, co stało im na drodze, albo delikatnie płożą się po ziemi. Wszędzie tam, gdzie dotykają podłoża, wyrastają kolejne pnie, choć znacznie cieńsze i niższe od tych, które wykiełkowały z ciał głodnych.

Melanie podchodzi bliżej. Nie potrafi się powstrzymać. Te smutne łupiny u stóp każdego z szarych drzew nie wywołują w niej strachu. Nie pozostała w nich ani odrobina człowieczeństwa, nic, co by jej przypominało o tym, że kiedyś byli to żywi ludzie. Wyglądają jak zapomniane ubrania rzucone przez kogoś na ziemię.

Z bliska Melanie dostrzega, że z tych widmowych drzew zwisają szare owoce. Wyciąga rękę, by dotknąć jednego z nich, zwieszającego się z pnia tuż nad jej głową. Powierzchnia owocu jest chłodna i skórzasta i tylko lekko się ugina pod naciskiem jej palców. Melanie przyciska mocniej i w owocu robi się wgłębienie. Kiedy zabiera rękę, wgłębienie powoli znika. Powierzchnia kuli jest na tyle sprężysta, by wrócić do pierwotnego kształtu. Dziewczynka zaczyna wolno liczyć i zanim dochodzi do dziesięciu, kula wygląda dokładnie tak samo jak na początku.

Melanie wędruje dalej przez szarą dżunglę, która ciągnie się i ciągnie bez końca. Do tego robi się coraz gęstsza. Po jakimś czasie dziewczynka z trudem przeciska swoje drobne ciało pomiędzy pniami, a światło księżyca przesiąka jak brudna woda przez zwartą masę ciasno splecionych nici.

Melanie potrąca ramieniem jedną z szarych kul, która spada na ziemię z cichym plaśnięciem. Melanie pochyła się i ją podnosi. W miejscu, w którym kula była przyczepiona do drzewa, na jej powierzchni widnieje pomarszczony pierścień, ale poza tym jest całkowicie gładka. Melanie ścisną ją w dłoni i raz jeszcze kula natychmiast powraca do pierwotnego kształtu.

Jeżeli pójdzie dalej, będzie co chwila wpadała na te pnie. Dotknąwszy

jednego z nich, stwierdza, że jest nieprzyjemnie wilgotny. Wzdryga się. Spodziewała się, że pień będzie równie gładki i suchy jak owoce, co jej zdaniem byłoby o wiele mniej obrzydliwe.

Dziewczynka gwałtownie podskakuje, gdy coś się porusza w oddali po jej lewej stronie. Sądziła, że ma ten widmowy świat tylko dla siebie. Dostrzega zbliżającą się dziwną postać, oblaną mglistą poświatą księżyca. Od pasa w dół postać wygląda jak człowiek – tyle że nie ma barków, szyi ani głowy. Górna połowa jej ciała to bezkształtna bryła.

Melanie cofa się przed tym czymś, przestraszona przede wszystkim dlatego, że to zjawisko wydaje jej się absolutnie obce. Ale postać jej nie atakuje. Chyba w ogóle nie zdaje sobie sprawy z jej obecności.

Kiedy ją mija, Melanie domyśla się, co to takiego. Głodny, którego tors zaczął się otwierać. Melanie widzi, że z piersi wyrasta mu w górę kilkudziesięciocentymetrowy pień, rozpychając na boki strzaskane resztki żeber. Wykiełkowała z niego bujna korona nici, która obrosła głowę głodnego, ostro wygiętą w bok przez uparty, pnący się w górę trzon.

Melanie gapi się na zjawę, czując zarazem ulgę – ponieważ to, co nieznanne, jest bardziej przerażające niż wszelkie okropieństwo, które potrafimy zrozumieć – i obrzydzenie na widok tego przedziwnego gwałtu na strukturze ludzkiego ciała.

Głodny mija ją chybotliwie, odbijając się od pni. Chwilami wydaje się to bardziej niedorzeczne niż przerażające. Niedługo się potknie, myśli Melanie, a wtedy wyrastający z jego piersi trzon będzie skierowany w bok. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, żeby się wyprostować.

Cały ten ogromny las wyrósł z powalonych na ziemię martwych ciał. Oto, gdzie kończą głodni, odbywszy swą wierną służbę temu samemu grzybowi, który uczynił ich takimi, jacy są.

Melanie widzi swoją przyszłość i godzi się z nią. Nie jest jednak gotowa umrzeć, dopóki stoi przed nią tak wiele ważnych zadań.

Zawraca i rusza tam, skąd przyszła, tunelem, który sama stworzyła w gęstwie ciasno splecionych szarych nitek.

Doktor Caldwell pracuje gorączkowo przez całą noc. Naprawdę ma gorączkę, która wzrosła już do trzydziestu dziewięciu stopni.

Wyjęcie mózgu z czaszki chłopca bez pomocy doktor Selkirk zajmuje znacznie więcej czasu – poza tym dłonie doktor Caldwell są już tak niezdarne, że nie sposób nie uszkodzić przy tym tkanki. Robi jednak, co może, i rozcina czaszkę, usuwając kawałek po kawałku, jak fragmenty układanki, aż niemal nic z niej nie zostaje, i dopiero wtedy zbiera się na odwagę, by przeciąć pień mózgu.

Gdy go unosi, choć trzęsą jej się ręce, mózg wychodzi gładko.

Włącza mikrotom i odkrawa kilka plasterków, wybierając takie, które przekrojowo ukażą jej większość głównych struktur. Spojrzawszy na nie przez mikroskop, nie może powstrzymać zachwyty na widok tego, jak perfekcyjnie mikrotom wykonał swoją robotę. Mimo iż niebywale cieniutkie, plasterki są idealnie wykrojone, w żadnym miejscu niezmiżdżone ani nierozsmarowane.

Caldwell podpisuje każdy slajd, a następnie przygląda im się po kolei – to jak wirtualna wycieczka po mózgu głodnego chłopca, poczynawszy od podstawy, a potem w górę i naprzód.

Znajduje to, co spodziewała się znaleźć. Już wie, czym są te dzieci, wie, skąd się wzięły, zna ich przeszłość oraz przyszłość, i naturę ich częściowej odporności. Uświadamia sobie również, że wysiłki, które czyniła przez ostatnie siedem lat, były niemal całkowitą stratą czasu.

Doświadcza chwili czystego szczęścia. Gdyby wczoraj umarła, umarłaby ślepa. To odkrycie wszystko jej wynagradza, nawet to, co zdawało się tak mroczne i wszechogarniające.

Jakiś dźwięk nieopodal przerywa gwałtownie jej rozmyślenia i sprawia, że doktor Caldwell zrywa się na równe nogi. Jest właściwie dość niewinny – kilka pstryknięć i szeptów – ale dobiega z wnętrza Rosie!

Doktor Caldwell na co dzień raczej nie daje się ponosić wyobraźni. Wie, że drzwi są zablokowane i że każda próba sforsowania ich byłaby długa i głośna. Mimo to drży lekko, podążając za dźwiękiem przez pomieszczenie dla załogi do kabiny kierowcy.

Dźwięki dochodzą z podświetlonej części konsoli po prawej stronie. Z radia. Caldwell osuwa się na siedzenie i pochyła głowę, nasłuchując.

Niewiele z tego wynika. Z radia dobywają się głuche szumy, trzaski, syki i pohukiwania, przypominające chaos między stacjami, jaki można było usłyszeć w głośnikach starych analogowych odbiorników. Z czasem jednak udaje jej się wyróżnić z tego rozgardiaszu kilka wyraźnych słów: „... drogi od Beacon... widzieliśmy... potwierdźcie tożsamość...”. Głos jest głuchy, nieludzki, wykoślawiony przez echo i zakłócenia.

Po przedniej szybie przemyka snop światła latarki, znikając równie nagle, jak się pojawił. Z zewnątrz nie dobiega do niej żaden dźwięk, Caldwell zauważa za to ruch. Ciężka zaledwie, rzucony na ułamek sekundy przez poruszający się promień latarki. Jakaś postać prześliznęła się błyskawicznie wzdłuż lewego boku Rosie.

„... zupełny wrak... sądzę, żeby był...”

Caldwell bardzo prędko zbliża się do środkowego wjazdu. W połowie drogi uświadamia sobie, że mogła wyjść przez drzwi w kabinie kierowcy. Przystaje i zawraca. Po chwili stwierdza jednak, że mechanizm środkowych drzwi jest jej lepiej znany. Tymczasem głosy z radia rozplywają się i gasną. Z okrzykiem przerażenia Caldwell dopada konsoli i tym samym kanałem nadaje odpowiedź.

– Halo? – woła. – Kto tam jest? Mówi Caroline Caldwell z bazy Hotel Echo, region szósty. Kto tam jest?

Odpowiada jej głuchy szum.

Wypróbowuje kolejne kanały, z takim samym skutkiem.

Znow biegnie w stronę środkowej części pojazdu, ale gdy tam dociera, dopada ją zwątpienie. Od wczoraj nie nakładała e-blokera i czuje zapach własnego potu. Jeśli otworzy drzwi, być może głodni natychmiast opadną ją i jej potencjalnych wybawców.

W szafce obok śluzu wisi sześć skafandrów ochronnych. Przed laty, wciąż będąc na liście wybranych, Caldwell przeszła szkolenie dotyczące ich obsługi i choć włożenie skafandra zajmuje jej dziesięć minut, jest pewna, że zrobiła to poprawnie. Jej zapach i ciepłota ciała są teraz niewykrywalne, przynajmniej na jakiś czas.

Otwiera drzwi. Na zewnątrz panuje bezruch.

– Jest tam kto? – woła.

Wychodzi na ulicę. Nikogo. Ale wiązka światła przebiega teraz po rufie, drgając w lewo i w prawo.

– Jest tam kto? – powtarza Caldwell.

Być może hełm tłumi jej głos. Na roztrzęsionych nogach rusza wzdłuż boku pojazdu. Przez kark przebiegają jej ciarki. Podchodzi do rufy. Przez chwilę latarka świeci jej prosto w oczy. Odzywa się do tego kogoś, kto kryje się za snopem światła:

– Nazywam się Caroline Caldwell. Jestem naukowcem z bazy Hotel Echo w regionie szóstym. Jestem tu z...

Snop światła się obraca, a Caldwell braknie słów. Nikt nie trzyma latarki. Ktoś zawiesił ją na metalowej szynie z tyłu pojazdu. Latarka porusza się na wietrze, nie w czyichś dłoniach.

Wściekłość spowodowana tym dziecinnym wybrykiem nagle ustępuje miejsca czystemu przerażeniu. To zasadzka. A ponieważ nikt jej jeszcze nie zaatakował, celem musiała być Rosie. Caldwell obraca się na pięcie i pędzi

z powrotem. Dopada środkowych drzwi, gotowa na to, że oddział złomiarzy, a być może sierżant Parks, wyskoczy za moment ze swojej kryjówki (tylko gdzie mieliby się ukryć?).

Nic się nie porusza. Caldwell wpada do środka, zatrzaskuje drzwi, blokuje zamek i zabezpieczenia. A potem jeszcze na wszelki wypadek służy. I drzwi wiodące do stanowiska strzelców.

Wreszcie przestaje się trząść. Wokół panuje cisza i bezruch. Jest bezpieczna. Ktokolwiek czaił się na zewnątrz, poszedł sobie, zostawiając tylko latarkę. Może to rzeczywiście była ekspedycja ratunkowa z Beacon. Może coś ich zjadło. Caldwell nie ma pojęcia, ale cokolwiek się zdarzyło, nie ma zamiaru po raz drugi opuścić Rosie. Choćby się waliło i paliło, choćby radio nadal snuło swoje syrenie pieśni, choćby na zewnątrz pojawiła się prawdziwa ludzka twarz lub cała świąteczna parada, z bębniami i orkiestrą dętą. Caldwell przechodzi do laboratorium, luzując po drodze uszczelki w hełmie.

Melanie siedzi na krześle przed mikroskopem, zaczytana w jej notatkach. Podnosi głowę.

– Dzień dobry, doktor Caldwell – mówi uprzejmie.

Caldwell zamiera w progu. Jej pierwsza myśl: „jest sama czy są z nią pozostali?”. Druga: „czego mogę użyć jako broni?”. W komorze służy nadal tkwi kanister z fosgenem. Ponieważ Caldwell wciąż ma na sobie skafander, jest odporna na działanie gazu. Gdyby udało jej się dopaść służy...

– Zatrzymam panią – odzywa się Melanie wciąż tym samym grzecznym, ułożonym głosem. – Jeśli się pani poruszy. Jeśli sięgnie pani po pistolet albo jakikolwiek ostry przedmiot, jeśli będzie pani próbowała uciekać albo znów zamknąć mnie w klatce. Albo jeśli zrobi pani cokolwiek, żeby mnie skrzywdzić.

– To... to byłaś ty? Ten głos w radio?

Melanie skinieniem głowy wskazuje na krótkofalówkę leżącą obok niej na blacie.

– Próbowałam różnych kanałów. Minęło wiele czasu, zanim pani odpowiedziała.

– A potem... To też byłaś ty?

– Położyłam się pod drzwiami. Nie zauważyła mnie pani. Kiedy mnie pani minęła, wśliznęłam się do środka.

Caldwell zdejmuje hełm i bardzo delikatnie odkłada go na blat. Kilkadziesiąt centymetrów dalej dostrzega pękaty kształt mikrotomu z jego zmyślnie zaprojektowaną gilotyną. Gdyby udało jej się skłonić Melanie, by podeszła bliżej, i przycisnąć jej głowę do podstawy, mogłaby załatwić sprawę od ręki.

Melanie marszczy brwi i kręci głową, zupełnie jakby odgadła jej zamiary.

– Nie chcę pani ugryźć, ale mam to. – Pokazuje jej skalpel, którego doktor Caldwell używała, rozcinając mózg głodnego chłopca, i którego nie zdążyła

zdezynfekować. – Dobrze pani wie, jaka jestem szybka.

Caldwell zastanawia się przez chwilę.

– Dobre z ciebie dziecko, Melanie – próbuje. – Nie sędzę, żebyś potrafiła mnie skrzywdzić.

– Przywiązała mnie pani do stołu, żeby mnie pociąć na kawałki – przypomina jej Melanie. – Pocięła pani Marcie i Liama. I pewnie wiele innych dzieci. Jedyńm powodem, dla którego jeszcze pani nie skrzywdziłam, było to, że pannie Justineau i sierżantowi Parksowi zapewne by się to nie spodobało. Ale ich tu nie ma. Zresztą myślę, że nawet gdyby byli, nie mieliby już teraz nic przeciwko.

Caldwell wcale w to nie wąpi.

– Czego chcesz? – pyta. Melanie jest wyraźnie poruszona i wydaje się jasne, że o coś jej chodzi, o coś konkretnego.

– Chcę poznać prawdę.

– Dotyczącą czego?

– Wszystkiego. Mnie. Pozostałych dzieci. Tego, że jesteśmy inni.

– Mogę zdjąć skafander? – pyta doktor Caldwell, próbując zyskać na czasie.

Melanie wykonuje przyzwalający gest.

– Musiałabym wejść do służy.

– W takim razie proszę go nie zdejmować.

Caldwell rezygnuje z pomysłu z fosgenem. Siada na krześle, po czym natychmiast sobie uświadamia, jak bardzo jest zmęczona. Jedyńie siła woli i upór trzymały ją dotąd na chodzie. Teraz czuje, że jest bliska załamania – zbyt słaba, by znieść władcze przemowy tego potwornego dziecka. Musi zebrać siły i wybrać odpowiedni moment.

Spodziewa się, że Melanie będzie ją przesłuchiwać, ale dziewczynka na powrót zagłębia się w notatkach; obserwacjach dotyczących dwóch próbek tkanki mózgowej oraz opisujących strukturę zarodni. Zwłaszcza te ostatnie wydają się szczególnie ją fascynować i dziewczynka długo wpatruje się w starannie opisane diagramy.

– Co to jest czynnik środowiskowy? – pyta.

– Jakakolwiek zewnętrzna przyczyna, która spowoduje lub przyśpieszy wydalanie zarodników – odpowiada chłodno Caldwell, tym samym tonem, którego zwykle używa, by przywołać do porządku sierżanta Parksa. Melanie wydaje się niewzruszona.

– Zewnętrzna przyczyna? – powtarza. – Coś, co sprawi, że te nasiona się wysypią?

– Zgadza się – potwierdza niechętnie Caldwell.

– Jak w lesie amazońskim.

– Słucham?

– W lesie amazońskim rosną drzewa, które wysiewają się tylko po pożarze.

Podobnie jest w wypadku sekwoi i sosny Banksa.

– Doprawdy? – mówi słabym głosem Caldwell. W zasadzie to całkiem niezła analogia.

– Tak. – Melanie z powrotem przekłada notatki, jeszcze raz rzucając okiem na każdą z nich. – Opowiadała mi o tym panna Mailer.

Wbija w Caldwell nieruchome spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

– Czemu jestem inna? – pyta.

– Proszę o uściślenie – mruczy Caldwell pod nosem.

– Większość głodnych bardziej przypomina zwierzęta niż ludzi. Nie myślą ani nie mówią. Czemu istnieją dwa rodzaje głodnych?

– To kwestia struktur mózgowych – odpowiada Caldwell.

Jest rozdarta. Z jednej strony pragnie strzec swego sekretu i zmuszać Melanie, by w poszukiwaniu każdej perły nurkowała głębiej i głębiej. Z drugiej – dręczy ją rozpaczliwa potrzeba podzielenia się z kimś swoim odkryciem. Caldwell tęskni za audytorium złożonym z geniuszy, mędrców, nieważne, czy żywych, czy umarłych. Trafiło jej się dziecko, które nie należy do żadnej z tych kategorii, a jednocześnie należy do obydwu. Kiedy świat chyli się ku upadkowi, należy brać to, co daje nam los.

– Głodni – mówi – włącznie z tobą, to ludzie zarażeni grzybem pod nazwą *ophiocordyceps*. – Zakłada, że musi zacząć od początku, ponieważ nie sposób stwierdzić, co Melanie zdołała zrozumieć z jej notatek. Zaczyna więc od opisu rodziny pasożytów oszukujących układ nerwowy nosiciela za pomocą fałszywych neurotransmiterów, które przejmują kontrolę nad mózgiem.

Melanie z rzadka zadaje jakieś pytanie, za każdym razem niezwykle trafne. Mądry z niej dzieciak. Oczywiście, że tak.

– Ale czemu ja jestem inna? – naciska. – Co było takiego wyjątkowego w dzieciach, które sprowadziła pani do bazy?

– Zaraz do tego dojdę – odpowiada Caldwell odrobinę zniecierpliwiona. – Nie studiowałaś nigdy biologii ani chemii organicznej. Trudno ubrać to w słowa, które byś zrozumiała.

– Proszę użyć takich, które pani rozumie – sugeruje jej Melanie tym samym tonem. – Jeśli coś będzie dla mnie zbyt trudne, zapytam.

A więc Caldwell rozpoczyna wykład. Nie kieruje go do Elizabeth Blackburn, Güntera Blobela ani Carol Greider, lecz do dziesięcioletniej dziewczynki. W pewnym sensie sprowadza ją to do parteru, ale tylko w pewnym sensie. Mimo wszystko to właśnie ona połączyła wszystkie fakty w jedną całość i odkryła to, co było do odkrycia. Ona weszła w dżunglę i wyniosła z niej żywy patogen głodu. *Ophiocordyceps caldwellia*. Tak go będą odtąd nazywać, już zawsze.

Niebo na zewnątrz blednie, a ona mówi i mówi. Melanie raz na jakiś czas przerywa jej jakimś rozsądnym i celnym pytaniem. Nie jest może noblistką, ale za

to uważną i bystrą słuchaczką.

Nowo zarażonym, opowiada Caldwell, *ophiocordyceps* nie okazuje cienia litości. Wyważa drzwi, włamuje się do środka, pożera i przejmuje kontrolę. Po to, by w końcu zmienić to, co pozostało z nosiciela, w worek nawozu, z którego wyrasta owocujący organizm.

– Myliliśmy się jednak co do tego, jak szybko niszczony jest ludzki substrat. Grzyb atakuje poszczególne części mózgu z różną prędkością i różną mocą. Najpierw pozbawia nosiciela umiejętności abstrakcyjnego myślenia. Następnie obdarza go instynktem głodu, wywoływanego przez konkretne czynniki. Zakładaliśmy jednak, że wszystkie pozostałe instynkty, te, które nie służą potrzebom pasożyta, wyłączane są w tym samym momencie. Kiedy zobaczyłam tamtą kobietę na ulicy w Stevenage i mężczyznę w szpitalu, przekonałam się, że tak nie jest. Oboje, choć w sposób chaotyczny, wykonywali czynności łączące się z ich dawnym życiem, takie jak popychanie wózka, śpiewanie, przeglądanie zdjęć. Te czynności z punktu widzenia pasożyta były kompletnie pozbawione znaczenia.

Caldwell spogląda na Melanie. Choć pot spływa jej po twarzy, w ustach czuje nieprzyjemną suchość.

– Czy mogę napić się wody? – pyta.

– Kiedy pani skończy – obiecuje jej Melanie. – Jeszcze nie teraz.

Caldwell akceptuje werdykt. Wyraz twarzy Melanie nie pozostawia wątpliwości: negocjacje nie wchodzi w grę.

– Cóż – mówi dalej lekko drżącym głosem. – To mi dało do myślenia. Zaczęłam się zastanawiać nad tobą i pozostałymi dziećmi. Uznałam, że być może umknęło nam jakieś oczywiste wyjaśnienie faktu, że tak bardzo różnicie się od reszty.

– Proszę mówić dalej – głos Melanie jest równy, ale oczy zdradzają buzujące w niej podniecenie i strach.

Caldwell to dostrzega i odrobinę poprawia jej się humor, wie bowiem, że choć straciła nad dziewczynką fizyczną kontrolę, to nadal w pewnym sensie ma nad nią władzę.

– Uświadomiłam sobie, że być może urodziliście się już zarażeni. Że wasi rodzice mogli być zarażeni w chwili waszego poczęcia. Sądziliśmy, że to niemożliwe, by głodni wykazywali popęd seksualny. Ale po tym jak u osobników napotkanych w Stevenage dostrzegłam pozostałości ludzkich odruchów, takich jak instynkt macierzyński czy samotność, niemożliwe nagle wydało się możliwe. Mając to na uwadze, przyjrzałam się dowodom cytologicznym. Szczęśliwie udało mi się zdobyć świeżą próbkę tkanki mózgowej...

– Od tamtego chłopca – podpowiada jej Melanie. – Zabiła go pani i odcięła mu głowę.

– Owszem. Okazało się, że jego mózg znacznie się różni od typowego

zainfekowanego mózgu. Za pomocą sprzętu, który miałam do dyspozycji w bazie, mogłam jedynie zweryfikować obecność grzyba i stwierdzić, w jaki sposób układa się w tkance nosiciela. Ale to... – kiwa głową w stronę mikrotomu, wirówki i mikroskopu elektronowego – to pozwoliło mi przyjrzeć się pojedynczym neuronom i temu, jak reagują z komórkami grzyba. Tego chłopca i mężczyznę ze szpitala łączyło tak niewiele, że w zasadzie nie sposób było ich porównać. W wypadku głodnego z pierwszego pokolenia grzyb całkowicie niszczy mózg. Przejeżdża po nim jak walec. Substancje, które wydziela, brutalnie uruchamiające i powstrzymujące poszczególne zachowania, wywołują nieodwracalne szkody. Poza tym grzyb wyciąga z tkanki mózgowej substancje odżywcze, drażąc go stopniowo, wysysając do czysta. Natomiast w drugim pokoleniu, którego ty sama jesteś przedstawicielką, grzyb rozkłada się w tkance równomiernie. Zrasta się z każdym pojedynczym dendrytem. Niektóre wręcz zastępuje. Ale się nimi nie karmi. Pasożyt odżywia się tylko wtedy, kiedy nosiciel. A więc z pasożyta staje się symbiontem.

– Panna Justineau powiedziała, że moje matka nie żyje – mówi Melanie, niemal tonem protestu, tak jakby przypuszczenie, że Helen Justineau skłamała, nie mieściło jej się w głowie.

– Tak też sądziliśmy – odpowiada Caldwell. – Wyszliśmy z założenia, że twoi rodzice byli złomiarzami albo jakimiś innymi ludźmi, którzy nie zdołali w porę dotrzeć do Beacon, i że wszyscy zostaliście zarażeni w tym samym momencie. Nikt nie przypuszczał, że głodni mogą być zdolni do kopulacji. Ani tym bardziej do tego, by urodzić dziecko, które jakimś cudem przeżyje. Najwyraźniej ty i pozostali byliście znacznie silniejsi i bardziej odporni niż zwykle niemowlęta. Być może karmiliście się mięsem swoich matek, aż nabraliście wystarczająco dużo sił, aby...

– Cicho – rzuca ostro Melanie. – Niech pani nie mówi takich rzeczy.

Ale Caldwell pozostały już tylko słowa i nie potrafi ich powstrzymać. Opisuje swoje badania, stworzoną przez siebie teorię, sukces (określenie cyklu życiowego patogenu) i porażkę (stwierdzenie, że nie istnieje szczepionka, niemożliwe jest wynalezienie leku). Tłumaczy, gdzie schowała slajdy i resztę notatek i komu w Beacon należy je przekazać.

Z czasem mówienie zaczyna jej sprawiać coraz większą trudność, więc Melanie przysuwa się bliżej i siada u jej stóp. Wciąż ściska w dłoni skalpel, ale nie powtarza więcej swoich gróźb. Po prostu słucha. Caldwell zaś czuje wdzięczność, wie bowiem, co oznacza nadciągająca fala letargu.

Sepsa wchodzi w ostatnie stadium. Caldwell już nigdy nie zdoła opisać wszystkiego, co odkryła, i zadziwić ostatnich pozostałych przy życiu przedstawicieli świata nauki pokazem własnej przenikliwości skonfrontowanej z ich tępotą. Pozostała jej tylko Melanie. Melanie jest posłańcem, którego

w ostatniej chwili sprowadziła tu opatrzność po to, by ogłosił ludzkości jej dzieło.

Noc zaczyna się fatalnie.

W pokoiku na poddaszu znajduje się jedynie stół i metalowy zbiornik, będący niegdyś częścią systemu centralnego ogrzewania. Każdy ruch sprawia, że nagie deski podłogi skrzypią niemiłosiernie, więc Justineau i sierżant Parks starają się nie ruszać.

Pierwsi goście zjawiają się mniej więcej godzinę po wyjściu Melanie i kilka minut po tym, jak nawiązała z nimi łączność z dzikich ostępów Hackney. Justineau słyszy dobiegające z dołu rumory i tupot głodnych, przemieszczających się nerwowo tam i z powrotem. Źródło zapachu, za którym podążali, znajduje się nad nimi, ale nie potrafią się do niego dostać. Mogą jedynie biegać w kółko, ponaglani powiewami powietrza niosącymi ze sobą, ze zmienną intensywnością, chemiczny ślad, który ich tu przywiódł.

Justineau wciąż ma nadzieję, że sobie pójda albo przynajmniej przestaną się kotłować, ale tym razem jest inaczej niż w Stevenage. Głodni w Wainwright House przybyli tam zwabieni dźwiękiem i ruchem i gdy te ustały, popadli w odrętwienie, czekając, aż osiadły w ich mózgach grzyb wyda im kolejne rozkazy. Do tych tutaj rozkazy płyną nieprzerwanym strumieniem, utrzymując ich w nieustannym niespokojnym ruchu.

Na początku Parks raz po raz otwiera pokrywę w podłodze i spogląda na nich, oświetlając latarką ich szare, zwiotczałe, zwrócone ku górze twarze, szeroko otwarte blade oczy i ziejące ciemne tunele nozdrzy. Ale gdy widok ten się nie zmienia, po jakimś czasie daje za wygraną.

Mniej więcej godzinę później do uszu tropionych dociera łomot dochodzący zza ścian. To kolejni głodni, podążający ich śladem równie gorliwie jak ci na dole, którzy jednak popełnili błąd, skręcając w niewłaściwą klatkę schodową, obierając niewłaściwy kierunek.

Parks i Justineau znaleźli się w samym centrum olbrzymiej przestrzeni pełnej istot, które pragną ich pożreć.

„Nie – poprawia się w duchu Justineau. – Nie w samym centrum. Na dachu nie ma nikogo. Przynajmniej na razie”.

Dostrzegłszy świetlik w suficie, wspina się na stół, by wyjrzeć na zewnątrz. Okrągły księżyc, zwany w tej fazie księżycem myśliwych, oświetla szerokie pasma ulic biegnących na południe, w stronę rzeki. Ulice te jak okiem sięgnąć wypełnione są grzybną watą. Londyn to teraz miasto, do którego żywi nie mają prawa wstępu. Przetrwają tu tylko głodni. Bóg jeden wie, jak daleko na wschód lub zachód będą musieli zboczyć, by ominąć ten straszliwy masyw.

Bóg, no i może jeszcze Melanie. Próbowali porozumieć się z nią przez krótkofalówkę, ale nie udało im się nawiązać kontaktu. Parks przypuszcza, że

przełączyła się na inną częstotliwość, choć nie potrafi stwierdzić, po co miałaby to robić.

– Spróbuj się przespać – mówi teraz do Justineau. Siedzi w kącie poddasza i czyści broń w świetle latarki. Promień światła pada na jego podbródek, wydobywa z ciemności oczodoły i, co najbardziej niepokojące, ukośną bruzdę blizny.

– Tak jak ty? – pyta z przekąsem Justineau, ale złazi ze stołu. Dość ma patrzenia na ten ciągnący się w nieskończoność ponury szaniec.

Siada obok niego. Po chwili dotyka jego ręki, tuż nad nadgarstkiem. A potem, z lekkim poczuciem nierealności, ujmuje jego dłoń.

– Nie byłam wobec ciebie sprawiedliwa – mówi.

Parks wybucha głośnym śmiechem

– Zdaje się, że nie na sprawiedliwość liczyłem – odpowiada.

– A jednak. Doprowadziłeś nas aż tutaj, choć nie było łatwo, a ja przez większość czasu traktowałam cię jak wroga. Przepraszam.

Parks zaciska palce na jej dłoni i unosi ją do swojej twarzy. Justineau spodziewa się, że ją pocałuje, ale on tylko obraca ją w świetle latarki.

– To nie ma znaczenia – mówi. – W zasadzie to nawet lepiej. Nie szanowałbym kobiety, która ceni się na tyle nisko, żeby się ze mną przespać.

– To nie jest śmieszne, Parks.

– Pewnie nie. A tak przy okazji, możesz mi mówić Eddie.

– Jesteś pewien, że to nie będzie zbyt poufałość?

Tym razem naprawdę chce go rozśmieszyć i cieszy się, kiedy jej się udaje.

Czy na pewno tego chce? Szczerze mówiąc, nie ma pojęcia. Ale o coś jej przecież chodziło. Nie złapała go za rękę z jakiejś abstrakcyjnej potrzeby ludzkiego kontaktu. Zrobiła to, by sprawdzić, czy jego dotyk wywoła w niej jakąkolwiek emocję. Tylko że ta emocja okazała się cholernie niejednoznaczna.

Nie przeszkadza jej blizna. Przynajmniej dzięki niej jego twarz nie wydaje się pospolita. Ta twarz przypomina rzut kostką. Helen instynktownie czuje, że podoba jej się ta przypadkowość. Jakoś ją przyciąga.

Nie podoba jej się natomiast okrucieństwo, które kryje się w przeszłości ich obojga i które nie pozwala jej do niego dotrzeć. Żałuje chwili, gdy mu zdradziła, że jest morderczynią. Chciałaby, aby widział w niej czystość i niewinność, wtedy jego dotyk mógłby obudzić w niej inną stronę jej osobowości.

Ale jeśli ponowne narodziny są możliwe, to na pewno nie w taki sposób.

Wyrywa dłoń z uścisku jego palców, a potem ujmuje jego głowę w obie ręce i całuje go w usta.

Po chwili Parks wyłącza latarkę. Justineau wie, czemu to zrobił, i nie protestuje.

W pewnym momencie, w środku nocy, zmienia się rodzaj dochodzących z dołu dźwięków.

Dotychczas były przypadkowe – łomot i wstrząsy zderzających się ze sobą rozpędzonych ciał. To, co teraz słyhać, układa się w określony rytm i nosi znamiona uporządkowania. Poza tym rozlegają się jakieś cmokania i gwizdy, pomieszane z odgłosami usilnego naporu. Głodni nie wydają z siebie takich dźwięków.

Parks wyplątuje się z ciężkich, sennych objęć Justineau i podpełza do pokrywy. Unosi ją i włącza skierowaną wcześniej w dół latarkę.

W snopie światła ukazuje się twarz z sennego koszmaru. Parks odnosi wrażenie, jakby wyskoczyła na niego z ciemności. Ciemnooka, bladokóra, poznaczona kolorowymi smugami. Szerokie usta otwierają się, obnażając cienkie, ostre jak u piranii zęby.

A potem stworzenie naprawdę daje susa, reagując na strumień światła natychmiastową falą morderczej wściekłości. Coś przecina powietrze tuż przed oczami Parksa – coś, co lśni w blasku latarki i z donośnym łomotem uderza o krawędź otworu.

Parks odchyła się, ale nie odskakuje w reakcji na źle wymierzony cios i dzięki temu dostrzega to, co rozgrywa się za plecami napastnika. Dzieci, chłopcy i dziewczynki, obskakują zataczających się głodnych, ściągając ich na ziemię, i rozszarpują, posługując się szeroką i eklektyczną gamą narzędzi walki.

Ale nie po to tutaj przyszły. W tej chwili po prostu oczyszczają sobie teren. Nie znalazły się tu przypadkiem. Ich celem jest pokój na poddaszu i jego zawartość. Ciemne oczy raz po raz popatrują w górę i spotykają się z oczami Parksa.

Sierżant z trzaskiem opuszcza pokrywę. Widzi, że Justineau zaczęła się ruszać, więc szybko ją wybudza.

– Uciekamy – oznajmia. – Natychmiast. Ubieraj się.

– Czemu? – pyta twardo Justineau. – Co się... – Nie kończy zdania, ponieważ w tym momencie docierają do niej odgłosy z dołu. Może już odgadła, co oznaczają. Tak czy inaczej wie, że zaczęły się kłopoty, i nie jest na tyle głupia, by prosić o wyjaśnienia, które zajmą cenny czas przeznaczony na ucieczkę.

Pokrywa nie ma zamka, ale Parksowi udaje się przygnieść ją metalowym zbiornikiem. Robi to w ostatniej chwili, pokrywa zaczyna podskakiwać w momencie, gdy zwała na nią ciężki pojemnik. Przenikliwy wrzask, który temu towarzyszy, odpowiada mu, że ten, kto usiłował ją podważyć, nie jest zachwycony sposobem, w jaki powstrzymano jego wysiłki.

Już po kilku sekundach pokrywa zaczyna się trząść i wybrzuszać pod naporem zjednoczonych sił głodnych dzieci. Parks nie ma pojęcia, jak udało im się

do niej wspiąć. Stworzyły żywą piramidę czy wykorzystały spiętrzone ciała zaszlachtowanych głodnych? Nieważne. Liczy się to, że są zbyt silne i zbyt zdeterminowane, by zbiornik powstrzymał je na długo.

Parks wskakuje na stół i wypycha głowę przez świetlik, który Justineau zostawiła otwarty. Na dachu nie ma nikogo. Sierżant przeciska ramiona przez otwór i wydostaje się na zewnątrz. Justineau jest tuż za nim i choć wyciąga do niej rękę, nie potrzebuje jego pomocy.

Ułożone stromo dachówki, mimo że suche, są śliskie jak cholera. Mężczyzna i kobieta czołgają się ku kalenicy rozpląszczeni jak żaby, mocno przyciskając ciała do zdradliwej powierzchni.

Na kalenicy jest łatwiej. Pojedynczy rząd cegieł tworzy tam wąski chodnik, na którym mogą się wyprostować i chwiejnym krokiem pobiec dalej przed siebie, jak pijani akrobaci, przytrzymując się kominów i rur wentylacyjnych.

Parks kieruje się na koniec szeregu domów, gdzie ma zamiar znaleźć jakieś okno, przez które przedostaną się do środka. Jednak już w połowie drogi za ich plecami rozlegają się głośnie postękiwania i przenikliwe piski ostrzegające, że nie są sami. Drobne, smukłe sylwetki, wyraźnie obrysowane księżycowym światłem, wylewają się na dach przez okno pokoju, z którego dopiero co umknęli. Nie wspinają się ku kalenicy; przemykają bokiem, jak kraby, w stronę Parksa i Justineau, obierając najkrótszą z możliwych tras, by dopaść swej zdobyczy.

Zrównawszy się z kolejnym kominem, Parks sięga po broń. Oddaje dwa strzały, celując w dziecko, które znajduje się najbliżej. Pierwszy strzał okazuje się celny. Drobna figurkę odrzuca do tyłu i nim zdoła się czegoś złapać, stacza się po połaci dachu i znika pod jego krawędzią. Drugi strzał jest chybiony, ale sprawia, że dzieciaki rozbiegają się w panice i jeszcze jedno z nich spada z dachu.

Pozostałe wykonują szybki odwrót, ale nie dość szybki. Parks ma wystarczająco dużo czasu, żeby skosić jeszcze kilkoro z nich.

– Nie zabijaj ich! – krzyczy Justineau. – Parks, nie! Widzisz, że uciekają!

Tere-ferre. Po prostu zmieniają taktykę. Ale Parks nie ma ochoty się kłócić. Lepiej zachować trochę naboju, które przydadzą się, gdy znajdą się na ziemi.

O ile tam dotrą.

Coś uderza w komin tuż obok głowy Parksa. Okruchy cegły trafiają go w policzek. Zza kominów i wykuszów tryska grad kamyków, które – wypuszczane prawdopodobnie z proc, ruchami szybkimi jak smagnięcia bata – sypią się z prędkością karabinowych pocisków. Jeden z kamyków przecina powietrze tak blisko, że Parks czuje jego ruch i słyszy komarzy świst.

Dosyć tego.

Wyciąga karabin i posyła przed siebie dwie długie serie. Pierwsza trafia w kominy, zmuszając dzieci do cofnięcia się. Druga roztrzaskuje w drobny mak dachówki na stromej, zmurszałej niwie dachu pomiędzy nimi a napastnikami. Jeśli

smarkacze zdecydują się zaryzykować przeprawę tamtą drogą, nieźle się namęczą.

– Ruszaj się! – wrzeszczy na Justineau. – Na dół! Tędy! Znajdź jakieś okno!

Justineau zsuwa się ku rynnie, szeroko rozpościerając ramiona i drapiąc stopami powierzchnię dachu. Parks podąża za nią na czworaka, tyłem, z twarzą zwróconą w stronę kalenicy, gotów wystrzelić, dostrzegłszy najmniejszy ruch. Ale nic się nie rusza.

– Parks – odzywa się Justineau za jego plecami. – Tutaj.

Znalazła okno, nie otwarte, lecz wyważone. Muszą tylko zsunąć się z dachu, wspierając się na łokciach, i postawić stopy na parapecie. Potem wystarczy sekunda, by schylić się i wśliznąć do środka.

Każda sekunda ma znaczenie. Muszą się przedostać na ulicę, zanim dzieci zdołają zrobić to samo. Zyskać maksymalną przewagę. W ciemnościach objijają się o ściany i meble w poszukiwaniu schodów.

Wtedy właśnie odzywa się krótkofalówka. Parks odbiera w biegu – nie ma odwagi się zatrzymać.

– Tu Parks.

– Słyszałam strzały – rozlega się głos Melanie. – Wszystko w porządku?

– Niezupełnie.

Justineau chwyta go za ramię i odciąga na bok. Znalazła schody. Rzucają się w ciemną studnię i potykając się, omal nie tracą równowagi. Powinien się zatrzymać i wyciągnąć z plecaka latarkę, ale światło prawdopodobnie tylko szybciej sprowadziłoby pościg.

– Znalazło nas jakieś stado głodnych dzieciaków – dyszy Parks, zachłystując się oddechem. – Uzbrojone po zęby. Podobne do ciebie, tyle że trochę mniej sympatyczne. Nadal za nami gonią.

– Gdzie jesteście? – pyta Melanie. – Tam gdzie poprzednio?

– Dalej. Przy końcu ulicy.

– Znajdę was.

I całe szczęście.

– Pośpiesz się – rzuca Parks.

Kiedy dopadają parteru, ukazują im się otwarte na oścież drzwi wejściowe. W tym momencie światło księżycy obejmuje jakąś sylwetkę, która wyłania się z ciemności tuż przed nimi. Metr dwadzieścia, z gotowymi do ciosu nożami w obu dłoniach.

Parks strzela. Drobny kształt uskakuje. To był jego ostatni, może przedostatni nabój. Sierżant hamuje gwałtownie i chwiejnie. Justineau odbija się od jego pleców. W tej samej chwili robią w tył zwrot i rzucają się ku tylnej części budynku.

Pędzą przez pleśniejące pieczary kolejnych pomieszczeń. Parks nie potrafi odgadnąć ich pierwotnego przeznaczenia, zresztą gównem go to obchodzi. Szuka

tylnych drzwi. Znalazłszy, wyważyła je kopniakiem i oboje wypadają – o to właśnie się modlił – do otoczonego murem zdziczałego ogrodu.

Nurkują w sięgające czubków ich głów kolczaste zarośla, pozostawiając na ich gałęziach strzępy ubrań i skóry. Dochodzące z tyłu wojownicze zawrodo podpowiada im, że dzieci nie zrezygnowały i są blisko. Parks życzy im szczęścia. W większości są gołe jak święci tureccy, a więc o wiele bardziej narażone na bolesne ukłucia ponaddwucentymetrowych cierni, które najgęstsze są blisko ziemi.

Ogląda się za siebie. Drzwi, przez które wybiegli, zginęły już w atramentowej ciemności, dostrzega jednak w ich okolicy jakiś niewyraźny ruch. Naciska spust, który odpowiada jedynie jałowym pstryknięciem. Czy został mu jeszcze jeden magazynek? Czy zdecyduje się zatrzymać i przeladować broń z całym stadem tych słodkich bobasów siedzących mu na tyłku?

Docierają do skraju ogrodu.

– Naprzód! Naprzód! – wrzeszczy Parks.

Podsadza Justineau, potem sam skacze, opada z powrotem na ziemię, skacze jeszcze raz. Za trzecim podejściem udaje mu się zaczepić palcami o szczyt muru i już po chwili Justineau ciągnie go w górę za kołnierz koszuli na karku.

Coś uderza go w ramię. Coś innego roztrzaskuje się na cegłach tuż obok jego dłoni. Justineau stęka z bólu i przechyla się przez krawędź muru, powalona celnym strzałem.

Parks prześlizguje się przez szczyt konstrukcji i po chwili ląduje obok niej, na spękanej, zarośniętej chwastami asfaltowej powierzchni parkingu. Tuż przed nimi tkwi wrak samochodu bez przednich kół, który wygląda jak klęczący przed oprawcą wół, czekający na dobitcie. Na *coup de grâce*.

Justineau leży bez ruchu. Parks ostrożnie przykładają dłoń do jej czoła. Kiedy ją odrywa, ma mokre palce.

Nie jest lekka, ale udaje mu się zarzucić ją sobie na ramię. Nie da rady przytrzymać jej jedną ręką, musi więc wybrać: ucieczka albo walka.

Wybiera ucieczkę. Po czym natychmiast sobie uświadamia, że popełnił błąd. Pół tuzina przykurczonych gibkich postaci wypada zza ściany domu i pędzi w jego stronę, nawet nie zwalniając. Kolejne wyłaniają się z nad szczytu muru i miękko opadają na asfalt za jego plecami.

Parks rzuca się w jedynym kierunku, z którego nie nadciąga pogoń, w stronę otwartej przestrzeni, co czyni go jednak nadmiernie łatwym celem. Jak na znak sypie się na niego grad pocisków. Kamień uderza go w plecy, tuż przy krzyżu, sprawiając mu taki ból, jakby ktoś przyłożył mu pięścią prosto w nerkę. Zatacza się, omal nie tracąc równowagi.

Pada na ziemię, powalony przez najszybsze z dzieci, które rzuca się na niego, wybiwszy się wysoko w powietrze, wczepia się w dolną część pleców i pozwala, by siła uderzenia przygniotła Parksa do ziemi. Sierżant przekręca się

w locie tak, by zamortyzować upadek Justineau, ta jednak w którymś momencie wysuwa się z jego ramion.

Jeszcze zanim ciało Parksa styka się z ziemią, dzieciak przypada mu do gardła. Sierżant wymierza mu cios prosto w twarz, z całych sił, i mały puszcza, dając mu czas na uniesienie nogi i wyrzucenie go kopniakiem w powietrze. Całkiem nieźle sobie radzi. Ma na tyle swobody ruchów, by chwycić za karabin.

Coś z miażdżącą siłą uderza go w ramię – to samo, które ucierpiało od wystrzelonego z procy kamienia. Karabin wypada mu z dłoni, wie to tylko dlatego, że słyszy jego stukot o ziemię. Przez sekundę lub dwie nie czuje nic, nawet bólu. Potem ból powraca gwałtowną falą i wypełnia go po brzegi.

Leży rozciągnięty na asfalcie, z bronią przy głowie, i choć próbuje się poruszyć, niewiele się dzieje. Prawe ramię opadło bezwładnie, prawy bok przeszywa przeraźliwy ból, jakby ktoś owinał go drutem kolczastym. Wymalowany dzieciak w wojskowej kurtce klęka tuż obok niego. Pozostali tłoczą się za jego plecami, cierpliwie obserwując, jak ich herszt nachyla się nad ofiarą, szeroko rozdziawiając usta. Widząc go z tak bliska, Parks nie ma już wątpliwości; chłopak ma zęby przypilowane w ostre kolce.

Te właśnie zęby stykają się teraz z jego przedramieniem; szczęśliwie z prawym, więc nic nie czuje. Po tej stronie jego ciała nie ma już miejsca na więcej bólu. Mimo to krzyczy, gdy chłopiec podrywa głowę, ściskając w zębach okrwawiony kawał mięsa.

Oto sygnał do rozpoczęcia uczty. Pozostałe dzieciaki obskakują go, jakby ktoś wezwał je na piknik. Jedno z nich, jasnowłosa dziewczynka, podpełza do piersi Helen Justineau, chwyta ją za włosy i odchyła do tyłu jej głowę.

Macając lewą ręką, Parks odnajduje pistolet, który Justineau ma zatknięty za pasek. Przyciąga go do siebie szarpnięciem i otwiera ogień. Na oślepe. Pocisk o wydrążonym czubku posyła małą w ciemność, gdzie kręci się jak bączek rażona jego siłą.

Zaalarmowana bliskim łoskotem wystrzału pozostała dzieciarnia na moment nieruchomieje.

Ten moment wystarczy, by na scenę wpadła nowa postać.

Ogłuszająca.

Przerażająca.

Zionąca ogniem i wrzeszcząca jak chór demonów z piekielnej czeluści.

Melanie zrobiła, co mogła, mając do dyspozycji ograniczony wachlarz środków.

Zbliża się do bandy dzikich dzieci na palcach, wyprężona w górę, starając się sprawiać wrażenie nie małej dziewczynki, ale boga lub tytana. Od szyi w dół jest naga – „ubrana w niebo” – ale na głowie ma wielki hełm odczepiony od ochronnego skafandra. Odblaskowy wizjer hełmu całkowicie zasłania jej twarz.

Jej skóra jest jaskrawoniebieska, w całości pokryta żelazem do dezynfekcji, którego doktor Caldwell używa – a raczej używała – przeprowadzając swoje sekcje.

W lewej ręce ściska osobisty alarm, który działa dokładnie tak, jak to opisała panna Justineau. Sto pięćdziesiąt decybeli wbija się z przeraźliwym jazgotem w uszy i mózgi wszystkich dookoła, uniemożliwiając komukolwiek trzeźwe myślenie. To samo oczywiście dzieje się z Melanie, ale ona przynajmniej była na to przygotowana.

W prawej dłoni dzierży pistolet sygnałowy i w tej właśnie chwili odpala flarę prosto w wymalowanego chłopca, który ukradł kurtkę Kierana Gallaghera. Pocisk przelatuje tuż obok jego głowy, a towarzysząca temu smuga dymu przykrywa go w całości jak zrzucony z nieba całun.

Melanie ciska mu pod stopy alarm. Chłopak cofa się o krok, wymachując ramionami, jakby ktoś go uderzył.

Wtedy rzuca się w jego stronę. Wcale nie ma na to ochoty. Wolałaby, żeby uciekł, ponieważ wie, że pozostałe dzieci poszłyby za jego przykładem, ale on najwyraźniej nie ma takiego zamiaru. Melanie dopada chłopca i w tym momencie kończą jej się pomysły.

Bierze zamach i trafia go kolbą pistoletu w spód podbródka. Solidny cios sprawia, że głowa chłopca odskakuje, a on sam zatacza się do tyłu. Ale nie upada. Łapie równowagę i z całej siły zamierza się metalowym kijem.

Trafia. Tyle że nabrał się na sztuczkę z hełmem, który jest na Melanie o wiele za duży i chwiejnie wspiera się na jej wątłych ramionach. Chłopak myślał, że jest piętnaście centymetrów wyższa niż w rzeczywistości. Powalający cios, który w normalnych okolicznościach wybiłby dziurę w jej skroni, zagłębia się zamiast tego w górną część hełmu i zrywa go Melanie z głowy.

Chłopiec wydaje się zaskoczony odkryciem, że pod jedną głową znajduje się kolejna, i przed wymierzeniem kolejnego ciosu waha się przez chwilę. Jazgot alarmu nadal wierci im dziury w mózгах. Jest tak, jakby cały świat zaniósł się przerażającym wrzaskiem.

Melanie ładuje kolejną flarę i tym razem trafia chłopca prosto w twarz.

W oczach przyglądających się temu pozostałych dzieci musi to wyglądać

tak, jakby jego twarz zajęła się ogniem. Flara utkwiała w oku, roztaczając wokół blask, jakby na ziemię spadł kawałek słońca. Dobywający się z niej dym najpierw unosi się prosto w górę, a następnie rozwiewa w ciasną spiralę, gdy chłopak pada na kolana, a potem przechyla się do przodu. Upuszcza kij i łapie się rękami za twarz.

Melanie chwyta kij i zadaje ostateczny cios.

Kiedy się podnosi, pozostałe dzieci wreszcie rzucają się do ucieczki.

Melanie prowadzi, za nią kroczy Parks z przerzuconą przez lewe ramię panną Justineau. Prawe ramię zwisa mu wzdłuż tułowia, kołysząc się lekko w rytm kroków. Wygląda na to, że sierżant nie może nim poruszać.

Panna Justineau jest nieprzytomna, ale oddycha. Nie ma również na ciele śladów po ugryzieniach.

Dzieci powoli, stopniowo odzyskują odwagę. Jeszcze boją się zaatakować, ale ciemność przecina grad kamyków, które z chrzęstem wbijają się w ziemię pod stopami Melanie. Ona jednak nie zwalnia kroku, a sierżant Parks idzie za jej przykładem. „Gdyby zaczęli biec – myśli Melanie – dzieci rzuciłyby się w pogoń. I znowu musieliby walczyć”.

Wreszcie skręcają za róg i wyrasta przed nimi masywna bryła Rosie. Melanie odrobinę przyspiesza, żeby otworzyć drzwi. Sierżant Parks potyka się o próg i osuwa na kolana. Z pomocą Melanie układa pannę Justineau na podłodze. Jest wyczerpany, ale ona nie może mu pozwolić na odpoczynek.

– Przykro mi, sierżancie – mówi, zamykając drzwi kopniakiem. – Mamy jeszcze coś do zrobienia.

Sierżant Parks gestem lewej dłoni wskazuje wyszarpaną skórę w prawej ręce. Jest błądy, kąciki oczu ma zaczerwienione.

– Muszę... Ja muszę stąd wyjść... – dyszy. – Ja...

– Miotacze ognia, sierżancie – przerywa mu niecierpliwie Melanie. – Mówił pan pannie Justineau, że mamy miotacze ognia. Gdzie one są?

Na początku chyba nie rozumie, o co jej chodzi. Dysząc ciężko, spogląda jej w oczy.

– Ta ściana? – zgaduje. – Ten... Ten wielki grzyb?

– Tak jest.

Sierżant dźwiga się na nogi i zataczając się, dopada stanowiska strzelców.

– Musisz uruchomić generator – mówi.

– Zrobiłam to, zanim po was wyszłam.

Sierżant ociera sobie twarz spodem dłoni. Jego głos przechodzi w szept:

– Okej. Okej. – Pokazuje jej dwa przełączniki. – Zawór. Zapłon. Podpalasz zapłon, otwierasz zawór i strzelasz.

Melanie zajmuje miejsce na stanowisku. Sięga wprawdzie do przełączników, ale jest za niska, by spojrzeć w celownik lub wyjrzeć choćby przez dolną krawędź okienka. Sierżant widzi wyraźnie, że sama nie da sobie rady.

– Okej – powtarza głosem głuchym z bólu i zmęczenia.

Melanie odsuwa się, a on zajmuje jej miejsce. Wchodząc na platformę, potyka się i omal nie upada. Kiedy nie ma się władzy w jednej ręce, użycie miotacza wydaje się znacznie trudniejsze niż objaśnienie jego działania. Melanie

pomaga, operując przełącznikami, podczas gdy on podtrzymuje broń.

Wieźyczka obraca się sama, zgodnie z ruchem lufy miotacza, więc przynajmniej tu mają ułatwione zadanie. Sierżant celuje w skłębioną burą gęstwinę grzybnego lasu, choć nie sposób chybić, kiedy ta masa wypełnia połowę horyzontu.

– Gdziekolwiek? – pyta sierżant. Mówi wolno i odrobinę bełkotliwie, tak jak czasem mówił pan Whitaker.

– Gdziekolwiek – potwierdza Melanie.

– Dziewczyno, to się ciągnie kilometrami. Miotacz się przez to... Miotacz się przez to nie przebije.

– Nie szkodzi – odpowiada Melanie. – Ogień się rozniesie.

– Mam, kurwa, nadzieję. – Parks napiera na lufę, celuje i wciska spust.

Struga ognia przebija powietrze, najpierw poziomo, by po chwili zagiąć się w dół i wbić w szarą masę jak dwudziestometrowy miecz.

Nitki, które znajdują się bezpośrednio na trasie płomienia, po prostu znikają. Dopiero te z boku zajmują się językami ognia, który rozprzestrzenia się w mgnieniu oka. Grzybna mata jest sucha jak pieprz. Wygląda, jakby tylko czekała, aby się zapalić. W blasku rozszalałych płomieni widać teraz z oddali najbliższe pnie, proste i ciemne. Ponieważ zawierają więcej wilgoci niż wyrastające z nich włókna, dużo dłużej tlą się, sypiąc wokół iskrami, zanim wreszcie zajmują się w całości i zmieniają w oślepiająco jasne słupy ognia.

Mija minuta. Melanie kładzie dłoń na ramieniu sierżanta.

– To powinno wystarczyć – mówi.

Parks z wdzięcznością odrywa palec od spustu. Ognisty miecz kurczy się w ciągu kilku sekund, wessany z powrotem w lufę miotacza.

Sierżant schodzi z platformy. Kolana lekko się pod nim uginają.

– Musisz mnie wypuścić – mamrocze z wysiłkiem. – Nie mogę tu zostać, to zbyt niebezpieczne. Czuję... Czuję, jakby coś mi rozsadzało łeb od środka. Na miłość boską, mała, otwórz te drzwi.

Sam już chyba nie jest w stanie do nich trafić. Obraca się w jedną stronę, potem w drugą, mrugając przekrwionymi oczami i krzywiąc się, jakby raziło go światło. Melanie bierze go za zdrową lewą rękę i prowadzi do drzwi.

Panna Justineau odzyskała przytomność i usiadła, ale nie wygląda na to, by zauważyła, jak przechodzą obok. U jej stóp lśni kałuża wymiocin, głowa zwisa jej pomiędzy zgiętymi kolanami.

Melanie przystaje i bardzo delikatnie całuje ją w czubek głowy.

– Zaraz wrócę – mówi. – Zaopiekuję się panią.

Panna Justineau nie odpowiada.

Sierżant położył rękę na klamce zewnętrznych drzwi, ale Melanie powstrzymuje go lekko, starając się nie zrobić mu krzywdy, ale i nie pozwolić, by otworzył drzwi.

– Musimy zaczekać – wyjaśnia.

Obraca się i po kolei wykonuje instrukcje z opisu na ścianie obok urządzenia kontrolnego. Parks przygląda jej się zdumiony. Światło z czerwonego zmienia się w zielone i Melanie otwiera drzwi.

Gdy wychodzą na zewnątrz, wisząca w powietrzu lekka mgła wygląda tak, jakby ktoś otulił świat koronkową firanką. Powietrze smakuje tak samo jak zawsze, ale wydaje się odrobinę drapać w język. Melanie oblizuje usta, by zlizać z nich szarawy osad, i widzi, że sierżant Parks robi to samo.

– Możemy gdzieś usiąść? – pyta ją. Strasznie dużo mruga, a z kącika oka splywa mu czerwona łza.

Melanie znajduje czarny plastikowy kubek na śmieci i przewraca go na bok. Pomaga sierżantowi usiąść, a potem zajmuje miejsce obok niego.

– Co myśmy zrobili? – jego głos jest szorstki, a oczy niespokojne i rozbiegane, jakby coś zgubił, ale nie pamiętał co. – Mała, co myśmy zrobili?

– Spaliliśmy to szare coś. Spaliliśmy do zera.

– Aha – mówi Parks. – A... a czy Helen?...

– Uratował ją pan – zapewnia go Melanie. – Przyniósł pan ją tutaj. Już jest bezpieczna. Nie została ugryziona ani nic. Ocalił ją pan, sierżancie.

– Dobrze – mówi sierżant. Potem milknie. – Słuchaj no – odzywa się w końcu. – Mogłabyś... Słuchaj, mała. Mogę cię o coś prosić?

– Co takiego? – pyta Melanie.

Sierżant wyciąga z kabury pistolet. Żeby to zrobić, musi sięgnąć lewą ręką do prawego boku. Wyrzuca pusty magazynek i bładzi palcami po pasku, aż odnajduje nowy, który wciska na miejsce. Pokazuje Melanie, jak ma ułożyć palce i jak odbezpieczyć. Wprowadza nabój do komory

– Chciałbym... – mówi. I znowu milknie.

– Co by pan chciał? – pyta go Melanie. Trzymając wielki pistolet w swoich drobnych dłoniach, w gruncie rzeczy zna już odpowiedź. Ale chce to usłyszeć od niego, by mieć pewność, że się nie myli.

– Widziałem ich tyłu i wiem... Ja tak nie chcę – mówi sierżant. – To znaczy... – Głośno przełyka ślinę. – Nie chcę tak skończyć. Bez urazy.

– Nie uraził mnie pan, sierżancie.

– Nie potrafię strzelać lewą ręką. Wybacz. Wiem, że proszę cię o wiele.

– Nic nie szkodzi.

– Gdybym mógł strzelać lewą ręką...

– Proszę się nie martwić, sierżancie. Zrobię to. I zostanę z panem do końca.

Siedzą tak obok siebie, a tymczasem nadchodzi świt i niebo oblewa się jasnością tak powoli, że nie sposób wyłapać momentu, kiedy kończy się noc i zaczyna dzień.

– Spaliliśmy to? – pyta sierżant.

– Spaliliśmy.

Wzdycha. Z jego gardła wydobywa się lekkie rżenie.

– Gówno prawda – chrypi. – To świństwo jest wszędzie w powietrzu... To grzyb, tak? Co myśmy zrobili, mała? Powiedz mi. Albo zabiorę ci tę spluwę i odeślę cię spać bez kolacji.

Melanie się poddaje. Nie chciała martwić umierającego tymi sprawami, ale po tym jak poprosił ją o prawdę, nie ma zamiaru go okłamywać.

– Tam są zarodnie – mówi, pokazując na płonącą wciąż grzybną płachtę. – Zarodnie pełne nasion. Doktor Caldwell mówiła, że to grzyb w dojrzałej postaci, że te zarodnie pękają i nasiona rozprzestrzeniają się w powietrzu. Ale zarodnie są bardzo mocne i same się nie otworzą. Doktor Caldwell mówiła o czynniku zewnętrznym. A ja wtedy przypomniałam sobie drzewa w tropikalnym lesie, które kiełkują tylko tam, gdzie przeszedł wielki pożar. Miałam taki obrazek na ścianie w celi.

Parks zamiera, ogłuszony potwornością tego, co przed chwilą zrobił. Melanie głaszcze jego dłoń.

– To dlatego nie chciałam panu mówić. Wiedziałam, że będzie panu smutno.

– Ale... – Parks potrząsa głową. Melanie trudno jest to wyjaśnić, a jemu jeszcze trudniej jest zrozumieć. Wyraźnie widać, że z mozołem dobiera słowa. *Ophiocordyceps* niszczy właśnie te partie mózgu, które nie będą mu potrzebne, pozostawiając w głowie coraz mniej i mniej myśli. W końcu sierżant poprzestaje na krótkim: – Dlaczego?

Ze względu na wojnę – tłumaczy mu Melanie. I ze względu na dzieci. Dzieci takie jak ona – drugie pokolenie. Na epidemię głodu nie ma lekarstwa, ale w końcu sama epidemia stanie się lekarstwem. To jest strasznie, ale to strasznie smutne dla ludzi, którzy ucierpieli pierwsi, jednak ich dzieci sobie poradzą i to właśnie one kiedyś dorosną, same urodzą dzieci i stworzą nowy świat.

– Ale tylko jeśli się im na to pozwoli – kończy. – Jeśli będziecie do nich strzelać i kroić je na kawałki, i wrzucać do rowów, to wkrótce nie zostanie już nikt, kto mógłby stworzyć nowy świat. Ludzie tacy jak pan i tacy jak złomiarze dalej będą zabijali się nawzajem, a jedni i drudzy będą zabijali głodnych, aż w końcu świat opustoszeje. Tak jak teraz będzie lepiej. Wszyscy jednocześnie zmieniają się w głodnych, a to znaczy, że umrą, co jest bardzo, bardzo smutne. Ale potem te dzieci dorosną. Nie będą ludźmi takimi, jacy żyli kiedyś, ale nie będą też głodnymi. Będą inne. Takie jak ja i reszta dzieci z mojej klasy.

To one stworzą nowe pokolenie ludzkości. I sprawią, że znowu wszystko będzie w porządku.

Melanie nie wie, ile z tego, co powiedziała, dotarło do uszu sierżanta. Jego ruchy się zmieniają. Twarz wiotczeje, dłonie drgają, jakby należały do niewprawnie poruszanej marionetki. Kilka razy mamrocze pod nosem: „okej, okej”, i Melanie uznaje, że być może jednak zrozumiał to, co próbowała mu

wyjaśnić. I że się z tym pogodził. Ale może po prostu przypomniał sobie, że Melanie do niego mówi, i chce ją zapewnić, że wciąż słucha.

– Ona miała jasne włosy – mówi nagle.

– Kto?

– Marie. Miała... jasne włosy. Tak jak ty. Nie mieliśmy dziecka, ale gdybyśmy mieli...

Obraca dłońmi, jakby za ich pomocą szukał utraconych słów. Po chwili nieruchomieje, aż świergot ptaka, który przysiadł na drucie między dachami, sprawia, że podrywa się gwałtownie i zaczyna kręcić głową, w lewo i w prawo, usiłując zlokalizować źródło dźwięku. Otwiera i zamyka usta, opanowany nagłym instynktem głodu.

Melanie pociąga za spust. Miękki pocisk wbija się w głowę sierżanta i zostaje tam na zawsze.

Helen Justineau odzyskuje przytomność tak, jakby wlekła się do domu po pięćdziesięciokilometrowym marszu. Z trudem i powoli. Raz po raz jej wzrok pada na jakiś znajomy przedmiot i wydaje jej się, że jest już prawie na miejscu, ale potem znów się gubi i musi brnąć przez własne potrzaskane myśli – przeżywając na nowo fragmenty wczorajszej nocy w tysiącu chaotycznych przebłysków.

Wreszcie uświadamia sobie, gdzie jest. Z powrotem wewnątrz Rosie, siedzi na stalowej kratce podłogi obok drzwi, w kałuży własnych rzygów.

Dźwiga się na nogi. W międzyczasie jeszcze raz wymiotuje. Zaczyna chodzić po wnętrzu pojazdu, szukając Parksa, Caldwell i Melanie. Udaje jej się znaleźć jedno z nich. Ciało Caldwell, sztywne i zimne, leży na podłodze laboratorium, skrzycone w znak zapytania. Na jej twarzy widać resztki zaschniętej krwi, ślad po niedawnym urazie, ale raczej nie to ją zabiło. Z tego, co mówił Parks, wynikało, że od dawna umierała na zakażenie krwi, które wdało się przez rany na dłoniach.

Na jednym z blatów tkwi odcięta głowa dziecka z usuniętą górną częścią czaszki. Obok stoi kuweta z odłamkami kości i zakrwawionymi strzępami tkanki, a jeszcze kawałek dalej porzucona para gumowych rękawiczek pokrytych warstwą wyschniętej krwi.

Melanie i Parksa ani śladu. Justineau wygląda przez okno i stwierdza, że zaczął padać śnieg. Szary śnieg. Jego płatki są tak drobne, że właściwie bardziej przypominają pył, ale lecą z nieba.

Gdy Justineau uświadamia sobie, na co patrzy, zaczyna płakać.

Mijają godziny. Słońce wspina się po niebie. Justineau wyobraża sobie, że jego blask przesłania szara kurtyna zarodników.

Nagle wśród zwiastującej koniec świata zawieruchy pojawia się Melanie. Macha do Justineau i pokazuje palcem drzwi. Ma zamiar wejść do środka.

Śluzka powietrzna pracuje powoli, tymczasem Melanie starannie opryskuje swoje pokryte żelazem do dezynfekcji ciało warstwą płynnego środka grzybobójczego.

„Zaraz wrócę. Zaopiekuję się panią”.

Teraz Justineau rozumie znaczenie tamtych słów. Nagle uświadamia sobie, jak będzie odtąd żyła i kim się stanie. Parska śmiechem przez dławiące łzy. Nic nie zostało zapomniane i wszystkie długi będą spłacone.

Nie targowałaby się, nawet gdyby mogła.

Drzwi śluzki rozsuwają się. Melanie podbiega i mocno ją przytula. Obdarza ją miłością bez wahania i bez granic, niezależnie od tego, czy Justineau na nią zasłużyła – jednocześnie wydając na nią wyrok.

– Proszę się ubrać – rzuca wesoło. – Pójdziemy się z nimi przywitać.

Dzieci. Ponure i niezgrabne, siedzące po turecku na ziemi, milczące pod groźnym spojrzeniem Melanie. Justineau ma z ostatniej nocy tylko kilka bardzo niewyraźnych wspomnień, ale dostrzega w ich oczach podziw, gdy Melanie przechadza się między nimi, surowo je uciszając.

Justineau musi zwalczyć przyprawiającą o zawroty głowy falę klaustrofobii. Wewnątrz szczelnego skafandra jest jej gorąco i znów ogarnia ją pragnienie, choć przed chwilą wypła chyba z pół zbiornika przefiltrowanej wody.

Siada na stopniu przed drzwiami. W dłoni trzyma flamaster. Bok Rosie posłuży jej za tablicę.

– Dzień dobry, panno Justineau – mówi Melanie.

W powietrzu wznosi się i opada cichy pomruk. Ponad połowa dzieciaków usiłuje naśladować swoją przywódczynię.

– Dzień dobry, Melanie – odpowiada panna Justineau. – Dzień dobry, dzieci.

Rysuje na ścianie pojazdu duże A i małe a. Później przyjdzie czas na równania kwadratowe i greckie mity.

PODZIĘKOWANIA

Powieść ta powstała z opowiadania pod tytułem *Ifigenia w Aulidzie*, napisanego do antologii pod redakcją Charlainy Harris i Toni Kelner. A więc to właśnie im należy się wdzięczność za to, że udało mi się ją stworzyć, oraz za nieustające zachęty, których udzielały mi podczas pracy. Winien jestem również ogromne podziękowania Colmowi McCarthy'emu, Camille Gatin i Danowi McCullochowi za cudowne burze mózgów odbywane w czasie, gdy adaptowaliśmy tę historię w abstrakt scenariusza filmowego. Podczas naszych spotkań udało się odnaleźć wiele rozwiązań dotyczących adaptacji, ale wyrazistość wizji i żywość wyobraźni moich rozmówców – jestem tego pewien – inspirowała mnie również podczas pisania powieści. Dziękuję również mojej rodzinie – Lin, Lou, Daveyowi i Benowi, oraz Barbarze i Ericowi – którzy dzielnie i bez narzekań pozwalali, bym testował na nich kluczowe fragmenty powieści. Nawet jeśli w tym samym czasie wracali do zdrowia po poważnej operacji.

Tytuł oryginału: *The Girl with All the Gifts*

Copyright © by Copyright © 2014 by M.R. Carey

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Opieka redakcyjna: Małgorzata Pasicka-Siekanka

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Projekt okładki: © Duncan Spilling L, BBG

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © altanaka / Shutterstock.com

ISBN 978-83-751-5730-7



www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. (12) 427 12 00

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

